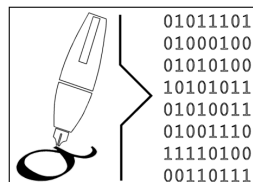


MERCEDES LACKEY

ZWIASTUN BURZY

**Pierwszy tom z cyklu
„Trylogia Magicznych Burz”**

Tłumaczyła: Katarzyna Krawczyk



Tytuł oryginału:

STORM WARNING

Data wydania polskiego: 1999 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1994 r.

*Dla Elsie Wollheim
z miłością i szacunkiem*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cesarz Charliss siedział na tronie nieco zgarbiony — ale nie pod widocznym na jego twarzy ciężarem lat ani też niewidocznym ciężarem władzy. Nie miał na głowie Wilczej Korony, nie włożył szat ceremonialnych — leżały nieopodal, na marmurowym stoliku, spływając na podłogę zwojami purpurowego aksamitu, tak ciężkiego, że na ramionach króla drapowało je dwóch młodych mężczyzn. Na wierzchu spoczywała Wilcza Korona. Niech zwykli królowie chełpią się złotymi insygniami władzy, cesarz miał opaskę z grubego srebra, wysadzaną trzynastoma żółtymi kamieniami. Dopiero z bliska widać było, że na koronie wyryto dwanaście wilków o oczach z diamentów. Jedenaście z nich zwracało się bokiem do patrzącego — pięć z lewej, sześć z prawej, dwunasty, przywódca, patrzył wprost na stojących przed cesarzem. Jego oczy jarzyły się złotawym blaskiem, podobnie jak oczy władcy.

Przeciężni monarchowie zasiadają na złotych lub marmurowych tronach, cesarz miał siedzisko żelazne, skonstruowane z mieczy, sztyletów i dzid pokonanych królów. Służba pieczołowicie czyściła ostrza, chroniąc je przed rdzą. Tron miał prawie dwa metry wysokości i metr szerokości i stanowił monolit. Nie ruszono go z miejsca od stuleci. Na pierwszy rzut oka konstrukcja wydawała się chaotyczna, a obserwator nie mógł się oprzeć podświadomej refleksji, ile ostrzy mieczy, toporów, sztyletów zużyto na jego budowę. . .

Nieprzypadkowo całe otoczenie cesarza, jego insygnia i szaty zostały starannie zaprojektowane — tak, aby przybysz poczuł się nic nie znaczącym pyłkiem wobec potęgi władcy, aby napęlić go bojaźnią i zdusić w zarodku wszelkie niebezpieczne ambicje. Cesarzowi nie zależało na zastraszeniu poddanych, nie chciał też drażnić ich ambicji — ludzie doprowadzeni do ostateczności wybuchają prędzej czy później gniewem, ambicja zaś może posłużyć do manipulacji, jednak zbyt łatwo wymyka się spod kontroli. A w życiu cesarza niemal wszystko zostało starannie przemyślane i zaplanowane. Poznał i strach, i ambicję, jeszcze zanim w wieku trzydziestu lat mianowano go następcą Liotha — w ciągu następnego pięćdziesięciolecia miał okazję sprawdzić przydatność jednego i drugiego w kierowaniu ludźmi.

Charliss był dziewiętnastym cesarzem zasiadającym na Żelaznym Tronie,

wszyscy jego poprzednicy odznaczali się inteligencją, żaden nie panował krócej niż pięćdziesiąt lat, żaden nie został zamordowany, a tylko jeden z nich nie był w stanie wybrać sobie następcy.

Niektórzy nazywali cesarza nieśmiertelnym. To nieprawda — a sam władca wiedział najlepiej, jak niewiele czasu mu pozostało. Choć był potężnym magiem, nie mógł przedłużyć swego życia w nieskończoność. W końcu każde ciało nuży się i zaczyna więdnąć. Każdy płomień kiedyś zgaśnie. Legendy o swej nieśmiertelności rozpuszczał umyślnie sam cesarz — niełatwo jest przecież o plotki sprzyjające umocnieniu władzy.

Salę tronową wyłożono białym marmurem. Ceremonialne szaty koloru świeżej krwi i żółte klejnoty w koronie stanowiły jedyną plamę koloru na podwyższeniu, na którym stał tron. Wzrok i uwaga przybysza miały się kierować jedynie w stronę władcy. Sztandary, bogate gobeliny i kotary wisały dalej, za młodym mężczyzną stojącym u stóp cesarza. Charliss miał na sobie łupkowo szarą aksamitną szatę z krótkimi rękawami i ozdobną lamówką, spodnie i lekkie dworskie buty. Energia magiczna wybieliła mu włosy już we wczesnej młodości, a oczy, niegdyś prawie czarne, rozjaśniła do koloru zachmurzonego nieba.

Nawet jeśli stojący u stóp władcy młody człowiek zdawał sobie sprawę z tego, jak niewiele czasu pozostało cesarzowi, nie zdradził się ani słowem. Wielki książę Tremane miał teraz tyle lat, ile liczył Charliss w chwili, gdy Lioth złożył ciężar władzy na jego barki, by spędzić ostatnie trzy lata życia na próbach odsunięcia od siebie widma śmierci. Na tym jednak podobieństwo młodego księcia do cesarza kończyło się. Charliss był jednym z wielu legalnych synów Liotha, podczas gdy Tremane to zaledwie odległy krewny władcy. Charliss osiągnął status adepta jeszcze przed wstąpieniem na tron, dla Tremane'a zaś największym jak dotąd sukcesem był tytuł mistrza.

Jednak do sprawowania rządów w Imperium potrzeba czegoś więcej niż więzów krwi i siły maga. Gdyby nie to, młody książę znalazłby się na szarym końcu liczącej setkę kandydatów kolejki do tronu. Nie wystarczały inteligencja i odwaga, w państwie utworzonym przez najemników cechy te spotykało się nągminnie. Głupiec i tchórz nie przeżyłby długo na dworze Charlissa.

Tremane'owi sprzyjało szczęście — to się liczyło, tym bardziej, że zawsze umiał je wykorzystać, nawet jeśli w tym celu musiał zmienić plany. Jeżeli dobry los się odwrócił — co zdarzało się rzadko — miał odwagę się z tym pogodzić i walczył do końca, czasem zamieniając niemal pewną porażkę w zwycięstwo.

Takie przymioty posiadało sporo osób, lecz Tremane miał nad nimi jedną przewagę cesarz go lubił. Książę nie był całkiem zły. Władcy całkowicie pozbawieni skrupułów mogą doprowadzić swych przeciwników do stanu, w którym nie ma się nic do stracenia, a to zbyt duże ryzyko. Tremane cieszył się lojalnością swych podwładnych. Cesarskiemu szefowi wywiadu z niezwykłym trudem udało się umieścić wśród nich szpiega. To kolejna bardzo przydatna przyszłemu władcy

cecha. Charliss wiedział o tym z własnego doświadczenia. Niełatwo o poddanego rzucającego się na ostrze miecza, by ocalić życie króla.

Na tym jednak kończyły się podobieństwa między cesarzem a kandydatem do tronu. W młodości uważano Charlissa za przystojnego, jeszcze teraz goniły za nim tęskne spojrzenia dam dworu, przyciągane nie tylko urokiem korony. Tremane natomiast, mówiąc szczerze, mógł zdobywać kobiety jedynie swą wysoką pozycją i pieniędzmi. Jego krótkie, rzadkie włosy zaczęły się już przerzedzać na czole, co nadawało mu wygląd zawsze zakłopotanego. Małe oczy osadzone były odrobinę za szeroko, skąpa broda wyglądała na doczepioną do kwadratowej szczęki, a koścista budowa na pierwszy rzut oka nie dawała najlepszego świadectwa sprawności wojskowej księcia. Cesarz uważał, że Tremane powinien dawno powiesić swego krawca, który uparcie, ubierał go w nie twarzowe brzozy i czernie, w dodatku ubranie zwykle wisiało na księciu jak na wieszaku.

A jednak... Tremane wiedział, że jest tylko jednym z wielu kandydatów do Żelaznego Tronu. Wyglądał na nieszkodliwego i przeciętnego, lecz w tym wypadku pozory myliły. Całkiem możliwe, że starał się taki wydawać — i odniósł sukces. Charliss, uważnie badający stosunki na dworze, wiedział o tym najlepiej. Tremane miał najmniej wrogów spośród przypuszczalnych następców cesarza. Dzięki temu mógł się skupić na ciągłym podnoszeniu swej pozycji, zamiast marnować czas i siły na walkę z rywalami. Nie najgorszy punkt wyjścia do ubiegania się o tron.

Może nawet był sprytniejszy, niż cesarz przypuszczał. Jeśli tak, przyda mu się to do wypełnienia zadania, które przeznaczył dla niego władca.

Cesarz nie włożył na tę audiencję szat ceremonialnych, gdyż było to prywatne posłuchanie — nie licząc wszechobecnych straży, rozmawiali w cztery oczy — a splendor nie robił wrażenia na księciu, w przeciwieństwie do prawdziwej potęgi. Tej zaś Charlissowi nie brakowało i Tremane wiedział o tym dobrze, więc cesarz nie musiał się trudzić pokazywaniem blichtru.

Charliss chrząknął, księżę pochylił się lekko.

— Mam zamiar zakończyć panowanie, nim dziesięć lat upłynie — powiedział cesarz spokojnie. Napiętą uwagę Tremane'a, zdradziło jedynie drżenie ramion. — Zgodnie ze zwyczajem Imperium powinienem przedtem wybrać następcę i przygotować go do rządów, aby zapewnić spokojną i zgodną z prawem sukcesję.

Księżę skinął głową z odpowiednim, lecz nie przesadnym szacunkiem. Ku zadowoleniu cesarza nie silił się na wiernopoddańcze, a nieprawdziwe uwagi typu „nie myśl nawet o odejściu, mój panie” lub, „jeszcze za wcześnie na takie plany.” Zresztą na takie pochlebstwa Tremane był zbyt inteligentny i Charliss o tym wiedział.

— Nie jesteś głupcem — ciągnął władca, odchylając się do tyłu, ku solidnemu oparciu tronu. — Z pewnością zdajesz sobie sprawę z tego, że zajmujesz poczesne miejsce w kolejce kandydatów.

Tremane skłonił się, nie spuszczać wzroku z twarzy cesarza.

— Owszem, jestem tego świadomy, panie — odparł gładko, głosem wypranym z emocji. — Tylko głupiec nie zauważyłby twego zainteresowania. Wiem jednak, że nie tylko mnie nim zaszczytasz.

Charliss uśmiechnął się lekko, z aprobatą. Nawet jeżeli Tremane miał wysokie mniemanie o sobie, potrafił to ukryć. Jeszcze jedna przydatna cecha.

— Jesteś w tej chwili moim kandydatem, Tremane — odezwał się cesarz i znów się uśmiechnął na widok podniesionych ze zdziwienia brwi księcia. — To prawda, nie jesteś adeptem i nie pochodzisz z linii królewskiej. Jednak z dziewiętnastu cesarzy tylko jedenastu osiągnęło ten status, w dodatku przeżyłem moich potomków. Gdyby którykolwiek z nich odziedziczył moje zdolności, to co innego...

Pozwolił sobie na chwilę zadumy nad niesprawiedliwością losu. Z wszystkich legalnych dzieci żadne nie wyszło poza poziom wędrowca. Do przedłużenia życia poza przeciętną długość potrzeba większej mocy, o ile nie chce się uciekać do pomocy krwawej magii. Dwóch czy trzech cesarzy weszło na te zakazane ścieżki, lecz okazały się niewarte ryzyka. Jak przekonał się ten idiota Ancar, magia wkrótce przejmowała kontrolę nad magiem i spychała go do roli sługi czy nawet gorzej — niewolnika. Władca korzystający z krwawej magii balansował na nitce cienkiej jak pajęczyna nad przepaścią pełną głodnych, czekających na najmniejsze potknięcie potworów.

Cóż, to nieważne. Liczył się jedynie mężczyzna stojący teraz przed cesarzem, posiadający wszelkie zalety potrzebne następcy tronu. Co więcej — nadarzyła się okazja, by Tremane dowiódł, że zasługuje na to wyróżnienie jak nikt inny. By dowiódł swej siły.

— Twoje hrabstwo leży na zachodzie, tak? — spytał cesarz z wystudiowaną obojętnością.

Tremane nie okazał zdziwienia nagłą zmianą tematu.

— Właściwie na samej zachodniej granicy? — ciągnął cesarz. — Granicy z Hardornem?

— Nieco na północ od granicy, lecz blisko, panie — przytaknął Tremane. — Czy mogę przypuszczać, iż twoje pytania mają związek z naszymi ostatnimi zdobyczami w tym smutnym i pogrążonym w chaosie kraju?

— Możesz. — Cesarz zaczynał się bawić tą wymianą zdań. — W rzeczy samej, sytuacja w Hardornie daje ci sposobność przekonania mnie o twej wartości jako następcy tronu.

Oczy księcia zolbrzymiały, ręce zaczęły drżeć, ale szybko się opanował.

— Czy cesarz byłby łaskaw poinformować swego sługę o tym, jak może tego dokonać... — zaczął ostrożnie.

Charliss uśmiechnął się lekko.

— Najpierw wprowadzę cię w sedno sprawy. Tuż przed upadkiem stolicy w Hardornie — mam na myśli dokładnie to, co mówię — nasz poseł na dworze Ancara wrócił do nas przez Bramę. Niewiele zdołał przekazać, gdyż przybył ze sztyletem w sercu. Celny rzut, mam ten nóż przy sobie.

Z pochwy w rękawie wyjął sztylet i podał księciu, który uważnie obejrzał broń. Ornament na rękojeści wyraźnie go zaskoczył.

— To herb królewskiej dynastii Valdemaru — oznajmił książę, zwracając broń cesarzowi, który schował ją z powrotem do pochwy. Charliss skinął głową, zadowolony, że Tremane rozpoznał symbol.

— Właśnie. Można by się zastanawiać, skąd się wziął ten sztylet na dworze Ancara. — Podniósł jedną brew. — Lecz to nie wszystko. Mieliśmy w Hardornie zaufanego agenta pracującego nad upadkiem Ancara, ten agent zniknął w tajemniczy sposób i nic o nim nie wiemy.

Ów agent to kobieta — mag o imieniu Hulda — Charliss nigdy nie zapamiętał jej nazwiska. Niezbyt żałował tej straty — Hulda była zbyt ambitna i wkrótce mogła stać się niebezpieczna. Nieważne, czy uciekła, czy zginęła, tylko dlaczego tak się stało?

Tremane z namysłem zmarszczył brwi.

— Najbardziej oczywisty wniosek, jaki się nasuwa, to ten, że agentka zdradziła — rzekł po chwili. — Użyła sztyletu z obcego kraju, by rzucić podejrzenie na magów Ancara i wplątać nas w konflikt z Valdemarem, wówczas miałyby wolne pole do działania w Hardornie. Na razie nie mamy powodów do wypowiedzenia wojny, Hulda mogłaby sprowokować przedwczesny wybuch walk, do których nie zdążyliśmy się jeszcze przygotować.

Charliss kiwnął głową, zadowolony z przenikliwości księcia. Dla laika, nie sięgającego pod powierzchnię zjawisk, podobny wniosek wcale nie byłby oczywisty.

— Oczywiście nie mam zamiaru wywoływać teraz wojny z Valdemarem. Tamtą kobietę można z łatwością zastąpić. Ostatnio zresztą stała się zbyt ambitna. Jeżeli użyje magii, szybko ją znajdziemy i, w ostateczności, usuniemy. W tej chwili interesuje mnie sam Valdemar. Sytuacja w Hardornie jest niepewna, połowę kraju zdobyliśmy małym kosztem, lecz barbarzyńcy nie doceniają korzyści płynących z włączenia do Imperium. — Cesarz poprawił się na tronie, poczuł nagle lekki ból w biodrach. Ostatnio często zawodziły go stawy — był to znak, że zaklęcia podtrzymujące jego siły życiowe słabną z każdym rokiem. Zostało mu nie więcej niż dwa dziesięciolecia.

Tremane skrzywił kącik ust w odpowiedzi na ironię władcy. Obaj wiedzieli, co się dzieje: Hardorneńczycy rozpoczęli walkę o wolność.

— W dodatku Valdemar — ciągnął cesarz — kipi od uchodźców z Hardornu. Zaczęli tam uciekać jeszcze za rządów Ancara. Gdyby ich królowa zdecydowała się pomóc uciekinierom bardziej konkretnie, wpadlibyśmy w kłopoty. Wiemy, że

w jakiś sposób zdołali się sprzymierzyć z karsyckimi fanatykami i jeśli dojdzie do walki, linia frontu może się okazać za długa dla naszych wojsk. Zresztą Valdemar to szczególne miejsce. . .

— Zawsze mieliśmy trudności z obsadzeniem go naszymi agentami — powiedział Tremane niepewnie. Charliss zaciekawił się, czy książę wie o tym z własnego doświadczenia, czy tylko obserwował wysiłki szpiegów cesarskich.

Zza zamkniętych drzwi sali tronowej dochodził przytłumiony szmer głosów dworzan oczekujących na rozpoczęcie audiencji. Niech poczekają — niech zobaczą, z kim cesarz tak długo rozmawiał na osobności, dowiedzą się wtedy, bez formalnej zapowiedzi, kto został protegowanym władcy. Wówczas cały dwór zacznie wrzeć.

— Właśnie. — Cesarz zmarszczył brwi. — Ta. . . Hulda pracowała kiedyś jako moja najemna agentka w stolicy Valdemaru. Nie miałem ochoty znów jej zatrudniać, mimo jej zdolności, dopóki nie zorientowałem się, jak trudno jest tam dotrzeć do informacji. Nie zdziałała prawie nic, nie zdołała osiągnąć więcej niż pozycja pałacowej służącej, w dodatku pracowała nie tylko dla mnie.

Tremane ściągnął usta w grymasie niechęci. Znano go z tego, iż nie tolerował podwładnych służących dwóm panom jednocześnie.

— W takim razie dlaczego zaufałeś jej w Hardornie, panie? — spytał.

— Nigdy jej nie ufałem — poprawił go zimno Charliss. — Z zasady nie ufam szpiegom, zwłaszcza zbyt ambitnym. Po prostu upewniłem się, czy tym razem pracowała tylko dla mnie i czy nasze cele się zgadzały. A gdy zaczęła podnosić głowę, wysłałem posła, by jej przypomnieć, kto jest jej panem — lub zlikwidować, jeżeli zlekceważy ostrzeżenie. Poseł był także magiem, adeptem.

— Wybacz, panie. — Tremane pochylił się lekko. — Powinienem wiedzieć. Ale. . . wracając do Valdemaru. . .

Charliss ciągnął opowieść nieco łagodniejszym tonem.

— Jak powiedziałem, Valdemar to szczególne miejsce. Do niedawna nie istniała tam żadna magia, prócz magii umysłu. Według doniesień szpiegów granicy strzegła niewidzialna bariera, której żaden mag nie potrafił przekroczyć — w każdym razie nie na długo.

— W takim razie, jak Hulda. . . — zaczął Tremane i uśmiechnął się. — Oczywiście. Dopóki przebywała w Valdemarze, musiała wyrzec się magii. Trudna rzecz dla kogoś, dla kogo stała się ona drugą naturą.

Charliss mógł być zadowolony ze swego wyboru: Tremane szybko znajdował odpowiedzi na postawione pytania.

— Masz rację. Dlatego dalej ją wynajmowałem. W sprawach zawodowych samokontrola tej kobiety była godna podziwu. Co zaś do Valdemaru — ostatnio ponoć wrócili do magii, lecz kraj pozostał równie tajemniczy jak przedtem. Wielu magów, których zaprosili, pochodzi ze stron zupełnie nam nie znanych! I tu zaczyna się twoja rola, książę.

Tremane czekał, jak każdy dobrze wyszkolony sługa, aż cesarz skończy, lecz jego myśli biegały jak oszalałe, co zdradzały tylko zwężone źrenice. Powiew wiatru poruszył kotary, lecz płomyki świec, chronione szybkami, nawet nie zamigotały.

— Twoje księstwo graniczy z Hardornem, więc znasz tamten rejon — stwierdził cesarz tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. — Niepokoje w Hardornie nasilają się. Potrzebuję dowódcy, kogoś, kto z przyczyn osobistych dopilnuje, by je zakończyć.

— Osobistych, panie? — powtórzył Tremane.

Charliss skrzyżował nogi i pochylił się do przodu, nie zwracając uwagi na bolące stawy.

— Daję ci jedyną okazję udowodnienia — i mnie, i twym rywalom — że jesteś godny Żelaznego Tronu. Zamierzam powierzyć ci główne dowództwo wojsk Imperium w Hardornie. Będziesz odpowiadał tylko przede mną. Dowiedzisz swojej wartości, jeżeli poradzisz sobie z tym, co tam zastaniesz.

Ręce księcia drżały, twarz mu zbladła, ile czasu potrzeba, by cały dwór dowiedział się o nominacji? Godzinę, mniej...

— Co z Valdemarem, panie? — spytał rzeczowo.

— Z Valdemarem? Cóż, nie oczekuję, byś go zdobył. Wystarczy, jeżeli opanujesz do końca Hardorn. Gdybyś przy okazji poszerzył granice Imperium jeszcze bardziej, tym lepiej. Ostrzegam cię jedynie, że Valdemar to dziwny kraj i nie umiem przewidzieć, jak jego królowa zareaguje na nasze posunięcia. Zresztą Valdemar może zaczekać, teraz najbardziej obchodzi mnie Hardorn. Musimy go podbić do końca, inaczej nasi... sprzymierzeńcy uznają, że Imperium osłabło — i spróbują wykorzystać okazję.

— A jeżeli pokonam Hardorn?

— Potwierdzę twoją kandydaturę do tronu i rozpoczniesz formalne szkolenie. Za jakieś dziesięć lat złożę koronę, wtedy ty ją przejmiesz.

Książę uśmiechnął się lekko. Po chwili spoważniał.

— Jeśli jednak nie powiesz mi się, zapewne pozostanie mi jedynie moje księstwo.

Charliss przyjrzał się swym nieskazitelnie utrzymanym dłoniom i wpatrzył w topazowe oczy wilka, którego wizerunek ozdabiał cesarski pierścień, odlano go z tego samego stopu, co figury zdobiące koronę. Jak zwykle cesarz odniósł wrażenie, że w nieruchomych oczach zwierzęcia dostrzega iskrę życia. Głód. Nie cierpienie głodnej bestii, lecz drapieżny apetyt kogoś sytego i potężnego.

— Kandydatów do tronu nie brakuje — rzekł niedbale, bawiąc się pierścieniem. — Gdybyś poniósł porażkę, radziłbym ci od razu wracać do twego księstwa. Twoje miejsce zająłby baron Melles.

Był to tak zwany dworski baron, posiadający tytuł, ale bez ziemi. Nie potrzebował jej, swą potęgę zawdzięczał magii. Jego skrzynie pękały od złota, lecz on

ciągle chciał więcej — i dzięki koligacjom i ambicji stale pomnażał swój majątek. Był jednym z przeciwników księcia Tremane'a. Pochodził z rodziny kupieckiej, podczas gdy ziemiańskie tradycje rodu Tremane'a sięgały kilku pokoleń wstecz. Poza tym Mellesa i księcia dzieliły prywatne animozje, nie całkiem zrozumiałe dla cesarza, który często zastanawiał się, skąd ta wzajemna niechęć, nie licząca z ich wysoką pozycją. Mellesa uszczęśliwiłaby wiadomość o upadku Tremane'a, zwłaszcza że wówczas sam zostałby następcą tronu. Oznaczało to, że nawet gdyby Tremane przeżył klęskę w Hardornie, jego życie nie byłoby już warte złamanego szeląga. Prawdopodobnie nie doczekałby nawet koronacji Mellesa, a może nawet jego oficjalnego mianowania następcą. Melles nie miał skrupułów, a zarówno Charliss, jak i Tremane wiedzieli, że za pomocą magii potrafiłby pozbyć się wszelkich wrogów, nadając morderstwom pozór wypadków. Jak dotąd, nie próbował uciec się do tego środka, gdyż wiedział, iż jego rywale spodziewają się magicznego ataku w każdej chwili. Pieniądze pozwalały mu na kupno usług płatnych morderców, w ten sposób pozbył się wystarczającej liczby konkurentów, by zastraszyć pozostałych.

Takie zasady panowały w Imperium: pięć się po szczeblach kariery, a potem dobrze chronić przed skrytobójcami.

Mianowanie Mellesa następcą oznaczało dla Tremane'a śmierć i Charliss o tym wiedział. Wiedział również książę. To dodawało smaczku całej grze.

Gdyby to Tremane zwyciężył, najprawdopodobniej oszczędziłby Mellesa i resztę rywali. Raczej spróbowałby pozyskać ich względy lub zwrócić ich uwagę w inną stronę. Charliss korzystał w przeszłości z obu tych sposobów i ogólnie rzecz biorąc, wolał dyplomację od zabójstwa. Jednak w historii Imperium zdarzali się cesarze rządzący za pomocą miecza i gilotyny — i także dawali sobie radę. Trudne czasy wymagały podejmowania trudnych decyzji — a właśnie zaczynał się dla państwa ciężki okres.

Charlissowi przychodziły czasem na myśl wspomnienia z pierwszych lat po objęciu władzy, kiedy zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że rzeczywistość w jego rękach jest życie lub śmierć poddanych i może nimi manipulować, jakby pociągał za sznurki kukiełek. Zabawnie było podarować Tremane'owi zatruty sztylet, jeszcze zabawniej — czekać na reakcję Mellesa, który zacznie obserwację z daleka, by potem wszelkimi środkami podkopać pozycję księcia, a podnieść własną.

To dopiero początek zabawy.

Charliss śledził uważnie wyraz twarzy księcia, odczytując ślady emocji targających jego duszą. Przemyślał wszystko i doszedł do tych samych wniosków, co wcześniej. Tremane przyjmie propozycję, nadawał się świetnie na dowódcę, a odmowa oznaczałaby nie tylko poddanie się bez walki, lecz także zagrażałaby życiu księcia, skoro oznaczała wyniesienie Mellesa na tron.

Podsumowanie wszystkich za i przeciw zajęło księciu niewiele czasu, Charliss wiedział od początku, jaką podejmie decyzję. Tremane skłonił się lekko.

— Nie umiem wyrazić, jak pochlebia mi zaufanie mojego władcy — powiedział gładko. — Mam tylko nadzieję, iż okażę się godny tego zaszczytu.

Charliss skinął głową bez słowa.

— Czy odpowiadam jedynie przed cesarzem? Żadnym innym dowódcą? — spytał szybko Tremane.

— Czyż nie wyraziłem się jasno? — Charliss skinął dłonią. — Z pewnością cały czas do jutra rano wykorzystasz na przygotowania do wyjazdu. Po porannym posiłku jeden z moich magów otworzy ci Bramę do Hardornu.

— Panie. — Tremane zgiął się w oficjalnym ukłonie, wiedział, kiedy go odprawiają. Charliss czuł się w pełni usatysfakcjonowany jego powściągliwością, zważywszy na szybki termin wyjazdu. Nie było próśb o zwłokę, żadnych wymówek, żadnego narzekania na brak czasu.

Tremane wstał i ze spuszczonego wzrokiem wycofał się z sali. Jego postawa nie pozostawiała nic do życzenia. Wielkie drzwi otworzyły się i zaraz zamknęły — władca największego kraju na świecie oparł się na łokciu i zaśmiał do siebie. Zapowiadała się najlepsza zabawa, jaką widział od czasu objęcia tronu, i to na sam koniec, kiedy myślał, iż znudziły go już dworskie rozgrywki. Lecz tutaj gra szła o wielką stawkę.

Cesarz się cieszył. Takie rozrywki rzadko się zdarzały!

ROZDZIAŁ DRUGI

An'desha zanurzył się w wodzie buchającej kłębamii pary. Staw znajdował się w miniaturowej Dolinie Śpiewu Ognia. „Dolina w Valdemarze, w dodatku nie większa niż namiot Rady! Nigdy bym nie uwierzył, że to możliwe, zwłaszcza przy tak małej ilości magii. A jednak...”

Zadziwiająco — jak wiele udało się stworzyć bez użycia magii. Ogród w Dolinie założyli zwykli ludzie za pomocą zupełnie zwyczajnych narzędzi. Wyjątek stanowiły wielkie okna i gorące źródła. Szyby różniły się od pałacowych — większe, zupełnie przejrzyste, właściwie niewidoczne, sięgały od ziemi do samej góry — po dwa z każdej strony, razem osiem. Były dziełem Śpiewu Ognia, zrobiono je z tego samego materiału, co okna w nadrzewnych domach Sokolich Braci — ekele. Śpiew Ognia zasilił także magicznie gorące sadzawki. Resztę — ogród, kwitnący nawet zimą, i ekele — stworzyli poddani królowej Valdemaru, z której szczodrości i wdzięczności Śpiew Ognia bezwstydnie korzystał. Mag uważał, iż skoro już musi przebywać jako poseł Tayledrasów w barbarzyńskim kraju, przynajmniej zabierze ze sobą część udogodnień cywilizacyjnych Doliny.

Valdemar. An'desha usłyszał tę nazwę dopiero rok temu. W dzieciństwie i młodości, spędzonych wśród klanów, nie dowiedział się wiele o świecie poza Równinami, znał jedynie — i to z opowiadań — Las Pelagiru i handlowe miasto Kata'shin'a'in. Shin'a'in niewiele dbali o to, co się działo poza Równinami, z wszystkich klanów jedynie Tale'sedrin mieli jakieś pojęcie o obcych i ich ziemiach.

W niektórych klanach — także w tym, do którego należał An'desha — domieszkę obcej krwi uważano za poważną skazę na dobrym imieniu rodzica Shin'a'in. „Czy nie chciała go żadna kobieta z Równin? Czy była tak brzydka, że nie spojrzął na nią żaden Shin'a'in?” — komentowano. A właśnie z takiego związku urodził się An'desha. Może dlatego nikt przy nim nie wspominał o obszarach poza Równinami, może się bali, że pewnego dnia odezwie się jego w polowie obca natura i zawiedzie go poza rodzinne strony, w dziwne miejsca i do dziwnych ludzi.

„Znalazłem jedno i drugie, choć wcale ich nie szukałem.”

Adept krwawej ścieżki, który nazwał siebie Mornelithe'em Zmorą Sokołów,

również nigdy nie słyszał o Valdemarze, póki dwoje odzianych w biel cudzoziemców nie przekroczyło granic ziem k'Sheyna, należących do Sokolich Braci. Ciało An'deshy należało wówczas do Zmory Sokołów, który podstępnie nim zażądał. Za pośrednictwem maga chłopiec dowiedział się nieco o cudzoziemcach i ich ojczyźnie — nie miał na to żadnego wpływu, gdyż był wówczas uciekinierem schowanym w najgłębszym zakątku własnej jaźni. Właściwie powinien był umrzeć, jak zawsze, gdy Zmora Sokołów przyoblekał nowe ciało. Jednak przeżył, może dlatego, że uciekł, zamiast próbować oporu.

„Więzień we własnym ciele...” Zamknął oczy i zanurzył się głębiej w ciepłą wodę. Dziwne — wspomnienia z czasów, kiedy nie miał żadnej kontroli nad swym ciałem, wydawały się o wiele bardziej realne niż chwila obecna.

An'desha nie był jedynym, którego spotkał taki los — i nie był pierwszym wcieleniem Zmory Sokołów. Wystarczyło posiadać talent magiczny i pochodzić z krwi czarodzieja Ma'ara. O ile mógł wierzyć wspomnieniom, Ma'ar stracił życie — lub też jedynie cielesną powłokę — w magicznych wojnach wiele, wiele lat temu.

An'desha zsunął się niżej, zanurzył aż po policzki i zamknął oczy, pozwalając parze unosić się wokół jego twarzy. Własnej twarzy, ludzkiej, nie, jak przedtem, półkociej. To było jego własne ciało, może trochę bardziej muskularne. Mornelithe lubił eksperymenty — najpierw przeprowadzał je na swojej córce, później, jeśli wynik go zadowalał, na sobie. Zmiany, jakim poddał swoją zewnętrzną powłokę, na pewno przetrwałyby nawet po jego śmierci. Jednak An'desha, ryzykując unicestwieniem własnej duszy, wywalczył sobie nie tylko wolność, ale także oczyszczenie — ślady zaklęć Zmory Sokołów znikły pod dotknięciem awatarów Bogini. Jedynie włosom i oczom nie dało się przywrócić pierwotnego koloru — pozostały jasne, na zawsze zmienione przez energię magiczną. Dlatego An'desha zwykle potrzebował dłuższej chwili, by rozpoznać swe odbicie w lustrze.

„Przynajmniej widzę twarz, która wydaje mi się znajoma, a nie bestię, nawet najbardziej pociągającą.”

Mięśnie rozluźniły się, lecz napięcie jeszcze z niego całkiem nie opadło.

„Tu wszystko jest takie obce...” Niech Śpiew Ognia napawa się egzotyką Valdemaru — An'desha czuł się tu źle. Znał jedynie Nyarę, magiczny miecz Potrzebę i Śpiew Ognia, adepta Tayledrasów. Z tych trojga spotykał tylko Śpiew Ognia, Nyara zajęta była towarzyszem swego życia — heroldem Skifem, a Potrzeba miała pełne „ręce” roboty — o ile można tak powiedzieć o mieczu. Pomagała Nyarze przyzwyczaić się do nowej sytuacji, w końcu miała w tym doświadczenie — odkąd czarodziejka zakłęła się w miecz, potem nazwany Potrzebą, minęło kilka stuleci. W stosunku do Nyary An'desha odczuwał skrępowanie — wiedział, że zrodziła się z jego własnego ciała, które wtedy nie należało do niego, wiedział też, jak Zmora Sokołów ją traktował. Ona czuła podobnie: gdy minęło napięcie, starała się go unikać, choć nigdy nie zachowała się wobec niego nieuprzejmie.

A Śpiew Ognia. . .

An'desha zarumienił się — nie od gorąca. „Nie rozumiem” — zastanawiał się. Gdy myślał o adeptce, cały jego rozsądek pryskał. „Po prostu nie rozumiem. Dlaczego tak, dlaczego on?” Shin'a'in nie żywił uprzedzeń wobec związków ludzi tej samej płci, ale przed tym wszystkim An'desha absolutnie nie interesował się mężczyznami. A Śpiew Ognia. . . Śpiew Ognia szybko zajął najważniejsze miejsce w jego życiu. Dlaczego?

„Czy zostanie moim następnym panem?”

Myśli krążyły jak sokół złapany w wir powietrza, aż w końcu sam przywołał się do porządku. Ochlapał twarz ciepłą wodą i wyprostował się.

„Nie daj się wyprowadzić z równowagi. Skup się na rzeczach zwyczajnych, rozpatruj problemy po kolei, a nie wszystkie naraz. Myśl o zwykłych, codziennych sprawach. One cię nauczą, że nie trzeba się denerwować, lecz usiąść i odprężyć się.”

Otworzył oczy i rozejrzał się po otaczającym go ogrodzie, szukając miejsc nie dokończonych, nie uporządkowanych. Ostatnio odkrył w sobie zadziwiająco jak na potomka nomadycznych Shin'a'in, potrzebę tworzenia, Zmora Sokołów także się nią nie odznaczał, wolał niszczyć, niż tworzyć. „Nigdy nie przypuszczałem, że zostanę ogrodnikiem. Myślałem, że to mogą tylko Tayledrasi.” Uwielbiał przesypywać w palcach ciepłą ziemię, widok młodego pędu dawał mu tyle radości, ile poecie — napisanie wiersza. Mimo swej odmienności, rośliny były mu bliskie. Poruszały w jego duszy tę samą strunę, co w jego współplemieńcach widok szerokiego nieba i miękkość trawy pod stopami. An'desha miał dar do uprawy roślin, a także cierpliwość, której brakowało drugiemu magowi. Chociaż Śpiew Ognia także cieszył się widokiem ogrodu, nie interesował się jego tworzeniem ani codzienną nad nim opieką. Adept zaprojektował wewnątrz Doliny, wyrzeźbił kamienie, lecz to An'desha wypełnił przestrzeń życiem i zielenią, to dla niego ten kawałek ziemi stał się oczkiem w głowie i jedyną ostoją w obcym kraju. Nie porzekał na zagospodarowaniu otoczenia obu sadzawek — ciepłej i chłodnej — i wodospadu, za oknami posadził drzewa i krzewy odporne na chłód, przedłużając ogród poza Dolinę, żeby jak najbardziej upodobnić to miejsce do prawdziwych Dolin Tayledrasów.

Podobieństwo jednak nie było całkowite, An'desha ze zmarszczonymi brwiami przyjrzał się jeszcze raz granicy cieplarni i zewnętrznego świata. Wysypał ścieżkę jednakowym żwirem na całej długości, jednak ciągle dostrzegalne były szyby okien przecinające jej środek. An'desha przysunął się do kamiennego obramowania stawu i oparł na nim ramiona, jeszcze raz badając wzrokiem każdy szczegół.

Musi istnieć sposób na zamaskowanie szkła i połączenie obu części ogrodu w całość. „Krzewy — zdecydował. — Jeśli posadzę kilka krzewów przy szybie od wewnątrz, a potem wzdłuż ścieżki, złudzenie będzie niemal doskonałe.” Z nie-

wielką pomocą magii mógł przyspieszyć wzrost roślin i osiągnąć cel w ciągu tygodnia, najdalej dwóch. „Jeżeli posadzę tam krzewy iglaste, nawet zima nie osłabi iluzji.”

Śpiew Ognia ostrzegał, że właściciele tego kawałka ziemi mogą protestować przeciwko tak dużym zmianom. Jego dom powstał w odległym kącie Łąki Towarzyszy, a zamieszkujące ją koniopodobne istoty również nie musiały pogodzić się z obecnością obcych. Jednak nie tylko nie wyraziły sprzeciwu, ale nawet swoimi radami pomogły wtopić ekele w otoczenie tak, by wyglądało jak najbardziej naturalnie. Szarość i brąz podtrzymujących budowlę kolumn zlewały się z pniami drzew, na których je oparto, piętro zaś nikło w gęstwinie liści. Śpiew Ognia wybrał to miejsce, kiedy usłyszał, iż legendarny herold Vanyel, prawdopodobnie daleki przodek jego i Elspeth, umawiał się tu ze swym ukochanym. Wtedy nic nie mogło powstrzymać adepta od zamieszkania w tym zakątku. Poza tym nie chciał mieszkać w pałacu ani widzieć go z okien swego tymczasowego domu.

„Dziwne. O takie sentymenty posądzałbym raczej Mroczny Wiatr, on był zwiadowcą, dusił się nawet w Dolinie! A oto Mroczny Wiatr mieszka sobie całkiem wygodnie w pałacu razem z córką królowej, a Śpiew Ognia szuka samotności.”

Śpiew Ognia sam ustalał swoje prawa, nie zważając zbytnio nawet na opinię królowej. Był w tym kraju najpotężniejszym adeptem i nigdy nie wahał się o tym przypominać. Elspeth i Mroczny Wiatr mogliby za jakiś czas mu dorównać, lecz brakowało im jego doświadczenia.

„A może odizolował się od wszystkich ze względu na mnie...?”

Całkiem prawdopodobne.

An'desha wpatrzył się w cienie drzew za szybą i westchnął.

Sam najlepiej wiedział, jak chwiejna była jego równowaga. Właściwie ciągle czuł się piętnastolatkiem, który uciekł z domu, by uczyć się magii u „kuzynów” Shin'a'in — Sokolich Braci. Przez cały czas dzielenia ciała ze Zmorą Sokołów docierały do niego tylko słabe echa działań maga. Minione lata nie zaowocowały nabyciem doświadczenia — tak jakby ich nie przeżył. Większość czasu spędził ukryty w ciemności. „Bałem się, że złapie mnie na spoglądaniu jego oczami, zresztą to, co robił, było okropne.”

Teraz mógłby dotrzeć do wspomnień Zmory Sokołów, gdyby się tylko odważył. Jednak nie chciał. Wspomnienia przyprawiały go o zawroty głowy, poza tym prześladowała go obawa, że Zmora Sokołów przeżył, ukryty w jakimś zakamarku jego mózgu. Przecież sam An'desha przeżył w taki sposób, a Zmora Sokołów znacznie przewyższał go wiedzą i umiejętnościami! Mimo zapewnień Śpiewu Ognia, że prześladowca został zniszczony na zawsze, An'deshę ciągle dręczyły wątpliwości. Śpiew Ognia przyznał, że nigdy dotąd nie widział, aby ktoś zapewniał sobie przetrwanie w taki sposób, jak Zmora Sokołów, czy nie mógł znów uciec w ostatniej chwili? Każde spojrzanie w lustro napawało chłopca stra-

chem — bał się zobaczyć w swych oczach spojrzenie prześladowcy, gotowego znów zaatakować. Wtedy nie byłoby już ratunku.

Śpiew Ognia uczył An'deshę magii Tayledrasów, z każdą lekcją strach narastał. To właśnie magia przywróciła Zmorę Sokołów do życia, czy teraz nie mogłoby zdarzyć się to samo? Z drugiej strony An'desha musiał nauczyć się kontrolować własną moc. Śpiew Ognia, adept uzdrowiciel, jak nikt potrafił pomóc chłopcu uleczyć rany duszy i pogodzić się z przeszłością. Z pewnością pod jego opieką An'deshy nic nie groziło.

„Z pewnością. Gdybym tylko tak bardzo się nie bał. . .”

Bał się uczyć, bał się nie uczyć. Jakby tego jeszcze było mało, miał również inne kłopoty. Gdy po raz pierwszy An'desha nieśmiało wyraził chęć pozostawienia swej mocy w uśpieniu, Śpiew Ognia chłodno i spokojnie wyjaśnił mu, że to niemożliwe. Musiał nauczyć się panować nad swym darem. Wszyscy potomkowie Zmory Sokołów posiadali zdolności co najmniej adeptów i zdolności te nie nikły, a nawet nie dawały się uśpić. Innymi słowy, An'desha ciągle dysponował całą mocą Zmory Sokołów, maga, z którym nawet Śpiew Ognia niechętnie stanąłby oko w oko. Na razie moc się nie ujawniła, a w chwili zagrożenia lub kryzysu An'desha miałby do dyspozycji tylko instynkt i niewyraźne wspomnienia sposobów używanych przez Zmorę Sokołów. Mogłoby to nie wystarczyć, a wtedy nie wiadomo, ile istot zapłaciłoby życiem za brak opanowania młodego maga. Mag powinien przede wszystkim ufać sobie i swoim umiejętnościom, inaczej jego własna magia obróci się przeciw niemu i go zniszczy. Zmorze Sokołów nie brakowało pewności siebie, natomiast An'desha nie posiadał jej wcale.

„Nie mam nawet tyle odwagi, by stanąć twarzą w twarz z mieszkańcami pałacu, choć przebywam w ich ojczyźnie!” To dziecinada, dobrze wiedział. Nikt go nie zje, nikt nie obciąży go winą za postęпки Zmory Sokołów. Jednak sam pomysł opuszczenia bezpiecznej kryjówki i wejścia w pałacowy tłum sprawiał, że miał ochotę wpełznąć za wodospad. Zostawał więc w Dolinie, ukryty, ale coraz bardziej przerażony. Nie mógł uwierzyć, że ludzie nie obarczą go odpowiedzialnością za zło wyrządzone przez Zmorę Sokołów. Sam nie potrafił uporać się z tymi wspomnieniami i wydawało mu się, iż samą swoją obecnością przypomina wszystkim o tym, co zrobił. . . on? Jego ciało. . . ?

„Nie znam nawet połowy jego uczynków. Najwięcej wiem o Nyarze.” Prawdę mówiąc, nie chciał wiedzieć, mimo nacisków Śpiewu Ognia, według którego i tak w końcu będzie musiał zmierzyć się z przeszłością, choćby nawet okazała się straszna.

Doszedł do wniosku, że moczył się wystarczająco długo i za chwilę upodobni się do raka. W Valdemarze nie było hertasi troszczących się o zaspokajanie potrzeb mieszkańców — na co narzekał Śpiew Ognia — lecz młodemu Shin'a'in wcale to nie przeszkadzało. Jego klan zamieszkiwał Równiny — tam, jeśli samemu się o siebie nie zatroszczyło, nikt nie śpieszył z pomocą. Nie dotyczyło

to jedynie starych i chorych. An'desha przyniósł ręczniki i szaty — dla siebie i Śpiewu Ognia — wcześniej i położył na brzegu. Teraz miał je pod ręką.

Zimna sadzawka, identyczna jak ta, znajdowała się w drugim końcu ogrodu. Otaczały ją gładkie, kamienne brzegi, gorąca woda biła ze źródła w środku basenu, a z góry, z wodospadu, spływał chłodny strumień. Otaczały ją gęste zarośla — zatroszczył się o to An'desha. W przeciwieństwie do Śpiewu Ognia nie lubił wystawiać się na spojrzenia przechodzących ścieżką.

Śnieżnobiały ptak Śpiewu Ognia przefrunął wdzięcznie przez ogród, gdy An'desha wychodził z basenu i sięgał po ręcznik. Ptak wylądował przy mniejszym, chłodnym stawie, zasilanym przez wodospad, w specjalnej misie stworzonej wyłącznie dla niego przez adepta. Wskoczył ochoczo do wody i zaczął się pluskać jak wróbel, rozpryskując krople dookoła. Kiedy w końcu wyszedł, wyglądał, jak po ciężkiej chorobie upierzenia. Mokre piórka niemal uniemożliwiały mu lot. Zresztą nawet nie próbował wzbić się w powietrze, po prostu wskoczył na żerdkę i zaczął się suszyć. Ptaki Sokolich Braci należały zwykle do gatunków drapieżnych, lecz Śpiew Ognia tak pod tym, jak i pod wieloma innymi względami, był wyjątkowy.

An'desha radził sobie z ptakiem — którego imię brzmiało Aya — nie najgorzej, zwłaszcza odkąd posadził krzewy z jego ulubionymi jagodami. W Dolinie mogły one owocować bez względu na porę roku. To wystarczyło, by Aya poczuł się w Valdemarze jak u siebie. Nawet ptak potrafił się tu zadomowić — tylko An'desha nie...

Znów zaczął się nad sobą użalać, powinien wziąć się w garść, lecz nie potrafił. Aya przerwał wyczesywanie piór i spojrzał na człowieka ze zgorznięciem, jakby odczytał jego myśli, po czym jeszcze raz rozłożył mokry ogon i odwrócił się tyłem.

Cóż. Jego nigdy nie wypędziła z własnego ciała istota na wskroś zła, a w dodatku prawie nieśmiertelna. Nie mógł wiedzieć, jakie to uczucie.

An'desha wytarł włosy i owinął się szatą, a potem odszedł do odległego zakątka ogrodu, który uważał za swój — w południowo zachodniej części, gdzie posadził rząd drzew, tworząc małą polankę, odgradzoną od reszty świata. Tam rozbił w trawie maleńki namiocik, na tyle wysoki, by stanął w nim człowiek, lecz szerokości nie większej niż rozłożone ramiona. Nie bardzo przypominał namioty Shin'a'in i z pewnością nie zniosłby zmian pogody, ale w ogrodzie, w którym panowało ciągle lato, nie miało to znaczenia. Tu wreszcie mógł się rzucić na posłanie, patrzeć na płócienny dach i wspominać dom. Dopóki leżał cicho, nikt nie był w stanie go odkryć. Śpiew Ognia nie odezwał się ani słowem, kiedy ujrzał namiot. Może rozumiał, że An'desha go potrzebował, jak on sam potrzebował Doliny lub chociaż czegoś, co ją przypominało.

Gdy An'desha wślizgiwał się do kryjówki, spadł mu na twarz kosmyk siwych włosów. Odrzucił go niecierpliwie. Białe włosy — jak u Tayledrasów, jak Mroc-

ny Wiatr i Śpiew Ognia. Nikt nie rozpoznałby w nim Shin'a'in. Dlaczego tak się stało? Śpiew Ognia twierdził, że to wpływ magii, ale gdyby Gwiazdzistooka zechciała, mogłaby przywrócić mu dawny wygląd. Choćby na krótko.

Usiadł na posłaniu, przykrytym kilimem Shin'a'in — dostał go od kobiety-herolda, która wróciła z dalekiej podróży. Gobelin ciągle pachniał lekko koniem, dymem i sianem. Gdy zamknął oczy, czuł się prawie jak w domu.

„Skoro Gwiazdzistooka mogła uzdrowić moje ciało, dlaczego nie zabrała także magii?”

Przez długi czas chciał zostać magiem. Teraz wolałby oddać Jej ten dar, lecz wiedział, że Ona nic nie czyni bez powodu — skoro nie pozbawiła go magii, widocznie tak ma być.

Wpatrywał się w płótno namiotu, podświetlone popołudniowym słońcem. „Mam nadal moc, czyli Ona chce, bym jej używał. Śpiew Ognia cały czas powtarza, iż to mój obowiązek — wobec Niej i wobec mnie samego.” Na tę myśl zalała go fala niechęci. Czyż nie ryzykował wszystkiego, walcząc ze Zmorą Sokołów? I nie chodziło tylko o cierpienie i śmierć ciała, lecz o duszę. Czy można wymagać więcej ?

Lecz w tym momencie zawstydził się — przecież nie on jeden balansował na skraju przepaści, o włos od zniszczenia. A ci, którzy przeniknęli do kraju Ancara, by uwolnić świat od niego, Huldy, Zmory Sokołów? Gdyby Ancar złapał Elspeth, zatrzymałby ją sobie dla przyjemności i z pewnością by ją torturował. Jego nienawiść do księżniczki graniczyła z obsesją, sądząc z tego, co podsłuchał od służby Zmory Sokołów, przeżycia chłopca zbladłyby w porównaniu z mękami wymyślonymi przez Ancara dla Elspeth.

Mroczny Wiatr... Zmora Sokołów nienawidził go najbardziej z ludzi, trochę tylko mniej niż gryfów. W razie pojmania czekało go to samo, co Elspeth. Nyara zaś... to zależy, czy król Ancar rozpoznałby w niej córkę Zmory Sokołów. Jeśli tak, mogłaby zostać oszczędzona w nadziei uzyskania przez nią wpływu na ojca. Jeżeli jednak Ancar zwróciłby ją Zmorze Sokołów — „lepiej dla niej byłoby przedtem się zabić” — stwierdził An'desha. Zmora Sokołów nie powodowałby się wtedy nienawiścią, lecz żądzą zemsty, jak wobec posiadanej rzeczy, która zawiodła. A Nyara nie tylko uciekła, lecz także go zdradziła — w jego pojęciu. Bez wątplenia czekałyby ją straszliwe konsekwencje.

Co do Skifa i Śpiewu Ognia — herold zginąłby na miejscu, ale mag — kto wie? Z pewnością i Ancar, i Zmora Sokołów ucieszyliby się z pojmania adepta. Złamanie go i wykorzystanie do własnych celów byłoby tylko kwestią czasu.

Nie, nie tylko An'desha rzucił wszystko na szalę, żeby pokonać zło. Powinien przestać się nad sobą użalać. A jednak bolało...

Na pewno Śpiew Ognia doszedłby do tego samego wniosku, gdyby był tutaj, a nie szkolił młodych magów — heroldów.

Śpiew Ognia... myśl o nim wywoływała mieszane uczucia zażenowania i pra-

gnienia, przyprawiała chłopca o rumieniec. Z pocieszyciela — adept stał się kochankiem i An'desha nie do końca wiedział, jak i kiedy się to stało. Prawdopodobnie sam mag również tego nie wiedział. Ten związek jeszcze bardziej komplikował całą sytuację.

„Jak gdyby brakło mi kłopotów i bez tego. . .”

Przewrócił się na plecy i dla odmiany popatrzył na dach. Jak można od razu przyzwyczaić się do nowego życia, nowego domu, nowej tożsamości, nowego kochanka? Wysiłki Śpiewu Ognia tylko gmatwały wszystko jeszcze bardziej. Może lepiej by było, gdyby adept pozostał z boku, jako ktoś życzliwy, ale obcy, może jako przyjaciel, jak Mroczny Wiatr i gryfy? „Jest niesłuchanie cierpliwy. Każdy inny już dawno by zrezygnował.” Obcy już dawno by wybuchł. Przekląłby go za tchórzostwo i zaliczył do tych, którym nie można pomóc, bo sami na to nie pozwalają. Z drugiej strony, cierpliwość Śpiewu Ognia kiedyś się wyczerpie, pewnego dnia jego niezadowolenie weźmie górę. Adept nie umiał ukryć, jak bardzo pragnął, aby An'desha stał się wreszcie świadomym swej potęgi magiem, żeby stworzyli we dwójkę związek równoprawnych partnerów, jak gryfy. „Tylko czy ja tego chcę?” Jakaś część chłopca tęskniła do tego, inna zaś kuliła się i wycofywała. Śpiew Ognia czasami go przerażał, był taki pewny siebie, wiedział, czego chce. „Czy on chociaż raz w życiu poczuł zwątpienie? Jak mógłbym się z nim równać?” Adept był taki, jaki chciał być An'desha dawno, dawno temu: potężny, cieszący się autorytetem, inteligentny i piękny jak młody bóg. Ale chłopiec zbyt wiele wycierpiał i utracił młodzieńczą naiwność i nadzieję. Śpiew Ognia zaś na pewno nie narzekał na brak adoratorów. Jak ktoś taki jak on mógł się przejmować wystraszonym chłopcem? Nawet gdyby ten chłopiec miał kiedyś odzyskać utraconą odwagę — po co adept miałby czekać? Po co miałby marnować czas?

A jednak. . .

„Jest łagodny, jest taki cierpliwy. . .” Szczerze mówiąc, Śpiew Ognia zabiegał o jego względy z niezgrabnością, która dowodziła, że nie miał w tym praktyki. „Dlaczego miałby mieć? On nie musiał zalecać się do nikogo, to jego wszyscy pragnęli! Tam, w pałacu, pewnie rzucają mu się do stóp. . .” Tym bardziej krępowano go poświęcenie adepta, który na pewno mógłby spędzać czas o wiele ciekawiej niż na dodawaniu otuchy załęknionemu młodemu magowi.

W tym momencie An'desha przerwał rozmyślenia. Nie chciał wyciągać dalszych wniosków. Nie chciał wierzyć, że Śpiew Ognia pamiętał o tym, co powiedział w ciemności. Nie chciał tego rodzaju oddania.

Czy aby na pewno?

Zapuścił się za daleko, takie rozmyślenia prowadzą donikąd. An'desha podniósł się i wyszedł do ogrodu.

Ptak ognisty skończył się otrząsać i teraz powiewał skrzydłami, trzymając je z dala od ciała, by wysuszyć każde piórko. Nie zwrócił uwagi na człowieka idącego w stronę żelaznych schodków ekele. An'desha wszedł na górę i wynurzył się

na środku saloniku, urządzonego dokładnie według stylu Tayledrasów. Podłogę zaścielały kolorowe poduszki, w kącie umieszczono żerdkę dla ptaków, a umeblowania dopełniało kilka niskich stolików. W podłodze splatały się ze sobą pasy jasnego i ciemnego drewna. An'desha przeszedł dalej, do swej izby przypominającej namiot, gdyż jej ściany były zasłonięte tkaninami. Tak wymyślił Śpiew Ognia, żeby zrobić przyjemność młodemu przyjacielowi. An'desha nie chciał odbierać mu satysfakcji, lecz w skrytości ducha uważał, że komnata nie przypomina namiotu bardziej niż pałacowe ogrody — Doliny. Stało tu kilka skrzyń z jego mizernym dobytkiem i wygodne łóżko, niezbyt często używane.

An'desha odsunął zasłonę z okna i wyjrzał, zastanawiając się, czy historia, którą słyszał Śpiew Ognia, jest prawdą, a jeżeli tak, czy dobrze się skończyła. „Właściwie co mnie to obchodzi? Zbyt dużo myślę.”

Odwrócił się z powrotem do wnętrza, wyciągnął ze skrzyni koszulę i bryczesy i nałożył je, próbując nie zwracać uwagi na cudzoziemski krój. Nie było to ubranie Shin'a'in, nie czuł się w nim zupełnie swobodnie. Jednak dobrze mu służyło.

Odwrócił się znów do okna — nagle, nie wiadomo skąd, nadszedł strach. Nie jeden z tych głupich lęków związanych z przeszłością lub przyszłością, lecz coś o wiele większego. An'desha złapał rękami ramę okna, słońce przesłoniła mu mgła, widział zamieć jak na Równinach, zęby chłopca zaszczekały. Zastygł w bezruchu, niemal niezdolny nabrać powietrza, ze ściśniętym gardłem, bijącym sercem, niemal oszalały ze strachu. Chciał biec, uciec jak najdalej — lecz nie był w stanie się poruszyć.

„Dzieje się coś złego. . .”

I nagle skończyło się — lęk go opuścił, dyszącego ciężko, zmęczonego, jak zawsze po takim ataku.

Ale przecucie pozostało.

Śpiew Ognia siedział pod latarnią. Zapadał zmierzch, mag głaskał swego ptaka, patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem.

— To było to samo, co poprzednio — An'desha kończył opowieść, czując wciąż żywe wspomnienie tamtego strachu. — Zdarzyło się już trzeci raz, w innych okolicznościach niż przedtem.

Adept powoli kiwał głową, przesuając w palcach pasmo włosów. Ptak łypnął na niego z dezaprobatą, więc zaczął go znów głaskać.

— Nie sądzę, by ten strach zrodził się w tobie — rzekł w końcu. — Myślę, że masz rację w swoich odczuciach: nadciąga niebezpieczeństwo, którego nie znamy, a ty je przeczuwasz.

An'desha odetchnął z ulgą. Do tej pory Śpiew Ognia uważał te napady lęku za spóźnioną reakcję na ostatnie przeżycia. Jednak to go nie uspokoiło.

— Z. . . Zmora Sokołów nie miewał przecuć. . .

Adept wzruszył ramionami.

— Zmora Sokołów nie chciał nigdy znać przyszłości — zauważył. — Zakładał, że wydarzenia potoczą się zgodnie z jego wolą. Nie jesteś nim, Gwiazdzistoka mogła obdarzyć cię darem jasnowidzenia.

To możliwe, jednak An'desha chętnie oddałby ten „dar”. Te odczucia musiały się odbić na jego twarzy, gdyż Śpiew Ognia uśmiechnął się lekko.

— Najbardziej prawdopodobne jest zagrożenie ze wschodu — ciągnął. — Imperium, którego Valdemar tak się obawia, posiada wielu magów. Nie sądzę, by zakończyli swe podboje na granicy Hardornu.

An'desha siedział bez słowa, podczas gdy Śpiew Ognia snuł dalsze domysły. Miał rację, Imperium na pewno zagrażało Valdemarowi, lecz An'desha wcale nie był pewny, czy jego lęki wiążą się z tym właśnie krajem. To nie było tylko przeczucie wojny, lecz czegoś gorszego.

„Kiedy jeszcze przebywałem w ciele Zmory Sokołów i awatary Bogini przyszły mnie uwolnić, czy nie wspomniały właśnie o tym?” Im dokładniej przypominał sobie ich słowa, tym bardziej umacniał się w przekonaniu o swej racji. Awatary żyły kiedyś na ziemi jako ludzie — kobieta pochodziła z klanu Sokolich Braci, mężczyzna był szamanem Shin'a'in. Nauczyli go, jak powoli wnikać w umysł Zmory Sokołów tak, by tego nie dostrzegł, a także — jak dotrzeć do odległych wspomnień maga. Przynajmniej raz wspomnieli, iż jeżeli An'desha zdoła powrócić do swego ciała, będzie musiał zmierzyć się z jeszcze większym niebezpieczeństwem. Gdyby tylko pamiętał ich słowa! Wtedy jednak zbyt się przejmował własnym losem, by zwracać uwagę na mgliste aluzje o dodatkowym zagrożeniu, jakby nie dość było niebezpieczeństw tu i teraz!

Śpiew Ognia rozważał ciągle możliwość ataku ze strony Imperium, i An'desha na próżno usiłował podsunąć mu inne rozwiązania. W końcu dał za wygraną, wiedział, że na upór adepta nie ma siły. Mógł tylko potakiwać, lecz jego myśli zataczały coraz szersze kręgi. Niebezpieczeństwo nie nadejdzie ze wschodu, ale w takim razie skąd? Co może być groźniejszego od armii potężnych magów, większej od czegokolwiek, co Valdemar dotychczas widział?

Gdyby tylko sobie przypomniał. . .

ROZDZIAŁ TRZECI

Karal pogładził nerwowo szyję swego wierzchowca, starając się nie przyglądać zbyt ostentacyjnie strażnikom granicznym Valdemaru. Koń przebierał niespokojnie nogami, wyczuwając emocje ludzi, więc jeździec zsiadł i chwycił wodze tuż pod końskim pyskiem, co trochę uspokoiło zwierzę. Powiał lekki, ciepły wietrzyk, chłodząc spocone twarze i mokre końskie grzbiety. Karal poklepał szyję wierzchowca, jego bliskość i swojski zapach kołły wzburzone nerwy. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się nic złego podczas konnych eskapad, miał więc nadzieję, że i teraz szczęście go nie opuści. Trafił mu się dobry, młody wałach, już ułożony wprawną ręką, zanim poprzedni właściciel oddał go na służbę Panu Słońca Vkandisowi jako część należnej dziesięciny. Promienie słoneczne lśniły na idealnie gładkiej sierści bez najmniejszego zadrapania, a z oczu zwierzęcia biła inteligencja. Karal nie rozumiał, dlaczego ktoś zdecydował się oddać w daninę takiego wierzchowca — widocznie ów ktoś poważnie pojmował swoje obowiązki wobec Pana Słońca i przysłał „pierwsze i najlepsze owoce swej pracy”, jak nakazywała *Księga*. Zwykle ludzie oszukiwali, jak mogli, oddając co słabsze i gorsze sztuki.

„Co nam obu wyszło na dobre, Trenerze.”

Wałach okazał się zbyt mały i lekki, by pójść do kawalerii i zbyt nerwowy dla zwiadowcy, więc skierowano go do świątyni. Karal znał się na koniach i upatrzył go sobie od razu, kiedy tylko mistrz zaproponował mu wybranie wierzchowca. Był to trafny wybór, wielkie zalety zwierzęcia rekompensowały z nawiązką jego niecierpliwość. Karal ochrzcił go imieniem Trenor, na pamiątkę młodszego brata, który tak samo przestępował z nogi na nogę w chwilach oczekiwania. Na pewno nie było lepszego wierzchowca w stajniach świątyni i Karal czuł złośliwą satysfakcję, gdy reszta nowicjuszy obserwowała go z zazdrością. Nikt z nich nie przewyższał go w umiejętnościach jeździeckich, chociaż ich konie robiły o wiele większe wrażenie niż niepozorny Trenor. Oni w większości wywodzili się ze szlachty i nie zniżali się do wybierania dla siebie wierzchowca — zakładając, że byliby w stanie odróżnić rumaka bojowego od konia pociągowego. Oczywiście nikt nie poprosił go o pomoc w wyborze. Na pewno wysyłali służących do stajni z rozkazem znalezienia wierzchowca odpowiedniego do ich pozycji. Teraz płacili za pychę bólem stawów i mięśni, gdyż spośród reszty koni nie dało się już nic wy-

brać. Były to zwierzęta duże, okazałe, pochodzące ze stad rycerskich, przyjemne dla oka, lecz twarde w pysku, złośliwe i kościste. Jazda na nich okazywała się prawdziwą torturą. Oczywiście, można by je odpowiednio ułożyć — Karal miał w tym wprawę — lecz po co, skoro żaden z nowicjuszy nie poprosił go o pomoc ani na nią nie zasłużył? Niech teraz cierpią, Vkandis wie, ile oni przyczynili mu cierpienia podczas długich lat nowicjatu.

Jednak ten czas już minął. Jeszcze przed końcem służby u mistrza Ulricha, Karal zostanie kapłanem Vkandisa, równym wszystkim innym w Karsie oprócz Syna Słońca. Nikt nie odważy się go poniżyć z powodu niskiego pochodzenia.

Spojrzał w górę, w bezchmurne niebo. „W Świetle Pana wszyscy jesteście równi” — przypomniał sobie. „Tak, a krowy nauczą się fruwać!”

Trenor znów zaczął tańczyć, lecz Karal trzymał go mocno i cicho uspokajał. Jak długo nie widział już imiennika swego wierzchowca, tak samo niecierpliwego? Trzy lata? Nie, dwa. „Ale jeśli valdemarska eskorta nie pojawi się wkrótce, mały zdąży dorosnąć, zanim wróce do domu!”

Oczywiście przesadzał. Miał wrażenie, że już od wielu dni czekają tu pod beznamiętnym wzrokiem dwóch młodych mężczyzn w błękitno-srebrnych mundurach. Razem z Ulrichem stali na świeżo wykończonej drodze długości zaledwie kilku mil — znaku niepewnego pokoju między Karsem a Valdemarem. Od strony Karsu stała na niej niewielka strażnica, jej valdemarski odpowiednik wyglądał tak samo, jeśli nie liczyć różnic w umundurowaniu straży. Valdemarskie stroje wydały się Karalowi raczej surowe. Przyzwyczał się do amarantu i złota karsyckiej armii regularnej, zdobnych w pióra turbanów, połyskujących od klejnotów szat. Proste tuniki, zwykłe bryczesy, ledwie ślady srebra... można by wziąć ich za najniższych rangą służących — stajennych lub parobków.

„Takich jak ja kiedyś... Nawet ojciec ubierał się bardziej strojnie niż oni.”

Ojciec Karala nigdy nie ubierał się tak skromnie, główny koniuszy stajni „Gospody Wschodzącego Słońca” pysznił się wspaniałym uniformem, dziełem rąk żony i córek. Jego zarobki nie należały do najwyższych, lecz pod względem stroju mógł śmiało konkurować z podobnymi sobie lub nawet wyższymi rangą. Karal nosił dość skromne odzienie, lecz on był chłopcem stajennym, w dodatku zaledwie dziewięcioletnim. Nie musiał dodawać sobie strojem powagi jak dorosły mężczyzna.

„Szkoda, że nie ma tu cienia.” Słońce, tak łaskawe w górach, tu prażyło nie-
miłosiernie, co odczuwali zwłaszcza ci ubrani w ciemne szaty. Na granicy Karsu z Valdemarem nie zdążyły jeszcze wyrosnąć krzewy i drzewa, a dla tych nie-
licznych, którzy ją przekraczali, nie zbudowano jeszcze gospody. Strażom nic nie zasłaniało widoku w promieniu dwudziestu kroków. Karal to rozumiał. Nie chciałby takiej pracy. Karsyccy strażnicy byli wyraźnie zdenerwowani, valdemarscy na pewno także. Dopiero drugi raz w życiu widział z bliska prawdziwe potwory z Valdemaru...

„Nie potwory. Jej Świątobliwość, Syn Słońca, Najwyższa Kapłanka Solaris mówiła, że to opowieści wymyślone przez żadnych władzy kapłanów. To nie demony, lecz ludzie, jak my, tylko trochę inni.”

Jeśli wierzyło się w coś całe życie, trudno się pogodzić z tym, że jest inaczej — a skoro Karal tego nie potrafił, to prości żołnierze tym bardziej. Jak to jest: budzisz się pewnego ranka i dowiadujesz się, iż demoniczny wróg stał się — z rozkazu Najświętszego — sprzymierzeńcem? W dodatku podobno ci nieprzyjaciele nigdy nie byli demonami. . . Odkrywasz, że straszna wojna, która w ciągu wielu lat pochłonęła tysiące istnień, nie powinna wcale się zdarzyć i właściwie w każdej chwili mogła być zakończona. . . Karal westchnął. Mistrz Ulrich zsiadł ze swej mulicy, najlepszego wierzchowca dla maga — nie wystraszyłyby jej nawet najdziwniejsze sztuczki, po opuszczeniu wodzy stała jak wmurowana. Była spokojna, poważna i sympatyczna, Ulrich nazwał ją Pszczółką — ponieważ była słodka, ale miała też żądko w postaci celnych i silnych kopnięć. Liczyła sobie więcej lat niż Karal i zdawała się nosić swego pana równie długo. Karal ją lubił i ufał jej rozsądkowi. Wiedziała, kiedy uciekać, kiedy stanąć do walki, znała też mnóstwo sztuczek, a w potrzebie okazywała się rącza i wytrzymała w biegu. Ale jazda na niej była monotonna, dla Ulricha trudno by było wymarzyć lepszego wierzchowca, ale Karal wybrałby ją dla siebie tylko w ostateczności.

— Cierpliwości — odezwał się cicho Ulrich. — Nasz przewodnik jest już w drodze i pewnie zaskoczy go nasz widok. Jeszcze wcześniej, słońce nie wspięło się do zenitu. Zaczniemy się martwić na markę lub dwie przed jego wzejściem.

Karal schylił głowę. Mistrz miał z pewnością słuszność, lecz. . .

— Wydaje się brakiem dobrego wychowania trzymać nas na granicy, mistrzu, w końcu jesteś posłem Jej Świątobliwości — rzekł. — I wysłanie tylko jednego człowieka jako przewodnika. . . Czy nie powinniśmy dostać eskorty, albo kogoś z dworu, albo. . .

Ulrich podniósł dłoń, powstrzymując go w pół słowa.

— Dwóch skromnie ubranych kapłanów, zdążających z południa, nie zwraca na siebie uwagi — przypomniał. — Gdybyśmy jechali z eskortą i przedstawicielem królowej, jaki wniosek nasunąłby się obserwatorowi? Oczywiście: że jesteśmy posłami. Na drodze czyhają przeróżne niebezpieczeństwa, a wielu ludzi dotąd nie wierzy w pokój między Karsem a Valdemarem.

Nie powiedział wszystkiego, wiedział, że Karal sam potrafi domyślić się reszty: tłumy rozjuszonych mieszkańców pogranicza, nawet pojedynczy obłąkaniec, dyszący żądzą zemsty na odwiecznych wrogach, zabójcy mający nadzieję na zerwanie układów, nawet najemnicy, dla których koniec wojny oznaczał brak zajęcia i pieniędzy. Czyhać na nich mogli nie tylko mieszkańcy Valdemaru, lecz nawet ich własny rodak, opętany ideą świętej wojny z demonami.

Karal potrząsnął głową, Ulrich zachichotał.

— To dlatego, synu, ja jestem posłem, a ty moim sekretarzem. To ja zażądałem

tylko jednego przewodnika, lecz takiego, któremu można całkowicie zaufać.

Ulrich pogłaskał szyję mulicy. Wskazał głową wierzchowce i bagaże. I on, i Karal mieli na sobie najskromniejsze stroje podróżne.

— Teraz, w małej grupce, choć dobrze ubrani, wyglądamy na kapłanów z obcego kraju — lecz nie wiadomo, z którego. O ile nie napotkamy nikogo zdolnego rozpoznać kapłana Słońca, nie grozi nam przedwczesne odkrycie. Valdemar przyjął ostatnio wielu cudzoziemców, a wielu z nich jechało do stolicy w towarzystwie miejscowych. Nie powinniśmy wzbudzić niczyich podejrzeń.

Karal nic nie odpowiedział, lecz wydawało mu się, że tym razem jego mistrz się myli. Jeszcze raz przyjrzał się ukradkiem strażnikom Valdemarowi, porównał ich wygląd ze swoim i doszedł do zupełnie innych wniosków, niż Ulrich.

Szaty podróżne obu kapłanów różniły się od paradnych strojów dworskich — te czekały na oficjalną audiencję, lecz cała prostota nie zwiodłaby kogoś, kto chociaż raz widział mieszkańca Karsu. Rozpoznałby ich po złotych medalionach Vkandisa, wyobrażających słońce — przypadkowy podróżny raczej nie nosi na sobie złota. I czy wyznawcy jakiegokolwiek innej religii posługiwali się podobnym symbolem słońca? Zdradzał ich również krój stroju — u cudzoziemców przewijających się na dworze Syna Słońca Karal nigdy dotąd nie spotkał ubrań takich jak karsyckie, gdyby zaś byli kimś mało znaczącym, po co w ogóle dawać im przewodnika?

„Chyba za bardzo się przejmuję. Ulrich ma rację, jeżeli to, co słyszeliśmy, jest prawdą, każdego dnia przybywają do Valdemaru cudzoziemcy o wiele bardziej przyciągający uwagę niż my. W tym tłumie raczej nie zostaniemy zauważeni.”

Ulrich z pewnością nie wyglądał okazale, nowicjusze mijali go codziennie, nie zauważając — wydawał się kapłanem niższej rangi. Średniego wzrostu, niezbyt stary i nie całkiem młody, ani przystojny, ani odrażający, średniej postury. . . Siwe włosy, broda i zazwyczaj goszczący na twarzy łagodny uśmiech dopełniały całości. Mało kto przypuszczał, iż oczy Ulricha potrafią przeniknąć na wskroś, mało kto widział go surowym.

Strażnicy valdemarscy nie należeli do określonego typu fizycznego: jeden był szczupły i opalony, drugi jasny i muskularny. Natomiast dwaj karsyccy kapłani mogli uchodzić za ojca i syna, tak upodabniały ich do siebie ostre rysy, ciemne włosy i oczy. Tym lepiej — ojca i syna trudno skojarzyć z kapłanami jakiegokolwiek obrządku. Na pewno mieszkańcy Valdemaru nie wiedzieli, że w Karsie nie obowiązywał celibat — prawdopodobnie nikt za granicą tego nie wiedział.

Karal potarł skroń, nawet myśli przyprawił go o ból głowy. Ulrich pogłaskał go współczująco po ramieniu, strażę nadal ich nie dostrzegały.

— Nie martw się, chłopcze — powiedział ciepło. — Najpierw spróbuj przyzwyczaić się do nowego otoczenia, potem dopiero zwróć uwagę na intrygi i zagrożenia. To nasze zadanie na kilka pierwszych dni.

Ulrich — niegdyś jeden z owianych złą sławą, budzących przerażenie Czar-

nych Kapłanów, posiadających ogromną władzę łowców demonów — obejrzał się na drogę do Karsu i westchnął.

— Widziałeś już tyle zmian w swym krótkim życiu... myślę, że poradzisz sobie tam lepiej niż ja. Dla ciebie to pewnie nowa wielka przygoda.

Karal zdusił w sobie odpowiedź, nie chciał wyjeżdżać za granicę, lecz jeszcze mniej — powracać ze wstydem do świątyni. Nie nazwałby tej podróży „wielką przygodą”, w głębi serca kochał dom i wolałby go nie opuszczać. Marzył kiedyś o spokojnym życiu scholarza, może znalezieniu sobie żony — kapłanki tego samego obrządku, rodzina, dzieci, wnuki... Widział zbyt dużo zmian, odkąd w wieku dziewięciu lat opuścił dom, zbyt często w ciągu następnych siedmiu lat jego świat wywracał się do góry nogami, by pragnąć jeszcze nowych wrażeń. W nawale wydarzeń czuł się zagubiony — wydawało mu się, że każdy to widzi na pierwszy rzut oka.

„Czy to nie jakieś barbarzyńskie przekleństwo mówi: obyś miał ciekawe życie?” Jeżeli tak, chciałby znaleźć tego, kto rzucił na niego tę klątwę! Już by go wtedy przekonał, że powinien ją zdjąć. Dla niego najciekawsze były zawsze książki, dostarczały mu wystarczająco wiele wrażeń.

Po skończeniu dziewięciu lat został pomocnikiem swego ojca — chłopcem stajennym, nic nie brakowało mu do szczęścia. Kochał konie i żywił nadzieję na przejęcie pewnego dnia posady po ojcu. Miał trzy siostry — jedną młodszą i dwie starsze — które mógł ciągnąć za warkocze, miał także młodszego brata, płaczącego się pod nogami, patrzącego na starszego chłopca z wyrazem uwielbienia na pucołowatej twarzyczce. Na stole nie brakowało jedzenia — prostego, owszem, lecz niektórzy nie mieli nawet tego, tyle Karal wiedział nawet wtedy. Był szczęśliwy i nie chciał żadnych zmian.

Od tego czasu poznał wystarczająco wiele innych rodzin, by docenić swój dom. Oboje rodzice chwalili go lub ganili, zależnie od potrzeby, ale niezależnie od przewinienia zawsze mógł liczyć na ich wyrozumiałość, jeżeli okazał skruchę. Ojciec był z niego dumny i uczył go wszystkiego, co sam wiedział o koniach. Mały, bezpieczny świat zaludniali ludzie bliscy i kochani — czegoż więcej potrzebuje mały chłopiec?

Na tę idyllę padał tylko jeden cień — coroczne Święto Dzieci, kiedy rodzice musieli przyprowadzić swoje potomstwo do świątyni, by obejrzeni je kapłani Słońca. Badane były wszystkie dzieci od piątego do trzynastego roku życia. W dniu święta strach padał na całe miasto, rodzice Karala przeżywali szczególne męki, gdyż oboje mieli kiedyś rodzeństwo, które zostało wybrane przez kapłanów, a później spalone za czary. Nawet jeżeli wybranego dziecka nie czekał stos, i tak nigdy nie miało ujrzeć bliskich. Tak było zawsze.

Przez cztery lata Karal umykał uwagi kapłanów i w serca rodziców zaczęła wstępować nadzieja. Sam chłopiec był przekonany, iż święto to tylko podwójna porcja waty cukrowej rozdawanej przez służbę po zakończeniu ceremonii.

Jednak kiedy miał dziewięć lat, jego pewność siebie przysła jak bańka mydlana. Przybyły na Święto Dzieci nowy kapłan, odziany w czarne suknie, przyjrzał się Karalowi przymrużonymi oczami — i wybrał go dla Pana Słońca.

W jednej chwili Karal stał wśród innych w równym szeregu, w następnej ciężka dłoń spadła na jego ramię i zanim zdążył się poruszyć, chwyciło go dwóch służących. Zaciągnięto go za ołtarz, do pomieszczeń niedostępnych dla mieszkańców miasta. Niewiele zapamiętał z tego dnia, częściowo z powodu szoku, częściowo wskutek działania mikstury, którą napoił go kapłani, kiedy wpadł w histerię. Był jedynym dzieckiem wybranym w tym mieście, nie miał z kim podzielić rozpacz. Jak przez mgłę przypominał sobie długą drogę ciemnym powozem, na krótkich postojach dosiadali się inni wybrani, tak samo przerażeni, oszołomieni, otepiali z wyczerpania. Tym razem nie dostali cukru, lecz gorzką herbatę. Po ciężkim śnie obudzili się w tak zwanym dziecięcym skrzydle, mieli tam mieszkać, uczyć się i pracować, póki nie zostaną nowicjuszami lub służącymi.

„Lub dopóki ktoś nie odkryje w nich mocy magicznej.”

Zadrzał, czując przenikliwe zimno, jakby słońce na moment przestało grzać.

W końcu Karal nauczył się akceptować to, czego nie mógł zmienić. Powiedziano mu, że już nigdy nie zobaczy bliskich, że ma teraz większą rodzinę — lud Vkandisa. Pozwalali mu czasem na bunt, nawet na jedną próbę ucieczki. Nie udało mu się, podobnie jak pozostałym. Straszliwa ognista istota złapała go w bramie i odprowadziła z powrotem do klasztoru. Więcej nie próbował — poddał się losowi.

Potem zaczęły się lekcje.

Większość dzieci zdołała opanować zaledwie podstawy czytania i rachunków — te w wieku dziesięciu lat odesłano na służbę. Inne zabrali kapłani na „specjalne szkolenie”, nie mające nic wspólnego ze zdobywaniem wiedzy. Niektóre z nich oddano później płomieniom. Karal, jak wszyscy uczniowie, musiał oglądać egzekucje — jeszcze teraz wracały w sennych koszmarach. Popioły odsyłano rodzinom na znak hańby.

Karal uczył się dobrze i nie przyciągnął uwagi złowrogich łowców demonów. Nauka sprawiała mu przyjemność, wkrótce prześcignął wszystkie dzieci przybyłe razem z nim do klasztoru. Wtedy przeniesiono go do grupy złożonej z dzieci szlachty i bogaczy, przysłanych jako część dziesięciny Vkandisowi. One nigdy dotąd nie musiały dzielić się nauczycielem ani mieszkaniem z przedstawicielami niższych sfer, nie podobało im się w klasztorze i potrzebowały kogoś, na kim mogłyby wyładować złość. Dla Karala oznaczało to prześladowania, nie w klasie, gdzie jako dobry uczeń miał po swojej stronie nauczycieli, lecz poza nią, gdy nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby się za nim ująć.

Potrząsnął głową, odpędzając przykre wspomnienia. „To nie ma znaczenia. Wtedy też się nie liczyło.” Liczyła się wysoka lokata, z jaką ukończył naukę i został przyjęty w szeregi nowicjuszy — mimo sprzeciwów pozostałych uczniów.

Kiedy nadszedł czas, wybrał go na czeladnika ten sam czarno ubrany kapłan, którego spotkał podczas Święta Dzieci. Teraz Karal dowiedział się, co oznaczają takie szaty: jego mistrz był magiem i łowcą demonów. Gdyby Ulrich nie okazał mu od razu życzliwości, byłby przerażony. Mimo to od tamtego ranka codziennie dziękował Vkandisowi, że został sekretarzem właśnie Ulricha. Mistrz miał wystarczająco wysoką pozycję, by osłonić swego ucznia przed złośliwościami nowicjuszy — jedyne, co mogli teraz zrobić, to zignorować go. Tak też uczynili. Karal jednak nie przejął się tym. Mistrz był uczonym i do takiej pracy przygotowywał swego ucznia. Kiedy dowiedział się o pochodzeniu Karala i jego miłości do koni, zaproponował mu wybranie sobie wierzchowca — na tyle wcześnie, by stada nie zostały jeszcze pozbawione co lepszych zwierząt. Sam zatroszczył się o to, żeby Karal mógł codziennie markę lub dwie spędzić ze swym ukochanym Trenorem. Przez tydzień lub dwa wszystko zapowiadało się jak najlepiej, przyszłość zdawała się spokojna i bezpieczna.

Wtedy nadeszła trzecia — po wybraniu przez kapłanów i włączeniu pomiędzy wysoko urodzonych — zmiana w życiu Karala. Jednak tym razem dotyczyła ona całego ludu Vkandisa.

Vkandis — sam Bóg — wybrał na Syna Słońca kobietę, w sposób nie pozostawiający cienia wątpliwości co do Jego zamysłów. Najwyższa Kapłanka Solaris odmieniła cały dotychczasowy porządek rzeczy, twierdząc, że wiele obyczajów jest sprzecznych z wolą Pana i zostało stworzonych przez żądnych władzy kapłanów, a nie Boga. Ulrich nie tylko popierał zmiany, lecz przyłączył się do nich jako jeden z najbardziej zaufanych doradców Solaris. W ten sposób, chcąc nie chcąc, Karal znalazł się w centrum wydarzeń następujących z błyskawiczną szybkością.

„Na początku nawet mi się podobało, zwłaszcza kiedy Solaris pozwoliła nowicjuszom i uczniom w klasztorach na odwiedzanie rodzin na tych samych prawach, co rekruci w armii.” Do tej pory nikt z wybranych nie miał szans na przypadkowy chociażby kontakt z bliskimi. Teraz Karal mógł nie tylko do nich pisać, ale także dwa razy w roku odwiedzać — rzecz nie do pomyślenia jeszcze kilka lat temu. Gdy Solaris wyznaczyła Ulricha na swego posła w Valdemarze, zatroszczyła się także o to, by Karal przed wyjazdem za granicę dostał tydzień wolnego na odwiedzin w domu. Kiedy przedtem Syn Słońca przejmował się zwykłym nowicjuszem?

Karal pogładził szyję Trenora, uśmiechając się do siebie. Gdy po raz pierwszy pozwolono mu odwiedzić bliskich, spędził w domu wspaniale dwa tygodnie. Matka szczyciła się synem, ojciec pękał z dumy. Jego syn — sekretarzem potężnego kapłana! Powiernikiem sekretów dostępnych tylko uprzywilejowanym! Świadkiem wydarzeń wpływających na losy całego kraju.

Ledwie wrócił z pierwszej od lat wizyty u rodziny, ledwie Solaris przeprowadziła swą rewolucję, a już pojawił się nowy wróg: Ancar z Hardornu. Uderzył bezpośrednio na granice Karsu, co nigdy dotąd się nie zdarzyło. Karsyci przyzwy-

czaili się do zwycięstw w małych potyczkach toczonych na ziemiach nieprzyjaciół, a zmasowany atak zupełnie ich zaskoczył. Wojna wybuchła natychmiast — Kars okazał się słabszy. Nawet Czarni Kapłani nie mogli sprostać armii i magom Ancara.

Solaris to przepowiadała, ale mało kto jej wierzył. Teraz, korzystając ze zdobytej niedawno pozycji, wykonała najbardziej zaskakujące posunięcie: znalazła sprzymierzeńca. Takiego, jakiego nawet Ulrich się nie spodziewał: Valdemar. Kraj białych demonów i ich piekielnych koni, kraj, który przyjął odszczepieńców karsyckich — lud Grodów, zaprzysięgłych wrogów Vkandisa. I znów Vkandis w sposób nie pozostawiający wątpliwości potwierdził jej decyzję. Tak, dekretem Najwyższej Kapłanki Solaris, Valdemar został ogłoszony krajem przyjaciół. Pomoc nadeszła w najważniejszej chwili: niewiele brakowało, by Ancarowi z Hardornu udało się zmieść za jednym zamachem Solaris i Selenay, razem z ich poddanymi.

Karal, sekretarz Ulricha, dostał się w samo centrum wydarzeń, był świadkiem początkowych planów i końcowych umów, na mocy których przedstawicielkę Valdemaru mianowano kapłanką Vkandisa. Po tych sensacjach pozostał mu zamęt w głowie, teraz, po wojnie, jeszcze trudniej było uwierzyć, że niedawni wrogowie zmienili się w przyjaciół.

— Chyba przybywa nasz przewodnik — odezwał się Ulrich, przerywając mu rozmyślenia.

Karal spojrział na drogę, przysłaniając ręką oczy oślepione blaskiem słońca. Przez chwilę nic nie widział, potem dostrzegł obłoczek kurzu, jakieś poruszenie — i zza zakrętu wyłonił się jeździec. Trudno byłoby go nie zauważyć: miał na sobie białe ubranie i siedział na białym koniu. Nie przypominał zwyczajnego wędrowca — mimo prostoty kroju strój zdradzał jego wysoką pozycję, zresztą biel trudno utrzymać w czystości w czasie podróży i choćby dlatego nie każdy może sobie pozwolić na taki strój. Karal znał kolory Valdemaru: srebro, błękit i biel. Czy to ktoś z dworu? Gdy podjechał bliżej, Karal przyjrzał się uprząży jego konia — błękitno-srebrnej, jak u strażników, lecz bardziej kosztownej. Strażnicy okazywali mu szacunek, choć Karsytów ignorowali. Ciekawe. Czy ten mężczyzna przewyższał znaczeniem posła Karsu? A może strażnicy nie wiedzieli, kim jest Ulrich?

Cóż, w tej chwili nie miało to znaczenia.

Mężczyzna zatrzymał się przy przejściu, lecz nie zsiadł z konia, zamienił ze strażnikami kilka słów — przez ten czas Karal miał okazję przyjrzeć się dokładniej jego koniowi. Szeroka głowa — co niektórzy mogliby uznać za wadę — zdradzała wysoką inteligencję zwierzęcia, poza tym zbudowanego idealnie. Karal nigdy dotąd nie widział równie białej sierści, lśniącej jak po kąpieli — i jak, u licha, udało się uzyskać ten szczególny odcień srebra na kopytach? Z pewnością nie za pomocą farby — tylko głupiec maluje konia.

Podczas gdy przybysz rozmawiał ze strażnikami, jego koń przesunął się lek-

ko, jakby chciał również obejrzeć obu Karsytów. Jego ruchy były pełne gracji, z wygiętej wdzięcznie szyi spływała grzywa — zupełnie jak gdyby wierzchowiec zdawał sobie sprawę ze swej urody.

„Doskonali” — ocenił Karal, cieszył się, że kilka następnych dni spędzi w towarzystwie tak wspaniałego zwierzęcia.

Kiedy po krótkiej wymianie zdań przybysz zwrócił się ku kapłanom, Karal był gotów dosiąść Trenora i ruszać. Miał dość oczekiwania.

„Chyba nie ostatni raz muszę stać z boku i czekać...”

Przewodnik miał jasne, siwiejące na skroniach włosy, kwadratowy podbródek, głęboko osadzone, szczere brązowe oczy i nos prawdopodobnie złamany niejednym raz. Siedział w siodle nieco sztywno, psując harmonię ruchów wierzchowca. Zaważał się przez moment, potem wyciągnął rękę do Ulricha.

— Poseł Ulrich? — spytał, jego koń stał nieruchomo jak wmurowany, ani trochę nie przestraszony widokiem obcych. — Jestem waszym przewodnikiem. Możecie mnie nazywać Rubryk.

„On ma niebieskie oczy” — stwierdził Karal rozczarowany, przypatrując się z bliska koniowi. Zazwyczaj zwierzęta o tym kolorze oczu były głuche jak pień. Czy to dlatego koń zachowywał się tak spokojnie? Czyżby nawet tak doskonałe stworzenie miało wady?

Ulrich uściśnął dłoń Rubryka, Pszczółka podejrzliwie lustrowała wzrokiem białego konia, niepewna, czy nie poczęstuje jej niespodziewanym kopniakiem.

Rubryk mówił po karsycku bardzo dobrze, o wiele lepiej niż Karal po valdemarsku. Prawie nie wyczuwało się u niego obcego akcentu i nie robił przerw, by przetłumaczyć sobie to, co miał do powiedzenia.

— Wspaniale znacie nasz język, panie — odparł Ulrich. — Wybaczcie, iż nie mogę odplacić wam równą grzecznością, lecz mój valdemarski pozostawia zbyt wiele do życzenia. Oto mój sekretarz, Karal.

Mężczyzna wyciągnął rękę do Karala, który idąc za przykładem mistrza, również ją uściśnął. Dłoń Rubryka była ciepła i mocna. Karal czuł, że polubi przewodnika.

Rubryk spojrział na słońce.

— Przebyliście długą drogę i pewnie wiecie, że czeka was jeszcze dłuższa podróż, panie — zwrócił się do Ulricha. — Pogoda w Valdemarze zmienia się błyskawicznie i nie potrafię przewidzieć, czy będzie nam sprzyjać przez następne dni. Chciałbym przejechać, ile się da, póki słońce świeci, o ile nie macie nic przeciwko temu.

— Nic, zupełnie — potrząsnął głową Ulrich. — Obaj z moim sekretarzem jesteśmy przyzwyczajeni do spędzania dnia w siodle, musimy zważać tylko na nasze wierzchowce.

Rubryk uśmiechnął się ciepło.

— Najwyższa Kapłanka Solaris dobrze wybrała swego posła. W drogę więc!

Trójka podróżnych minęła milczące straże, przejechała otwartą bramę — i Karal po raz pierwszy w życiu przekroczył granice Karsu.

Karal oczekiwał, że coś poczuje, znalazłszy się na obcej ziemi — zmianę w powietrzu, zmianę w sobie. . . Myślał, że ziemia będzie inna, trawa i drzewa w jakichś dziwnych kolorach, ludzie całkiem odmienni. . . Oczywiście nie miał powodu przypuszczać, że Valdemar wygląda inaczej, lecz. . .

„Uczucia nie muszą pozostawać w zgodzie z logiką.”

Przez cały dzień jechali na północ przez okolice identyczne jak w Karsie: takie same wzgórza, taka sama trawa, drzewa, powietrze tak samo pachnące nagrzanym kurzem i polnymi kwiatami.

Ludzie, których widzieli, także wyglądali zwyczajnie — chociaż różnili się od Karsytów. Nosili odmienne ubrania — surowe, skromne, w odcieniach brązu i szarej zieleni, przypominających błoto. Nikt w Karsie nie włożyłby na siebie czegoś takiego, chyba że byłby najbiedniejszym z biednych — lub wykonywał szczególnie brudne zajęcia. Nawet do pracy w polu Karsyci ubierali się kolorowo.

Mały orszak minął ludzi zajętych koszeniem trawy, świniopasa i gęsiarkę, potem pola warzywne. Zwierzęta oglądały się za podróżnymi, lecz ludzie nie zwracali na nich uwagi, odwracając się od nich z niechęcią graniczącą z grubiaństwem.

— Lud Grodów — rzekł Rubryk z westchnieniem po kilku takich spotkaniach. — Przykro mi. Niezbyt lubią przedstawicieli królowej, prawie tak mało, jak lubią was, Karsytów. Zdaje się, że gdyby tylko mogli, stworzyliby własne państwo, otoczyli je murem i na wieki odcięli od świata.

Ulrich zaśmiał się.

— W takim razie cieszę się, że nie mieszkają u nas. Spotykałem wzmianki o nich w księgach, przyczyniali wam trochę kłopotu.

Rubryk wzruszył ramionami i potarł nos.

— Nie wszystko, co pochodzi od nich, jest złe. Talia, Osobista królowej, urodziła się i wychowała właśnie wśród nich. Ale poza tym nie wzbudzają sympatii i nie raz żałowałem, iż mieszkają w Valdemarze.

Karal nie odzywał się, obserwował przewodnika, zastanawiając się, dlaczego tak sztywno się porusza. Jak ktoś tak niezgrabny w siodle mógł dostać takiego wierzchowca?

Wreszcie, kiedy Rubryk odwrócił się, by wskazać stado gęsi, za którym leciał sokół, Karal znalazł odpowiedź.

Rubryk nie mógł podnieść prawej ręki ponad głowę, również część twarzy miał dziwnie nieruchomą. I chociaż jego prawe kolano wisiało niemal bezwładnie, ułożenie drugiej nogi wskazywało wprawno jeźdźca.

Rubryk był kiedyś ranny, co spowodowało częściowy paraliż — zdradzała to sztywność prawej połowy ciała i lekki skurcz w kąciку prawego oka. Musiał mieć

doskonałego konia, wyszkolonego tak, by w chwili zdenerwowania lub przestraszenia nie zrzucił jeźdźcy. Podziw Karala dla wierzchowca jeszcze wzrósł po tym odkryciu — taki koń dorównywał inteligencją legendarnym rumakom Shin'a'in. Z zaskoczeniem stwierdził, że wierzchowiec nie był wałachem, jak Trenor, lecz ogierem. W dodatku wcale nie interesował się Pszczółką, która, choć mulica, była jednak klaczą. Co za tresura dała koniowi takie opanowanie?

Z pewnością zadałby to pytanie, gdyby Ulrich nie zaabsorbował całej uwagi Rubryka, zagadując o sytuację na dworze valdemarskim. Przynajmniej połowa imion wspomnianych obojętnie przez mistrza nigdy nie obita się o uszy jego sekretarza, resztę pamiętał z listów napływających w ciągu ostatnich kilku tygodni.

„Zdaje się, że na prywatnych spotkaniach działo się znacznie więcej, niż Ulrich opowiadał. Cóż, on nie wygląda na zaskoczonego!”

Powściągnął ciekawość i tylko słuchał — to także należało do jego obowiązków.

Wreszcie Ulrich zmęczył się zadawaniem pytań albo postanowił przemyśleć wszystko w spokoju i zamilkł. Przez ten czas minęli pola uprawne i wjechali między wzgórze, wykorzystywane co najwyżej jako pastwiska. Zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosami płynącymi z lasu i stukaniem kopyt po ubitej drodze. To wtedy Karal zauważył jeszcze coś. Kopyta Trenora i Pszczółki opadały na ziemię z głuchym łoskotem, lecz uderzenia kopyt białego konia dźwięczały jak dzwonki. Może rzeczywiście Valdemarczycy pielęgnowali je w szczególny sposób?

Droga wiła się dolinami, parę razy Karal dostrzegł kozła i owce pasące się na zboczach, lasy porastające okolicę liczyły przynajmniej kilkadziesiąt lat. Rosły tu przeważnie dęby i sosny oraz trochę brzoź. Czasami spod cienkiej warstwy gleby wyglądała naga skała. Ludzi nie widziało się wcale, lecz przemykało mnóstwo zwierząt, ptaki śpiewały, sójki zawiadaniały cały teren o nadejściu obcych. Raz tuż przed nimi wylądował jastrząb i zanim do niego dotarli, uniósł się w górę z węzłem w szponach.

Gdy słońce zniżyło się do wierzchołków drzew, drogę przecięło łożysko rzeki. Karal czuł już w kościach całodzienną jazdę, mięśnie miał sztywne i obolałe. Zastanawiał się, kiedy Rubryk da hasło do postoju. A może pojedą nocą?

Zresztą nie było gdzie się zatrzymać, jako że nie napotkali żywej duszy i ani śladu nawet najmniejszej osady. „Nie przeszkadza mi spanie pod gołym niebem, ale Ulrich jest już na to za stary” — pomyślał. Nie uśmiechała mu się perspektywa dalszej jazdy, lecz wiedział, iż wygoda mistrza jest ważniejsza od jego zmęczonych mięśni. „Nie mamy namiotów ani ciepłych koców. Przecież ten człowiek nie oczekuje chyba, by poseł Karsu zagrzebał się w liściach jak włóczęga?”

— Zaraz po zachodzie słońca powinniśmy dotrzeć do wsi — odezwał się Rubryk. Karal niemal podskoczył. Czyżby przewodnik czytał w myślach? — Jeżeli czujecie się zdolni do dalszej jazdy, powiedzcie. Jednak mamy tam zarezerwowany wygodny nocleg — uśmiechnął się przeprasząco. — Nie miejcie mi tego za

złe, lecz wolę, by nikt nie dowiedział się o waszym pochodzeniu i misji, póki nie dotrzemy do stolicy. Najlepszym na to sposobem jest trzymanie was z daleka od wścibskich nosów.

Ulrich machnięciem ręki zbył przeprosiny.

— Zgadzam się całkowicie — odparł. — Im mniej o nas wiadomo, tym lepiej. To dlatego prosiłem królową Selenay o jednego tylko przewodnika. Muszę się jednak przyznać, że nie jestem już tak pewny swych sił, jak przy naszym spotkaniu. — Potrząsnął głową nad własną słabością, potem wzruszył ramionami. — Zwykle większość dnia spędzaliśmy w siodle, ale właśnie zacząłem zdawać sobie sprawę, że „większość dnia” to nie to samo, co „cały dzień”.

— Być może pocieszę was, jeśli powiem, iż zaraz po przyjeździe podadzą gorącą kolację — powiedział z uśmiechem Rubryk. — A potem czeka na was kąpiel.

— Nie pogardziłbym także słoiczkiem maści końskiej, panie — zaryzykował Karal nieśmiało.

— Tyle mogę wam sam dostarczyć — i to balsamu, nie tylko końskiej maści, młodzieńcze — odrzekł Rubryk, odwracając się ku niemu z lekka zaskoczony, jakby zapomniał o jego obecności. Karal raczej się z tego ucieszył — znaczyło to, iż udało mu się osiągnąć biegłość w swoim fachu. Ulrich nieraz powtarzał, że dobry sekretarz jest prawie niewidzialny i wtapia się w tło. Dzięki temu może asystować przy ważnych rozmowach, nie rozpraszać uwagi zebranych i nie drażnić co wrażliwszych.

— Będę wdzięczny, lordzie Rubryku — odpowiedział Karal, skłaniając lekko głowę. Lecz przewodnik pogroził mu palcem.

— Nie ma tu lordów, młodzieńcze — upomniał. — Jestem zwyczajnym Rubrykiem. Między heroldami tytuły nic nie znaczą, z wyjątkiem lady Elspeth, córki królowej. Mój ojciec był właścicielem kawałka ziemi, prawie chłopem.

— Tak? — zainteresował się Ulrich. — A co uprawiał, jeśli wolno spytać?

— W większości warzywa, ale miał także stadko bydła — odpowiedział ochocho Rubryk i obaj wdali się w dyskusję na temat rolnictwa w Karsie i Valdemarze. Tym razem to Rubryk zadawał pytania, przeważnie dotyczące pogody, która w Valdemarze poczyniła wiele szkód w uprawach. Karal zastanawiał się, czy przewodnik zdaje sobie sprawę z tego, ile oni się dowiadują z jego sposobu formułowania pytań.

Księżyc wspiął się na niebo, zalewając drogę srebrnym światłem. Karal słuchał i notował w pamięci. Jeżeli Rubryk mówił prawdę, Valdemar bardzo ucierpiał z powodu nagłej zmiany pogody — burz i huraganów, będących prawdopodobnie skutkiem działań magów Ancara.

— Jednak teraz mamy kilku magów zajmujących się pogodą i wszystko zaczyna powracać do normy — zakończył przewodnik. — Mam nadzieję, że zdołamy ocalić tegoroczne plony.

Jeżeli liczył na podobne stwierdzenie ze strony Ulricha, to się pomylił.

— Vkandis zawsze dbał o dobro swego ludu — odrzekł kapłan, Karal cieszył się z ciemności, która skryła jego uśmiech. Z pewnością można różnie rozumieć taką wypowiedź, lecz była to szczerza prawda. Ktoś nieorientowany poczytałby ją tylko za puste, aczkolwiek pobożne słowa — a jednak rzeczywiście Vkandis interesował się swoimi wyznawcami i potrafił okazać to w sposób nie pozostawiający wątpliwości. Kiedy zawodziły zdolności kapłanów, Bóg interweniował osobiście. Kars nie został dotknięty skutkami działań Ancara, gdyż wszyscy kapłani posiadający umiejętność wpływania na pogodę zostali rozesłani po kraju, by chronić ludzi, domy i plony.

Rubryk nie wyglądał na zmieszanego taką ripostą. Opisał natomiast szkody, jakie widział w Hardornie, znacznie większe niż w Valdemarze.

Ulrich mówił swemu uczniowi, iż manipulowanie dużą mocą bez odpowiednich osłon zakłóca rytm przyrody, a zwłaszcza zmienia pogodę, lecz Karal nigdy dotąd nie spotkał się z tym zjawiskiem. Teraz, słysząc o klęskach, do jakich doprowadził Ancar, był przerażony — zwłaszcza że mag nie uczynił nic, by choć trochę złagodzić skutki rozpełtania żywiołów.

— Patrzcie! — Rubryk wskazał ręką na drogę. Karal wytężył wzrok i wydało mu się, że widzi światła. — Oto nasza gospoda. Za jakąś markę na świecy będziemy na miejscu.

— Na pewno nie za wcześnie dla mnie — westchnął Ulrich.

„Ani dla mnie” — dodał w duchu Karal. Wolał nie myśleć o otarciach, jakich się tego dnia nabawił. Nie zdarzyło mu się to od czasu dzieciństwa. Światła z każdą chwilą stawały się większe i bardziej przyjazne, a ból mięśni coraz bardziej dawał się we znaki. Nikt go nie uprzedził, że do obowiązków sekretarza posła należy także całodzienna jazda. „Mam nadzieję, że to pierwszy i ostatni raz!”

ROZDZIAŁ CZWARTY

Oczywiście życzenie Karala się nie spełniło. Jednak dostał buteleczkę balsamu o niemal cudownych właściwościach kojenia bólu — prawie podejrzewał, że jest to dzieło jakiegoś maga albo kapłana-uzdrowiciela. Kiedy obudził się następnego ranka, czuł się o wiele lepiej, a po następnej porcji specyfiku ból ustąpił całkowicie. Balsam pachniał dziwnie, lecz przyjemnie. Ulrich również sobie nie żałował — wspólnie opróżnili pojemniczek do połowy.

Spotkali Rubryka na dziedzińcu gospody, w półmroku przedświtu. Koń przewodnika, osiodłany, stał w gotowości, a on sam wyglądał na wypoczętego. Rozespany chłopiec stajenny przyprowadził wierzchowce Karsytów, a kuchcik, biały od mąki, przyniósł im bułki z masłem i herbatę. Gdy Karal znalazł się w siodle, ucieszył się, gdyż mięśnie nie były nawet sztywne, po prostu ich nie czuł. To mu przypomniało, że w jukach zostało już niewiele balsamu — najwyżej na dwa dni.

Kuchcik wyszedł jeszcze raz z dwoma workami, które podał Rubrykowi. Ten przytroczył je do siodła.

— Nasz południowy posiłek — wyjaśnił. — Mam nadzieję, iż nie przeszkadza wam jedzenie w drodze. Chcę zaoszczędzić jak najwięcej czasu.

„Cudownie. To znaczy, że pojedziemy jeszcze dłużej niż wczoraj.” Jakoś udało się Karalowi stłumić jęk.

— Wybacz, panie — rzekł zamiast tego z niepokojem — balsam, który mi wczoraj dałeś, kończy się. Wspaniale pomaga, więc...

— Jeszcze trochę go zostało — odparł Rubryk, mrugając porozumiewawczo. — W Valdemarze często się go spotyka, mam spory zapas, a kiedy się skończy, na noclegu zawsze mogę dostać następną porcję.

— Muszę przyznać, że obaj go potrzebujemy — wtrącił Ulrich z przeproszającym uśmiechem. — Sam sporo go zużyłem. Może w Valdemarze bardziej przywykliście do jazdy wierzchem, ale my nie mamy waszej wytrzymałości. Obawiam się, iż życie w zaciszu biblioteki nie przygotowało nas do takich prób.

Karal odpowiedział swemu mistrzowi uśmiechem, wdzięczny za poparcie. Przynajmniej nie wydał się słabeuszem. Mimo wszystko — jak półkaleka podołał jeździe w takim tempie, skoro on, zdrowy i wiele młodszy, padał z nóg?

Wyruszyli ze wschodem słońca, nie zauważeni przez nikogo. Zatrzymali się

późnym rankiem, kiedy i Karal, i Ulrich odczuwali wyraźną potrzebę powtórzenia kuracji maścią Rubryka. Karal wciąż się zastanawiał, jak przewodnik wytrzymuje takie tempo. Poprzedniej nocy, na postoju, Rubryk musiał skorzystać z pomocy innych, żeby zsiąść z konia, po czym powłókł się do gospody, powłócząc sztywną nogą i podpierając się laską. Rano także Karal musiał mu pomóc wsiąść, gdyż stajenny, przyprowadziwszy konie Karsytom, ulotnił się. W obu wypadkach wierzchowiec Rubryka położył się na ziemi, dzięki czemu przewodnik mógł przerzucić sparaliżowaną nogę przez siodło, co znacznie ułatwiło mu wsiadanie. Karal zagryzał wargi, aby nie zadawać niedyskretnych pytań, ponieważ to, co widział, znacznie przewyższało umiejętności nawet najlepiej wytresowanego konia. Rubryk uśmiechnął się tylko, widząc jego minę, lecz nie kwapił się do wyjaśnień.

Po wschodzie słońca wydawało się, że mimo ostrzeżeń Rubryka czeka ich następny pogodny dzień. Na wschodzie pozostało trochę ciemnych chmur, lecz niewiele, w powietrzu czuło się świeżość poranka, a podróż zapowiadała się bardzo przyjemnie.

„O ile moje łydki nie zwiną się w supły do następnego postoju.”

Drugi dzień wyglądał tak samo jak pierwszy: jazda, krótkie odpoczynki na rozprostowanie kości i posiłek, znów jazda... Nie minęło południe, kiedy strome, zalesione pagórki ustąpiły miejsca łagodnym wzniesieniom, a las — polom uprawnym. Częściej napotykali teraz ludzi — zarówno na drodze, jak i pracujących w polu. Nie przypominali oni ludu Grodów — ubierali się w żywsze barwy i przyjaźniej odnosili do podróżnych, machając im rękami i wykrzykując pozdrowienia. Ich twarze zdradzały ciekawość, lecz trzymali się z daleka, a Rubryk nie przystawał, by ich ośmielić. Nie wydawali się przejęci widokiem obcych, Karal odetchnął z ulgą — jedno zmartwienie mniej. Nie chciałby zostać wypędzony z Valdemaru przez tłum rozwścieczonych wieśniaków. Poprzedniego dnia przeżywał chwile niepokoju, kiedy mieszkańcy pogranicza okazywali im wrogość, ostentacyjnie odwracając spojrzenia.

Kiedy jakieś zmartwienia znikwały, natychmiast pojawiały się następne. Całe życie Karal wysłuchiwał opowieści o białych demonach i ich bestiach z piekła rodem. Czy Rubryk nosił się na biało i dosiadał białego konia na cześć tych potworów? Przecież wszystkie historie, jakie znał, nie mogły być wyssane z palca, coś się za nimi musiało kryć! Z pewnością Karsyci, a zwłaszcza Czarni Kapłani, mieli wystarczające doświadczenie, żeby rozpoznać napotkanego demona! W takim razie, gdzie podziały się potwory z opowieści, którymi matki straszyły niegrzeczne dzieci? Gdzie demony czające się, aby go porwać?

„Dla magii nie istnieją granice” — pomyślał, mierząc Rubryka ostrożnym spojrzeniem. „Nasi Czarni Kapłani potrafią zapanować nad demonami, czyli ludzie tutejsi również powinni mieć kogoś takiego — jakichś swoich magów. To logiczne. Ale gdzie oni są? Gdyby przewodnik chciał olśnić nas potęgą królowej Valdemaru i jej magów, teraz miałby okazję pokazać nam kilka strachów. Prze-

cież nie chciałby wywoływać paniki w jakiejś wsi albo miasteczku. Wystarczyłby mały pokaz na nasz prywatny użytek.”

Po zachodzie słońca dojechali do następnej gospody, zmęczeni, lecz nie niepokojeni przez jakiegokolwiek duchy czy zwidy. Prawdę mówiąc, nie zobaczyli ani śladu czarów. Czyżby zamierzano ich urazić, nie demonstrując żadnej magii?

Karal był tak wyczerpany, że starał się już tylko nie zasnąć w siodle. W gorącej kąpieli rozgrzał zeszywniałe mięśnie, lecz kiedy wytarł się i nasmarował balsamem, z trudem utrzymywał opadające powieki. Jadł, gdyż głód doskwierał mu równie mocno, jak zmęczenie. Odprowadził Ulricha do sypialni i zadbał, by niczego mu nie brakowało, lecz nawet nie pamiętał, kiedy sam padł na posłanie. Po prostu obudził się, słysząc pukanie do drzwi. Znowu wyruszyli przed świtem, zostawiając za sobą pogrążoną w ciemności gospodę. Tym razem na śniadanie dostali oprócz chleba z masłem świeże jagody, lecz poza tym wszystko wyglądało tak samo jak poprzednio.

Ulrich nie zrywał się na — niepotrzebny według Karala — pośpiech, więc uczeń starał się powstrzymać od komentarzy, kiedy dosiadali koni i wyruszali na północ. Jeżeli Rubryk zamierzał utrzymać ich przejazd w tajemnicy, nie posuwając się do ostateczności, czyli jazdy nocą i spędzania dni w kryjówec — obrał najlepszy sposób. Naprawdę nie mieli okazji zamienić nawet kilku słów z mieszkańcami Valdemaru, choć przekroczyli jego granice dwa dni temu. Na noclegi docierali tak późno, że każdy myślał tylko o kąpieli i łóżku, a nie życiu towarzyskim i zapoznawaniu się z resztą gości. Jeżeli Rubryk chciał także ukryć przed nimi strategiczne sekrety kraju, również osiągnął cel, gdyż Karal nie zdołał na razie dostrzec niczego interesującego. Zresztą nie znał się na strategii. Ulrich był dokładnie tym, na kogo wyglądał: uczonym. Spędził życie na studiowaniu *Księgi Vkandisa*, magii i *Obrządku*, ta sama droga ścieliła się przed jego uczniem. Sama myśl o poświęceniu wolnego czasu — którego i tak miał zbyt mało — na zapoznawanie się z taktyką wojskową przyprawiała Karala o śmiech.

No tak, ale Rubryk nie mógł tego wiedzieć. Karal miał zaledwie szesnaście lat, lecz wielu jego rówieśników zostawało oficerami armii. Mógł być szpiegiem wojskowym, w końcu każdy dobry wywiadowca wydaje się nieszkodliwy.

„Na przykład może przypominać żółtodzioba-sekretarza.”

Karal przetarł zmęczone oczy i stłumił ziewnięcie. Trenor pośpieszał za Pszczółką. Najbardziej upokarzające było to, że Ulrich nie zdradzał oznak niewyspania. Rozmawiał z Rubrykiem, tym razem po valdemarsku, pewnie dla wprawy. Przewodnik opowiadał o okolicznych mieszkańcach, rolnictwie i hodowli. Raczej nudny temat do pogawędki, lecz dobre ćwiczenie do szlifowania języka. Po raz pierwszy naprawdę mieli powód, by zapytać: „Jak daleko do pałacu?”

Zbocza obniżały się i wyrównywały, aż las ustąpił miejsca polom uprawnym. Jechali drogą ocienioną drzewami, owiewani ciepłym, usypiającym wietrzykiem. Karalowi głowa znowu zaczęła się kiwać, budził się dopiero wtedy, kiedy czuł, że

zaraz spadnie z konia.

Teraz trudno już było unikać ludzi, na każdym postoju podchodził do nich ciekawiony gospodarz albo kupiec. Rubryk zachowywał się przyjaźnie, ale skąpił wyjaśnień, przedstawiając Karsytów po prostu jako cudzoziemców. Najczęściej okazywało się to wystarczające.

— Ostatnio dużo tu obcych — powiedział staruszek, który czerpał wodę dla ich koni. Rubryk zgodził się z nim, lecz nie podjął dyskusji. Ulrich i Karal udawali, że nie rozumieją.

Jednak po tym spotkaniu Karal uważniej obserwował przewodnika, próbując odgadnąć, kim właściwie jest i czy przydzielenie go im jako eskorty oznacza wyróżnienie czy lekceważenie. Oczywiście nie musiał się tym przejmować, lecz wiedział, iż prędzej czy później Ulrich zacznie zadawać mu pytania na temat tego, co zapamiętał i co zauważył.

Podczas gdy Ulrich gawędził z Rubrykiem o pogodzie i urodzaju oraz napływie cudzoziemców do Valdemaru, Karal patrzył, słuchał i myślał.

Kaleki z pozoru Rubryk lepiej dawał sobie radę w podróży niż dwaj zdrowi mężczyźni. Wystarczała mu pomoc Karala lub stajennego przy wsiadaniu i zsiadaniu — to wszystko. Resztą zajmował się wierzchowiec. Przewodnik biegle posługiwał się karsyckim, a ilu ludzi w Valdemarze mogło się szcycić taką umiejętnością? Z pewnością niewielu. Poza tym Rubryk doskonale orientował się w sytuacji na dworze — dotąd potrafił odpowiedzieć na wszelkie pytania Ulricha. Pośpiech mógł być zręcznym sposobem uchronienia ich przed nietaktem, o który łatwo w obcym kraju. W ich sytuacji każde potknięcie groziło nieobliczalnymi skutkami dla obu państw. Ograniczenie kontaktów z mieszkańcami Valdemaru zmniejszało ryzyko do minimum. Przecież od wieków nie zawitał tu poseł Karsu i na dobrą sprawę nikt nie wiedział, czego można się spodziewać po kimś takim.

„Równie dobrze mogliśmy się okazać kapłanami starej daty, na których Solaris tak narzeka Ulrichowi: sztywni, pyszni, zapalczywi, gotowi do wojny za najmniejszy przejaw tego, co nazywają herezją, uparcie trwający przy starym *Ob-rzędku*, chociaż sprzeciwia się on woli Vkandisa... Oni sprowokowałyby incydent dyplomatyczny z powodu drobnostki, tylko po to, żeby udowodnić swoją rację. Rubryk nie może wiedzieć, że jesteśmy inni, a dwór valdemarski powinien przygotować się na wszelkie możliwości, zwłaszcza te najgorsze.”

Rubryk rzeczywiście wydawał się doskonały do tego zajęcia.

Trzeciego dnia Karal poddał się sympatii do przewodnika. Zamiast na stopniach świątyni opowiadać przechodniom o minionych dniach chwały i narzekać na los, Rubryk podjął się ważnego zadania, uwalniając od niego ludzi bardziej sprawnych, może potrzebnych gdzie indziej. Karal zaś i Ulrich zyskali opiekuna nie tylko biegłego w ich mowie, ale także życzliwego.

Tuż po zachodzie słońca Karal uświadomił sobie, iż znalezienie kogoś spełniającego takie warunki — znajomość języka, fachowość i życzliwość — do eskorty

posła z wrogię do niedawna kraju, musiało sprawić sporo trudności. Właściwie zamiast zastanawiać się, czy wybór Rubryka nie był zamierzony jako obraza, powinien chyba potraktować to jako zaszczyt.

Zaraz potem zmęczenie wzięło górę, usuwając wszelkie myśli z wyjątkiem jednej: co czeka ich na noclegu. „Miękkie łóżko, czysta pościel, gorąca kąpiel... sen. Oczywiście, nie w tej kolejności. Jedzenie. Puchowe poduszki. Sen. Jeszcze trochę balsamu. Sen.”

Wjechali na dziedziniec gospody, oświetlony latarniami, okna jarzyły się blaskiem, a przez otwarte drzwi wypływały cudowne aromaty pieczonego mięsa i świeżego chleba.

Stajenny pomógł Rubrykowi zsiąść, po czym podszedł do Trenora i Pszczółki. Rubryk poszedł do karczmy, ale prawie natychmiast wypadł stamtąd w pośpiechu, z płaczącym się obok służącym. Karal właśnie pomagał zsiąść Ulrichowi, spojrzał na przewodnika i zamarł. Rubryk był zdenerwowany, choć starał się kontrolować. Coś nie wyszło.

„Czy to przez nas? Czyżby ktoś rozpoznał w nas Karsytów i odmówił gościny?” Nie było to niemożliwe — lecz oznaczało wstęp do niemiłego incydentu, zanim jeszcze naprawdę zaczęli swoją misję!

— Obawiam się, że wszystkie miejsca zostały zajęte — powiedział przewodnik przepraszająco. Migotliwe światło latarni nie zdołało ukryć wyrazu gniewu i zmartwienia na jego twarzy. Karalowi opadły ręce, ale Ulrich wydawał się mało poruszony.

— Ten głupiec właściciel twierdzi, że pomylił dni, to nie wymówka, sprawdziłem rejestry, rzeczywiście wszystkie pokoje są zajęte. Podadzą wam posiłek, a ja rozejrzę się za innym miejscem do spędzenia nocy, jeśli zgodzicie się poczekać.

— Chyba nie mamy wyboru — odrzekł Ulrich, wzruszając ramionami. — Nie dojadę już dalej. Żadna podróż nie przebiega dokładnie według planu i nie możemy wymagać, by świat dostosował się do naszych potrzeb.

Rubryk skrzywił się, co w półmroku nadało jego twarzy niemiły wyraz.

— W tym wypadku powinien — odrzekł ze złością przeważającą nad zmartwieniem. — Specjalnie zatrzymałem się tutaj po drodze do granicy, żeby zarezerwować dla nas pokoje na dziś. Ja... zresztą, to nieważne. Udało mi się porządnie wystraszyć gospodarza i wyrzuciłem kilku gości z osobnej jadalni. Grali o nią w kości. Chłopiec was tam zaprowadzi i dopilnuje, żeby podano wam kolację, a ja spróbuję znaleźć coś innego.

Ulrich skinął głową z wdzięcznością i podał stajennemu wodze swego wierzchowca, po czym poprawił przygniecione szaty i ruszył za służącym do wnętrza, Karal za nim. Weszli do bardzo zatłoczonej izby ogólnej. Na każdej ławie siedzieli ludzie, stoły ugięły się pod ciężarem pełnych i pustych naczyń, podłoga lepiała się od rozlanych trunków. Ledwie starczało miejsca dla służby, prześlizgującej się w tłumie. Karal cieszył się, że nie tutaj będą jeść, gorąco, zaduch i mieszanina

zapachów obrzydziłaby mu najlepszy nawet posiłek. W dodatku panował hałas, lecz wszyscy mówili po valdemarsku, przez co czuł się jeszcze bardziej obco. Ze zmęczenia zapomniał niemal wszystko, czego się nauczył.

Służący przeprowadził ich przez komnatę do drzwi po przeciwnej stronie, szybko je otworzył i skinął na nich. Nawet gdyby próbował coś powiedzieć, i tak nie usłyszeliby go w hałasie. Ulrich wszedł pierwszy, za nim Karal, następując mu prawie na pięty.

W następnej jadalni panowała całkowita cisza, świadcząca o niezwyklej grubości murów dzielących obie izby. Było tu także chłodniej. Poza tym obie komnaty prawie się nie różniły. Na środku stał stół, a na nim puste kubki i rozrzucone kości do gry — pewnie Rubryk ją przerwał. Chłopiec szybko je zebrał i gestami pokazał gościom, żeby usiedli. Wydobył skądś czyste naczynia i dzban, nalał świeżego chłodnego piwa i wyszedł. Wrócił po chwili z dwiema dziewczynami dźwigającymi tace z jedzeniem. Karal był już tak głodny, że mógłby zjeść nawet kości dla psów, lecz nie musiał posuwać się aż tak daleko. Najwidoczniej gniew Rubryka wywarł na gospodarzu odpowiednie wrażenie, gdyż posiłek, który im podano, mógł zadowolić nawet smakosza — i to nie jednego, lecz z pół tuzina. Półmiski parowały, kiedy służący odkrywali je kolejno, z niepokojem oczekując na ocenę gości.

Karal ledwie się wstrzymywał, by nie rzucić się najedzenie. Zaczęli od rosółu, gęstego od jarzyn, a skończyli na placku jagodowym z bitą śmietaną. Karal nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo był głodny, dopóki nie zjadł ostatniego okruszka ciasta. Dopiero wtedy uniósł głowę znad talerza i stwierdził, że we dwójkę z Ulrichem zjedli niemal wszystko. A miało starczyć dla sześciu — przynajmniej tak Karal myślał na początku.

Najedzony, zwrócił uwagę na otoczenie i podążając za nieco ironicznym spojrzeniem mistrza, przyjrzał się komnacie.

W białych ścianach nie było okien — widocznie znajdowali się w samym środku budynku. Jednak światła nie brakowało, na stole stały zapalone świece, na ścianach wisały latarnie. W kominku nie rozpalono ognia, pewnie ze względu na ciepłą pogodę. Oprócz stołu i sześciu wysokich drewnianych krzeseł pod ścianami izby stały trzy sofy dziwnego kształtu — z oparciem tylko z jednej strony.

— Być może tej komnaty używa się także do innych celów niż gra w kości — zauważył Ulrich spokojnie, ciągle z ironicznym uśmiechem czającym się w kącikach ust. Karal spojrział na niego, nie rozumiejąc, potem zwrócił wzrok na leżanki. . . i zaczerwienił się gwałtownie. Pozbył się już naiwności dziewięcioletka, w klasztorze i u boku Ulricha dowiedział się zadziwiająco wiele o sprawach światowych, bynajmniej nie związanych ze służbą Vkandisowi. Tak, teraz wiedział, jakim jeszcze celom służyła ta izba.

Jednak łóżko to łóżko, a Rubryka ciągle nie było. Karal podniósł się, pchnięte do tyłu krzesło zaszurało po drewnianej podłodze.

— Chyba nikt nie zamierza nas niepokoić do powrotu Rubryka, mistrzu — rzekł, pokazując najbliższe łóżko. — Powinieneś chyba chwilę odpocząć. Ja zresztą też.

Ulrich uśmiechnął się szerzej i nieco sztywno wstał od stołu. Podszedł do kanapy wskazanej przez Karala, krzywił się trochę przy siadaniu, lecz zaraz ułożył się możliwie najwygodniej. Karal zaczekał, aż Ulrich się usadowi, i zajął drugą sofę. Poduszki okazały się miękkie, unoszący się z nich słaby aromat perfum potwierdził przypuszczenia co do przeznaczenia pokoiku. Nic dziwnego, że meble pokryto gładką skórą, o wiele łatwiejszą do czyszczenia niż płótno.

Karal nie zamierzał spędzić czasu oczekiwania na jednym z twardych krzeseł stojących przy stole, skoro miał pod ręką tak wygodne łóżko, czemukolwiek by ono służyło. Zresztą podczas ich pobytu beztroski gospodarz na pewno nie odważy się korzystać z tej sali. Karal niemal miał nadzieję, iż Rubryk nie znajdzie nic innego. Sofy, mimo iż nie całkiem nadające się do spania, były o niebo wygodniejsze niż podłoga, stóg siana czy trawa pod drzewem, a nawet niż dawne pośłanie Karala w klasztorze.

Choć bardzo zmęczony, Karal nie odważył się zasnąć. Byli tu sami i bez broni, a gospodarz nie miał powodu cieszyć się z ich obecności, niezależnie od tego, czy wiedział cokolwiek o ich pochodzeniu i misji, czy nie. Karal postanowił więc powtórzyć sobie valdemarskie słówka, włączając w to odmiany czasowników, w porządku alfabetycznym.

Dotarł dopiero do trzeciej litery, kiedy wrócił Rubryk. Jego wejście przebudziło Ulricha, który zapadł w drzemkę. Kapłan usiadł powoli, poruszał się bardziej sztywno niż przed snem. Karal zmarszczył brwi — to nie był dobry znak. Nie tylko dlatego, że zdradzał zmęczenie, ale także dlatego, że stawy dolegały Ulrichowi najbardziej przed zmianą pogody na gorsze.

— Mam raczej dobre wieści — zaczął Rubryk. — Znalazłem wspaniałe miejsce na nocleg, lecz nie wiem, czy się na nie zgodzicie. Wasz gospodarz... właściwie gospodyni... to tutejsza komendantka straży. Pochodzi z tej wsi, ma tu kwatery i zaoferowała nam gościnę.

Ulrich zastanawiał się przez chwilę, a Karal mrugając, próbował wyobrazić sobie kobietę w wojsku, w dodatku jako komendanta. W Karsie nie dopuszczano do służby wojskowej nawet kapłanek-uzdrowicielek, wojna to wyłącznie męskie zajęcie. Stare prawa uznawały kobiety przebierające się w męski strój lub podejmujące męską pracę za demony i nakazywały poddać je kontroli lub zniszczyć. Wzięte do niewoli kobiety-najemniczki czekał smutny los — Ulrich nigdy nie ukrywał tego przed swym sekretarzem. Dotychczas prawo karsyckie zabraniało kobiecie posiadania czegokolwiek na własność, wszelkie dobra, czy to ziemia, czy towary, mogły należeć jedynie do mężczyzn. Rdzennego Karsytę kobieta — komendantka straży szokowała podwójnie.

Z drugiej strony Solaris jasno dała do zrozumienia, iż dni starego prawa są

policzone. Vkandis udzielał jej poparcia w sposób jednoznaczny.

„Jeżeli zmiany będą kontynuowane, w końcu i my doczekamy się kobiet wojowniczek.” Nie wiadomo dlaczego, Karal nie uważał takiej możliwości za bardzo gorszą. Może ze zmęczenia.

A może przebywanie w otoczeniu Solaris nauczyło go, że lepiej nie lekceważyć możliwości i kompetencji kobiet.

— Jeśli nie przeszkodzimy komendantce w służbie, nie uważam, by jej gościnność mogła nas w jakikolwiek sposób obrażać — odezwał się wreszcie Ulrich. — Będzie mi bardzo miło ją poznać. Nigdy dotąd nie spotkałem kobiety-wojowniczkę, będzie to na pewno pouczające doświadczenie.

Ostrożnie wstał i wygładził szatę, Karal zerwał się, uświadamiając sobie, że mistrz przyjął zaproszenie nieznajomej.

— Wyjaśniłem jej, kim jesteście — dodał Rubryk. — I tak musiałyby wiedzieć, jako dowódca straży. Powiedziała na wasz temat coś podobnego, jak wy, panie.

— Nie wątpię — odrzekł sucho Ulrich, lecz poszedł za przewodnikiem przez izbę ogólną — równie hałaśliwą i zatłoczoną jak przedtem — w noc, Karal podążył za nimi.

Najwidoczniej ktoś zajął się ich wierzchowcami i umieścił je w stajni przy gospodzie lub wysłał przodem, Rubryk słusznie założył, że ani Ulrich, ani Karal nie są już w stanie wspiąć się na siodło. Poszli więc piechotą wzdłuż rzędu sklepików do dużego budynku przy końcu ulicy. Karalowi dwupiętrowe domy wydały się niespotykanie wysokie i wąskie, każdy miał na dole warsztat lub sklep, a wyżej część mieszkalną. Budynek, ku któremu szli, nie wyglądał na sklep, był także ze trzy razy szerszy od pozostałych. Choć nie dorównywał wielkością rezydencjom szlachty karsyckiej ani nawet gospodzie, w porównaniu z sąsiadami prezentował się okazale. Wchodziło się do niego wprost z wybrukowanej kocimi łbami ulicy, do drzwi prowadził tylko pojedynczy stopień. Na ścianie zawieszono zapalone pochodnie oświetlające drogę, a służący otworzył, zanim Rubryk zdążył zapukać. Zaprowadzono ich do wyłożonego drewnem pomieszczenia, przypominającego bardziej poczekalnię niż korytarz. Nie musieli jednak czekać, służący, zamknąwszy drzwi wejściowe, pokazał im, by szli za nim dalej, szerokim, białym przejściem. W głębi dojrzeli następne drzwi.

Karal oczekiwał buduaru lub saloniku, lecz pomieszczenie okazało się biurem bez żadnych „kobiecych” cech. Gospodyni pracowała za prostym drewnianym biurkiem, zarzuconym papierami. Służący, odprawiony skinieniem głowy, zsalutował i odszedł. Rubryk gestem zaprosił Karsytów do środka, wszedł za nimi i zamknął drzwi.

Kobieta odłożyła dokumenty i zmierzyła ich wzrokiem. Karal zaczerwienił się lekko pod jej pełnym aprobaty spojrzeniem, lecz Ulrich zdawał się rozbawiony. Po stroju gospodyni, pozbawionym dystynkcji, nie dało się odgadnąć jej wysokiej

rangi. Miała na sobie mundur straży, który już poznali — i tylko trochę więcej srebra niż zwykli strażnicy. Była to całkiem atrakcyjna kobieta w wieku trudnym do określenia, o twarzy zawsze urodziwej, niezależnie od upływu czasu, szczupła, zwinna i pewna siebie. Na pewno cieszyła się autorytetem u podwładnych, wiedziała, że dobrze wykonuje swoją pracę i nie starała się tego ukryć. Karal poczuł się onieśmielony, dotąd jedyną kobietą, która miała na niego taki wpływ, była Solaris, lecz valdemarska komendantka przewyższała Syna Słońca urodą, przez co onieśmielała go jeszcze bardziej. Karal cieszył się, że nie na nim skupia się uwaga gospodyni.

— Cóż — rzekła wolno, splatając dłonie. — Wiele razy spotykałam się z waszymi rodakami na polu bitwy, lordzie kapłanie, lecz nigdy — przy jednym stole. Mam nadzieję, że zrozumiecie, kiedy powiem, że uważam taką zmianę za wielki krok naprzód.

— Zgadzam się — odrzekł gładko Ulrich. — Jednak nie wszyscy mieszkańcy Valdemaru mogliby okazać takie zrozumienie. . . czy może zdolność wybaczenia?

— Hm. . . — Uśmiechnęła się i skinęła głową. — Nie wiem nic o waszym Vkandisie, kapłanie, lecz moi bogowie twierdzą, iż minione bitwy to przeszłość i nic więcej. Interesuję się trochę historią i lubię poznawać przyczyny wydarzeń. Mam nadzieję, iż pewnego dnia siądę z jednym z waszych historyków i wspólnie odkryjemy, co zaczęło tę bezsensowną wojnę. Teraz jednak. . . — machnęła ręką w kierunku drzwi, pokazując następny budynek — pozwólcie, abym przyczyniła się do umocnienia pokoju między Valdemarem i Karsem przez użyczenie wam gościny. — Zmarszczyła brwi, a potem wyrecytowała po karsycku, z trudem wymawiając wyrazy i mocno je akcentując: — Witajcie w mym domu, przy ogniu i w łożu. Ogień płonie, by was ogrzać, spiżarnia czeka, by was nakarmić, łóżka — byście znaleźli w nich odpoczynek. Podzielimy się chlebem i zostaniemy braćmi.

Karal zaniemówił. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał, to usłyszeć z ust valdemarskiej wojowniczką tradycyjne słowa pokoju, wypowiedziane przez Karsytów przy zawieraniu ugody między skłóconymi rodami!

Komendantka uśmiechnęła się szerzej, widząc jego zaskoczenie, lecz nic nie powiedziała.

Ulrich lepiej nad sobą zapanował, choć i jemu usta drgnęły w odruchu zaskoczenia.

— Dzięki za gościnność. Nasze ostrza są naostrzone, by was bronić, nasze konie mocne, by was unieść, nasze światła zapalone, by rozjaśnić wam drogę. Niech zapanuje pokój między nami i naszymi rodami — i do tradycyjnej odpowiedzi dodał: — a kiedy mówię „nasze rody”, rozumiem to słowo w jego najszerszym znaczeniu.

— Wiem — odparła. — Gdyby tak nie było, nie wypowiedziałabym błogosławieństwa. — Kiwnęła głową, jakby postawa Ulricha bardzo jej się spodobała. — Cóż, chyba wystarczająco długo trzymałam was tutaj jak rekrutów. Przebyli-

ście długą drogę, nie zamierzam opóźniać jeszcze bardziej waszego odpoczynku. W komnacie czeka was kąpiel i łóżka. Ordynans was zaprowadzi.

Służący ponownie otworzył drzwi, a komendantka kiwnęła im głową na pożegnanie.

Karalowi wydawało się, że prawdziwy dyplomata mógłby się poczuć urażony taką bezpośredniością, lecz nie miał już siły, by zachowywać się jak prawdziwy dyplomata.

„Ktoś, kto czuje się urażony, kiedy żołnierz zachowuje się jak żołnierz, jest głupcem. Nie, ona nie miała na myśli ani mniej, ani więcej niż to, co powiedziała.”

Podróżni poszli za służącym do następnego pomieszczenia, wyłożonego białymi płytkami, stały w nim dwie parujące wanny, jedna stanowiła stałe wyposażenie, drugą przyniesiono, by Karal nie musiał czekać na swoją kolejkę do kąpieli. Ulrich często dzielił łaźnię ze swym sekretarzem, więc i teraz bez chwili namysłu zrzucili obaj szaty i wskoczyli do wody. Służący zabrał ubrania i pokazał, że łóżka znajdują się w następnej komnacie.

Karal wymoczył obolałe mięśnie, a potem owinął się ręcznikiem i podążył za Ulrichem do sypialni. Na łóżkach przygotowano valdemarskie stroje do spania, Karal uznał to za miły gest. Odnaleźli bagaże, Karal wysmarował się balsamem i padł na posłanie. Kiedy tylko jego głowa dotknęła poduszki, poczuł, że pogrąża się we mgle, a potem zapanowała ciemność, z której dopiero rankiem wyrwał go służący.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po trzech dniach męczarni Karal zaczął się w końcu przyzwyczajać do tempa podróży i do przewodnika — Rubryk też wydawał się bardziej swobodny niż na początku i czwartego dnia zaczął odzywać się bezpośrednio do sekretarza, a nie, jak dotąd, tylko do Ulricha. Karal miał coraz lepsze zdanie o Rubryku, który okazał się prawdziwym uczonym. Znał cztery języki — oprócz własnego — i wiedział mnóstwo na temat geografii, rolnictwa i ekonomii swego kraju. Jego opowieści nie brzmiały jak przechwałki mające olśnić cudzoziemców.

To odkrycie jeszcze wzmogło ciekawość Karala. Kim był ten człowiek, sypiący wiadomościami jak z rękawa? Przecież nie nauczył się tyle tylko po to, żeby wyrzucić wrażenie na dwóch Karsytach!

Kiedy wyruszyli w drogę po nocy spędzonej w budynku straży, mając na sobie odświeżone przez służbę ubrania — pochmurne niebo zapowiadało deszcz. Cały dzień był ciemny i ponury, po południu chmury jeszcze zgęstniały i wiatr przybrał na sile. Wtedy Ulrichowi zaczęły mocno dolegać stawy, więc zatrzymali się wcześniej niż zwykle.

Stanęli znów przed gospodą, na podwórzu otoczonym z trzech stron ścianami budynku, z czwartej — stajnią, przez której środek przechodziła brama. W ten sposób na dziedzińcu nie docierały podmuchy wiatru. Ulrich zsiadł z grymasem bólu, Rubryk spytał, czy nie wezwać uzdrowiciela.

— Nie trzeba, chyba że wasz uzdrowiciel potrafi ująć mi trzydzieści lat — odrzekł Ulrich ze słabym uśmiechem. — To tylko wiek. Położę się do łóżka po porcji balsamu i, mam nadzieję, rano nieco się przejaśni, więc jutro nadrobimy dzisiejszy wczesny postój.

Jednak nie przejaśniło się, kiedy tylko Karal ulokował swego mistrza w łożu, zaczęło padać.

Ogólna izba w karczmie była prawie pusta, zła pogoda odstraszyła ludzi od spacerów. W kominku rozpalono jednak ogień, by ogrzać pomieszczenie, cała izba sprawiała dobre wrażenie — o pociemniałych od dymu i ze starości, drewnianych ścianach, z kolumnami podtrzymującymi strop, między którymi ustawiono w półkolu stoły i ławy, wypolerowane do połysku. Mżawka zamieniła się w burzę, Karal znalazł sobie miejsce przy oknie i zaczął obserwować błyskawice.

— Imponujące, prawda?

W szybie okiennej zobaczył odbicie Rubryka. Przewodnik uśmiechnął się, Karal odwzajemnił uśmiech.

— Może wolisz zostać sam? — zapytał Rubryk.

— Szczerze mówiąc, nie — odrzekł Karal. — Proszę, siadajcie, panie. Zawsze fascynowały mnie burze, w dzieciństwie wymykałem się na strych, żeby je obserwować.

— Niech zgadnę. Mówiłeś, że idziesz do stajni, żeby uspokoić konie — zaryzykował Rubryk i usiadł po drugiej stronie stołu. — Mój ojciec nigdy nie wierzył, kiedy mu to powtarzałem, lecz jego koniuszy stawał po mojej stronie i wymyślał całe historie, jak to chronił najcenniejsze sztuki przed skaleczeniem lub ucieczką w panice.

Po raz pierwszy Rubryk wspomniał swoją przeszłość. „Koniuszy jego ojca — to znaczy, że pochodzi z zamożnej, a może nawet szlacheckiej rodziny, a jego ojciec nie był zwykłym chłopem.”

— Mój ojciec nigdy nie miał nic przeciwko temu, w złą pogodę w karczmie nie ma tyle pracy. Ludzie zostają w domu, przy ogniu i piją własne piwo. Kiedy już przybyli ci, którzy próbowali podróży w czasie deszczu, można było liczyć na chwilę spokoju — przynajmniej do końca burzy. Wtedy my, chłopcy stajenni, mieliśmy wolne. — Teraz powiedział wszystko. Jeżeli Rubryk poczuje się urażony jego niskim urodzeniem. . .

— To chyba jedyny czas, kiedy nie mieliście zajęcia — odparł Rubryk z porozumiewawczym uśmiechem. — Zawsze szkoda mi mieszkańców wsi. W najlepszą pogodę nie mają odpoczynku, jak my, ale pracują trzy razy ciężiej, by obsłużyć tych, którzy cieszą się wolnym czasem. Pewnie przypatrywanie się burzy było dla ciebie wypoczynkiem — jedynym, jaki znałeś.

Karal zachichotał i rozjaśnił się cały.

— Tak naprawdę, nigdy o tym nie myślałem. Jeżeli lubi się konie, to nie jest źle. Ojciec nie wyróżniał mnie spośród innych stajennych, lecz był sprawiedliwy — spojrzął za okno. — Naprawdę nie poznałem ciężkiej pracy, nie zdążyłem do niej dorosnąć. Kapłani Słońca zabrali mnie, kiedy miałem dziewięć lat.

Rubryk popatrzył na Karala przez chwilę, potem odwrócił wzrok ku błyskawicom. Zapadła ciężka cisza, przewodnik chciał chyba zadać pytanie, które uważał za drażliwe i wahał się, czy może.

„Pewnie chce zapytać o nas” — pomyślał Karal. „O Kapłanów Słońca i Kars. To nietrudne. Ulrich wyjaśnił mi, co wolno powiedzieć, a czego nie. Nie mam powodu zbywać jego pytań, zwłaszcza jeżeli dotyczą spraw powszechnie znanych w Karsie. Zdaje się, że szukał pretekstu, by porozmawiać ze mną sam na sam, w nadziei, że okaże się mniej ostrożny niż Ulrich.” Sprężył się nieco. Będzie musiał uważać. Łatwo byłoby zaufać Rubrykowi i zbyt się otworzyć.

Przewodnik zakaszłał dyplomatycznie.

— Przy... przypuszczam, że zdajecie sobie sprawę z tego, co opowiadają w Valdemarze na temat wybierania dzieci przez karsyckich kapłanów i tego, co się później z nimi dzieje...

Karal westchnął i oparł podbródek na dłoni.

— Te historie na pewno nie są gorsze niż prawda — odezwał się w końcu.

Rubryk kiwnął głową i czekał na dalszy ciąg. Karal opowiedział o swym dzieciństwie, wyborze, życiu w klasztorze i pracy z Ulrichem. Wspomniał też o płomieniach — wtedy na twarzy Rubryka pojawił się dziwny wyraz, jakby słowa Karala potwierdzały coś strasznego, o czym już wcześniej wiedział.

— Wybrane dzieci odznaczają się zwykle inteligencją, która zmarnowałaby się w codziennym życiu ich rodzin — albo darem magii. Dużo później Ulrich powiedział, że mam obie te cechy, lecz dar magii to u mnie raczej potencjał niż zdolność snucia zaklęć. Nazwał mnie kanałem, lecz nigdy nie dowiedziałem się, co to właściwie znaczy. I tak przeraziła mnie możliwość, iż pewnego dnia moje zdolności wyjdą z ukrycia, jak u moich wujów, a wtedy przyjdzie Czarny Kapłan, żeby mnie oddać płomieniom. Jednak tak się nie stało... choć, w pewnym sensie, rzeczywiście przyszedł po mnie Czarny Kapłan.

Rubryk czekał na dalszy ciąg, Karal jednak zamilkł. Wreszcie poddał się.

— Co to znaczy?

Karal uśmiechnął się do siebie, teraz go zaskoczy.

— Ulrich należał do Czarnych Kapłanów, czyli zajmował się wyszukiwaniem demonów. Solaris jednak odebrała im przywileje, i od tej pory są zwykłymi kapłanami. Zlikwidowała też oczywiście stosy, przywracając ceremonii oczyszczenia jej pierwotny charakter. Ulrich i ja znaleźliśmy jej opis w jednej ze starych ksiąg. — Tym razem nie czekał na pytanie. — To rytuał inicjacji, przejścia w dorosłość: ci, którzy mają zostać dorosłymi, przynoszą ze sobą jakiś symbol dzieciństwa, by go spalić, na znak, iż są gotowi przyjąć na siebie obowiązki dorosłych. Według Ulricha ceremonie i święta łatwo nagiąć do własnych celów, gdyż zwykle opierają się na emocjach. Także ceremonie żniwne i rytuały plonów powracają do starych form.

Rubryk zamyślił się.

— Solaris wprowadziła wiele zmian, prawda?

— Z pewnością! Zresztą zwykle polegało to na zniesieniu „ulepszeń” wymyślonych przez żądnych władzy kapłanów — poprawił się Karal. Nie wiadomo dlaczego, chciał postawić sprawę jasno: Solaris nie była maniaczką opętaną myślą o rewolucji, jej działalność polegała głównie na przywróceniu dawnego, pierwotnego porządku rzeczy, nie wprowadzaniu nowości. — Ulrich nie wie dokładnie, jak dawno temu Kars zmienił się na gorsze, lecz trwa to przynajmniej od kilku stuleci. Zabrakło prawdziwych cudów, więc zastąpiono je sztuczkami. Pochodząca od Boga moc magiczna, która powinna zostać wykorzystana ku Jego chwale i pożytkowi Jego ludu, zamieniła się w źródło potęgi i bogactwa tylko dla kapłanów

i Świątyni. A Vkandis to prawdziwy, realny bóg, nie tylko wyobrażenie!

Rubryk uśmiechnął się, lecz bez złośliwości.

— Wiem.

Dziwne, lecz Karal mu uwierzył.

— Ulrich sądzi, iż początek epoki upadku wiąże się z powstaniem Czarnych Kapłanów. Oni stali za prześladowaniami i wykrzywieniem woli Vkandisa.

Błyskawica sięgnęła wierzchołka pobliskiego drzewa, Karal skurczył się, czując jednocześnie przyjemny dreszczyk emocji spływający wzdłuż kręgosłupa. „Wolę siedzieć tutaj niż na zewnątrz.”

— Powiedziałeś, zdaje się, że Ulrich był Czarnym Kapłanem — rzekł wolno Rubryk. — Jego suknie rzeczywiście są czarne.

— Był — przytaknął Karal. — Do jego obowiązków należało poszukiwanie demonów i wysyłanie ich przeciwko wrogom Karsu. Nie sprawiało mu to przyjemności, często ryzykował życie, odmawiając fabrykowania cudów. — Odwrócił się do Rubryka i spojrzał mu w oczy. — Wtajemniczył mnie we wszystkie sztuczki, jakie znał, bym nie dał się nabrać wysokim rangą kapłanom — rzekł poważnie. — To wystarczyłoby do wydania na niego wyroku śmierci, gdybym go zdradził. Niektóre sztuczki można było przejrzeć od razu, jeżeli się uważnie patrzyło — ale wiara ma wielką moc i kapłani długo oszukiwali tłumy.

Znów skierował uwagę na burzę. Rubryk mógłby dowiedzieć się jeszcze niejednego o Ulrichu, lecz nie od jego sekretarza.

„Jak mógłbym opowiedzieć mu o powrotach Ulricha z łowów na demony, zmęczonego i zmartwionego tym, iż pojęcie „wrogów Karsu” przybiera coraz szerszy zasięg? Nie, to nie ja powinienem o tym mówić. Nie chcę nadużywać zaufania mistrza, nie chcę nawet stwarzać takiego wrażenia.”

— Solaris to zmieniała — przerwał milczenie Rubryk. — Czy wtedy, kiedy stanęła na czele waszej religii?

Karal skinął głową i uśmiechnął się. Tę opowieść naprawdę lubił.

— To właśnie dlatego została Synem Słońca — przez cud, najprawdziwszy, nie udawany. Byłem tam i widziałem na własne oczy. Był także Ulrich, a on potrafi odróżnić prawdziwy przejaw woli Vkandisa od sztuczek. Chyba nie dałby się nikomu oszukać, ani iluzją, ani zřęcnością. Cała historia wydarzyła się w Dniu Odnowienia Ognia, przypadającym w środku zimy, kiedy w całym Karsie gaszono kominki i piece, by rozpałić nowy ogień od płomieni z ołtarzy Vkandisa. Powinno być zimno. . .

— To najdziwniejsze Święto Śródzimia, jakie pamiętam — powiedział wolno Karal. — Gorące — okropnie gorące i suche. Kapłani założyli letnie szaty na uroczystość rozpalenia ognia. Niebo nad miastem było czyste, lecz już trochę dalej wisały szare, ciężkie chmury — aż do horyzontu. Ulrich i ja staliśmy na przedzie procesji, a Solaris prawie obok nas — zamknął oczy, przypominając sobie tę chwilę, potem znów przemówił, starannie dobierając słowa, by jak najlepiej oddać na-

strój tamtych wydarzeń. — Kapłani i nowicjusze otaczali półkolem Wielki Ołtarz, promień słońca, zwany Promieniem Nadziei, przeniknął przez otwór w sklepieniu i powoli przesunął się w stronę stosu pachnącego drewna i kadzidła na ołtarzu. Za nim stała złota figura królującego Vkandisa, z Koroną Proroctwa na głowie, lśniąca jak samo słońce. Obok niej zajął miejsce Lastern, fałszywy Syn Słońca, gotów zapalić drewno za pomocą magii, jeżeli promień słoneczny nie wznieci ognia.

Rubryk skinął głową.

— Przypuszczam, że często postępowano w ten sposób?

Karal prychnął.

— Nigdy nie widziałem, by fałszywy Syn Słońca dokonał chociaż jednego prawdziwego cudu. Dar magii zaś miał tak słaby, iż wystarczyło go ledwie do rozpalenia ognia z bardzo suchego i żywicznego drewna. Jednak tego dnia nie dano mu szansy na nowe oszustwo. — Odwrócił się do przewodnika i ściszył głos jak zawodowy bajarz. — Wyobraźcie sobie: tłumy wiernych wypełniające świątynię, za ołtarzem lśniący posąg Vkandisa, a obok niego fałszywy Syn Słońca jak tłusty, czarny pająk. Procesja skończyła się w chwili, kiedy promień słońca dotarł do ołtarza, Solaris stała nie dalej niż pięć kroków od nas, patrzyła jednak nie na Syna Słońca, lecz na smugę światła, na jej twarzy widać było ekstazę.

„Czy nie zbyt górnolotnie? Chyba nie. . .”

— Większość wysokich rangą kapłanów wyglądała jednak na znudzonych, choć powinien to być ważny dla nich dzień, największe święto Vkandisa. Nie mogli się doczekać powrotu do klasztoru i czekającej ich uczyty. — Ulrich i wielu niższych kapłanów unikało jej ze wszystkich sił, gdyż dla będących w łaskach u Syna Słońca stawała się ona znakomitą okazją do wykazania swej przewagi. Ulrich nie lubił takich rozrywek — wolał spędzać swe rzadkie wolne chwile nad książką. — Smuga światła przesunęła się powoli na sam ołtarz, wtedy zaczął śpiewać chór dziecięcy. Widziałem, jak Syn Słońca przygotowuje się do rzucenia zaklęcia, gdyby samo słońce nie zapaliło drewna. Nagle, w chwili, kiedy promień miał dotknąć stosu na ołtarzu. . .

Niebo przecięła błyskawica, a gdy obaj zaskoczeni podskoczyli, zabrzmiał ogłuszający grzmot. Karal siedział przez chwilę oszołomiony, ciesząc się, że nie wyglądał akurat przez okno — nagły błysk oślepiłby go. Rubryk zaśmiał się nerwowo.

— Następnym razem uprzedzaj, gdy spróbujesz ubarwić opowieść podobną niespodzianką!

— To nie ja! — odparł Karal, jeszcze nie do końca przytomny. — Może powinienś spytać Vkandisa, czy nie rozszerzył obszaru swej władzy na Valdemar! Właśnie to zdarzyło się w świątyni — błyskawica uderzyła przez otwór w dachu, choć niebo było nadal bezchmurne i trafiła w fałszywego Syna Słońca, który po prostu zniknął.

Rubryk spojrział na niego z powątpiewaniem. Karal potrząsnął głową.

— Przysięgam, to prawda. Widziałem na własne oczy. Ulrich także. On potwierdzi moje słowa. Nie zostało nic prócz dymiących resztek szat i butów. Nigdy dotąd nie spotkałem się z czymś takim. Lecz to nie koniec cudów — zaledwie początek!

— Co dalej? — spytał Rubryk, nawet jeżeli nie do końca uwierzył, nie wątpił, iż Karal powtarzał wiernie to, co zobaczył.

— Kiedy oprzytomnieliśmy, zauważyliśmy inne zmiany. Kolumny świątyni odwróciły się do góry nogami — widać to było po rzeźbach. Później dowiedzieliśmy się, że w tej chwili znikły chmury w całym Karsie, a ogniska na ołtarzach zapłonęły i paliły się cały tydzień bez dodatkowego drewna.

Nie wspominał o pomniejszych cudach: dzieciach czekających na spalenie, które znikły z rąk Czarnych — odnaleziono je dużo później u ich rodzin, laskach kapłanów, niektóre rozsypały się w pył, inne wypuściły listki i zakwitły. „Ciekawe, że te, które spróchniały, należały do protegowanych fałszywego Syna Słońca i najzagorzalszych łowców demonów...” Sam Karal trzymał laskę Ulricha, pokrytą taką masą drobnych czerwonych kwiatów, że drewno ginęło pod nimi. Kwiaty kwitły tydzień, rozsiewając wokół upajający aromat. Ulrich i inni kapłani, których laski zakwitły, posadzili je w ogrodach świątyni, gdzie rozrosły się w krzewy i drzewka — żywe pamiątki dnia pełnego cudów.

— Lecz żadne z tych zdarzeń nie uczyniłoby Solaris Synem Słońca — ciągnął Karal. — Nigdy jeszcze kobieta nie została wybrana, sam pomysł wydawał się absurdalny. Nie, gdyby to było wszystko, kapłani zwołaliby naradę i wysunęli inną kandydaturę — kogoś może bardziej pobożnego, ale...

— Ale w istocie niewiele by się zmieniło — odpowiedział Rubryk z ironicznym skinieniem głowy. — W takim razie, co się stało?

— Jeszcze jeden cud. Ostatni i największy ze wszystkich. W świątyni zaległa cisza — wierni byli zbyt zaskoczeni, żeby krzyczeć lub choćby się ruszyć. Zanim ktokolwiek odzyskał przytomność umysłu na tyle, żeby się odezwać, złoty posąg Vkandisa ożył. — Karal zamknął oczy, przypominając sobie tę chwilę, by jak najlepiej ją opisać. — Figura poruszała się zupełnie jak człowiek. Najpierw Vkandis rozejrzał się wokół, potem wolno zszedł z niszy za ołtarzem. To przekonało mnie ostatecznie, iż nie był to mechanizm. Patrzyłem na niego i myślałem, jak bardzo przypomina człowieka: pod skórą napinały się mięśnie, kiedy szedł obok ołtarza, aż stanął przed Solaris. Ona spojrzała na niego z tym samym zachwytem na twarzy, podczas gdy większość kapłanów mamrotała pod nosem rachunek sumienia.

Szczerze mówiąc, wyglądało to zabawnie. Nie wiadomo, dlaczego Karalowi nie przyszło do głowy bać się wyobrażenia — bo tym przecież był posąg. Solaris, Ulrich i kilku innych zdawało się pogrążonych w transie. Twarz figury miała surowy wyraz — jak zwykle zresztą — lecz w oczach migotały iskierki rozbawienia, a na ustach błąkał się cień uśmiechu, jakby Vkandis też śmiał się w duchu z przerażonych kapłanów.

— Posąg zdjął z głowy Koronę Proroctwa, która w jego rękach zmaląła — teraz pasowała na głowę człowieka. Wtedy figura pochyliła się i włożyła koronę na głowę Solaris.

Oczy posągu i oczy kapłanki spotkały się, coś między nimi zaszło. Karal nie wiedział co — i wolał się nie dowiadywać. „Nie jestem jeszcze gotowy spotkać się z Vkanisem. Wystarczy mi wspólne z Ulrichem poznawanie *Obrządku* i wertowanie starych ksiąg. Nie chcę przyciągać Jego uwagi.”

— Posąg wrócił na postument za ołtarzem i w tej samej chwili drewno buchnęło tak wysokim płomieniem, iż wyglądało jak następna błyskawica. Kiedy ogień nieco zmalął, zobaczyliśmy znów niszę, a w niej posąg — taki jak zwykle. Jednak już bez korony — koronę miała na głowie Solaris.

— Jesteś pewny, że to nie sztuczka? — nie dowierzał Rubryk.

Karal potwierdził.

— Absolutnie. Nie była to iluzja, gdyż wówczas skąd wzięłaby się korona u Solaris? Nie mechanizm, ponieważ żadna maszyna nie poruszałaby się tak, jak wtedy figura. Poza tym — w jaki sposób mechanizm mógłby zmniejszyć koronę na oczach wszystkich? Ulrich twierdzi, że to nie magia — rozpoznałby ją od razu. Choć już nie poluje na demony, pozostał jednym z najpotężniejszych magów wśród kapłanów. Nikt z nas nie widział nigdy Solaris rzucającej zaklęcia, przedtem czy potem, z wyjątkiem przywoływania demonów, które należało do jej obowiązków — ona też nosiła czarne szaty. Według Ulricha żaden mag nie umiałby przywołać takiej błyskawicy, ożywić posągu, zapalić pierwszego ognia i pozostać żywym. Nawet gdyby Solaris lub ktoś z jej zwolenników zdołał tego dokonać za pomocą magii, jak mogłaby zdjąć z posągu koronę i zmniejszyć ją? Korona to nie zwyczajny klejnot nałożony na posąg, ale część rzeźby, odlana razem z nią. Specjalnie tak zrobiono, by uniemożliwić kradzież.

— Hm... — Rubryk wpatrywał się w ścianę deszczu na zewnątrz. Karal obserwował go z uwagą, próbując odgadnąć jego myśli. — Cóż — rzekł wreszcie bardzo wolno. — Powiedziałbym, że nie wierzę w cuda, gdybym nie widział ich na własne oczy — niezbyt imponujące w porównaniu z wędrującymi posągami czy kurczącą się koroną, lecz absolutnie wiarygodnych. — Przerwał, wydawał się niezwykle starannie dobierać słowa. — Bogini Sokolich Braci także bezpośrednio wpływa na życie swych wyznawców. Dlaczego nie miałby tego robić Pan Słońca?

Karal ostrożnie przytaknął, niepewny, czy powinien akceptować porównywanie Vkanisa z obcym bóstwem — lecz według słów Rubryka ta bogini także potrafiła dokonywać cudów.

W najdalszej przeszłości Vkanis miał także partnerkę-boginię, lecz pamięć o niej dawno zaginęła. Czy kapłani z dawnych czasów słusznie zarzucili jej kult? Zaczęło mu się mącić w głowie.

— Bogini? — powtórzył słabo. — Jaka bogini?

Rubryk zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Ta cała teologia przerasta możliwości pojmowania prostego człowieka, takiego jak ja. Pozwól, że zamówię kolację, a ty opowiedz, co Solaris zrobiła, kiedy już miała koronę, dobrze?

Karal zgodził się chętnie. Rubryk przywołał służącą. Dziewczyna obrzuciła sekretarza spojrzeniem, pod którym zarumienił się i pożałował, że dzieli komnatę z mistrzem. W końcu był tylko nowicjuszem, nie złożył jeszcze ślubów...

Rubryk widocznie złożył zamówienie wcześniej, gdyż już po chwili podano im posiłek. Żołądek Karala podskoczył na zapach smażonej kiełbasy i pasztetu. Nie znał tego dania, jak i kuchni valdemarskiej, lecz wyglądało ono apetycznie. Karal mógłby w tej chwili zjeść wszystko, łącznie z talerzem.

Rubryk bez zwłoki zabrał się do jedzenia.

— Co w takim razie — odezwał się — zrobiła potem Solaris?

— Oczywiście nie było mowy o wybraniu kogokolwiek innego na Syna Słońca — odrzekł Karal, przetykając kiełbasę. Kolacja okazała się wspaniała, a przyprawy nie różniły się zbyt od tych używanych w Karsie. — Każdy, kto mógłby protestować, widział cud na własne oczy i bał się, żeby nie trafił go kolejny piorun. Na miejscu potwierdzono wybór Solaris, nadając jej rangę Białej Kapłanki — koronę już miała — a służba uprzątnęła pozostałości po fałszywym Synu Słońca i popioły z zeszłorocznego ogniska. Następnego dnia Solaris zwołała radę i oznajmiła, iż od tej chwili zmienia się rola Czarnych Kapłanów. Zachowali oni swą rangę, ale mają teraz takie same obowiązki, jak Czerwoni. Zabroniono polowania na demony, a teksty mówiące o sposobach ich przywoływania spalono.

— Niezły początek, chociaż zwykle nie popieram palenia książek — zauważył Rubryk. — Jednak zniszczenie czegoś tak związanego z poprzednimi rządami zamiast palenia niewinnych ludzi to dobre posunięcie na zapoczątkowanie panowania.

Karal z entuzjazmem kiwnął głową i przerwał opowieść oddając się jedzeniu. Po chwili ciągnął:

— Powiedziała, że od pewnego czasu miewała wizje, a wydarzenie w świątyni tylko potwierdziło ich pochodzenie od Vkandisa. Podobno przekazał jej, iż *Obrządek* nie zgadza się z odwiecznym kultem ani z prawdą.

— Cóż innego miałyby powiedzieć — stwierdził sucho Rubryk. — Jeżeli chce zdobyć autorytet, musi od początku potrząsnąć Świątynią, od pierwszego dnia.

Karal przygryzł wargę, powstrzymując się od ostrego komentarza. Zamiast tego zajął się znów jedzeniem. Kimkolwiek była Solaris, nie można by nazwać jej politykiem. Owszem, rozumiała zasady rządzenia, lecz tylko po to, żeby brać je pod uwagę w swej działalności. Jeżeli reguły polityki nie zgadzały się z zasadami jej postępowania, po prostu ignorowała.

— W pierwszym tygodniu dokonała kilku zmian — odezwał się po chwili. — Lecz potem, kiedy razem z Ulrichem studiowaliśmy stare księgi, odkryliśmy, iż tylko przywróciła zapomniane i wykrzywione rytuały. „Pan Słońca to bóg życia,

nie zniszczenia — rzekła. — Jego płomienie są życiodajne jak promienie słoneczne, nie służą do zabierania życia dzieciom.” Ogłosiła koniec ceremonii oczyszczenia, takiej jaką znaleźliśmy. Święto Dzieci miało odąd stać się okazją do sprawdzenia ich mocy oraz inteligencji, ale żadne dziecko nie może teraz zostać zabrane siłą od rodziców. Mogą one przyjść do świątyni za zgodą ich rodzin i z własnej woli. — Uśmiechnął się sarkastycznie, widząc podniesione brwi Rubryka. — Zauważyła, że dla biednych, wielodzietnych rodzin wiadomość, iż klasztor da dziecku utrzymanie i wykształcenie, będzie stanowiło zachętę do spróbowania. Ja sam jadłem w klasztorze lepiej niż kiedykolwiek w domu, a miałem mniej pracy. Teraz zdarza się podobno na odwrót: dzieci płaczą, kiedy nie zostaną wybrane.

— Aha — stwierdził Rubryk. — Jak to mówią w Valdemarze: pokazujecie jabłko zamiast kija.

— Właśnie. — Karal skończył mięso i popił piwem. — Dzieci przebywające w klasztorze oraz nowicjusze mają prawo do kontaktu z domem i jednej wizyty rocznie, tak samo, jak rekruci w armii. Lecz to postanowiono później, nie był to nowy zwyczaj, po prostu przywrócono dawne porządki.

— Dawne porządki... — Rubryk kończył w zamyśleniu jedzenie. — Ale w jaki sposób poznała te „stare porządki”? Przez wizję?

Karal zaśmiał się.

— Ależ nie! Wyznaczyła kilku spośród swych przyjaciół — nawiasem mówiąc, w większości Czarnych Kapłanów — aby przeszukali archiwa.

— Nie kończ. — Rubryk uniósł dłoń. — Sama spędzała wolny czas w archiwach, prawda? Wiem już, że jest uczona i zna języki. To dlatego wiedziała, iż stare rytuały nie zgadzają się z teraźniejszym... jak wy to nazywacie?

— *Obrządkiem*. — Karal wzruszył ramionami. — Możliwe, ale czy to ważne? Wiedziała o starych zapiskach, jak później stwierdziliśmy, potwierdzały one to, czego dokonała. Ulrich był jednym z wyznaczonych do pracy w archiwach, a ja mu pomagałem jako sekretarz.

Służąca przyszła zabrać puste talerze i napełnić kubki, przyniosła także deser z owoców i sera. Rubryk milczał, kiedy dziewczyna krzątała się po komnacie. Zaczął starannie kroić jabłko.

— W Valdemarze nic o tym nie wiadano — odezwał się wreszcie. — Słyszeliśmy o niepokojach, a potem nagle na czele Karsu stanęła kobieta. Przez następny rok czy dwa nie docierały do nas żadne wieści. — Spojrzał znad jabłka na Karala. — Czy istnieje związek pomiędzy Solaris a kobietą zwaną się „prorokinią Vkandisa” sprzed jakichś dziesięciu, piętnastu lat? Tą, która została dowódcą armii i znalazła się blisko pogńębienia Menmellithu?

Karal wstrząsnął głową.

— Nie — i szczerze mówiąc, od czasów tej kobiety nie mamy prawdziwej Korony Proroctwa. Znikła razem z prorokinią.

Nie widział sensu zagłębiania się w tę historię, była zbyt skomplikowana. A jeżeli Rubryk nie znał tej jej części, w której tak znaczącą rolę odegrała Talia, jego rodaczka przecież — nie był tak dobrze poinformowany, jak Karal sądził.

Przewodnik w zamyśleniu gryzł jabłko.

— Trudno mi sobie wyobrazić, że reszta waszych kapłanów po prostu pochyliła głowy i pozwoliła Solaris rządzić, jak się jej podoba.

„Oczywiście, że nie” — pomyślał Karal, ale nie odezwał się. Ulrich zalecił mu milczenie na ten temat. Nowe reguły wprowadzone przez Solaris spotkały się z gwałtownym sprzeciwem — nie tylko kapłanów zresztą. Mnóstwo ludzi w Karsie popierało uprzednie porządki. Szlachetnie urodzonym nie spodobała się ingerencja kapłanów w sfery dotąd podległe tylko ich władzy, uważane przez nich niemal już za własność. Dotąd istniało milczące porozumienie: Świątynia przykrywała oko na pewne nadużycia, jeżeli ofiarowano jej odpowiednio cenne dary, korzystali na tym kapłani równie znieprawieni, jak niektórzy bogacze. Solaris zakończyła ten proceder, jak i handel niewolnikami, rynek środków odurzających i inne ukryte źródła dochodów, dotąd tolerowane. Nie przysporzyła sobie przyjaciół w pewnych częściach kraju. Kapłani i ich protegowani, pozbawieni dawnej władzy wraz z obniżeniem statusu Czarnych, pozbawieni prawa tropienia demonów nie wzbudzali już strachu. Nie mieli powodów, by czuć wdzięczność wobec Solaris.

Niektórzy mieszkańcy granicy wręcz pragnęli powrotu łowców demonów. Błąkające się po nocy złe duchy odstraszały bandytów. Dzielne napady łatwiej odeprzeć i obronić się przed nimi. Mieszkańcy pogranicza bali się Hardorneńczyków, Valdemarczyków i Rethwellańczyków, demony trzymały ich dotąd w bezpiecznej odległości od wiosek.

Pierwsze dwa lata rządów Solaris nie były łatwe, kapłanka musiała stoczyć niejedną cichą bitwę z rozlicznymi przeciwnikami. Jednak Karal nie zamierzał wtajemniczać w to wszystko Rubryka. Jeżeli valdemarscy wywiadowcy nie zdołali tego odkryć, tym gorzej dla nich. Jeżeli zaś nikt nie pofatygował się powiadomić o tym Rubryka, Karal nie uważał tego za swój obowiązek.

— W takim razie, w pewnej chwili po przejęciu tronu po ojcu Ancar uznał Kars za łatwą zdobycz, tak? — Rubryk zwrócił rozmowę na temat mniej kłopotliwy.

Karal wzruszył ramionami.

— Tak przypuszczam. Nigdy nie rozmawiałem z kimś z Hardornu. Uciekinierzy przeszli przez waszą granicę. Prawdopodobnie nie chcieli spotkać demonów, nie wiedzieli, bo i skąd, że już ich nie ma. Wiem tyle, że nagle mieliśmy na granicy armię gotową do najazdu. Solaris umie dobierać dowódców, lecz oni okazali się nie dość potężni — wojownicy Ancara wydawali się mało... ludzcy.

— Nie byli już ludźmi — odrzekł Rubryk, wyrazem twarzy dając do zrozumienia, że nie chce więcej mówić na ten temat. Cóż, w takim razie obaj mieli

swoje sekrety.

— Powinieneś znać dalszy ciąg — ciągnął Karal. — Solaris wycofała się do Wieży Słońca i wróciła z nową decyzją samego Vkandisa.

— Rozejm z Valdemarem. — Rubryk raczej stwierdził, niż zapytał.

Karal kiwnął głową.

„Gdyby sytuacja nie wyglądała tak źle, kariera Solaris skończyłaby się w tej chwili. Jednak armia i magowie Ancara dokonali tylu zbrodni, że nawet jej najzawziętsi wrogowie przyznali jej rację.” Nie istniała w Karsie rodzina nie dotknięta skutkami wojny z Ancarem. Tortury i gwałty nie wyczerpywały listy okrucieństw.

Rubryk potrząsnął głową, jakby czemuś się dziwił.

— Wiesz, kiedy dotarła do nas wiadomość z Karsu i upewniliśmy się, że Solaris nie knuje zdrady, dla wielu z nas brzmiało to jak zapowiedź końca świata. Rozejm z Karsem — to szaleństwo. Większość ludzi nie wierzyła, że potrwa on długo.

Szybka zmiana na twarzy przewodnika dała Karalowi do zrozumienia, że on też tak uważał.

— Pewnie twoich rodaków nie uszczęśliwiła ta nowina, zwłaszcza żołnierzy.

Rubryk skrzywił się.

— Kiedy wasi kapłani-magowie przyszli na północ i pomogli pokonać armię Ancara, przekonali nawet najbardziej opornych, że zamierzacie dotrzymać warunków pokoju. Wtedy większość z nas pogodziła się z sytuacją. Jednakże niektórzy do dziś nie mogą jej zaakceptować. W ciągu krótkiego czasu tyle zmieniło się w samym Valdemarze i poza jego granicami, iż ludzie są oszołomieni.

Karal westchnął i przyłapał się na ziewnięciu. Która godzina?

— Pewnie to samo można powiedzieć o nas — odparł. — Z wyjątkiem dwóch grup.

Rubryk podniósł pytająco brwi.

— Mam na myśli tych, którzy bez zastrzeżeń popierają Solaris, jak Ulrich, po prostu dlatego, iż jest ona Synem Słońca i została wybrana przez samego Vkandisa, a druga grupa to ci, którzy byli zbyt młodzi, by walczyć z Valdemarem. Oni nie pamiętają was z pola bitwy, nie muszą pokonywać starych uprzedzeń. W pewnym wieku świat każdego dnia wydaje się stworzony na nowo.

— Hm — Rubryk zastanawiał się chwilę, może zauważył, że Karal nie powiedział, do której grupy sam się zalicza, potem wyciągnął się na krześle. — Tą optymistyczną uwagą proponuję zakończyć naszą rozmowę i poszukać ciepłego łóżka.

„Optymistyczna? Może... jeżeli stare przesady zginą, a nowe pokolenie zdoła przełamać barierę niezrozumienia.”

— Dobry pomysł — zgodził się Karal. — Wybacz mi nadzieję, że zła pogoda powstrzyma nas przed zbyt wczesnym wyruszeniem w drogę!

Rubryk tylko się roześmiał.

— Niczego nie obiecuję — odpowiedział. — Ale jeśli to burza wywołana przez magów — a tak przypuszczam — powinna skończyć się najpóźniej około północy.

Karal westchnął.

Ulrich nie spał, kiedy Karal dotarł do komnaty. Wysłuchał szczegółowej relacji sekretarza, nie przerywając słowem. W końcu skinął głową.

— Świetnie sobie poradziłeś — rzekł. — Powiedziłeś to, co powinien wiedzieć — a może, mając świadectwo naocznego świadka, przekaże swym zwierzchnikom opowieść o cudach bardziej wiarygodnie, nie tylko jako plotkę.

Karal przeciągnął się.

— Mistrzu, muszę ci powiedzieć, że chociaż bardzo lubię naszego przewodnika, nie chciałbym jeszcze raz odbyć takiej rozmowy. Jest bardzo dobry, bardzo subtelny. Gdyby to od niego zależało, mógłby wydobyć ze mnie o wiele więcej, niż zamierzałem mu powiedzieć. Prawdopodobnie czekał na okazję wypytania mnie w cztery oczy. Teraz wie tyle, ile powinien, lecz jeszcze trochę, a wyjawiałbym za dużo lub powiedział coś, co mógłby źle zrozumieć.

Ulrich zastanawiał się chwilę, wpatrzony w ogień na kominku.

— Chyba masz rację — odezwał się wreszcie. — Nieprzypadkowo zaczął cię pytać wtedy, kiedy mnie nie było w pobliżu. Następna taka rozmowa powinna odbyć się w mojej obecności.

Karal odetchnął z ulgą. Tak mocno skupiał się na mówieniu prawdy — lecz nie całej — że dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest spięty. Będzie musiał przypomnieć sobie wszystkie ćwiczenia rozluźniające, by móc zasnąć.

Rubryk postępował bardzo subtelnie — a Karal, choć instynktownie, wyczuł to i odpowiednio zareagował. Między kapłanami „subtelny” znaczyło często „niebezpieczny”. Zawsze znaczyło zaś, że nie wolno lekceważyć takiego przeciwnika.

Jednak kiedy Karal zdmuchnął świecę i położył się do łóżka, pomyślał, że chce, aby w tym przypadku „subtelny” nie znaczyło także „zdradziecki”.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Niestety, Rubryk nie pomylił się w ocenie pogody. Pukanie do drzwi w porze absolutnie nieprawdopodobnej dowodziło, że burza skończyła się jeszcze przed świtem, jeżeli nie wcześniej. Karal z jękiem wygrzebał się z ciepłego kokonu koca, widok śniadania przyniesionego przez służącego, który ich obudził, tylko trochę go pocieszył. Tym razem mieli zjeść prawdziwy posiłek, a nie, jak dotąd, sam chleb.

„Mogę wyjść na spotkanie dnia” — zdecydował po śniadaniu, złożonym z jajek na szynce, ciepłego pieczywa i miodu oraz piwa do popicia. Szybko przełykane posiłki w siodle nie wystarczały na długo i głód dawał mu się we znaki jeszcze przed następnym postojem.

— Nasz przewodnik chyba zapomniał, ile jedzenia potrzebuje młody człowiek — zauważył Ulrich, obserwując z uśmiechem, jak sekretarz kończy resztę posiłku za swego mistrza. — Przypomnę mu o tym.

— Dzięki, mistrzu — odrzekł Karal z prawdziwą wdzięcznością. — To nie świadczy o braku rozsądku, ale...

— Ale pewnie od wieku, w którym zjada się tyle, ile się waży, dzieli go tyle lat, ile mnie — dokończył Ulrich. — Łatwo zapomnieć.

Karal tylko się uśmiechnął i umył ręce oblepione miodem. Jeżeli miał jakąś słabość, były to słodycze. „Co oznacza, że nie powinienem szukać posady uczonego, gdyż niedługo zacząłbym przypominać poduszkę Vkandisa.”

— Czy jesteś pewien, że możesz jechać, mistrzu? — zapytał z niepokojem. Ulrich poruszał się powoli i ostrożnie — jego stawy jeszcze nie pozbyły się sztywności. Karal nie tylko wypełniał swój obowiązek wobec opiekuna, miał także rozkazy Solaris, żeby dbać o jego zdrowie podczas pobytu w Valdemarze. Jednak Ulrich o tym nie wiedział. Najwyższa Kapłanka wezwała Karala do siebie tuż przed wyjazdem i kazała mu obiecać, że otoczy mistrza troskliwą opieką. Jedno takie spotkanie, kiedy uwaga Solaris koncentrowała się tylko na nim, wystarczyło Karalowi w zupełności. Wydawało mu się, że oko samego Vkandisa nie mogłoby spoglądać z większą siłą niż oczy jego ziemskiej przedstawicielki. Wolałby nie znaleźć się w sytuacji, kiedy musiałby donieść o chorobie Ulricha.

— Będę żył — powiedział kapłan, wzdychając. Po chwili uśmiechnął się sła-

bo. — Nie martw się, Karalu. Bóle stawów nie są niebezpieczne.

Jednak Karal nadal patrzył na niego ze zmartwieniem wypisanym na twarzy. Ulrich skrzywił się.

— Obiecuję, że jeżeli będę potrzebował odpoczynku, poproszę o jednodniowy postój. Wystarczy?

— Musi — odrzekł sekretarz, starając się wyglądać tak surowo, jak jego nauczyciele, kiedy próbował kręcić. — Pewnie nic bardziej rozsądnego nie uda mi się od was wydostać.

Ulrich podniósł brew.

— Nie naśladuj Opheli, dziecko. Nie pasuje to ani do twego wieku, ani charakteru.

Tak skarcony, Karal zaczerwienił się i szybko przeniósł uwagę na bagaże. Co prawda nie mieli wiele do pakowania — większość rzeczy potrzebnych na dworze, lecz zbędnych w podróży wysłali przodem, z karawaną kupiecką. Ulrich nie chciał ściągać uwagi postronnych wielką ilością tobołów. Bagaże i wozy oznaczały konieczność zbrojnej straży, a straż towarzyszy zwykle komuś ważnemu — czyli pojawiłyby się te same kłopoty, co ze zbyt dużą eskortą.

Na przeprosiny, lecz i z oznakami buntu, Karal spakował zarówno swoje rzeczy, jak i mistrza, zanim Ulrich zdołał do nich podejść. Kapłan podniósł brwi jeszcze wyżej na tę aluzję, iż jest zbyt słaby, by dać sobie radę.

Karal zarzucił sobie paczki na ramię i poszedł za mistrzem na podwórze gospody.

Jak zwykle Rubryk czekał na nich w szarym świetle przedświt, tym razem już usadowiony w siodle. Karal przywiązał bagaże Trenerowi i Pszczółce, po czym szybko się odwrócił, by spojrzeć, jak radzi sobie Ulrich z wsiadaniem. Nie miał dużych trudności. Może Karal zareagował zbyt nerwowo. „A może naprawdę nie mam ochoty stanąć przed Solaris, przyznając się do nieostrożności. Lepiej dmuchać na zimne.”

Ujechali kilka staj, kiedy Rubryk zrównał swego wierzchowca z Pszczółką, dając jednocześnie znak Karalowi, by pozostał przy nich.

— Ostatniego wieczoru odbyłem z twym młodym sekretarzem interesującą rozmowę — zaczął.

— Wiem — odrzekł Ulrich. — Słyszałem.

— Tak przypuszczałem — uśmiechnął się Rubryk. — Dobrze wybraliście, ty i twoja władczyni. Powiedział mi dokładnie tyle, ile mu pozwolono — prawdę, ale nie mniej i nie więcej niż trzeba.

Ulrich roześmiał się w głos.

— A teraz, kiedy twój apetyt na nowiny został podrażniony, przychodzisz do mnie po więcej, niż on mógł ci wyjawić, w nadziei, że mam nieco szersze uprawnienia. Wiesz także, iż młody Karal nie powiedziałby ci nic, gdybyśmy nie zamierzali skierować cię potem do mnie.

Rubryk uklonił się w siodle.

— Teraz, kiedy obaj przyznaliśmy, że jesteśmy zbyt sprytni na dyplomatyczne półprawdy, czy mógłbyś mi wyjawić, jak Karsyci zareagowali na wieść o przymierzu z Valdemarem, zwłaszcza kiedy pozbyliśmy się Ancara? Opuść wszystko, czego nie wolno ci ujawniać.

— Tak uczynię — odrzekł kapłan uprzejmie, po czym skinął głową, jakby do siebie, i jechał przez chwilę w milczeniu, pogrążony w myślach. Ciszę przerywał jedynie stukot kopyt.

— Wielu mieszkańców Karsu nie wierzyło, by pokój potrwał długo, a co niektórzy — choć nie większość — uważali od początku pomysł przymierza za chybiony. Jednakże wtedy pojawiła się armia Imperium, wtargnęła do Hardornu i skierowała się wyraźnie przeciw Karsowi i Valdemarowi.

— Rzeczywiście, nie najmilsza niespodzianka — zgodził się Rubryk bez uśmiechu.

Niebo na wschodzie zabarwiło się nieznacznie: zapowiedź wspaniałego wschodu słońca, ale także niełatwej podróży, w Karsie pełen kolorów wschód uznawano za oznakę nadciągających burz. Przekroczenie granicy Valdemaru nie zmieniło chyba praw rządzących przyrodą.

— Oczywiście, wiedzieliśmy o Imperium, lecz chyba nie więcej od was — rzekł Ulrich po chwili. — Niektórzy odrzucili wieści o rozmiarach i sile armii, biorąc je za plotki, wyolbrzymione strachem. A jednak wojsko okazało się liczniejsze niż najbardziej zawyżone szacunki. Nagle nic nas nie dzieliło i Imperium stanęło przed nami jak potwór gotów pożreć cały nasz kraj. Nie mieliśmy jak go powstrzymać — mogliśmy jedynie uciec się do Vkandisa i niepewnego sojuszu z Valdemarem.

— Pewnie od tej chwili Valdemar awansował na prawdziwego sprzymierzeńca — wtrącił Rubryk z lekkim sarkazmem, za który trudno go było winić.

— Istniała jeszcze druga strona medalu, choć pewnie o niej nie wiedzieliście — powiedział Ulrich po następnej chwili zastanowienia. — Chodzi o to, w jaki sposób zagrożenie nową wojną wpłynęło na pozycję Jej Świątobliwości w kraju.

Kapłan skinął głową do sekretarza, Karal nie zdołał się oprzeć zaproszeniu do rozmowy.

— Cały czas Solaris mówiła o ostrzeżeniach Vkandisa, dotyczących wielkiego niebezpieczeństwa — odezwał się z dumą. — Z wyjątkiem Ulricha i paru kapłanów mało kto jej uwierzył, choć była już wtedy Synem Słońca.

Zatrzymał się w obawie, żeby nie powiedzieć za dużo. Ulrich jednakże rzucił mu spojrzenie pełne aprobaty, nie nagany.

— Właśnie tak. Teraz udowodniła wartość swych przepowiedni. Nikt nie zdołałby przewidzieć, że Imperium zainteresuje się Hardornem. Od tej pory nikt w Karsie nie ośmieli się wątpić w jej słowa.

Cóż, nawet jeżeli nie była to cała prawda. . .

— Ludzie są oszołomieni — zakończył Ulrich. — Trudno im zaakceptować od razu wprowadzone przez Solaris zmiany, jednak tylko ona wie, jak uratować kraj — i większość z nas już w to uwierzyła. Jeżeli jej rozkazy — czyli rozkazy samego Vkandisa — nie zostaną wykonane, Kars upadnie. Nadeszły trudne czasy dla zwykłych mieszkańców Karsu, jednak dla tych, którzy zaufali Solaris, to czas spełnienia nadziei.

— Ciekawe — odparł Rubryk. — Mam nadzieję, że nie weźmiecie mi za złe, jeżeli przemyślę to sobie?

— Proszę bardzo — odrzekł Ulrich z cieniem uśmiechu. — Być może przyjdzie ci to z równą trudnością, jak niejednemu Karsycie.

Rubryk rzucił mu dziwne spojrzenie, lecz nie odpowiedział. Karal czuł, że słowa posła dały przewodnikowi do myślenia, Rubryk chyba wreszcie uwierzył, iż Solaris różni się od swych żądnych władzy poprzedników. Valdemar prawdopodobnie uznałby nawet fałszywego Syna Słońca, żeby zakończyć wojnę — Karal nie był tak naiwny, by tego nie wiedzieć. Lecz władca rzeczywiście popierany przez boga to coś zupełnie innego. Dotąd Rubryk zdawał się traktować Vkandisa jako marionetkę wykorzystywaną przez kapłanów do ich własnych celów — inna możliwość chyba nie przyszła mu na myśl i teraz potrzebował czasu, by się do niej przyzwyczaić.

„Punkt dla nas” — pomyślał Karal z satysfakcją.

Rubryk miał jeszcze wiele pytań, lecz już nie dotyczących polityki — interesował go raczej sam Ulrich. Po jakimś czasie Karal odgadł powody tego zainteresowania, przewodnik chciał poznać karsyckiego posła i dowiedzieć się, jakie uprawnienia nadała mu Solaris.

Choć Rubryk nie dał po sobie poznać, co sądzi o Ulrichu, Karal wyczuwał, że jest zadowolony — i zaskoczony. Widocznie nie oczekiwał kogoś takiego. Kogo się więc spodziewał? Śliskiego zawodowego polityka, zajętego tylko powiększaniem własnej potęgi, jak poprzedni Syn Słońca? Ascety, jak Ophela, ślepego i głuchego na wszystko oprócz Boga i Karsu?

Przez cały ranek pochmurne niebo groziło deszczem, gdy zatrzymali się na południowy posiłek, zdali sobie sprawę, iż jadą prosto w następną burzę. Tym razem przewodnik znalazł dużą gospodę, goście nie zwrócili uwagi na dwóch czarno odzianych podróżnych i biel Rubryka. Większość z nich zbyt się śpieszyła, by tracić czas na zaspokojenie ciekawości. Podczas gdy Karal i Ulrich kończyli posiłek, Rubryk wyszedł na podwórze, przyjrzał się chmurom, a potem długą chwilę wpatrywał się w głowę swego konia. Wreszcie dał znak stajennemu, by odprowadził wierzchowce i wrócił do gospody.

— Nie ma sensu jechać dziś dalej — rzekł rozdrażniony. — Burza nas dopadnie, zanim dotrzemy na nocleg. Szkoda, że Elspeth nie ma kilku więcej magów-

-heroldów. Ta magiczna pogoda wydaje się pogarszać, nie poprawiać.

— Nie wiem, jak u was, lecz w magii czasem sytuacja musi się pogorszyć, zanim się poprawi — odparł Ulrich ostrożnie.

— Nie to chciałbym usłyszeć — zaśmiał się krótko Rubryk i odwrócił, by spojrzeć jeszcze raz na gęstniejące chmury. Potrząsnął głową, nawet dla Karala było oczywiste, że zaraz może rozpętać się piekło. — Miałem nadzieję nadrobić trochę drogi. . .

— Nie dzisiaj, przyjacielu — powiedział Ulrich. — Jeżeli nie zostaniemy tutaj, i tak musielibyśmy się wkrótce zatrzymać. Moje stare kości nie nadają się już do podróży w taką pogodę.

Karal zaczął w duchu wiwatować. Ulrich wreszcie pomyślał o sobie!

Rubryk rozejrzał się w poszukiwaniu gospodarza.

— Lepiej od razu zamówię pokoje. Przynajmniej wyprzedzimy innych gości.

Wrócił po chwili w lepszym nastroju, w tym czasie chłopiec stajenny przyniósł bagaże.

— Chyba wam się tu spodoba. Przynajmniej zadość uczynię wam za tego głupca, który sprzedał nasze miejsca na poprzednim noclegu — powiedział. — Zamieszkamy w chatce bardów.

Małymi drzwiami w tyle budynku wyszli na zewnątrz — Karal dziwił się trochę, gdyż takich wejść używała tylko służba i zwykle w nocy — a potem, zadaszoną alejką, do małego, stojącego osobno domu. Prawdopodobnie miała to być wiejska chata, lecz żaden chłop nie postawiłby czegoś takiego. Domek wyglądał jak zabawka — kolorowo pomalowany i starannie, zbyt starannie, wykończony, kosztował chyba więcej niż trzy prawdziwe wiejskie chaty. „To raczej pomysł bogacza, który chciał mieć t'chłopską Ą chałupę” — zdecydował Karal, oglądając rzeźby, kwiaty w oknach i świeżo pomalowane ściany.

— Zwykle jest zajęta — rzekł Rubryk z satysfakcją. — Zawsze znajdzie się ktoś, kogo stać na opłacenie sobie srebrem prawa do prywatności. Każdy z nas dostanie osobną sypialnię — łóżka zadowolilyby nawet koronowane głowy — własną łazienkę i salonik, a kolację przyniosą z gospody. Jeżeli mamy przeczekać burzę, to w nie najgorszy sposób.

Komnaty okazały się niewielkie, lecz łóżka tak wygodne, jak obiecano, Karal miał dziwne uczucie, że znalazł się w domku dla lalek — jednak był to bardzo wygodny dom. Dobrze się nadawał na dłuższy pobyt, zwłaszcza dla trzech dorosłych, nie znających się nawzajem.

Zanim zdążyli się odświeżyć po podróży, Karal przyznał rację Rubrykowi. Pobyt zapowiadał się całkiem przyjemnie. Kiedy wreszcie wyszedł z kąpieli, poczuł zapach jedzenia. Podążył za nim do salonu, służący z gospody właśnie zastawiał stół. Ulrich roześmiał się na widok miny swego sekretarza.

— Nasz gospodarz ma zapewne kilku młodzieńców w twoim wieku — zauważył. — Kucharz zatroszczył się o nas, zanim zdążyłem poprosić Rubryka o prze-

kaskę dla siebie.

Rubryk odwrócił się na krzesło.

— Mistrz przypomniał mi, że w twoim wieku jest się zwykle głodnym, a ja przekazałem to gospodarzowi. Umie pojąć aluzję.

Karal wszedł do komnaty i zajął trzecie krzesło przy kominku. Wtedy rozpętała się burza: uderzenie gromu wstrząsnęło domem, o dach zabębnił deszcz. Karal cieszył się, że nie wyruszyli dalej. Przez małe okienka nie mógł obserwować błyskawic — musiało mu wystarczyć słuchanie grzmotów i coraz większej ulewy. Mógł za to patrzeć w ogień na kominku. Miło byłoby spędzić tu kilka dni, gdyby burza się przedłużyła. Ulrich mógłby odpocząć, a on zabrać się do papierów, których nie miał okazji przestudiować. „Z pewnością Rubryk nie zgodzi się czekać tak długo” — pomyślał, słuchając jednym uchem rozmowy. „Chce odstawić nas do Przystani jak najszybciej. Dlaczego tak się spieszy?”

Tym razem Ulrich zaczął zadawać Rubrykowi osobiste pytania. Przewodnik odpowiadał bez niechęci, chociaż dotąd nie okazywał zbytnej wylewności. Może nabrał zaufania do Ulricha nie tylko jako posła, lecz także jako człowieka.

Kapłan właśnie spytał Rubryka, kiedy i gdzie został ranny. Karal przestał przysłuchiwać się szumowi deszczu i skierował całą uwagę na rozmowę.

— To... interesujące pytanie — odrzekł Rubryk ostrożnie.

— Wybacz natręctwo, lecz widząc świeżą bliznę, nie mogłem się oprzeć myśli, iż stało się to w czasie wojny z Ancarem — rzekł szczerze Ulrich. — Może właśnie dlatego ty zostałeś naszym przewodnikiem — nie ktoś inny. Zastanawiałem się także, czy ta historia ma coś wspólnego z twoją doskonałą znajomością karsyckiego.

— To nie natręctwo, wolę szczerze pytanie niż domysły. Wyobraź sobie, że twoje przypuszczenia są słuszne: rana istotnie wiąże się z tym, że zostałem waszym przewodnikiem i znam karsycki — odparł Rubryk, przyjrzawszy się posłowi, jakby chciał odgadnąć ukryte motywy jego ciekawości. — To się stało w chwili, kiedy próbowałem osłaniać kapłana Vkandisa.

Ulrich skinął głową.

— Rzeczywiście, wiedziałeś o nas trochę za dużo — zauważył, podnosząc do ust kubek z herbatą. — Więcej, niż można by wyjaśnić znajomością z pewnym zbrojmistrzem, jak obaj wiemy, pracującym dla twej królowej.

— Zgadza, się — odrzekł Rubryk z krzywym uśmiechem. — Twojego współwyznawcy nie uszczęśliwiła perspektywa wspólnej ze mną podróży. Nie winię go, mnie także nie podobało się początkowo takie zajęcie. Zawarliśmy rodzaj porozumienia, ale nie zaufaliśmy sobie do końca.

„Dlaczego mnie to nie dziwi?” — pomyślał Karal ironicznie.

Rubryk zamknął na chwilę oczy i odstawił kubek.

— Przez kilka potyczek przeszliśmy szczęśliwie, lecz potem napotkaliśmy oddział Ancara z kilkoma magami — i to wprawnymi w swym rzemiośle. Kapłan

zgodził się osłaniać nasze tyły w czasie odwrotu — co wymagało niemałej odwagi — a ja miałem go pilnować, kiedy snuł zakłęcie. W chwili, kiedy zaczął jakąś skomplikowaną sztuczkę i nie mógł się poruszyć. . .

— Wpadł w trans — podpowiedział Ulrich. — Wielu młodych kapłanów nie potrafi posługiwać się magią bez wprowadzania się w trans.

Rubryk zakaszłał i napił się herbaty.

— Właśnie. Linia wojsk oddaliła się i nikt nie zauważył, że zostaliśmy w tyle. Skoro miałem strzec kapłana, cóż, zostałem z nim.

— I?

Przewodnik znów zakaszłał.

— Ich było kilku, a nas tylko dwóch: Laylan i ja. Potrafię walczyć, lecz nie dorównuję Kerowyn. Jakiś osiłek przedarł się do kapłana, ja upadłem — w tej chwili czar zaczął działać, a ktoś z naszych zorientował się, że nie dołączyliśmy do grupy i wrócił po nas.

Ulrich przekrzywił głowę.

— Magiczny błysk? Narobił pewnie dużo szkody?

Mimo ciepła bijącego od ognia Rubryk zdrzął.

— Wolałbym nie znaleźć się więcej w takim położeniu. Kapłan został przy mnie do przybycia pomocy. Kiedy tylko dotarliśmy do obozu, ściągnął uzdrowiciela — Karsytę, gdyż nikt z naszych nie mógł sobie poradzić z moją raną. Później się dowiedziałem, że tylko dzięki niemu przeżyłem, a wszystko skończyło się na sztywnej nodze. Wasz uzdrowiciel okazał się dobrym człowiekiem, traktował mnie jak Karsytę. Kapłan nie tylko podziękował mi, kiedy się obudziłem, ale od-tąd zachowywał się, jakby wierzył w nasze przymierze. Moje zdanie o was także nieco się zmieniło.

Ulrich dolał sobie herbaty i kiwnął głową.

— Jak i jego sąd o Valdemarze. — Rubryk zachichotał.

— Może nie zostaliśmy przyjaciółmi na śmierć i życie, ale nasze stosunki mocno się ociepliły. Dziwił się, że biały demon narażał dla niego życie, a jego bestia strzegła nas obu.

Karał zbladł. Biały demon? Rubryk?

Ulrich skrzywił się.

— Myślę, że w takim razie wyszło wam to na dobre, mimo ryzyka.

— Wolałbym jednak, żeby nie przytrafiło się to akurat mnie — westchnął Rubryk. — Cóż, życie herolda nie jest łatwe. Kończąc: zostałem waszym przewodnikiem zamiast kogoś w rodzaju. . . na przykład Elspeth. Zaimponował mi sposób, w jaki tamten dumny młodzik zmienił poglądy na mój temat — a także postępowanie uzdrowiciela. Dlatego poprosiłem o zadanie wymagające kontaktu z kapłanami Słońca. Chciałem, by prowadził was ktoś, kto uzna was przynajmniej za istoty ludzkie.

„Herold? Biały demon?” Rubryk to herold. Biały demon. A piękny koń, przedmiot podziwu Karala, to wcale nie koń.

Oszołomiony Karal wpatrzył się w płomienie. Dobrze, że nic nie trzymał, gdyż z pewnością by to upuścił. Nawet nie zauważył, kiedy Rubryk wyszedł z komnaty, by przynieść coś z gospody.

— Synu, wyglądasz, jakby ktoś cię uderzył — zauważył Ulrich. — Czy wszystko w porządku?

Karal wstał nieco chwiejnie i popatrzył na mistrza, czując dreszcze przebiegające po plecach.

— Czy nie słyszałeś, panie, co on powiedział? To jeden z nich! Demon! Ten. . .

— Wiem, wiem — odrzekł Ulrich, ziewając. — Od początku się domyślałem. Gdyby nawet nie zdradził go strój pod tytułem „tu jestem, strzelaj”, to bez wątpienia zrobiłby to jego Towarzysz.

— I nic nie powiedziałaś! — wybuchnął Karal, czując się zdradzony.

— Myślałem, że wiesz — powiedział Ulrich z nutą nagany w głosie. — Jesteśmy w Valdemarze, jesteśmy posłami Jej Świątobliwości, a heroldowie to najważniejsi przedstawiciele królowej, jedyni. Powierza się im zadania wymagające taktu i dyskrecji. Zawsze nazywaliśmy ich białymi demonami. To brzmi logicznie, prawda?

Karal wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Jednak przepraszam — rzekł Ulrich po chwili. — Masz rację, powinienem cię uprzedzić. Nic dziwnego, że go nie rozpoznałeś, w końcu znasz heroldów tylko z niewiarygodnych opisów w kronikach.

— Ale. . . — zaczął Karal niepewnie. — On. . .

— . . . jest tym samym człowiekiem, co kilka chwil temu, zanim zdałeś sobie sprawę z jego pozycji w Valdemarze — powiedział z naciskiem Ulrich, popijając herbatę. — Nie zmienił się. Ty też nie. Zmienił się jedynie sposób, w jaki go widzisz. To inna sprawa.

Karal łapał oddech.

— Ale. . .

— Czy jada dzieci na śniadanie? — zapytał Ulrich z lekkim uśmieszkiem.

Karal musiał zaprzeczyć.

— Nie, jednak. . .

— Czy on lub jego koń zioną ogniem albo zostawiają czarne wypalone ślady w ziemi? — ciągnął Ulrich ubawiony.

Karalowi nie było wesoło.

— Nie, lecz. . .

— Czy kiedykolwiek zachowywał się w stosunku do nas nieuprzejmie?

— Nie — odparł słabo Karal. — Ale. . . — Opadł z powrotem na krzesło. — Nie rozumiem. . .

Ulrich podał sekretarzowi herbatę.

— Dziecko — rzekł miękko — on słyszał o nas takie same zmyślane historie. Problem w tym. . . boję się, że opowieści o nas częściowo pokrywały się z prawdą. My rzeczywiście mieliśmy stosy. Naprawdę kazaliśmy demonom robić straszne rzeczy, często poświęcając niewinnych ludzi. A jednak Rubryk potrafi wyzbyć się uprzedzeń na tyle, żeby nie obwiniać za to nas obu. O czym to świadczy?

— To ten sam człowiek, co rano — odrzekł w końcu Karal z trudem. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do tej myśli. Nie mógł jednak zaprzeczyć prawdziwości słów mistrza.

— Więc zapomnij o tym i dalej ciesz się jego towarzystwem — doradził Ulrich, rozsiadając się wygodniej. — Ja tak zrobię. Szczerze mówiąc, po tym, co dziś usłyszeliśmy, jestem skłonny uwierzyć, że to taki herold, jakiego przedstawiała mi Solaris. Ona nie uważa ich za demony.

„Ale. . .” — Karal nie potrafił jeszcze zebrać myśli, więc wpatrywał się w parującą herbatę, jakby spodziewał się znaleźć w niej odpowiedź. Ulrich miał słuszność: nic się nie zmieniło z powodu jednego słowa. Herold. W końcu nie jest to straszna nazwa. Słowo jak inne. Karala w swoim czasie też nazywano różnymi imionami.

„I wcale się przez to nie zmieniłem.”

Samo słowo „herold” nie oznacza nic okropnego. Zresztą — to tylko słowo. Ulrich miał rację: Karal nigdy w życiu nie widział białego de. . . to jest herolda — a opisy w kronikach brzmiały raczej dziecinnie, jak złożone z kawałków opowieści, którymi matki straszą niegrzeczne pociechy. Dołożono tylko biały strój — nie schludny uniform, jak Rubryka, ale postrzępione łachmany. Mimo że większość opowieści na temat wcześniejszych wrogów okazała się nieprawdą, Karal podświadomie wciąż oczekiwał demonów.

„Jeżeli chcesz, by twego wroga znienawidzono, najpierw odbierz mu człowieczeństwo. . .” Czy Ulrich to powiedział czy Solaris? Ktokolwiek wyrzekł te słowa, nie pomylił się. Dlatego kroniki przedstawiały heroldów jako bestie, nie ludzi. Stworzyły własne wyobrażenie, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. „Kiedy już heroldów zaczęto widzieć jako określoną kategorię stworzeń — nawet nie ludzi — fanatycy z łatwością przelali na nich swoją nienawiść.”

Dotąd Karal nie uważał siebie za fanatyka, lecz teraz zrozumiał, że musi się nad tym zastanowić. . .

— Chyba pójdę. . . pomyśleć — powiedział do Ulricha wpatzonego w ogień na kominku.

Kapłan machnął leniwie ręką.

— Idź. Przyda ci się chwila refleksji. Przeżyłeś szok i musisz się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Z pewnością wrócisz na posiłek, twój nos cię tu sprowadzi, jeżeli nie wyprzedzi go żołądek.

Karal wycofał się do swej komnaty, zastanawiając się, dlaczego wszystko tak

się poplątało — i jak ma sobie z tym poradzić.

Zanim Karal zdążył skończyć swoje przemyślenia, nadeszła pora kolacji, którą zjadł w milczeniu, nie włączając się do rozmowy. Ulrich i Rubryk gawędzili beztrosko, jakby nic się nie stało, chociaż Rubryk zapytał z niepokojem, czy Karal dobrze się czuje.

— Błado wyglądasz — zauważył, kiedy Karal kończył posiłek. — Jeżeli coś się dzieje, powiedz mi. To duże miasto i z pewnością mają tu prawdziwych uzdrowicieli, nawet kapłanów-uzdrowicieli, może także jakiś odłam waszej Świątyni Pana Słońca. . .

— Właśnie miałem o to spytać — wtrącił Ulrich. — Ale za chwilę.

— To nic wielkiego, mówiłem już mistrzowi — powiedział szybko Karal, korzystając z podsunętej wymówki tłumaczącej jego niezbyt uprzejme zachowanie. — Boli mnie głowa. Myślę, że pójdę do siebie i spróbuję zasnąć.

Po czym wstał i wyszedł, zanim Rubryk zdołał się odezwać. Obiad ciążył mu w żołądku jak kula zimnej gliny, pewnie był wspaniały, lecz Karal w pośpiechu nawet nie zauważył, co połyka.

Przez pół nocy leżał bezsennie, wpatrując się w sufit, nasłuchując szmeru rozmowy, zagłuszanej deszczem. Nie słyszał dokładnie, co mówili — i chyba nie chciał. Czy kiedykolwiek będzie mógł traktować Rubryka tak, jak przedtem?

Miękkie, wygodne łóżce i jednostajny szum deszczu sprowadziły wreszcie sen, rano zaś wszelkie wątpliwości wydały się śmieszne i pozbawione sensu. Karal leżał jeszcze chwilę po przebudzeniu, zastanawiając się, co go właściwie tak przerażało poprzedniego wieczora. Ulrich miał rację: Rubryk to wciąż ten sam człowiek, heroldowie zaś, tacy, jakimi ich przedstawiały karsyckie opowieści, po prostu nie mogli istnieć. W końcu wiele prawd odwiecznych, objawionych rzekomo przez samego Vkandisa, Solaris zdemaskowała jako kłamstwo. Dlaczegoż by więc fałszywi Synowie Słońca mieli mówić prawdę o heroldach?

Wstał i poszedł do świetlicy. Zastał tam Ulricha — w doskonałym humorze, więc stawy chyba przestały mu dokuczać. Przez szeroko otwarte drzwi i okna wpadał ciepły, świeży wietrzyk, na stole czekało śniadanie — a Rubryk się nie pojawił.

Burza minęła jeszcze przed świtem, poranek wstał rześki i pogodny, przyjemnie było oddychać czystym powietrzem. Rubryk nie wysłał służby, by ich obudzić — pozwolił im spać do wschodu słońca i dłużej. Po posiłku spotkali przewodnika na podwórzu gospody, pod błękitnym niebem bez jednej chmurki.

— Jak tam głowa? Lepiej? — spytał Rubryk, kiedy stajenny podprowadził Trenora i przytrzymał go, czekając, aż Karal wsiądzie.

— Dziękuję, w porządku — zdołał odpowiedzieć sekretarz, uśmiechając się.

— To dobrze. W taką magiczną pogodę sam cierpię na bóle głowy. Mówią, że

to powszechna dolegliwość wśród ludzi obdarzonych Darem — spojrzął wyczekująco na Karala, lecz ten wzruszył ramionami, nie wiedząc, o co chodzi.

— Ale jak wyjaśnić moje biedne obolałe stawy? — wtrącił Ulrich ze słabym uśmiechem. — Z pewnością nie odczytuję myśli za pomocą kolan!

Rubryk zaśmiał się serdecznie.

— Dobrze pytanie! Powołując się na to, co ludzie powiadają, nie należy zbytnio im wierzyć.

Z tymi słowami przewodnik wyprowadził ich na drogę, kierując się na północ.

Wyglądało to na szczęśliwy początek podróży i po pewnym czasie Karalowi udało się pozbyć wątpliwości. Rubryk i Ulrich musieli jeszcze długo w noc rozmawiać i chyba spodobał się sobie nawzajem, gdyż teraz zachowywali się jak para prawdziwych przyjaciół.

Dziwne — Karal nigdy nie słyszał, by Ulrich zaprzyjaźnił się z kimkolwiek w Karsie. Teraz zaś jechał obok valdemarskiego herolda ze swobodą, z jaką nigdy się nie zachowywał. „Ulrich szanował Rubryka od początku — od razu zawiązało się między nimi... jak to nazwać? Porozumienie? Coś w tym rodzaju. Podobnie szanowałyby... na przykład oficera, kogoś budzącego respekt, inteligentnego — z kim znalazłby wspólny język. A jednak to coś innego, nie wiem, na czym polega różnica, ale na pewno jest. Mistrz wydaje się bardziej otwarty, szczęśliwszy, nawet jego głos brzmi cieplej niż zwykle.”

Rubryk starał się wciągnąć do pogawędki również Karala — i udało mu się. W miarę upływu czasu sekretarz ze zdziwieniem przekonał się, że obecność herolda wpływa na niego uspokajająco. Rubryk przypominał mu teraz wujka, którego w dzieciństwie uwielbiał, jeżdżącego z kupieckimi karawanami, zawsze sypiącego ciekawymi opowieściami. Przewodnik także nabrał ochoty na rozmowę, gdyż zaczął opisywać cudzoziemców, z którymi zetkną się karsyccy posłowie w Przystani, na dworze królewskim. W innych okolicznościach Karal nie uwierzyłby w ani jedno słowo, lecz Rubryk nie miał powodu kłamać, zresztą, wkrótce i tak by go zdemaskowali. Jeżeli jednak mówił prawdę — niektórzy goście królowej wcale nie przypominali ludzi!

Ulrich nie wyglądał na zaskoczonego, kiedy Rubryk opowiedział im o kilku najdziwniejszych istotach. Sokoli Bracia — białowłosi, w fantastycznych kostiumach, z ptakami dorównującymi inteligencją ludziom — byli wystarczająco dziwni, żeby Karalowi zaparło dech — lecz potem Rubryk wspominał o gryfach: Treywanie, Hydonie i ich dwojgu dzieciach. To wtedy Karal uwierzył, że Rubryk jednak nie koloryzuje — chyba nie warto zagłębiać się w aż takie detale, jeżeli chce się oszukać dwóch laików, dorosłe gryfy wystarczyłyby w zupełności.

— Ostrzegano mnie — odezwał się Ulrich, kiedy Rubryk skończył. — Kilku naszych kapłanów spotkało się z tymi gryfami, również pewna młoda dama dostała od nich lekcję... hm...

— Współpracy? — podsunął z uśmiechem Rubryk.

— Myślałem raczej o pokorze, lecz tak też można to nazwać — odparł Ulrich z błyskiem w oku. — Karalu, ty ją pamiętasz, razem się uczyliście. To Giselle.

Karal otworzył szeroko usta. Giselle? Pokora? To z pewnością do niej nie pasowało! Była najbardziej dumną wysoko urodzoną wiedźmą, jaką znał. Nic nie mogło sprawić, żeby zapomniała o swym pochodzeniu i wysoko postawionych krewnych.

Rubryk zaśmiał się głośno, jego oczy rozpromieniły się.

— Gryf może przegryźć cię na pół i pociąć nogi na kawałki, kiedy druga połowa ciała będzie się przyglądać. Jeżeli powie, że masz polubić towarzystwo syna świniopasa, szybko nauczysz się pokory.

— Jeżeli Giselle się to uda, ja uwierzę w gryfy — stwierdził Karal, wywołując następny wybuch śmiechu, tym razem podwójny.

— Gryfy są tak samo prawdziwe, jak mój Towarzysz Laylan — zapewnił Rubryk. — I równie daleko im do potworów.

To stwierdzenie na nowo obudziło czujność Karala, odsuwając na bok wątpliwości dotyczące Rubryka-herolda. Koń — a raczej Towarzysz. Karsyckie legendy obfitowały także w szczegóły dotyczące wierzchowców heroldów. Teraz wreszcie niezwykle zachowanie konia znalazło wyjaśnienie. Laylan to nie koń. „Gryfy nie są potworami bardziej niż on — tak mówi Rubryk. Lecz to nie tylko czarodziejski koń, nie można go także porównać do ptaków Sokolich Braci. W takim razie kim lub czym on jest, jeśli nie koniem?”

Nie odważył się jeszcze zadać tego pytania, lecz drażniło go ono jak ugryzienie komara, którego nie wolno drapać. Laylan chyba się tego domyślał, ponieważ często odwracał się, by spojrzeć na Karala. Teraz sekretarz widział to, czego przedtem, uważając Towarzysza za zwierzę, nie dostrzegał. Wierzchowiec obserwował go, obserwował Ulricha i zdawał się brać udział w rozmowie, chociaż nie mówił. Wreszcie Karal nie wytrzymał.

— Panie...? Czym... kim on jest?

Rubryk zamrugał zaskoczony.

— Najlepsze określenie to chyba: duch opiekuńczy w śmiertelnym ciele — rzekł, odwracając się w siodle i mrużąc oczy porażone blaskiem słońca. — Przypominają nieco gryfy, lecz w odróżnieniu od nich związują się z heroldami, żeby im pomagać w służbie krajowi. Sądzimy, że przybrały postać koni, gdyż dzięki temu nie rzucają się w oczy.

— Ach! — wykrzyknął Ulrich z zadowoleniem, obaj odwrócili się do niego. — To najlepsze wyjaśnienie, jakie słyszałem, nigdy dotąd nie mogłem się dowiedzieć, dlaczego Towarzysze zdecydowały się na taką postać. Wydaje się niezbyt... wygodna.

Rubryk i Laylan prychnęli równocześnie.

— Powiedz to, kiedy zobaczysz go w pełnej gotowości! To kilka pudów mięśni i bardzo twarde kopyta, przyjacielu — a zapewniam cię, że wie doskonale, jak

ich używać! Wolałbym w bitwie mieć przy boku jego niż dwudziestu zbrojnych — przechylił głowę na bok i dodał: — Z drugiej strony to dziwne, że w Karsie nie ma nikogo w rodzaju Towarzyszy, skoro Vkandis tak. . .

Zaczerwienił się i nie dokończył, Ulrich zachichotał.

— Tak się wtrąca w nasze życie? Nie przepraszaj, nawet Jej Świątobliwość pozwala sobie czasem na takie komentarze. W rzeczywistości jednak Vkandis może objawiać kapłanom — którzy najbardziej przypominają heroldów — swą wolę na dwa sposoby. Niestety, jeden z nich bardzo łatwo sfalszować.

I Ulrich spojrział wyczekująco na sekretarza.

— Głos Płomieni? — zapytał Karal z zainteresowaniem. Kapłan skinął głową.

— Zgadza się, dobrze pamiętasz moje nauki. — Odwrócił się z powrotem do herolda. — Głos Płomieni to ognisty krąg, pojawia się nad głową kapłana i mówi jego ustami. To chyba najczęstszy sposób objawienia woli Vkandisa. Ponieważ zaś wśród kapłanów bardzo często spotyka się magów, domyślasz się, jak łatwo go podrobić.

Rubryk wykrzywił twarz.

— Towarzysza nie da się w żaden sposób podrobić. . .

— Co ciekawe — wpadł mu w słowo Ulrich — według tradycji istniał jeszcze jeden — niemożliwy do sfalszowania — sposób objawiania woli Vkandisa: ogniste koty. Nie pojawiały się od tak dawna, że zaczęto je uważać za mit — przynajmniej do niedawna. Wydaje mi się, że one bardzo przypominają Towarzyszy.

— Ogniste koty? Nie słyszałem. . .

— Chyba nikt spoza Karsu ich nie zna — wtrącił Karal. — Właściwie dopóki jeden z nich nie pojawił się z Solaris, większość z nas także w nie nie wierzyła!

— Kot? — Głos Rubryka brzmiał sceptycznie. — Jak może zwyczajny kot. . .

— Nie bardziej zwyczajny niż Laylan, przyjacielu — odrzekł Ulrich. — Po pierwsze kolor — ogniste koty mają wyjątkowe ubarwienie: kremowe, z rudymi uszami, pyskiem i ogonem. I jak Towarzysze mają błękitne oczy. Są też o wiele większe od kota — no i potrafią mówić.

— Mówić? — Rubryk przez moment wydawał się zaskoczony. — Zaraz — chodzi o myślmowę?

— Tak, przekazywanie myśli — zgodził się Ulrich. — Mogą przemówić do każdego. Towarzysze porozumiewają się chyba tylko ze swym heroldem?

Rubryk kiwnął głową.

— Ogniste koty pojawiały się w czasach wyjątkowo trudnych dla Karsu, by służyć radą nie tylko Synom Słońca, ale także innym ważnym osobistościom — ciągnął Ulrich. — Dawno temu Synowi Słońca zawsze towarzyszył jeden, a czasem dwa koty — wzruszył ramionami. — Przestały się ukazywać mniej więcej wtedy, kiedy zaczęły się ceremonie oczyszczenia, według mnie od tej pory nie objawił się również prawdziwy Głos Płomieni, przynajmniej w stolicy i największych miastach. Do niedawna.

Rubryk wyprostował się w siodle.

— Czy masz na myśli...

— Sam widziałem Solaris rozmawiającą z czymś, co uważam za autentyczny Głos — powiedział Ulrich. — Co ważniejsze, Solaris ma ognistego kota, zwanego Hansa — jest to imię jednego z najważniejszych Synów Słońca z dawnych czasów, imię, którego nawet demon nie ośmieli się wspomnieć bezkarnie. Hansa pojawił się krótko po tym, jak Vkandis zniszczył fałszywego Syna Słońca. — Ulrich pokiwał głową, widząc, że Rubryk zaczyna kojarzyć fakty. — To wydarzenie potwierdziło jej wybór w oczach ludu. Jeżeli jeszcze nie pozbyłeś się wątpliwości, to powiem, że to właśnie Hansa doradził Solaris mianować herolda Talię honorową kapłanką Słońca, by przypieczętować nasz sojusz. Słyszałem to z ust samej Solaris, jak i od Hansy.

Rubryk otworzył usta, lecz Ulrich nie miał zamiaru kończyć.

— Wszystkie ogniste koty nosiły imiona dawnych Synów Słońca, dlatego wierzymy, że są ich duchami, które znów przybrały postać cielesną, aby służyć nam radą i pomocą. — Rzucił znaczące spojrzenie na Laylana, lecz wierzchowiec tylko zerknął na niego tępo i zamrugał. — Chyba wyglądają jak wasi Towarzysze... tylko jest ich mniej — w końcu mniej było Synów Słońca niż heroldów.

Teraz Rubryk wyglądał na ogłuszonego. Laylan zaś wydobył z siebie dźwięk podejrzanego przypominający syczenie.

— Oczywiście... — odrzekł słabo przewodnik. — Było ich mniej... — lecz wcale nie wyglądało na to, by taka myśl kiedykolwiek przebiegła mu przez głowę czy tym bardziej, by taka możliwość była dla niego oczywista. Jego zaskoczenie było tak wyraźne i ogromne, iż Karal niemal ośmieszył się pytaniem: „Czy nie przyszło ci to dotąd na myśl?” Jednak powstrzymał się w samą porę. Po pierwsze, takie zachowanie przekraczałoby wszelkie normy przyzwoitości i Ulrich miałby pełne prawo, nawet obowiązek, odesłać go w hańbie do domu. Po drugie...

„Być może Towarzysze specjalnie powstrzymywały heroldów przed snuciem takich przypuszczeń.” W Karsie tylko kapłani wiedzieli, kim naprawdę są ogniste koty — inni uważali je tylko za dowód łaski Vkandisa. Zwykli ludzie nie wiedzieli nawet, że koty mogą się porozumiewać z kapłanami — przecież to Głos objawiał wolę boga, po cóż więc jeszcze gadające zwierzę?

„Chyba potrafiłbym znaleźć kilka powodów, dla których Towarzysze nie chciałyby rozgłaszać, że były kiedyś heroldami.” — zdecydował Karal raczej ponuro po chwili namysłu. W Karsie sławna stała się próba zgładzenia ognistego kota przez mordercę, który poprzednio zabił Syna Słońca o tym samym imieniu. „Nie udało mu się, oczywiście. Koty potrafią się świetnie bronić. Według legendy złoczyńca spłonął jak pochodnia.” Ale z pewnością wielu ludziom zależałoby na tym, żeby heroldowie nie mogli wracać po śmierci do ojczyzny — a Towarzysza, w przeciwieństwie do ognistego kota, można zabić. „Nawet my, Karsyci, wiemy, iż śmierć Towarzysza pociąga za sobą śmierć herolda.”

Poza tym, w wypadku ujawnienia tego sekretu, heroldom groziłyby konflikty emocjonalne. Jak czuje się ktoś, kto stracił ukochaną osobę, wiedząc, że może ona powrócić — jeżeli zechce, choć w odmienionej postaci? Jej powrót pociągnąłby za sobą nieobliczalne skutki — jednak gdyby nie wróciła, oznaczałoby to mękę dla żyjącego partnera.

Kiedy tak rozmyślał, dostrzegł Laylana, patrzącego przez ramię do tyłu — w chwili, gdy ich spojrzenia się spotkały, Towarzysz skinął głową, jak gdyby podążał za tokiem myśli Karala.

„Jeżeli, jak Hansa, on może czytać moje myśli.”

Zamarł. Jak Hansa? Czy nie o to właśnie chodziło? Ogniste koty są takie same, jak Towarzysze. . .

Jeszcze raz Laylan pokiwał głową — powoli, lecz w sposób nie pozostawiający wątpliwości. Z chaosu, jaki zapanował w głowie Karala, wyłoniła się jedna myśl.

„Jeżeli koty są jak Towarzysze, w takim razie może bardziej jesteśmy podobni do naszych odwiecznych nieprzyjaciół, niż dotąd sądziłem.”

Jednak nawet za cenę życia Karal nie potrafiłby zdecydować, czy taki wniosek dobrze wróży na przyszłość.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

An'desha z nieszczęśliwą miną wyglądał przez okno. Słońce późnego popołudnia przesiewało promienie przez gałęzie drzew otaczających ekele Śpiewu Ognia i kładło się złotymi smugami na trawie. Panująca na zewnątrz cisza nie znalazła odbicia w Dolinie, pełnej śmiechu i gwaru, zagłuszających nawet szum wodospada.

An'desha siedział na skale w najdalszym kącie ogrodu, nad gorącym stawem, mocząc nogi w wodzie i próbując nie wyglądać na obrażonego. Jednakże nie był w stanie ukryć swego niezadowolenia i, na bogów, nie chciał! Śpiew Ognia nie spytał go o zdanie, nawet nie ostrzegł, że zamierza sprowadzić gości. Po prostu przyszedł z całą grupą, niektórych z nich An'desha nigdy dotąd nie spotkał. To nieuczciwe, niesprawiedliwe, a w dodatku zły nastrój nie pozwalał mu przyłączyć się do nich. Przecież Dolina miała się stać ucieczką przed obcością otoczenia — dlaczego więc Śpiew Ognia musiał tu zaprosić pół Valdemaru i wszystko zepsuć?

Nawet jeżeli nie gościli połowy państwa, hałas usprawiedliwiał takie stwierdzenie. Ogród nagle zrobił się ciasny, a kruchy spokój, jaki An'desha zdołał osiągnąć, prysł. W dodatku trudno nazwać ten dzień udanym: od rana wszystko szło na opak — nie całkiem źle, ale i nie tak, jak trzeba. Ulegając sugestiom Śpiewu Ognia, powtarzającego od dawna, że An'desha powinien wyjść na świat i spotkać się z ludźmi — tego dnia zacisnął zęby i uczynił pierwszy krok, w nadziei na pochwałę maga — może wreszcie pochwali się sukcesem, choćby małym.

Po południu An'desha wyszedł sam, gdyż Śpiew Ognia ćwiczył valdemarskich magów. Kilka dni temu zaofiarował się pomóc grupie młodych ludzi, noszących szare, brązowe lub błękitne stroje, w nauce Shin'a'in. Nauczyciel przyjął propozycję z wdzięcznością, dziś miała się odbyć pierwsza lekcja i An'desha poszedł z nieśmiałą nadzieją, że zdoła się zapoznać z uczniami, może nawet spędzi z nimi czas po zajęciach. Czy to nie tak właśnie oni postępowali? Najpierw lekcje, potem — zapoznawanie się i nawiązywanie przyjaźni.

Lekcja przebiegała spokojnie, lecz potem, kiedy nieśmiało zaproponował, by zadawali mu pytania, zaczęło się najgorsze. Byli zbyt... dziwni. Inni. W ogóle nie przypominali jego klanu, wydawało się, że pożera ich ciekawość wszystkiego, co nowe. An'desha czuł ich nienasyconą żądzę poznania, skierowaną w jego

stronę — a zadawali pytania naprawdę niedyskretne i nietaktowne. Być może z powodu tak słabej znajomości języka Shin'a'in nie zdawali sobie sprawy, jak brzmią ich słowa — lecz po co pytać o Śpiew Ognia? I co, na Gwiazdzistooką, znaczy „miłosny krąg Tayledrasów”? Na dodatek ich pytania okazały się płytkie, a sami uczniowie — egoistyczni i małostkowi. Widząc ich beztrzęsą i wścibstwo, An'desha poczuł wzbierający gniew — dopiero po chwili z zaskoczeniem uświadomił sobie, co go tak drażni: zachowywali się jak dzieci.

U Shin'a'in dziecko uważano za dorosłego od chwili, kiedy wyhodowało sobie konia i przeżyło samotnie tydzień na Równinach. Zwykle następowało to po ukończeniu dziewiątego roku życia lub niewiele później. Valdemarczyce, wychowani w mieście, nie posiadali takiej miary dorosłości. Ci uczniowie byli dziećmi — choć nieco młodszy od niego, od początku byli chronieni i odsuwani od niebezpieczeństw. Nikt z nich nie doświadczył na własnej skórze wojny, która zagrażała ich krajowi, z pewnością także nikt z nich nie potrafiłby wyobrazić sobie choćby ułamka tego, co przeżył An'desha. Dlaczego miałby ich winić za to, kim byli?

Nie tylko różnili się od niego, ale dzieliła ich przepaść, właściwie tak samo mógłby szukać porozumienia z kyree albo gryfami. Nawet z wiecznie zabiegającym i podekscytowanym Risem miałby więcej wspólnego. Kyree pytał, gdyż jako historyk chciał znać nie tylko fakty, ale także uczucia. Opowieści jego ludu poświęcały dużo uwagi odczuciom uczestników wydarzeń historycznych. Natomiast te dzieciaki nie miały żadnej wymówki dla swej nienasyconej żądzy wiedzy.

Zdegustowany i rozdrażniony An'desha powrócił do Doliny szukać wytchnienia — i tu odkrył, że Śpiew Ognia przyprowadził tłum obcych, nie racząc go zawiadomić czy zapytać o zdanie.

Cały tłum liczył co prawda zaledwie sześć osób, lecz hałasu robili za tuzin lub więcej. Weszli do ogrodu i od razu skierowali się do gorącego źródła, zatrzymując się tylko po to, żeby pozdrowić gospodarza. Gdyby An'desha wówczas się odwrócił i uciekł do ekele, Śpiew Ognia obwiniłby go o grubiaństwo. Został więc, po to, by stwierdzić, iż został wyłączony z rozmowy — po prostu nie miał pojęcia, co się dzieje i o czym goście rozmawiają.

Po prawej stronie siedzieli Elspeth i Mroczny Wiatr — przynajmniej tych dwoje znał. Elspeth to córka władczyni tego kraju i jednocześnie herold — miała ducha opiekuńczego zwanego Towarzyszem, wyglądającego jak koń i mówiącego prosto do umysłu. Energiczna i pełna wdzięku kobieta o włosach niegdyś ciemnobrązowych, teraz w większości białych, a oczach koloru nieba — rezultat operowania energią ogniska spod pałacu jej matki. Była jednocześnie silna i piękna, a przy tym pewna siebie — rzadka kombinacja. Mroczny Wiatr należał do Braci Sokołów i osiągnął status adepta, chociaż nie mógł się równać ze Śpiewem Ognia, miał ostre rysy Tayledrasów i białe włosy wskutek ciągłego przebywania w pobliżu kamienia-serca. I Elspeth, i Mroczny Wiatr znali Śpiew Ognia na dłu-

go przedtem, zanim spotkał ich An'desha, Śpiew Ognia chyba nawet kiedyś ich uczył.

Niedaleko nich, zanurzeni po szyję w wodzie, leżeli: kobieta o jasnych włosach zwana Kero i mężczyzna, którego imienia An'desha nie zrozumiał. Byli najstarsi z całego towarzystwa, ale nie chciałby ich wyzwąć do walki — ich mięśnie i sposób poruszania się świadczyły, że potrafią się bronić. Mężczyzna nosił białe ubranie, a kobieta skóry, lecz chyba każde z nich miało swojego Towarzysza, jak Elspeth — przynajmniej tak wyglądali.

Za nimi Śpiew Ognia czynił honory domu, a jeszcze dalej usadowili się poseł Shin'a'in oraz mag, znajomy Kero, który wyglądał, jakby płynęła w nim krew Shin'a'in. Młodszy od Kero, ciemnowłosa i o złotawej karnacji mieszkańców Równin, różnił się od nich zielonymi oczami. Poza tym z pewnością był magiem, a An'desha z własnego doświadczenia wiedział, że u Shin'a'in można zostać magiem tylko wtedy, gdy wybierze się powołanie szamana. Zdawało się, że obcy czuł się całkiem pewnie w tym zgromadzeniu, o wiele lepiej niż sam An'desha.

Mimo wszystko nie przyszło ich wielu — sześcioro, nie licząc gospodarzy, lecz każde z nich miało tak silną osobowość, iż An'desha poczuł się przytłoczony i zlekceważony. Gawędzili jak starzy przyjaciele — prawdopodobnie nimi byli — i chyba zapomnieli, że An'desha ich w ogóle nie zna.

Ten najazd na jedyne schronienie, jakie mu zostało, zwłaszcza po tak męczącym dniu, wprowadził go we wściekłość. Chciał zostać sam ze Śpiewem Ognia, niezależnie od tego, jak skomplikowane uczucia budził w nim mag, przynajmniej on jeden go rozumiał, pomagał znaleźć odpowiedzi i przyczyny tego, co się działo. An'desha potrzebował teraz muzyki spadającej wody, a nie wdzierającego się w uszy gwaru rozmowy. Jeżeli musiałby rozmawiać, to wolałby pogawędkę ze Śpiewem Ognia o tym, jak poradzić sobie z obcymi, natrętnymi mieszkańcami Valdemaru. Owszem, byli dość sympatyczni, ale... wścibscy.

Powiedziałby, że chce wrócić do domu — lecz nie miał domu poza tą Doliną. Odwiedziny tych ludzi dowiodły, jak mało to miejsce ma wspólnego z prawdziwym domem.

An'desha nie chciał się dzielić Śpiewem Ognia ani swym ogrodem z grupą roześmianych, hałaśliwych intruzów. Gadali jak najęci w trzech językach, z których tylko dwa rozumiał: ojczysty Shin'a'in i tyledraski. Zresztą i tak mówili o ludziach i wydarzeniach zupełnie mu nie znanych.

Irytowało go jeszcze coś innego: nie potrafił sprecyzować, co, lecz wyraźnie czuł niepokój nie związany z pojawieniem się gości. Również w ich rozmowie wyczuwał podskórny prąd, którego nie umiał nazwać — jakby starali się odpędzić wesołością wiszącą groźbę.

Do tego coraz wyraźniej widział, iż Śpiew Ognia flirtuje z Mrocznym Wiatrem. Na oczach wszystkich! Czy chce go upokorzyć?

W ataku nagłej furii wyjął nogi z wody, złapał ręcznik i zaczął się szybko

wycierać. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, nawet Śpiew Ognia, zajęty zalotami.

O bogowie, jak mógł się nie domyślić? Przecież to musiało się zdarzyć prędzej czy później! Czyż Sokolich Braci nie uważano za równie niestałych w uczuciach, jak ich pierzastych przyjaciół?

Ale czy Śpiew Ognia musi to robić przy ludziach i na jego oczach? I dlaczego Mroczny Wiatr?

„Cóż, obaj są adeptami Tayledrasów. Mroczny Wiatr to atrakcyjny, inteligentny i dojrzały mężczyzna, a ja jestem tylko półkrwi Shin'a'in. Moimi kłopotami mógłbym obdzielić ze dwudziestu zwykłych ludzi. Jestem tchórzem i głupcem, nie rozumiem prawie nic z tego, co Śpiew Ognia usiłuje mi przekazać.”

— Teraz, kiedy wreszcie nabrałeś właściwego dla adepta koloru włosów i przywoicie się ubierasz, nie przynosisz wstydu k'Sheyna — mówił Śpiew Ognia do Mrocznego Wiatru, kiedy An'desha wciągał na mokrą skórę koszulę i spodnie, co okazało się niełatwe. — Nie wiem, co wtedy przyciągnęło do ciebie Elspeth — twoje włosy ufarbowane na kolor błota? Wyglądałeś jak szalony pustelnik, nie Sokoli Brat.

— Czyżby? — Mroczny Wiatr podniósł brwi i wykrzywił twarz, a potem prysnął wodą na maga. — A kto powiedział Elspeth, że chciałby wpleść w moje włosy pióro? Chyba podobał ci się wygląd... naturalny. Myślałem, że trafiłem w twoje upodobania.

— Hm... — Śpiew Ognia odrobiną magii odesłał krople z powrotem do Mrocznego Wiatru. — Rzeczywiście tak jej powiedziałem, gdyż miałem nadzieję w ten sposób zachęcić cię do większej dbałości o swój wygląd.

Mroczny Wiatr wydał wargi.

— A ja cały czas wierzyłem, że ci na mnie zależy!

— Cóż, teraz, kiedy przypominasz wreszcie człowieka, a nie leśnego stworza... — Śpiew Ognia zamrugał długimi, srebrzystymi rzęsami do szczupłego, umięśnionego adepta k'Sheyna, który odpowiedział powłóczystym spojrzeniem.

An'desha patrzył przerażony, oszołomiony i upokorzony. Wiedział, że Sokoli Bracia nie krępowali się zbyt często okazywać uczuć, ale... ale jak mogą to robić tutaj! Tuż przed nim! Jakby umyślnie chcieli go zranić. Nie zasłużył na takie traktowanie!

Poczuł zimno i gorąco na przemian, żołądek zwinął mu się w supeł, a w gardle zaschło. W mgnieniu oka zaskoczenie przemieniło się w coś gorszego, mimo że ciągle próbował się opanować.

Zaczerwienił się gwałtownie. Jak mogą? Jak śmia!

Zacisnął pięści i szczęki, przez chwilę miał wrażenie, że wyłamie sobie zęby. Zdławił okrzyk wściekłości i bólu.

Śpiew Ognia ciągnął zabawę, nawet na niego nie spojrzał.

An'desha poczuł, jak serce tłucze mu się w piersi, aż całe ciało dygocze, szczęki bolały od kurczowego zaciskania, krew szumiła w uszach. Śpiew Ognia

pochylił się do Mrocznego Wiatru i wyszeptał coś, wywołując wybuch śmiechu adepta. Położył rękę na jego ramieniu. . .

Żal i zazdrość wybuchły żądzą mordy.

„Zabiję go!”

Jeszcze nie wiedział, kogo, walczył ze ślełą furją, usiłując nie poddać się jej, nie dać się owładnąć uczuciom.

Głęboko w środku poczuł, że budzi się w nim coś groźnego, jak wąż — płynie żyłami i dociera do nerwów. Przez krótką chwilę nie umiał znaleźć celu dla żądy zemsty, rozdarty między Śpiewem Ognia a Mrocznym Wiatrem. Jednak kiedy Mroczny Wiatr poruszył się, jakby chciał wyrwać pióro z ogona swego ptaka, by je dać Śpiewowi Ognia, cała złość zwróciła się w kierunku intruza.

Jak on śmie!

Nagle, kiedy znalazł cel, furia przekształciła się w gotowość do czynu. Wypełniła go ciemność, żądając wypuszczenia na wolność, poczuł, jak budzi się w nim moc, płynie na wezwanie — tak jak w czasie wściekłych magicznych ataków Zmory Sokołów, zatruta moc, która każe mu wydrzeć wnętrzności Mrocznemu Wiatrowi i rzucić je prosto w twarz zdrajcy. . .

. . . wydrzeć wnętrzności. . .

. . . wydrzeć. . .

Nagle olśnienie osadziło go tam, gdzie stał, akurat w chwili, kiedy miał uwolnić moc.

„Co ja robię!”

Zatrzymał się przerażony, zdusił poryw emocji, rozproszył moc, pozwalając jej uciec tak szybko, iż pozostał drżący — już nie z gniewu, ale z przerażenia.

„Omal go nie zabiłem. . .”

„Omal. . .”

„O bogowie!”

Wściekłość pożarła samą siebie, ze zduszonym szlochem An'desha odwrócił się i pobiegł przez ogród. Wpadł na drugie piętro ekele, oślepiony paniką, dławiąc się łzami wstydu. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl:

„Mogłem go zabić. Mogłem. Prawie to zrobiłem.”

Rozpacz dodała mu sił. Musi uciec daleko od ludzi, zanim stanie się coś gorszego. Czym był? Czym się stał?

„Potwór. Jestem potworem. Bestią. . .”

Zmora Sokołów miał się dobrze, żył w nim, czekając na okazję, by wydostać się znów na wolność — lub przeobrazić An'deshę w takiego samego przerażającego, wściekłego potwora, jak on sam.

Nagle usłyszał za sobą szybkie kroki i u szczytu schodów odwrócił się, by odesłać natręta, kimkolwiek by się okazał — nikt nie powinien przebywać w pobliżu, skoro krąży nad nim widmo Zmory Sokołów. Tylko tyle wiedział, niezdolny na razie do pozbierania myśli.

Jednak nie zdołał się nawet odezwać — to Elspeth go goniła, prawie depcząc po piętach. Zmyliły go ciche kroki jej bosych stóp, nie wiedział, że była tak blisko. Nie zatrzymała się, lecz przeskoczyła ostatnie trzy stopnie i chwyciła w ramiona, nie zważając na moką tunikę. Ten prosty gest dokonał reszty.

O bogowie. . .

An'desha oparł głowę na ramieniu Elspeth i rozplakał się, Elspeth trzymała go mocno, gładząc po głowie, jak dziecko, które obudziło się z koszmarne snu. Po chwili jej tunika nasiąkła łzami, An'desha wtulił się w mocne, przyjazne ramiona, szukając schronienia i oparcia, bezskutecznie próbując powstrzymać łkanie.

— An'desha, nic się nie stało — powiedziała cicho. — Kochanie, to nie to, co myślałeś! Mroczny Wiatr i ja jesteśmy związani więzią życia i Śpiew Ognia o tym wie, zaś Mroczny Wiatr wie o uczuciach Śpiewu Ognia do ciebie! To tylko przekomarzanie, nigdy by tego nie uczynili, gdyby wiedzieli, jak cię ranią! Myśleliśmy, że jesteś zmęczony i chcesz zostać sam. Śpiew Ognia od rana dokucza wszystkim wokół.

— Ale ty. . . — wychrypiął przez ściśnięte gardło. — Ty. . .

Jak odgadła, o co chciał zapytać — nie wiedział. Ale odgadła i odpowiedziała.

— Pobiegłam za tobą, gdyż siedziałam na tyle blisko, by widzieć twoją twarz, ke'chara. To tylko zabawa. Teraz znęcają się nad Kero. Nic nie mówiłeś, spodziewaliśmy się, że kiedy odpoczniesz, dołączysz do nas. Nikt nie zauważył twojego odejścia. Nie pozwól, by takie drobiazgi tak cię dręczyły.

Trzymała go w ciepłym uścisku, czuł, jak otacza go jej życzliwość. Pragnął się poddać jej dobroczynnemu działaniu, chciał, by go pocieszyła.

Jednakże głęboko utajony strach nie stopniał. Gorzej, ona wzięła go za urażonego kochanka, a jego ucieczkę za wyraz zazdrości, jak w głupawej balladzie. Nie miała pojęcia, co się naprawdę z nim działo.

Musi się dowiedzieć. Trzeba jej powiedzieć. Przyczajony w nim Zmora Sokołów może przecież zagrozić jej życiu — zagrozi, jeśli wydobędzie się na wolność.

— To nie tak. . . — Powstrzymywał łzy napływające znów do oczu. — Els. . . peth, to nie o to chodzi, nie czujesz? Rozgniewałem się, a wtedy. . . moc przejęła nade mną kontrolę i prawie go uderzyłem! Omal go nie zabiłem. . . Mrocznego Wiatru! — Odsunął się od niej, bojąc się, że ją zarazi złem, które nosił w sobie. — To Zmora Sokołów! — wyrzucił z siebie. — On ciągle tam jest, musi być, ciągle ma nade mną władzę, a ja. . .

Drżał ze zgrozy, jak mógł zrobić coś takiego? Czy to nie sprawka bestii, wciąż żywej?

Wbrew jego obawom Elspeth nie odskoczyła ze wstrętem, lecz przyciągnęła go znów do siebie. Nie miał sił się opierać.

— Czy możemy gdzieś usiąść i porozmawiać? — spytała spokojnie, widząc nowy potok łez. Wskazał ręką na prawo, więc poprowadziła go do salonu, do którego przez okna zaglądały gałęzie drzew. Usadowiła go na poduszkach i usiadła

obok, ciągle obejmując, aż łkanie ucichło.

— Zaczniemy od początku — odezwała się spokojnie, słońce zniżyło się ku zachodowi, a wokół zaczęły się gromadzić cienie. — Byłeś zmęczony i wytrącony z równowagi, kiedy bezmyślnie wtargnęliśmy tutaj i zniszczyliśmy resztkę spokoju, która ci pozostała. To tym bardziej cię rozdrażniło, prawda?

Skinął głową, ale poświęcał jej słowom zaledwie część uwagi. Czy to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie?

— Potem, już zdenerwowany, usłyszałeś, jak Śpiew Ognia zaleca się do Mrocznego Wiatru. Ale w rzeczywistości były to przyjacielskie docinki — w jej głosie zabrzmiała nuta rozbawienia. — Jeden z... Shin'a'in powiedział mi kiedyś, że żarty Sokolich Braci często zahaczają o flirt i powinnam się do tego przyzwyczaić, gdyż oburzanie się nie ma sensu — równie dobrze mogłabym mieć ptakom za złe, iż potrafią latać. Sokoli Bracia mają we krwi takie poczucie humoru, rodzą się z nim. Przyzwyczaiłam się więc, co więcej, sama doszłam do wprawy w takich przekomarzeniach.

— Czyli... nie mam innego wyjścia, tylko to zaakceptować? — zapytał, czując jeszcze odległe echo tamtego gniewu przebijające przez żal, zapominając zupełnie o strachu.

Wzruszyła ramionami.

— Jeżeli tego nie zrobisz, ryzykujesz jeszcze więcej cierpienia w przyszłości — odrzekła logicznie. — An'desha, nie wiem, czy kiedykolwiek już miałeś partnera, ale lepiej naucz się jednego: nie wchodzi się w związek z zamiarem przerobienia drugiej osoby wedle własnych upodobań. Ona była sobą na długo przedtem, zanim się spotkaliście. Musisz liczyć się z koniecznością pójścia na ustępstwa.

Bezsilnie pokręcił głową. Ona ciągle uważała jego kłopoty za zwykłe nieporozumienia i urażone uczucia. Jednak znowu odgadła jego myśli.

— Hm... to nie to?

Pokiwał, a potem ze smutkiem potrząsnął głową.

— To nie to, ale coś więcej, tak?

Przytaknął.

Rozmyślała przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

— Dobrze. Zacznę od najprostszego. Posłuchaj mnie i uwierz mi. Mroczny Wiatr i ja kochamy się i przyjaźnimy, niewiele rzeczy mogłoby nas rozdzielić — Śpiew Ognia doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Wie także — jak i Mroczny Wiatr — że nie pochodzę z klanu Tayledrasów i gdyby pozwolili sobie na coś więcej niż żarciki, poczułabym się bardzo urażona. To jeden z naszych kompromisów — zaśmiała się lekko. — Co więcej: Śpiew Ognia jest świadom tego, iż mogłabym go zranić w dosłownym znaczeniu tego słowa! Mam sporo wad, między innymi szybko wpadam w złość. Nie mam zamiaru dzielić się Mrocznym

Wiatrem ani pozwolić się upokarzać, zwłaszcza przy ludziach. Gdyby tak się zdarzyło, na pewno ktoś potrzebowałby opatrunków.

— Oo... — zdołał wykrztusić An'desha.

— Tyle co do sytuacji, która tak cię rozdrażniła: jeżeli ja nie widzę powodu, żeby czuć się urażona, a jestem chyba najbardziej zazdrosna z wszystkich mieszkańców Valdemaru, ty także możesz spać spokojnie.

Przetarł niepewnie piekące oczy i zakaszał. Przypomniało mu się przysłowie Shin'a'in, co prawda niezbyt stosowne w towarzystwie Elspeth.

— Mówią, że...

— ...kobieta dowiaduje się ostatnia — prychnęła z pogardą. — To powiedzonko nie bierze pod uwagę więź-ptaków i Towarzyszy, które wiedzą wszystko. Vree nie troszczy się zbytnio o ptaka Śpiewu Ognia, za to lubi mnie i Gwenę, z pewnością by nam powiedział, gdyby Mroczny Wiatr planował ze Śpiewem Ognia jakieś oszustwo.

An'desha znów przetarł oczy. Wyjaśnienie brzmiało logicznie.

— Ale...

— Ale to oznacza pozbawienie Śpiewu Ognia wszelkich uczuć, honoru i choćby przyzwoitości, oznacza uznanie go za tak płytkiego i lekkomyślnego, za jakiego chciałby uchodzić. Naprawdę wcale taki nie jest, wiesz o tym. Ja też. — Ujęła jego podbródek w palce i uniosła twarz chłopca ku sobie, zmuszając, by spojrzał jej w oczy. — Ke'chara, to adept-uzdrowiciel. Czyżbyś nie wiedział? Właśnie ty powinieneś rozumieć, co to znaczy. On wydaje się lekkomyślny, lecz w rzeczywistości mu zależy, bardziej niż komukolwiek innemu. Zależy mu na tobie. Myślę, że sam jest zaskoczony siłą swych uczuć do ciebie. Włożył dużo wysiłku w twoje uleczenie i dla ciebie pewnie wyczerpałby całą swoją moc, gdybyś mu tylko pozwolił. Jest równie godny szacunku i uznania jak herold — a to największy komplement, na jaki mnie stać.

An'desha przełknął kulę, która urosła mu w gardle.

— Ja...

— Ma swoje wady, nawet całkiem sporo, ale nigdy nie zlekceważył ciebie i tego, co się z tobą dzieje. W sprawach uczuć jesteśmy do siebie podobni, być może z powodu wspólnoty krwi, nie wiem. — Wyglądała w tej chwili na surową, przypominała Potrzebę. — Daj mu szansę. On potrafi bardzo mocno kochać i nie pozwoli sobie ryzykować wielkiej miłości dla zwykłej przygody. To była tylko gra. Nigdy nie naraziłby na niebezpieczeństwo łączącej was więzi.

Musiał jej wierzyć, ona znała ludzi, znała i Śpiew Ognia, i Mroczny Wiatr. Mrugał wciąż łzawiącymi oczami i kiwał głową. Jednak strach powrócił z podwójną siłą, kiedy uświadomił sobie, co mógł uczynić — bez powodu.

— Ale Zmo... — zaczął rozpaczliwie.

Położyła mu palec na wargach.

— Zmora Sokołów nie ma nic wspólnego z twoim zachowaniem. To twoja nadwrażliwość, nie Zmora Sokołów. On nie żyje.

— Nie! — krzyknął. — Teraz ty nie rozumiesz! Chociaż zginął, wciąż żyje we mnie, przemienia mnie w potwora! Dostał się do moich myśli i uczuć i...

— Nie, do licha — rzekła mocno. — Po pierwsze, wątpię, żeby Zmorze Sokołów zależało na kimkolwiek tak bardzo, by odczuwał zazdrość. Aby być zazdrośnym, trzeba najpierw troszczyć się o coś lub kogoś poza sobą samym.

Zbiła go z tropu, dotąd nic takiego nie przyszło mu do głowy. Musiał ostrożnie przytaknąć. Rzeczywiście, Zmorze Sokołów nie zależało na nikim — liczyła się tylko przydatność ludzi i przedmiotów w jego planach.

Uśmiechnęła się ponuro.

— Co zaś do twojej reakcji — mnóstwo najzwyczajszych ludzi miewa podobne napady szału, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi uczucia do drugiej osoby. Zdarza się to niemal codziennie. — Jej uśmiech zmienił się w grymas bólu. — Niestety, heroldowie stykają się ze skutkami tych ataków.

— Nie jestem zwyczajny — zaczął.

— Zgadza się — przytaknęła. — Nie jesteś. Zwykły śmiertelnik nie umiałby rozerwać swego wroga na kawałki samą myślą. Jednak zrobiłby to, powtarzam, zrobiłby, gdyby ogarnęła go furia — tyle że musiałby w to włożyć nieco więcej wysiłku. Powiedziałam ci już: heroldowie cały czas napotykać skutki tej furii. Bogowie, tylko w stolicy rozgrywa się codziennie tyle walk i potyczek, że wystarczy na udowodnienie moich słów. Tamci ludzie używają narzędzi, ty — mocy magicznej. — Zakaszłała i potarła nos. — To straszne, tragiczne, jednak prawdziwe.

— Ale... — próbował przerwać.

— Od tamtych głupców różni cię jedno: powstrzymałeś się w porę — ciągnęła stanowczo. — Zapanowałeś nad sobą. Przeraziła cię sama myśl o napaści na Mroczny Wiatr, chociaż on cię naprawdę zranił.

— A gdybym się nie opanował?! — wykrzyknął, znów ogarnięty paniką.

— Zrobiłeś to — powtórzyła z naciskiem. — A przecież nie wiedziałeś, że to tylko gra. Kontrolowałeś się, mimo że miałeś powody szukać zemsty. Teraz wiesz, jak wyglądają przyjacielskie docinki i już nie powtórzysz tego błędu. Wiesz, jak bardzo cię cenimy — nie chcemy cię urazić. Następnym razem spytaj kogoś z nas, zanim wyciągniesz pochopne wnioski.

— Ja...

Zająknął się i nie dokończył. Nie wiedział, co powiedzieć. Miała odpowiedź na wszelkie jego wątpliwości i obawy. Może nawet miała rację.

Czekała cierpliwie, w końcu wzruszyła ramionami.

— Teraz powinniśmy znaleźć sobie jakąś wymówkę. Chyba nie zależy ci na tym, żeby inni dowiedzieli się, co zaszło.

Ponownie musiał się z nią zgodzić. I tak czuł się jak głupiec, wołał, by reszta gości nie dowiedziała się o tym.

— Co w takim razie wymyślimy? — spytała, przygryzając paznokiec. — Jedzenie? Coś do picia? Czy przechowujecie tutaj takie rzeczy?

— Owszem — odrzekł. Wdzięczność za jej szybką decyzję niemal pozbawiła go tchu. — Na pewno wszyscy chętnie się napiją.

— Dobrze. Zaniesiemy im napoje, coś do przegryzienia również się przyda.

Wstała, podała mu rękę i podniosła, była o wiele silniejsza, niż wskazywał na to jej wygląd.

Jej krótka tunika wyschła, włosy zwinęły się w loki, otaczające twarz srebrzystą poświatą. An'desha zastanawiał się przez moment, jak mogła wyglądać tak zwyczajnie i jednocześnie niezmiernie.

— Prowadź, ke'chara. Nie nadaję się na kucharkę, ale nieść tacę potrafię. — Mrugnęła do niego, uśmiechnął się. Poszli do małej kuchenki, w której czasami An'desha przygotowywał posiłki.

Zebraли wystarczającą ilość pożywienia, by usprawiedliwić swą przydługą nieobecność, a sucha szmatka posłużyła Elspeth do usunięcia śladów hysterii z twarzy chłopca. An'desha zgodził się przyłączyć do towarzystwa nad stawem, kiedy Elspeth obiecała więcej nie pozostawiać go na boku.

Jednak schodząc na dół, poczuł niejasną obawę. Elspeth miała rację co do Śpiewu Ognia i Mrocznego Wiatru — lecz martwił się wciąż swymi własnymi kłopotami.

Zmora Sokołów pozostawił w nim ślady — w postaci wiedzy i wspomnień, nawet gdyby nauczył się panować nad emocjami, już nigdy nie będzie panem siebie. Zbyt wiele pozostało w nim ciemności po szaleńcu. Nie potrafił spoglądać z nadzieją w przyszłość, jak Elspeth. Nie był pewien, czy następnym razem zdoła nad sobą zapanować — i przerażała go ta niepewność.

Szaleństwo rodzi się w różnych okolicznościach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

„Konie nigdy nie nadawały się zbytnio do podróży nocą, zwłaszcza bezksiężycową.”

Karal należał do dobrych jeźdźców i czuł zdenerwowanie i zmęczenie swego wierzchowca, docierające do niego przez mięśnie rąk i nóg. Trenor denerwował się, gdyż nic nie widział. Potykał się na nierównym trakcie, uspokajany co chwilę głosem jeźdźca. Karal zaczynał się zastanawiać, czy nie zsiąść i nie poprowadzić konia za sobą, zanim biedne zwierzę okuleje.

— Jesteśmy prawie na miejscu. Za następnym wzgórzem ją zobaczysz, Karalu — dobiegł z przodu głos Rubryka, samego herolda nie było widać, mógłby znajdować się o tysiąc kroków stąd albo zgoła okazać się duchem — w ciemnościach i tak nie dałoby się nic zauważyć. — Raczej zobaczysz światła. Koń uspokoi się, kiedy ujrzy drogę i cel podróży.

— Nie mam zamiaru ochwacić Trenora — odrzekł z uporem Karal. — Ani zajeździć go na śmierć. Jeszcze jedno spotkanie i zsiadam.

Z przodu zamajaczył białawy kształt, Rubryk i Ulrich wstrzymali konie i czekali na niego.

— Nikt nie wymaga, byś zameczył Trenora, chłopcze — powiedział zmęczonym głosem przewodnik. — Oszczędzałbym was, gdybym mógł, ale do samej Przystani nie mamy gdzie się zatrzymać. Przykro mi, że tak was popędzam, ale podobno nadchodzą kolejne burze, a ostatni most, jak widziałeś, mógłby ich nie przetrzymać.

„Powtarza się, mówi mi to już trzeci raz. Próbuje nie pokazać po sobie zmęczenia, ale chyba cierpi o wiele bardziej niż my.”

Ostatni most przeszli o zachodzie słońca i Karal sam widział, jak chwiejna i niepewna to konstrukcja. Nie sprzeciwiał się więc pośpiechowi — ani wtedy, ani teraz. Ponieważ zobaczył także olbrzymie drzewo, które dokonało zniszczenia ledwie kilka godzin wcześniej — nie zapytał, dlaczego jeszcze nie naprawiono tak ważnego mostu. Teraz przypomniał sobie coś innego, na co wtedy nie zwrócił uwagi: drzewo o pniu tak grubym, iż dwóch mężczyzn nie objęłoby go ramionami, zostało wyrwane z ziemi i z ogromną siłą wrzucone do rzeki. Karal wołał nie myśleć o rozmiarach wichury dokonującej takich zniszczeń.

Po drugiej stronie rzeki wszystkie miejsca w gospodach okazały się zajęte — głównie z powodu pogody, wyjątkowo uciążliwej i nie sprzyjającej podróżom o tej porze roku. Musieli więc jechać dalej, do stolicy, gdzie czekały pokoje i ciepły posiłek. Jednakże po zachodzie słońca droga okazała się trudniejsza, niż Karal przypuszczał. Gwiazdy zasłoniły ciężkie chmury, kompletne ciemności, jakie zapadły, może nie przeszkadzały Towarzyszowi, ale dla Trenora i Pszczółki okazały się ciężką próbą. Samopoczucia zwierząt nie poprawił szybki południowy posiłek — garść ziarna i kępa trawy, nie zastąpił on odpoczynku w stajni.

Karal czuł się tak, jak jego koń, chociaż znał powody pośpiechu. Ze względu na Ulricha lepiej było jechać, niż nocować na ziemi przy drodze, gdyż jego stawy rozgrzewały się od ciepła wierzchowca i nie sztywniały. Po nocy spędzonej na biwaku prawdopodobnie nie zdołałby ruszyć dalej.

Gęste ciemności tłumiły dźwięki, nawet brzęczenie owadów dochodziło jakby zza ściany.

— Wysłałem wiadomość — ciągnął Rubryk. Karal mu wierzył, chociaż zastanawiał się, w jaki sposób przewodnik tego dokonał. Za pomocą magii? To zawsze możliwe. Ulrich uważał za oczywiste, że herold regularnie wysyła raporty do swych zwierzchników, to musiała być magia. — Już na nas czekają, Trenorem zajmie się koniuszy królowej.

Karal bez słowa pogłaskał szyję konia. Mimo że zmęczony, Trenor mógłby jeszcze iść długo, dotąd nie upadł ani nie zranił się, pod ciepłym kocem, w dobrej stajni, szybko wróci do formy.

„Jeśli o to chodzi, w tej chwili ja również nie pogardziłbym ciepłym kocem, posiłkiem i sianem do spania.”

— Dzięki — odpowiedział. — Wolałbym sam o niego zadbać, ale w tym stanie mógłbym zrobić coś głupiego — pozwolić mu pić zbyt wiele lub zbyt szybko.

„Gadam bez sensu, to ze zmęczenia. Na szczęście Rubryk też jest za bardzo zmęczony, żeby to zauważyć — inaczej mógłby ze mnie wyciągnąć, co tylko by chciał. Ulrich nie zwróciłby uwagi na to, co mówię... na pewno powiedziałbym za dużo.”

— To ostatnie wzniesienie — zapewnił Rubryk. — Odtąd ciągnie się łagodne zbocze, do samego miasta pojedziemy w dół.

Miał rację, po chwili podróżni ujrzeli przed sobą światła — dotarli wreszcie do szczytu pagórka, na który wspinali się przez ostatnie pół marki. Światła nie były zbyt liczne, ale rozsiane na znacznym obszarze, co dawało wyobrażenie o rozmiarach miasta.

„Całkiem spore.”

Kilka lat temu Karal gapiłby się z otwartymi ustami na tak wielkie skupisko ludzi, jednak po pobycie w Świątyni i stolicy Karsu, Przystań nie zrobiła na nim oszałamiającego wrażenia. Jednak znajdowała się bliżej, niż przypuszczał.

— Już niedługo — powtórzył Rubryk. — To prawie przedmieścia. O tej porze powinniśmy szybko dotrzeć do pałacu.

Trenor podniósł głowę i wciągnął wiatr w nozdrza, zapach musiał przypaść mu do gustu, gdyż wygiął szyję i przyśpieszył nieco kroku. Pszczołka poszła w jego ślady, dysząc astmatycznie.

— Czują chyba inne konie, może nawet rzekę tam w dole — wymruczał Ulrich do siebie, nieświadomy, że w ogóle przemówił.

„On też ma dość podróży. Ha, jeżeli aż tak się zmęczył, nie zerwie się jutro skoro świt, w takim razie mam szansę wreszcie się wyspać.”

Po prawej stronie pojawił się pierwszy budynek, który można było uznać za miejski, w ciemnościach nie dało się rozpoznać jego przeznaczenia, ale po zapachu mokrej gliny, dymu i gorącej cegły Karal odgadł, że to warsztat garncarski. Tutaj Przystań nie różniła się od miast karsyckich: warsztaty, młyny, magazyny i kuźnie lokowano zwykle na obrzeżach. Nie każdy lubi mieszkać w sąsiedztwie hałaśliwych siedzib rzemieślników, więc wypierano ich jak najdalej od centrum.

Wkrótce pojawiły się inne zabudowania — w większości bezkształtne cienie na tle nieba. Czasem zza zasłony przebłyskiwało światło świec, lecz nie docierało do drogi. Kopyta dzwoniły głucho po pustej ulicy, ciszę przerywało jedynie szczekanie psów i trzeszczenie drzew. Prócz brzęczenia nielicznych owadów podróżni nie usłyszeli żadnych innych zwierząt czy ptaków. Miasto wyglądało na wymarłe.

Karal zadrżał, nie podobało mu się takie powitanie.

Przed nimi zabłysło nieco więcej świateł — latarni zawieszonych nad wejściami do szczelnie pozamykanych sklepów. Podobne latarnie oświetlały drogę, kiedy minęli trzecią z nich, Karal zauważył człowieka — młodego mężczyznę prowadzącego osła. Zwierzę dźwigało dwa przewieszzone przez grzbiet naczynia i krótką drabinę.

„Po co to?”

Szybko uzyskał odpowiedź. Gdy się przybliżyli, mężczyzna zdjął drabinkę i przystawił ją do słupa latarni. Widząc nadjeżdżających, pomachał ręką.

— Dobry wieczór, panie heroldzie!

— Miłego wieczoru i tobie, latarniku — odrzekł Rubryk. — Słyszałem, że dziś wieczorem znów pojawią się magiczne zakłócenia. . .

— Tak mówią. Za markę na świecy kończę i idę do domu, nie chciałbym, żeby mnie tutaj zaskoczyło. — Mężczyzna podniósł ażurową metalową osłonę, chroniącą płomień przed wiatrem, wytarł ją i dolał oleju z dzbanka wiszącego mu u pasa. — Magowie twierdzą, że czeka nas paskudna burza. Przynajmniej teraz nas ostrzegają, niestety, nie potrafią nic poradzić. Tym gorzej.

„Hm, może dlatego tak tu cicho — wszyscy zamknęli się w domach i czekają na uderzenie.” Kiedy mijali latarnię, mężczyzna już schodził. Pomachał im na pożegnanie, spieszył się, by jak najszybciej skończyć.

— Dlaczego valdemarscy magowie nie potrafią poradzić sobie z pogodą? Nasi to umieją. . . — spytał Ulrich.

— Zbyt wiele roboty i za mało magów — powiedział Rubryk, wzruszając ramionami. — Nie wiadomo, dlaczego dar kierowania pogodą należy do rzadkich. Wiedzmy pogodowe, przepowiadające pogodę, trafiają się często — zwłaszcza teraz, kiedy umiemy je uczyć — lecz tylko nieliczni mogą ją zmieniać, nie wywołując tylko gorszych skutków.

— W Karsie mamy wielu magów zajmujących się pogodą — powiedział Ulrich bardzo ostrożnie. — Ten talent zdaje się występować u nas bardzo często, może dlatego, że bez ich ingerencji nasz klimat byłby trudny do wytrzymania.

— Wiem — odpowiedział Rubryk głosem bez wyrazu, pewnie ze zmęczenia. — To jedna z pierwszych kwestii, którą Selenay chce z wami omówić. Myśleliśmy, że po upadku Ancara i jego jawnej magii wszystko wróci do normy, lecz sytuacja się pogarsza, zamiast poprawiać. Widzieliście most. . .

— Hm. . . — Ulrich nie powiedział nic więcej, lecz Karal wiedział, o czym myśli. Valdemar był krajem bogatym według Karsyckich norm — bogatym w jedyne liczące się zasoby: ziemię uprawną. W Karsie przeważały pagórki, pokryte cienką warstwą gleby, przez którą przebijała lita skała. Valdemar miał w nadmiarze ziarna, mięsa i mleka, Kars chętnie kupiłby część tych nadwyżek za usługi kilku magów. Taka możliwość nie pojawiła się dotąd w negocjacjach pokojowych.

To Ulrich i Karal mieli zatroszczyć się o takie szczegóły. Takie układy nie byłyby możliwe, gdyby nie złowrogi cień Wschodniego Imperium, dysponującego legendarną siłą magiczną.

„Nawet za żywność niektóre stare uparciuchy z Karsu nie zgodziłyby się rokować z białymi demonami. Dopiero objawienie Vkandisa i groźba zagłady zmusiły ich do tego. Może kiedy zaczniemy przełamywać pierwsze lody, zanim niebezpieczeństwo zniknie, starcy powymierają albo przyzwyczają się do nowego stanu rzeczy i nie będą więcej mącić.”

Jednak wydawało się dziwne, iż Valdemar ma teraz więcej, a nie mniej kłopotów z magią — przy takiej liczbie adeptów i po zniknięciu Ancara rzeczywiście wszystko powinno wrócić do normy. Chyba że wmieszał się w to ktoś jeszcze. . .

— Czy Imperium nie ma z tym nic wspólnego? — odezwał się Karal, zanim miał czas pomyśleć, co robi.

— Z czym? — spytał ostro Rubryk.

Karal zaczerwienił się gwałtownie, zadowolony z ciemności, która ukryła jego rumieniec. Głupiec, już drugi raz zdarzyło mu się odezwać bez zastanowienia, musi się kontrolować, a przede wszystkim nie rozmawiać, kiedy jest tak bardzo zmęczony — wtedy słowa same pchają się na usta, zanim zdąży pomyśleć, co mówi.

— Z tą pogodą — odpowiedział. — Podobno Imperium ma mnóstwo magów. Czy nie mogliby zsyłać na was takiej pogody, by was osłabić, a potem uderzyć?

— To prawdopodobne, nawet więcej niż prawdopodobne. Nie wiedziałem, że magia pogody działa na takie odległości. — Rubryk zaklął pod nosem i zeszywniał, powstrzymując jęk. Musiał bardzo cierpieć, podróż zmęczyła go tak samo, jak i Karsytów, chociaż Towarzysz wyglądał tak świeżo, jak rankiem, kiedy wyruszali w drogę.

— Teoretycznie można tak robić, ale w Karsie, o ile mi wiadomo, nikt dotąd nie próbował — odezwał się Ulrich. — W starych księgach o magii natknąłem się na takie wzmianki, jednak wykorzystanie pogody jako broni uważa się na ogół za mało skuteczne. Dość łatwo się obronić przed takim atakiem.

— Chyba że wróg jest znany z tego, iż nie posługuje się magią — Rubryk znów zaklął. — Z pewnością szpiedzy Imperium już to wywęszyli. Jeśli rzeczywiście zakłócenia to ich dzieło, pewnie śmieją się z nas. Muszę o tym wspomnieć, może ktoś się tym zajmie.

— Nawet jeśli burze to dzieło wroga, można sobie z nimi poradzić — odpowiedział Ulrich. — Nie wymaga to nawet szczególnie potężnego maga. Nie potrafię jeszcze powiedzieć, czy taka pogoda to dzieło natury czy człowieka, jestem zbyt zmęczony, a odległość między nami a Imperium zbyt wielka. Jeżeli jednak to Imperium próbuje osłabić w ten sposób Valdemar, odległość działa na naszą korzyść, gdyż nie zdołają powstrzymać nawet najsłabszego maga od odwrócenia ich zaklęć. Nawet nie najlepszy mag pogody, działając blisko celu, potrafi rozproszyć czary kogoś o wiele potężniejszego, ale znajdującącego się daleko.

— Dobrze wiedzieć. — W głosie Rubryka mimo zmęczenia brzmiała wdzięczność. — Proszę, przypomnijcie mi, że mam o tym wspomnieć.

— Pamiętaj, Karalu — powiedział Ulrich. Karal zanotował w pamięci, on musiał zadbać, by wszystkie te informacje znalazły się w notatkach karsyckiego posła, kiedy zaczną się rozmowy z przywódcami Valdemaru.

— A to co? — zapytał Ulrich, kiedy Karal po cichu powtarzał sobie wszystko dla pewności. Sekretarz spojrział w górę, drogę zagradało coś wielkiego — zbyt wielkiego, by mógł to być budynek. Na szczycie, na wysokości przynajmniej kilku pięter, paliły się światła latarni lub pochodni. Ta część Przystani zasługiwała na podziw.

— Stare mury miejskie — odparł Rubryk z ulgą w głosie. — Tędy przebiegała niegdyś granica miasta. Jesteśmy prawie w domu.

Mury wyglądały imponująco, po tunelu przecinającym je w poprzek widać było ich grubość. Tunel zaczynał się i kończył bramami, strzeżonymi przez czujną, jak się okazało, wartę. Podróżni zostali zatrzymani, kapitan straży przejrzał papiery, zaznaczył w nich coś i machnął ręką, żeby przejeżdżali.

— Dobrze wyszkoleni — zauważył Ulrich.

Rubryk skinął głową.

„Wydaje się, jakby czekali na nas.”

Światła oświetlały drogę tak dobrze, że widzieli prawie wszystko. Wewnątrz

murów życie toczyło się niemal zwykłym trybem. Przez otwarte okna tawern do-
latywały dźwięki muzyki i głosy ludzi, tu i ówdzie pracowity kupiec kończył ra-
chunki przy świetle świecy, zapach pieczonego chleba upewnił Karala, że i tu, jak
w Karsie, piekarnie pracowały w nocy, kiedy nie doskwierał upał. Czasami mijały
ich olbrzymie konie pociągowe, ciągnące w czwórkę wielkie wozy załadowane
beczkami, w dzień nie zdołałyby przejechać przez zatłoczone ulice. Drogi wy-
łożono czymś gładkim, co nie przypominało kocich łbów ani niczego, co Karal
znał.

Rubryk rozejrzał się i zmarszczył czoło.

— Zapowiada się gorsza burza, niż myślałem — powiedział po chwili. —
Spójrzcie, okiennice domów są pozamykane i prawdopodobnie zaryglowane od
wewnątrz.

Karal przytaknął, teraz zrozumiał, dlaczego miasto wyglądało jak wymarłe.
Większość okiennic zamknięto, z wewnątrz nie przedostawało się światło ani
dźwięki.

— Czy to coś niezwykłego o tej porze roku? — spytał.

— Bardzo — odrzekł krótko Rubryk.

„Jeżeli oczekują takiej nawałnicy, jak ta, która wyrwała drzewo i zniszczyła
most, to nic dziwnego, że tak się pozamykali. Na ich miejscu zrobiłbym to samo.”
Lepiej spędzić noc w zamknięciu niż narażać okna na rozbicie.

Karalowi wydawało się, iż jada w kółko i droga zajmuje im o wiele więcej
czasu, niż powinna. Zaczął więc rozglądać się na wszystkie strony, próbując do-
strzec pałac. Na wielkie światło, przecież nawet jeszcze go nie widział, w Karsie
dostrzegliby go od razu na końcu Wielkiego Bulwaru.

— Przystań zaprojektowano inaczej — powiedział Ulrich półgłosem, kiedy
Karal wykręcał szyję, próbując dojrzeć cel podróży. — Miała być przede wszyst-
kim fortecą — i pałac podobno nie przewyższa otaczających go domów bogaczy.
Ulice miały utrudnić zdobycie miasta, dlatego tak się wiją i kręcą, nie ma najkrót-
szej drogi do pałacu czy innego ważnego budynku.

„Stolicę Karsu budowano przede wszystkim jako miejsce kultu: w centrum
świątynia i pałac Syna Słońca jako jej część, a ulice rozchodzą się od nich jak
promienie słońca.”

Karal miał tylko nadzieję, że umysły Valdemarczyków nie okażą się tak zawi-
łe, jak ulice ich stolicy.

Przynajmniej mijali coraz bardziej okazałe domy i sklepy — znak, iż zbliżali
się do centrum miasta. W końcu sklepy i gospody znikły, a ich miejsce zajęły oka-
załe rezydencje bogaczy. Wreszcie, kiedy Karal był już niemal pewny, że Rubryk
zabłądził i nigdy nie dotrą do celu — stanęli przed kolejnym murem, tym razem
niższym, mniej więcej dwupiętrowym. Karalowi nie udało się dostrzec ani śladu
straży, choć ścianę oświetlały latarnie zawieszane wysoko na żelaznych uchwy-
tach. Dzięki nim nie ukryłyby się żaden jeździec ani pieszy idący ulicą wzdłuż

muru, a z krużganka straży można je było łatwo zapalać i gasić.

Po drugiej stronie Karal dojrzał duży budynek. Zanim zdołał zadać jakiekolwiek pytanie, dojechali do bramy — tak małej, że mogliby ją minąć, nie zauważwszy.

— Witaj, Rubryku! — zawołał rażno młody mężczyzna w błękitnym mundurze, w odcieniu tak jasnym, jakiego Karal jeszcze nie widział. — Cóż to, wprowadzasz posła kuchennym wejściem? Ciekawy sposób przyjmowania gości!

Karal zeszywniał, ale Rubryk zamierzył się, by kopnąć wartownika.

— Ty bałwanie, to nie żadne kuchenne wejście, tylko prywatna furтка, i dobrze o tym wiesz, Adem! Czy chcesz zacząć nową wojnę z Karsem?

Karal odetchnął. Strażnik roześmiał się i otworzył przejście.

— Wchodźcie. Ci sztywniacy pewnie nie znają ani słowa z naszego...

— O, mówię waszym językiem wystarczająco dobrze, by poznać, iż nie miałeś na myśli nic złego, lecz musisz nauczyć się uważać na swoje zachowanie, chłopcze — rzekł Ulrich swobodnym tonem. — Do waszej królowej przyjeżdża teraz mnóstwo gości z zagranicy, lepiej nie liczyć na ich ignorancję i zważaj na słowa.

Strażnik zakręcił się w kółko, zbłądził i zaczął mamrotać przeprosiny. Jednak Rubryk mu przerwał, odwracając się w siodle i zwracając do Ulricha:

— Cóż, kapłanie? To ciebie obraził ten młodzik, więc tobie zostawiam wyznaczenie mu kary.

Mówił we własnym języku, by zrozumiał go strażnik. Ulrich zastanowił się chwilę.

— Chyba powinieneś podać go do raportu, nie cytując jednak dokładnie jego słów — odrzekł ostrożnie w tym samym języku. — Wspomnij tylko, że nie zachował się... jak przystało na wartownika i postąpił tak, a nie inaczej, gdyż liczył na naszą nieznajomość waszej mowy. Nie chciał nas obrazić, jak myślę, lecz łatwo można by jego słowa tak odebrać. Ha, najlepszą karą byłoby kazać mu opanować podstawy naszego języka!

Rubryk spojrział w dół, na drżącego strażnika, niewiele starszego niż Karal.

— Słyszałeś, Adem. Rano stawisz się do raportu, prawdopodobnie dostaniesz dwa tygodnie dyżuru w stajni, to i tak mniejsza kara, niż zasługujesz. Stojąc na warcie, reprezentujesz królową, niezależnie od tego, czy jest noc czy dzień i czy ktoś tędy przejeżdża czy nie. Pamiętaj o tym.

Strażnik zasalutował, otworzył bramę i usunął się na bok.

— Tak jest! — odrzekł jeszcze trochę drżącym głosem, lecz z ulgą w oczach. — Na pewno!

Rubryk pierwszy przejechał przez bramę, za nim Ulrich. Strażnik spojrział na kapłana.

— Dziękuję, panie — rzekł cicho.

Ulrich skinął głową, przez jego usta przebiegł cień uśmiechu.

Karal jechał na końcu orszaku, wartownik zamknął bramę — rozległo się skrzypienie zawiasów i zgrzyt ciężkiego klucza w wielkim zamku. Przed nimi rozciągała się długa brukowana aleja, wiodąca do olbrzymiego budynku, który Karal dojrzał jeszcze zza bramy, dokładnie oświetlonego rozwieszonymi latarniami.

„Bardzo starannie, patrol straży widzi wszystko, nikt się nie ukryje w kącie, trudno się dostać do środka. Czyżby królowa miała już kiedyś niepożądanych gości?”

Teraz Karal widział, że teren w obrębie murów był o wiele większy, niż przypuszczał, wydawał się większy niż całe miasto. Po lewej majaczył nawet zarys lasu. . . lecz jego uwaga zwrócona była w przeciwnym kierunku, ku ścianom wysokiego, szarego domu i grupie zbliżających się ludzi. Czwooro z nich z pewnością należało do pałacowej służby, lecz dwóch innych miało na sobie bogate szaty, a w dwóch następnych Karal rozpoznał heroldów.

Rubryk odwrócił się do Ulricha.

— Dziękuję za zrozumienie. Młody Adem nie miał złych zamiarów, znam go od dziecka, czeka go świetna przyszłość. Zgłosił się do straży na ochotnika, lecz obawiam się, że jeszcze nie wyrobił sobie dokładnego pojęcia o obowiązkach.

Ulrich wzruszył ramionami, nie wyglądał na rozgniewanego.

— Dwa tygodnie w stajni nauczą go wszystkiego, co powinien wiedzieć na ten temat.

Rubryk przytaknął, a jego Towarzysz wstrząsnął głową i prychnął, jakby się śmiał.

— Zostawiam was tutaj. Miło się z wami podróżowało, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

— Postaram się o to, gdy tylko czas pozwoli — odrzekł Ulrich szczerze, po czym zwrócił się ku grupie oczekujących.

Rubryk wyprostował się w siodle, przybysze stanęli tuż przed nosem jego Towarzysza. Jednak nie zsiadł, Ulrich także się nie ruszył — chyba nikt tego od nich nie oczekiwał.

— Lordzie kapłanie Ulrichu, przybyły z misją Jej Świątobliwości Solaris, Syna Słońca, Proroka Vkandisa, pozwól przedstawić sobie lorda Palinora, seneszała Valdemaru i jego herolda, Kyrila. . .

Obaj wymienieni zgięli się lekko, seneszał był nieco młodszy od herolda, wyższy i szczuplejszy, w każdym calu dyplomata. Jego przeciętny wygląd wynagradzała wspaniałość szat. Herold zaś okazał się jednym z najbardziej charakterystycznych ludzi, jakich Karal dotąd spotkał: o prostej postawie, siwych włosach, jakby rzeźbionych rysach i przenikliwych oczach. Chyba niewielu odważyłoby się przy nim skłamać.

— Czuję się zaszczycony, mogąc was poznać, panowie — odezwał się Ulrich równie ceremonialnie. — Takie powitanie bardzo mi pochlebia, mnie i Karsowi,

zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę późną porę i... — zrobił znaczącą pauzę, by spojrzeć w górę — ...i wasze kłopoty z pogodą. Podobno należy się spodziewać jej pogorszenia.

— Do licha, to paskudna prawda — zamruczał pod nosem trzeci mężczyzna, w uniformie herolda, po czym postąpił krok do przodu i skłonił się. Rubryk podniósł w zaskoczeniu brwi, lecz szybko oprzytomniał.

— A... to książę Daren, osobisty przedstawiciel królowej.

Więc to był książę? W stroju herolda? Dobre wychowanie nie pozwoliło Karalowi otworzyć ze zdumienia ust, lecz za to omal nie przygryzł sobie języka. Rubryk nie spodziewał się nikogo z rodziny królewskiej, inaczej by ich uprzedził. Karal zbyt dobrze zdawał sobie sprawę ze swego — i Ulricha — wyglądu po długiej podróży.

Książę Daren uśmiechnął się.

— Witamy was najserdeczniej, lordzie kapłanie Ulrichu. Obawiałem się, że gdybym nie przyszedł osobiście, powitanie mogłoby spaść do roli podrzędnego wydarzenia dyplomatycznego. Jeżeli wybaczycie mi bezpośredniość żołnierza, którym przecież jestem...

Przenikliwy wiatr wydał płaszcze i peleryny i zmusił zmęczone wierzchowce do nerwowego tańca. Z drzew posypały się liście, w powietrze wzbity się obłoki kurzu. Z oddali dobiegł odgłos grzmotu — znak nadciągającej burzy. Niebo przecięła błyskawica.

„Dzięki Vkandisowi za księcia! Tylko on ma wystarczająco wysoką pozycję, by skrócić ceremoniał bez narażenia się na zarzut obrazy posła — i wie o tym!”

— ...pogoda, o której wspomniałeś, zaraz nas dopadnie, jeżeli się nie pośpieszymy! — zawołał książę, przekrzykując ryk wiatru.

Karsytom nie potrzeba było dalszej zachęty, zsiadli tak szybko, jak tylko mogli, i powierzyli wierzchowce stajennym. Kiedy o ścieżkę zabębniły pierwsze grudki gradu, poniechali wszelkiej ceremonii, zebrali fałdy płaszczy w ręce i wszyscy pobiegli do pałacu.

Książę Daren dowiódł, iż jest o wiele zręczniejszym dyplomata, niż twierdził, z uśmiechem odrzucił etykietę, by szybciej zapewnić gościom wypoczynek, poświęcił własne dostojęństwo dla ratowania godności Ulricha. „Jestem tylko prostym żołnierzem i nie znam się na dyplomatycznych zawiłościach” — mawiał często, ale ani Karal, ani jego mistrz nie wierzyli w to nawet przez moment. Dzięki takiej postawie księcia wiele spraw udało się załatwić bez zbytecznej zwłoki, nie naruszając jednocześnie protokołu. Jednomyślnie uchwalono, by wszelkie oficjalne ceremonie przełożyć na następny dzień. Książę odprowadził gości do ich komnat, pokazał, jak dzwonkiem wezwać służbę i odszedł.

— Już późno, potrzebujecie najpierw posiłku, potem odpoczynku — w tej

kolejności, lordzie — rzekł na odchodnym. — Oficjalne powitanie odbędzie się wtedy, kiedy wam będzie odpowiadało. Jutro albo ja, albo Selenay postaramy się znaleźć czas, by przyjąć wasze listy uwierzytelniające. Gdy będziecie gotowi, prześlijcie słowo. To przymierze wiele dla nas znaczy, wszystko musi się odbyć jak najstaranniej, żeby przeciwnicy pokoju mieli jak najmniej powodów do obmowy.

Jak na początek wyglądało to nieźle.

Karsytom przydzielono komnaty na drugim piętrze pałacu, w skrzydle przeznaczonym dla gości zagranicznych, ich wygląd przewyższał wszelkie oczekiwania Karala. Mieli do dyspozycji pięć pomieszczeń, własną łaźnię, salon, dwie sypialnie i elegancko urządzone pokój przyjęć. Najpierw wchodziło się do pokoju przyjęć, z którego prowadziły drzwi do salonu, za nim mieściły się sypialnie podzielone łaźnią. Komnaty miały kształt prostokąta, co mogło się okazać przydatne. Ktoś szczelnie pozamykał okiennice, więc nie wiedzieli, jaki widok roztacza się z okien. Jednak słysząc grzmoty dobiegające z zewnątrz. Karal nie żałował, że nie może otworzyć okna. Czekał na nich posiłek złożony z pięciu dań oraz służący, który znał podstawy ich języka: młody, silnie zbudowany mężczyzna z szoną gęstych ciemnych włosów i krzaczastymi brwiami, szerokimi na palec. Służący ustawił krzesła przy małym stoliku, napełnił talerze i wycofał się, by przygotować kąpiel.

Karal mógłby zjeść posiłek łącznie z talerzami, Ulrich jednak ledwie tknął jedzenia. Karal widział, że mistrz potrzebuje natychmiast gorącej kąpieli i odpoczynku. Zawsze tracił apetyt, kiedy dokuczały mu stawy.

— Nie męcz się, mistrzu — rzekł Karal, kiedy Ulrich trzeci raz podniósł do ust widelec i trzeci raz go odłożył. — Idź do kąpieli, przygotuję ci kanapki i lekarstwa.

Kapłan nawet się nie sprzeciwił, musiał bardziej cierpieć, niż Karal przypuszczał. Pozwolił służącemu zaprowadzić się do łaźni, rozebrać i umieścić w wannie.

Służący poszedł do sypialni, Karal jadł przez chwile w milczeniu, a kiedy uznał, iż Ulrich dostatecznie się rozgrzał, by odzyskać apetyt, wziął trochę mięsa, chleba, dołożył biały sos i warzywa, wy dostał z przyniesionych przed chwilą bagaży lekarstwa i rozpuścił je w szklance białego wina. Następnie zaniósł wszystko Ulrichowi, leżącemu w ciepłej wodzie, z wyrazem bólu na twarzy. Na dźwięk kroków kapłan otworzył oczy i zdobył się na uśmiech.

— Najpierw posiłek — powiedział Karal. — Gdybyś to wypił, zasnąłbyś od razu, panie.

— Zwłaszcza że mam pusty żołądek. — Ulrich przyjął jedzenie i ku zaskoczeniu i radości sekretarza zdołał wszystko zjeść. Zwykle ze zmęczenia kapłan tracił apetyt i trzeba mu było przypominać o jedzeniu. Gdy skończył, wyciągnął rękę po wino i wypił je jednym haustem. — Bądź tak dobry i przywołaj służącego — poprosił. — Idź skończyć kolację, swoją i moją, jeśli masz ochotę. Ja idę prosto

do łóżka.

Karal wrócił do salonu.

— Poseł potrzebuje pomocy w dojściu do sypialni — odezwał się po valdemarsku, starannie dobierając słowa. — Nie jest młody, a przed chwilą wziął lekarstwo, które uczyniło go śpiącym.

Mężczyzna kiwnął głową.

— Dobrze, panie. Chyba powinniście wiedzieć, że wasi służący nie są zwykłą służbą, lecz przyszłymi heroldami.

Karal podniósł brwi, ale powoli skinął głową. To dlatego ubranie służącego, chociaż szare, tak przypominało uniform Rubryka.

— Cóż, żaden z nas nie ma zamiaru obrazić was nierozsądnymi wymaganiami, zresztą bardziej przywykłem do służenia niż bycia obsługiwanym, a mój mistrz to kapłan i zwykle nie potrzebuje innej pomocy niż moja.

„Niech myśli, co chce. Nic złego, jeżeli uznają nas za ascetów. Może wtedy ktoś zastanowi się dwa razy, zanim spróbuje nas przekupić, prawdziwy kapłan tyle zważa na podarki, ile statua Vkandisa.”

Młody mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało.

— Mam na imię Arnod, panie. Dziś przypada mój nocny dyżur. W dzień będzie tu Johen albo Lysle. Czy przyprowadzić uzdrowiciela do twego mistrza?

Karal zastanowił się chwilę i potrząsnął głową.

— Nie, wystarczy mu odpoczynek. Mamy za sobą długą podróż, w dodatku ta burza...

Jakby na potwierdzenie jego słów, okiennicami wstrząsnął nagły podmuch wichru, po komnatach poniósł się grzechot, jakby rozgniewany olbrzym próbował dostać się do środka.

— W takim razie odprowadzę kapłana, a potem wrócę, by sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujecie. — Arnod wyszedł, spojrzawszy uprzednio na okiennice.

Karal szybko skończył posiłek, jednak wino zlekceważył. Pił tylko wodę. Wiedział, co by się stało, gdyby w takim stanie skusił się na alkohol.

„Spałbym dwa dni i obudził się z najgorszym bólem głowy, jaki pamiętam.”

Salon urządzone wygodnie i elegancko, dwa krzesła, sofa, stół, biurko i kominek. W niepewnym świetle świec trudno było dokładnie określić kolory wnętrza, lecz chyba przeważały szarości i delikatne beże. Drewnianą podłogę pokrywały dywany w geometryczne wzory.

Ciekawe, że ich służącymi zostali uczniowie-heroldzi. To chyba dobry znak. A może nie dowierzano zwykłemu służącemu, może ci przyszli heroldzi to niezbyt subtelny sposób trzymania na oku obu Karsytów?

„A może jednak okazują nam w ten sposób grzeczność? Trudno powiedzieć” — rozmyślał Karal. Jedyna rzecz, której był pewny, to, że Arnod — miał chyba siedemnaście lat — wydawał się całkiem sympatyczny i wcale nie zbity z tropu swą rolą służącego. Dzięki temu unikną wielu nieprzyjemności.

Arnod pojawił się ponownie, kiedy Karal kończył kolację Ulricha.

— Poseł zasnął, jak tylko położył się do łóżka — powiedział, marszcząc brwi.
— Czy to dobrze? Czy wszystko w porządku?

Karal przypomniał sobie skutki działania lekarstwa i skinął głową.

— To tylko zmęczenie: jechaliśmy od świtu, prawie dwadzieścia marek spędziliśmy w siodle, a w wieku mistrza to niemało.

— Wybaczcie, co powiem: dobrze jednak, że nie zatrzymaliście się po drodze. Most na Loden już nie istnieje, gdybyście go dziś nie przekroczyli, rano musieli byście jechać aż do Poldary, a to oznacza kolejny tydzień podróży. — Arnod znów zmarszczył brwi. — Chyba nie jestem zbyt bezpośredni? Jeżeli tak, to powiedzcie. Nie przywykłem do bycia służącym, ci, którzy mnie do tego wyznaczyli, uważali, że mamy ze sobą wiele wspólnego, gdyż mój tata hodował konie.

Karal zaśmiał się, lekko zaskoczony otwartością chłopaka.

— Lorda Ulricha traktuj tak, jak kapłana, którego szanujesz — to wystarczy. Co do mnie, już ci mówiłem: rzadko miałem okazję być obsługiwany, raczej na odwrót. — Zrobił porozumiewawczą minę. — Widzisz, mój ojciec był koniuszym w gospodarstwie.

Całe szczęście, iż podczas podróży Ulrich i Karal mieli okazję wprawić się w valdemarskim, gdyż karsycki Arnoda ledwie wystarczał do zadania najprostszyc pytań. Rozmowa, taka jak ta, którą właśnie toczyli, byłaby niemożliwa.

Wiatr znów załomotał okiennicami i uderzył w nie gradem w daremnej próbie dostania się do wewnątrz. Karal poczuł się rozluźniony — po raz pierwszy od dłuższego czasu.

„Ci służący prawdopodobnie są tym, na kogo wyglądają — chyba żeby okazali się o wiele lepszymi szpiegami, niż ktokolwiek, o kim słyszałem. Z pewnością nie przywykli do intryg. Nie, chyba możemy założyć, że nie są wytrawnymi szpiegami, chociaż oczywiście będą powtarzać nasze słowa swym zwierzchnikom.”

Poczuł tak wielką ulgę, iż pozwolił sobie na ziewnięcie.

— Przygotowałem kąpiel, panie. . . — zaczął Arnod.

— Karal, po prostu Karal — poprawił sekretarz. — Mój mistrz jest „panem” albo „lordem”, ale ja jestem zwykłym nowicjuszem, nie składałem ślubów, nie wywodzę się z arystokracji. . . jestem tylko Karalem.

Arnod z zapalem skinął głową.

— W porządku. Przygotowałem ci kąpiel, Karalu. Przypuszczałem, że po jeździe będziesz miał na nią ochotę. Czy potrzebujesz jeszcze czegoś czy mogę już sprzątnąć i pozwolić ci spać? — zawahał się na moment. — Na korytarzu, za drzwiami, stoi straż, nie tylko dla bezpieczeństwa was dwóch, lecz wszystkich ambasadorów. Nie musicie się bać napaści.

„Nie próbujcie też węszyć na zewnątrz. Nie ma sprawy, to ostatnia rzecz, na jaką miałbym ochotę. Gdyby Solaris potrzebowała szpiegów, przysłałaby kogoś innego.”

— Kąpiel i łóżko — powiedział stanowczo Karal, a raczej powiedziałby stanowczo, gdyby nie musiał ziewnąć w połowie zdania.

Arnod zachichotał i zaczął zbierać naczynia.

Łaźnia wywarła na nim duże wrażenie: wyłożona białymi płytkami, z wielką wanną, do której wodę doprowadzał system rur, a ogrzewał miedziany kocioł. W środku znajdowała się także toaleta — u boku Ulricha Karal nauczył się doceniać takie wygody, zwłaszcza w ciemne, wietrzne noce, kiedy sama myśl o błędzeniu po dworze i narażaniu się na lodowate podmuchy przyprawiała o dreszcze. Pomijając chłód, nikomu nie wyszłoby na zdrowie. . .

„Nie musiałbym wtedy składać ślubu czystości, nie miałbym jak go złamać.”

Kiedy wreszcie, rozgrzany i rozluźniony, wrócił do salonu, stwierdził, że Arnod z naczyniami już zniknął, pogasiwszy świece — została tylko jedna. Karal skierował się do własnej sypialni, mniejszej niż ta należąca do Ulricha, jedną ścianą prawdopodobnie połączonej z gankiem straży. Ta komnata dodatkowo chroniła sypialnię postać przed wszelkimi hałasami z zewnątrz, za to śpiący tutaj mógł się w porę obudzić, gdyby nadeszło niebezpieczeństwo. Sypialnia Karala nie miała okien, ale tej nocy nie brakowało mu ich. Dobiegające z zewnątrz dźwięki nie brzmiały przyjemnie.

Przy łóżku paliły się świece, na pościeli rozłożono ubranie — znak, że bagaże dotarły bezpiecznie. Dzięki Vkandisowi. Bez odpowiednich szat nie mogliby pojawić się na ceremonii powitania, nie narażając na kompromitację siebie i swej władczyni. Poza tym w bagażach znajdowało się kilka książek, które chciał przeczytać.

„Dobrze, jeden kłopot z głowy.”

Karal rzucił ręcznik, którym się owinął, i włożył miękką, luźną koszulę i bryczesy, po czym zdmuchnął świece — prócz jednej, najbliższej — i wdrapał się na łóżko. Okazało się ono rozgrzane — miły, choć nieoczekiwany gest, świeczka stojąca obok rozsiewała delikatny aromat.

„Mógłbym się przyzwycząć do takiego życia” — zauważył. To wygodne łóżko dzieliła przepaść od legowiska w stajni czy wąskiego pościeli w klasztorze, życie postać miało swoje przywileje. Karal zgasił ostatnią świeczkę i rozłożył się wygodnie.

„Na takie luksusy jeszcze chyba nie zasłużyłem.”

Nazajutrz miała się zacząć prawdziwa praca: nie fizyczna — umysłowa, nie mniej ciężka. Ulrich poleci mu obserwowanie pewnych osób, zapamiętywanie okoliczności, rozmów, wyciąganie wniosków. . . Po formalnej prezentacji na dworze to Karal będzie musiał zapamiętać twarze, tytuły i cechy szczególne. Czekają ich długie zebrania, podczas których będzie musiał robić w pamięci szczegółowe notatki, by potem przelać je na papier.

Chyba jednak nie były to luksusy niezasłużone. Bez pomocy magicznego zwierciadła czy kryształowej kuli, Karal mógł przewidzieć, co go czeka w najbliż-

szej przyszłości: dni, w których zobaczy swoje łóżko najwcześniej po północy.

„Cóż, za wszystko na tym świecie trzeba zapłacić...”

Zanim jednak zdołał zastanowić się nad tym wnioskiem, zasnął.

— Obserwuj heroldów — rzekł Ulrich, kiedy następnego poranka szykowali się do wyjścia. Tylko tyle, ale Karal nie potrzebował szczegółowych instrukcji. Ulrich dobrze wyszkolił swego sekretarza.

Posel zająmie się obserwacją księcia i valdemarskich notabli podczas ceremonii powitania i pierwszych negocjacji, Karal zaś miał zwrócić baczność na inną potęgę w tym kraju, potęgę nigdy do końca nie ujawnioną, lecz wszechobecną.

Heroldowie. Nawet Karsyci to wiedzieli.

Karal wyjątkowo się nadawał do takiego zadania, gdyż nikt nie przejmował się zbytnio sekretarzem, zwłaszcza tak młodym. Nie wyglądał na kogoś, kto ma dużo do ukrycia. I rzeczywiście tak było, sam wątpił, by kiedykolwiek mógł zataić cokolwiek, nawet gdyby ktoś powierzył mu prawdziwy sekret. Na szczęście nie musiał tego robić: jego zadaniem było patrzeć i słuchać.

Wstali późno, przynajmniej jak na Ulricha, który zwykle zrywał się skoro świt. Inny służący, który przedstawił się jako Johen, lecz poza tym prawie nic nie mówił, przyniósł im śniadanie i przekazał dalej prośbę Ulricha o formalną audiencję. Wrócił z wiadomością, iż odbędzie się ona za markę na świecy, gdy dwór zbierze się na jednym z regularnych spotkań. Łatwo było wyliczyć, kiedy to nastąpi, gdyż jedna ze świec pozostawionych na całą noc okazała się rodzajem zegara — w regularnych odstępach pozaznaczano na niej marki. Karal już podczas podróży zauważył, że marka valdemarska i marka karsycka, liczona według zegara wodnego, prawie się nie różniły.

Ponieważ natychmiastowe przyjęcie było tym, o co Ulrich prosił, odesłali natychmiast Johena z wiadomością, iż chętnie się zgadzają na podany termin. Obaj Karsyci odziali się starannie na tę okazję w aksamity specjalnie uszyte dla posła i jego sekretarza, kapłana i nowicjusza, miały na sobie taką ilość złota i ozdób, jakiej Karal nie lubił. Lepiej czuł się w prostych, czarnych wełnianych tunikach, koszulach i bryczesach, zwykłym ubraniu sług Vkandisa. Jednak jako reprezentant Solaris musiał wyglądać godnie.

Poza tym Ulrich ugiął się pod ciężarem trzy razy większym, Karal starał się nie myśleć o liczbie łańcuchów i ozdób, gdyż natychmiast zaczął odczuwać ból ramion.

Johen przyprowadził młodego wartownika, który miał ich eskortować do sali audiencyjnej, którą Valdemarczycy nazywali jakoś inaczej. Zdaje się, że Johen nazwał ją Salą Tronową, lecz mówił tak szybko, iż Karalowi trudno go było zrozumieć.

Strażnik zostawił ich przy otwartych na oścież drzwiach, więc po prostu zajęli

miejsca w tłumie oczekujących. Stali wśród kolorowo wystrojonych dworzan, jak kruki pośród rajskich ptaków, otaczający ich ludzie odsunęli się lekko, jakby dla okazania, że świeży sojusz z Karsem wciąż budzi wątpliwości.

„Obserwuj heroldów” — powiedział Ulrich. Karal trzymał oczy pokornie spuszczone, ale przez rzęsy podpatrywał otoczenie. Pomiedzy dworzanami nie znalazł wielu heroldów: jeden stał obok mężczyzny o wyglądzie żołnierza i rozmawiał z egzotycznie ubraną kobietą — również heroldem. Troje innych stało we wnęce tronowej obok władczyni — właściwie pięcioro, jeśli liczyć królową i księcia. To była następna niespodzianka dla Karala: królowa i jej małżonek także włożyli białe uniformy. Jedną osobę Karal rozpoznał: Talia, która gościła w Karsie jako posłanka Selenay. Niezłe rozstawienie, jednak obok heroldów w sali stało mnóstwo strażników w błękitnych mundurach.

Dwóch ostatnich heroldów Karal na razie pominął. Najprawdopodobniej ich zadanie polegało na obserwowaniu otoczenia, z ich nieruchomych twarzy nawet uważny obserwator nic by nie odczytał. Na razie chłopiec postanowił skupić się na Talii i dwóch pozostałych: mężczyźnie stojącym obok bogato ubranego żołnierza i biało odzianej kobiecie. Na tę ostatnią zwróciłby zresztą uwagę z ciekawości. Mimo całej fantazyjności stroju postawa i sposób poruszania się nieznanym wyraźnie dawały do zrozumienia, iż może ona być niebezpieczna i niewiele rzeczy umknie jej oczom. Miała siwe włosy, choć jej twarz wyglądała młodo, jeszcze jedna zagadka.

Wtedy Karal przypomniał sobie lekcje magii. „Aha. Może jest adeptem, czerpanie z ognisk energii rozjaśnia włosy i oczy.” Ulrich podobno posiwiiał, zanim osiągnął wiek średni. Jeżeli zatem nieznaną kobietą była adeptem, to jaką zajmowała tu pozycję? W Valdemarze nie spotykało się adeptów na każdym kroku.

Nagle kawałki łamigłówek ułożyły się w całość.

„Lady Elspeth. Ta, która pojechała w daleką podróż, by odnaleźć magów i wróciła z czymś więcej niż sama magia.”

Przy drzwiach zauważył poruszenie, weszli nowi ludzie... nie tylko ludzie!

Tłum dworzan rozstał się z oznakami bojaźni, robiąc przejście dziwnemu orszakowi. Przodem szło dwóch srebrnowłosych mężczyzn ubranych w tak wyszukane i egzotyczne stroje, jak Elspeth. Jednak przy ich barwach bładł nawet kostium córki królowej. Młodszy i przystojniejszy mężczyzna przybrał się bardziej okazale, w jedwabie mieniające się tuzinem odcieni szmaragdu, jego towarzysz zadowolili się nieco ciemniejszymi kolorami lasu.

Jednak i oni wyglądali niepozornie w porównaniu z istotami, które wkroczyły w tej chwili do komnaty, na czele szło olbrzymie zwierzę podobne do wilka, a za nim postępował...

Gryf!

„O Vkandisie...”

Karal z bijącym sercem wpatrywał się w legendarną postać. Czuł się podobnie

jak wtedy, kiedy pierwszy raz ujrzał Hanse — tylko że ogniste koty nie dorównywały wielkością gryfom.

Mimo zasłyszanych opowieści Karal nie był przygotowany na taki widok. Przede wszystkim gryf był ogromny, wielkości konia — jego czub zamiatał sufit, gdy szedł w stronę tronu. Po drugie — okazał się... piękny. Nie stanowił, jak opowiadano w Karsie, mieszanki innych znanych zwierząt: kawałek kota, kawałek orła — był tylko sobą. Można by powiedzieć, że stworzyła go ręka artysty.

Miał głowę drapieżnika, jednak z większą czaszką, Karal nie miałby ochoty dostać się w zasięg tego wielkiego, ostrego dzioba. Skrzydła, teraz złożone, również musiały być szerokie. Cztery gryfie nogi kończyły się pazurami. Karal z rozbawieniem, nie pozbawionym nuty hysterii, zauważył, iż ktoś skonstruował ochraniacze na pazury, by oszczędzić drewnianą podłogę. Ochraniacze przywiązano paskami obejmującymi grzbiet gryfa. Pióra lśniły złotawym brązem, z ciemniejszymi plamami tu i ówdzie. Kiedy Karal napotkał jego wzrok, stracił wszelkie wątpliwości: ta istota co najmniej dorównywała mu inteligencją, jeżeli go nie przewyższała. Jednak w jej oczach, oprócz inteligencji, pobłyskiwały także iskierki humoru i siła charakteru. Gryf wpatrywał się w Karala bez mrugnięcia, potem omiótł wzrokiem jego mistrza.

Chwilę po wejściu tego małego orszaku audiencja się rozpoczęła.

Ulrich i Karal znaleźli się w centrum uwagi. Najpierw szybko rozprawiono się z kilkoma codziennymi sprawami, potem zaś mistrz ceremonii wezwał posłów karsyckich do stawienia się przed królową.

Karal podążał za mistrzem, starając się utrzymać umysł jak najbardziej czysty i klarowny. Wiedział, co ich czeka: prezentacja listów uwierzytelniających, kopii traktatów, dodatkowych dokumentów... W wyszukanej przemowie Ulrich powie królowej, jak bardzo Solaris cieszy się z możliwości zawarcia pokoju i przekształcenia go w prawdziwy sojusz. Selenay zaś odpowie w podobny sposób. Przynajmniej tym razem za gładkimi słowami będzie się kryła prawda, a już na pewno ze strony Karsytów.

„Może także Valdemarczycy zmienią zdanie, jak zapewniał książę, zwłaszcza po ostatnich burzach.” Z rozmiarów szkód, które widzieli, można było wysnuć wniosek, że mieszkańcom Valdemaru będzie zależało na pozbyciu się kłopotów z pogodą. Przynajmniej jedno drzewo w ogrodzie widocznym z okna ich kwatery zostało wyrwane z korzeniami, a wiele grubych gałęzi zostało oderwanych i szybowało jeszcze długo w powietrzu. Na te akurat kłopoty Kars mógł znaleźć radę — miał wystarczająco dużo magów zajmujących się pogodą, by podzielić się nimi z sąsiadem.

W takim razie w słowach królowej także powinno być dużo prawdy. Czy wystarczająco dużo, by zapomnieć o długich stuleciach nienawiści?

Z twarzy Talii wynikało, że tak. Talia pochodziła z ludu Grodów, wychowała się przy karsyckiej granicy. Jeżeli ona potrafiła wybaczyć Karsytom i w dodat-

ku zostać honorową kapłanką ich religii, każdy powinien to zrobić... jeżeli go odpowiednio zachęcić.

Ulrich wygłosił swoją mowę, królowa odpowiedziała. Karal słuchał jednym uchem, przyglądając się Talii, która nie zwracała uwagi na karsyckiego posła od pierwszych słów jego przemowy. Jej wzrok błędził po sali, jakby chciała odczytać nastroje dworzan. Jednak z jej skupionej twarzy niewiele się dało odczytać.

— Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, lordzie kapłanie — kończyła królowa — chciałabym przy okazji przedstawić wam innych dostojników dworu, przedstawicieli naszych sprzymierzeńców i przyjaciół.

„To dlatego przyszedł gryf i cała reszta!” Kiedy Ulrich w wyszukanych słowach zgadzał się na propozycję — miał nadzieję na właśnie taki obrót spraw — tłum dworzan przesunął się i Karal znalazł się obok Ulricha, naprzeciw długiego rzędu ludzi.

„Teraz mam okazję zapracować na wygodne łóżko i dobry posiłek!” Poseł będzie polegał na wyćwiczonej pamięci swego sekretarza, do którego należało zapamiętanie wszystkich przedstawianych osób.

Najpierw poznali Radę: seneszala — lorda Palinora, który powitał ich zeszłej nocy, lorda marszałka — mężczyznę rozmawiającego wcześniej z Elspeth, lady Cathan, reprezentującą Gildię, oraz stosunkowo młodego kapłana, jak się okazało — patriarchę, przedstawiciela wszelkich religii Valdemaru.

„Hm... Uwierzę, gdy zobaczę. Chyba jeszcze się nie zdarzyło, żeby dwóch kapłanów różnych wyznań miało podobne poglądy, nawet na to, że słońce świeci!”

Jednakże wydawanie osądu nie należało do Karala, on miał tylko zapamiętać wszystkie istotne szczegóły.

Następnie przeszli przed nimi reprezentanci poszczególnych regionów Valdemaru, a na końcu — miejscowe potęgi. Heroldowie — najpierw ci, piastujący urzędy, więc herold seneszala, Kyril, mężczyzna w wieku Talii, mocno zbudowany, wysoki, o dziwnym imieniu Griffon — herold marszałka, starszy wiekiem herold Teren, dziekan Kolegium, cokolwiek to było, lady Elspeth, „herold cudzoziemców” — tytuł równie zagadkowy, dlaczego nie nazywano jej księżniczką ani następczynią? Jeszcze jedna kobieta zwracająca uwagę: wysoka blondynka, poruszająca się z nieświadomym dostojeństwem — herold kapitan Kerowyn, o której Karal słyszał tyle opowieści, że nie potrafiłby ich nawet policzyć. Przechodzili ludzie, których imiona znał z notatek i rozmów z Rubrykiem, teraz mógł je skojarzyć z twarzami.

Wreszcie posłowie i ambasadorzy — z Rethwellanu J’katha i Ruvan, z dworu hardorneńskiego na wygnaniu, z cudzoziemskich gildii, z gildii kupieckiej, z Białych Wiatrów i Błękitnej Góry — szkół magów.

I najbardziej egzotyczni: kobieta o twarzy jastrzębia, o złotej skórze, błękitnych oczach i czarnych włosach, ubrana w błękity — Querna shena Tale’sedrin,

poseł dzikich Shin'a'in z Równin Dorisza. Za nią stał srebrnowłosego mężczyzna, Śpiew Ognia k'Treva, adept i poseł Tayledrasów. Wilkopodobna istota okazała się także posłem — nazywał się Rris, reprezentował nie tylko swój gatunek — kyree, ale także tervardi, hertasi i dyheli. Ulrich kiwał głową, jakby wiedział dokładnie, o co chodzi, lecz Karal był pewny, że zaraz po audiencji, kapłan zacznie, przerzucać księgi w poszukiwaniu wyjaśnień, opisów i portretów.

Wreszcie ostatni ambasador — gryf.

Majestatycznie skłonił się Ulrichowi i otworzył dziób, którym z łatwością mógłby odgryźć głowę człowieka.

— Jessstem Trreyvan — rzekł po valdemarsku, Karal przysięgłby, że się uśmiechnął. — To dla mnie zaszczyt poznać przedstawicieli Karrssu. Mamy chyba wsspólnego przyjaciela, Czerrwonego Kapłana imieniem Ssigfrid. . .

Twarz Ulricha rozjaśniła się szczerym uśmiechem.

— Rzeczywiście — odparł ciepło. — Miałem nadzieję odnaleźć kogoś, z kim pracowałem, lecz nie spodziewałem się was, lordzie gryfie.

Tym razem Treyvan na pewno się uśmiechnął.

— Powssspominamy wspólnych zzznajomych później — zakończył i znów się skłonił, po czym z gracją się wycofał, teraz zaprezentowano Karsytom dworzan, lecz nie byli oni zbyt interesujący. Karal po prostu zapamiętywał przesuwa-
jące się przed nim twarze i imiona.

Po tej prezentacji ceremonia się skończyła. Królowa wyszła, uprzednio zaprosiwszy Ulricha na prywatne posłuchanie po południowym posiłku, goście zagraniczni rozeszli się, a z pozostałymi dworzanami Ulrich nie miał na razie ochoty rozmawiać.

Kapłan spojrział na sekretarza.

— Wystarczy mi wrażeń co najmniej na dwie godziny — powiedział po karsycku. — Czy złamię ci serce propozycją, byśmy zjedli obiad w naszych komnatach, a nie z całym dworem?

Karal pomyślał o wszystkich oczach wpatrzonych w niego z ciekawością, a nierzadko z niechęcią, myśl o próbach przełknięcia czegokolwiek pod czujnym wzrokiem tylu ludzi przyprawiła go o dreszcze. Wcześniej nie brał tego pod uwagę.

Ulrich zachichotał.

— Biorę to za zaprzeczenie i zostawiam ci wolną rękę w zorganizowaniu posiłku — rzekł. — W tym czasie porozmawiam z heroldem Talią i dowiem się, czy popołudniowe posłuchanie to oficjalna audiencja.

— Dopilnuję wszystkiego — odpowiedział Karal, biorąc słowa mistrza za pozwolenie odejścia. W drodze do komnaty nie towarzyszył mu strażnik, widocznie uznano, że już go nie potrzebują.

W komnacie Karal zadzwonił na służbę i podszedł do biurka, by spisać imiona dygnitarzy, których poznali na audiencji. Zamówił obiad do apartamentu z roztar-

gnieniem człowieka przyzwyczajonego do posiadania służby gotowej na każde wezwanie i dopiero kiedy młody człowiek wyszedł, Karal uświadomił sobie swoje zachowanie. To odkrycie zaskoczyło go, odłożył pióro i zaczął się zastanawiać. Przebywał w tym kraju dopiero od paru dni i już zaczął się zmieniać.

Dokąd doprowadzą go te zmiany?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ulrich wrócił akurat na obiad, zanim jednak zasiadł do posiłku, wszedł do swej sypialni, by po chwili ukazać się z brązowym skórzanym kuferkiem. Karal szybko przełknął jedzenie i z powrotem zabrał się za notatki. Ulrich obserwował go przez chwilę, wreszcie powiedział:

— Gdybyś mógł na chwilę zmienić temat — potrzebuję materiałów dotyczących ewentualnego przysłania do Valdemaru naszych magów zajmujących się pogodą. Chciałbym także, żebyś podzielił się ze mną wnioskami, jakie wyciągnąłeś z obserwacji herolda Talii. Spotkanie ma być nieoficjalne i zamknięte, proszono z naciskiem, bym przyszedł sam.

Karal zastygł z piórem uniesionym nad kartką.

— Czy naprawdę uważają mnie za szpiega? Czy moja osoba może ich urazić?

Ulrich wzruszył ramionami.

— Nie wiem, pamiętaj, ci ludzie znają lepiej magię umysłu niż prawdziwą magię i mogą przypuszczać, iż komunikujesz się z agentem na zewnątrz. Spróbuj się dowiedzieć, co o tobie myślą, na razie dokończ notatki i odpoczywaj do mojego powrotu. — Uśmiechnął się. — Widziałem kilka twoich książek, chyba nie będziesz się nudził.

Karal zarumienił się, gdyż połowę książek, jakie ze sobą zabrał, stanowiły opowieści o przygodach i romansach. Kapłan zachichotał.

— Nie przejmuj się, Karalu — powiedział. — Młody człowiek, zagrzebany w uczonych książkach, niewiele się dowie o życiu, a młody człowiek, który nic nie wie o życiu, nie zrozumie zwykłych ludzi. A przecież nie o to nam chodzi, prawda?

— Prawda, mistrzu — odrzekł Karal, po czym szybko powrócił do swego zajęcia. Wyjął nową kartkę i zaczął notować, używając skróconej wersji hieratycznego pisma karsyckiego. To wystarczy Ulrichowi jako podręczne źródło informacji, ale wolałby uczestniczyć w pierwszym spotkaniu. Będzie musiał polegać na pamięci kapłana.

Kiedy skończył pisać i posypał kartkę piaskiem, podniósł wzrok na mistrza. Ulrich stał twarzą do okna, przyglądając się ogrodowi.

— Miedziaka za twoje myśli — powiedział, nie odwracając się.

Karal spojrział na swą listę, przywołując w pamięci rozmowy z Rubrykiem.

— Niezbyt odkrywcze, mistrzu — odrzekł. — Mimo wszelkich różnic mamy z Valdemarem wiele wspólnego — i to w sprawach podstawowych. Nie spodziewałem się także, że Towarzysze okażą się tak podobni do ognistych kotów.

— Rzeczywiście. Jednak cieszę się, iż kotów jest w Karsie mniej niż Towarzyszy w Valdemarze — odparł ze śmiechem Ulrich, odwracając się od okna. — Chyba nie chciałbym dzielić się mym życiem wewnętrznym i przemyśleniami w takim stopniu, w jakim Solaris dzieli je z Hansą.

Karal nie miał nic do powiedzenia, Ulrich przyjaźnił się z Solaris, zanim jeszcze kapłanka została Synem Słońca, lecz na ogół nie wspominał o poufnych z nią rozmowach. „W takim razie, jaką pozycję on zajmuje?” Ze słów Ulricha można by wywnioskować, że Solaris ufała tylko jemu spośród wszystkich Karsytów. W takim razie ozdoby i inne oznaki wysokich godności jednak coś oznaczały. Czy Valdemarczycy zdawali sobie z tego sprawę?

— Chciałbym zostawić ci coś do przeczytania i przemyślenia na czas mojej nieobecności — ciągnął Ulrich, kierując się ku magicznie zamkniętej skrzyneczce leżącej na stole. — To coś innego, niż te stare traktaty prawnicze, które przywiozłeś.

Wyszeptał kilka słów i dotknął wieka palcem, zamek rozjarzył się blaskiem i wieko odskoczyło. Ulrich przeszukał wnętrze i wydobył kilka małych, zakurzonych książek o stronach pożółkłych ze starości i wypłowiałych okładkach. Otworzył każdą, spojrział na pierwsze strony, wybrał trzy, resztę zaś włożył z powrotem do kuferka i zamknął wieko zaklęciem.

— Chyba jesteś już gotowy — odezwał się, kładąc książki na biurku Karala. — Jeżeli chciałbyś o nich porozmawiać, daj mi znać. Chyba będzie o czym dyskutować.

Z tymi słowami, nie zważając na zaskoczenie sekretarza, zebrał przygotowane notatki i wyszedł.

Karal nie zdołał powściągnąć ciekawości i sięgnął po pierwszą z brzegu książkę, gdy tylko drzwi się zamknęły. Czekало go jednak rozczarowanie: strony zapisano ręcznie w starokarsyckim, dwie pozostałe książki okazały się takie same, odczytanie ich zajmie mu dużo czasu, którego na razie nie miał w nadmiarze. Z żalem odłożył tomy i wrócił do swej roboty. Najpierw praca, a potem przyjemność, najpierw obowiązek, a potem ciekawość — a jego obowiązkiem było dokończenie listy dygnitarzy.

Jednakże po zapisaniu następnych kilku stron odłożył pióro i uznał, że czas na odpoczynek. Pomyślał o schowanych w bagażach opowieściach, lecz te pokryte kurzem książki wydawały się bardziej obiecujące niż *Opowieść o Gregorim*. Wziął pierwszą z nich i przeniósł się na sofę.

Po kilku chwilach wiedział już, że podjął właściwą decyzję. Książka okazała się rzeczywiście stara, w dodatku była to kopia dzieła jeszcze starszego — pamięt-

nika kapłana Vkandisa. Niemal nie dowierzając własnym oczom, Karal odczytał na głos imię owego kapłana.

Hansa.

Jeżeli Ulrich miał rację, a Hansa towarzyszący Solaris był kiedyś Synem Słońca, w takim razie pamiętnik napisała ta sama osoba. Kapłan zaczął zapiski, gdy był w wieku Karala, zaraz po ślubach, na długo przedtem, zanim został Synem Słońca. Czy to w tej książce Solaris i Ulrich znaleźli swe rewolucyjne pomysły? Jeżeli tak, to ile jeszcze pozostało rzeczy, których nie ujawnili?

Opowieść o Gregorim mogła poczekać...

Kilka marek na świecy później Karal odłożył książkę i przetarł zmęczone oczy. Nie było to staranne pismo kopisty, lecz cienkie, niepewne, miejscami bardzo trudne do odczytania litery kogoś niezbyt wprawnego w kaligrafii. Czytanie utrudniał jeszcze archaiczny język. Dotąd udało się Karalowi przeczytać zaledwie parę stron, w dodatku musiał robić notatki, by zrozumieć treść.

Jednakże ciekawość jeszcze nie wygasła. Trud się opłacił. Rzeczy, których już się dowiedział, sprawiły, że Karal szeroko otwierał oczy. Kiedy, na przykład, zanikł zakon kapłanów bogini Kalanel? Kiedy znikła figura bogini, stojąca przedtem obok posągu Vkandisa w świątyni?

Drzwi się otworzyły i wszedł Ulrich. Karal odłożył szybko książkę, jak przyłapany na gorącym uczynku. Mistrz zerknął na jego lekturę i uśmiechnął się.

— Dobrze spędziłeś wolny wieczór — powiedział. — Ale zanim do reszty zniszczysz sobie wzrok, mam dla ciebie inne zajęcie na czas moich prywatnych spotkań.

Karal musiał wyglądać na rozczarowanego, gdyż Ulrich zaśmiał się.

— Nie, to nie negocjacje. Zamierzam spotkać się z Elspeth i Mrocznym Wiatrem, by porozmawiać o magii. Potem omówię to samo z przedstawicielami Białych Wiatrów i Błękitnej Góry. Ty nudziłbyś się straszliwie, poza tym nie znalazłbyś nic godnego zanotowania.

Karal westchnął, lecz skinął głową. Sam posiadał nikły talent magiczny, wystarczający najwyżej do rozpalenia ognia, o ile znalazłby się pod silną presją. W zwykłych okolicznościach wolał nosić przy sobie krzesiwo.

— Dobrze, mistrzu — rzekł posłusznie. — Co mam robić?

— Iść na lekcje — brzmiała zadziwiająca odpowiedź. — Chcę, byś nauczył się mówić po valdemarsku tak dobrze, jak po karsycku. W czasie negocjacji mogą pojawić się odcienie znaczeniowe, których ja nie zrozumieję — wtedy ty będziesz je wyławiał. Ja, niestety, nie mam czasu na naukę.

Cóż, to brzmiało rozsądnie. Poprzedniego wieczoru Karal zdołał porozmawiać z Arnodem, lecz ograniczyli się do prostych zdań i spraw podstawowych. Ktoś z nich musiał rozumieć, o czym mówiono wokół. Karal mógł zebrać o wie-

le więcej informacji z przypadkowych rozmów, gdyby otoczenie nie wiedziało o jego znajomości valdemarskiego.

Karal kiwnął głową, lecz Ulrich nie zamierzał kończyć.

— Spędzisz za biurkiem sporo czasu — ciągnął. — Potrzebujesz ruchu, musisz nauczyć się bronić. Ja mogę to uczynić za pomocą magii, lecz gdyby ktoś napadł na ciebie, co byś zrobił?

Karal otworzył usta, lecz zamknął je bez słowa. Ulrich miał rację, umiejętności nabyte w gospodzie i w klasztorze nie przydadzą się na dworze. Już nie był tylko dzieckiem, tutaj napastnik będzie prawdopodobnie zaprawiony w walkach, może nawet będzie zawodowym zabójcą. Valdemarczycy strzegli pałacu i zagranicznych gości, ale ktoś, kto przeżył wojnę z Ancarem, wiedział, że straż nie zawsze mogą zapewnić bezpieczeństwo. Niejeden mieszkaniec Valdemaru chętnie pozbyłby się karsyckiego posła lub jego sekretarza, choćby po to, by nie dopuścić do zawarcia pokoju.

— John przyjdzie za chwilę zaprowadzić cię do nauczyciela walki — mówił Ulrich. — Lepiej przebierz się w coś odpowiedniego.

— Dobrze, mistrzu — odrzekł Karal i szybko wstał. Po drodze do sypialni przypomniał sobie, o co jeszcze chciał spytać.

— Kto będzie mnie uczył? — zagadnął, przeszukując skrzynię przy łóżku. Miał nadzieję, że Rubryk — jedyny znajomy i życzliwy człowiek w pałacu, jakiego znał.

— Tylko jedna osoba zna równie dobrze karsycki, jak valdemarski — odrzekł Ulrich swobodnie. — Herold Alberich, zbrojmistrz. Już się zgodził.

Ubranie wypadło z rąk Karala, a jego żołądek zwinął się w kłębek.

Alberich? Ten Alberich? Wielki Zdrajca? Człowiek, którego imię stało się synonimem hańby?

Człowiek, którego wiedza o karsyckiej armii i karsyckiej granicy przez ostatnich dwadzieścia lat powstrzymywała Kars od zagarnięcia choćby ziarnka piasku z Valdemaru?

„Solaris nawiązała z nim kontakt natychmiast po objęciu urzędu” — przypomniał sobie. „Zaufała mu, kiedy wysyłała pierwszych agentów na rozmowy pokojowe. Nie jest, nie może być, wrogiem, za którego kazano mi go uważać — w przeciwnym razie Solaris na pewno nie chciałyby mieć z nim nic do czynienia. Ceni honor nade wszystko, oprócz oddania Vkandisowi. Nigdy nie dowiedziałem się prawdy — dlaczego Alberich opuścił armię dwadzieścia lat temu.”

Jednak Alberich? Sam pomysł ścinał mu krew w żyłach.

— Co do twoich lekcji obrony — ciągnął Ulrich, nieświadomy zaskoczenia sekretarza, gdyż nie widział go ze swego miejsca pod oknem — ochotnik zgłosił się do mnie, zanim zdążyłem zapytać. Herold kapitan Kerowyn.

Karal ponownie upuścił ubranie.

— Karalu?! — zawołał Ulrich, kiedy nie doczekał się odpowiedzi.

Sekretarz próbował się poruszyć i zmusić drżące ręce do posłuszeństwa. Za trzecim razem zdołał wreszcie zebrać szaty podróżne i położyć je na łóżku, lecz potem wieki zajęło mu odpinanie zapinek przy ceremonialnym stroju, który miał na sobie w czasie audiencji.

— Karalu, nie ma się czym przejmować — przemówił Ulrich, przerywając ciszę, zauważywszy wreszcie zmieszanie sekretarza. — Kero nie będzie cię szkolić w taki sposób, jak młodych heroldów. Wie, że wystarczy ci obrona w razie napaści.

„Ale ona ma osiem stóp wzrostu” — wymamrotał w myślach Karal, zapominając, że widział już Kero na ceremonii i nie przypominała ona w niczym potwora z opowieści. „Na śniadanie połyka dzieci i popija mlekiem wilczycy! Uderzeniem dłoni zabija wojownika! Ona...”

— W każdym razie ona czeka — powiedział Ulrich rażno, kiedy Karal mowcał się z bryczesami. — Pochlebila mi jej prośba, Kero bardzo rzadko bierze uczniów indywidualnych.

„Nie chcę! Wolałbym kogoś spokojnego, mniej sławnego...”

„Uspokój się, Karal. Mogło być gorzej.”

„To mógł być Alberich!”

Karal wciągnął koszulę i przeszedł do salonu. Ulrich siedział tyłem, przeglądając papiery, w tej chwili Johen zapukał do drzwi i wszedł.

Ulrich spojrział na służącego i z roztargnieniem machnął ręką, wracając do notatek.

— Idź, Karalu. Zobaczymy się później. Postaraj się za bardzo nie poobijać, dziś czeka nas kolacja z dworem, musisz wyglądać przyzwoicie. Inaczej ktoś mógłby przypuścić, że znęcam się nad swym sekretarzem.

Karal na uginających się nogach poszedł za Johenem.

„Nie poobijać się? Jasne, spróbuję...”

Johen poprowadził go schodami w dół, przez ogród, który w innych okolicznościach wzbudziłby zachwyt Karala. Teraz jednak nawet najbardziej egzotyczne drzewa i krzewy nie były w stanie przyciągnąć jego uwagi. Droga była stanowczo za krótka, nie zdołał odzyskać równowagi, kiedy dotarli do drewnianego budynku, stojącego nieopodal pałacu. Karal nigdy dotąd nie widział takiej budowli — ale też nigdy dotąd nie miał okazji znaleźć się na terenie ćwiczebnym wojska. Okna znajdowały się tuż pod dachem, co wyglądało bardzo dziwnie dla laika, Karal nie umiał znaleźć wytłumaczenia dla tak dziwnej konstrukcji.

Nie mógł jednak spytać Johena, gdyż ten pędził przed siebie, jakby chciał jak najszybciej spełnić niemiły obowiązek. Arnod był przyjacielski, Johen z pewnością nie.

Karal podążył za służącym do wnętrza, które, jak się okazało, zajmowała tylko jedna wielka sala. Przypominała ona manez przykryty dachem, drewnianą podłogę przysypano piaskiem, trzy ściany zajmowały lustra, a czwartą — broń cwi-

czebna wszelkiego rodzaju. Ławki pod ścianami wymoszczono dla złagodzenia skutków upadku. W powietrzu unosił się zapach skóry, potu i kurzu, lecz w tej chwili nikogo tu nie było.

Nagle otworzyły się małe boczne drzwi i weszła herold kapitan Kerowyn. Nie miała na sobie bieli heroldów, co Karalowi wydało się dziwne, bez uniformu nie można by odgadnąć w niej herolda, zwłaszcza że nie miała przy sobie Towarzysza. „Hm... może o to chodzi?”

Ubrana była tak, że w Karsie wywołałaby skandal — nie tylko z powodu męskich szat. Nikt nie wziąłby jej za mężczyznę w obcisłym, podkreślającym każdy mięsień jej zgrabnego ciała stroju.

Karal przełknął ślinę, Kero mogłaby być jego matką, ale jej wygląd i sposób poruszania się ani trochę nie świadczyły o wieku, była równie atrakcyjna, co niebezpieczna. Karal cieszył się, że długa tunika ukryła jego nieuniknioną reakcję, ale i tak zaczerwienił się gwałtownie.

Po chwili zbladł i całkiem zapomniał o urodzie stojącej przed nim kobiety. To była Kerowyn, kapitan Piorunów Nieba, najemniczka na długo przedtem, zanim została heroldem. Nawet jeżeli nie jadała dzieci, z pewnością zasłużyła na swoją reputację. Stała w lekkim rozkroku, z rękami na biodrach — i obserwowała go. Johen wprowadził Karala i wyszedł bez słowa. Kero przechyliła głowę, Karal miał nadzieję, iż nie widać jego drżenia.

— Spokojnie, młodzieńcze — odezwała się wreszcie po karsycku, z obcym akcentem. — Nie zjeść ciebie. W każdym razie nie bez dobrego sosu, jesteś zbyt łykowały.

Karal znów się zaczerwienił, śmiała się z niego! Widziała jego strach i bawiło ją to. Jednak obawa i zdrowy rozsądek przemożły urazę i postanowił na razie się nie odzywać.

„Niech się śmieje, jeżeli dzięki temu mnie oszczędzi!”

Podeszła do niego powoli, Karal nie ruszył się z miejsca, gdyż nogi wrosły mu w podłogę. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Kero zaś okrążyła go, oglądając ze wszystkich stron, jak konia na jarmarku. Rumieniec chłopca pogłębił się, nie przywykł do takiej lustracji ze strony kobiety, przynajmniej nie takiej kobiety. Solaris też mu się przyglądała, ale w najwyższej kapłance nie było zbyt wiele kobiecości, kiedy zasiadała na tronie, stawała się Synem Słońca w pełnym tego słowa znaczeniu. Kerowyn natomiast była równie godna podziwu, co atrakcyjna.

— Dobrze — odezwała się Kero, jakby odpowiadając na nieme pytanie, choć dotąd nie padło ani jedno słowo. — Idź, chłopiec. Ja chcę sprawdzić twoją siłę.

Zawahał się przez moment. O co jej chodziło, czy chciała dotknąć jego mięśni, jak żrebaka na sprzedaż? Jednak gdy skinęła ręką, poszedł za nią, nie wając się protestować.

Zaprowadziła go do kąta sali, gdzie leżały i wisały liny i ciężarki, wyglądające jak wymyślne narzędzia tortur. Na szczęście Kero miała inne zamiary — „dzięki

bogu!” — chciała po prostu sprawdzić, jak wiele Karal może podnieść, popchnąć i pociągnąć, posłużyły do tego obciążone liny. Kero przyglądała się badawczo wysiłkom chłopaka. Kiedy skończyli, on ociekał potem, ona zaś wyglądała na zadowoloną.

— Lepiej niż myślała — powiedziała. — Nie spędzałeś całego czasu na przekładanie papierów na biurku. A teraz oto co zrobimy: nie chcę cię zrobić żołnierz, ani nawet próbować. Chcę cię nauczyć bronić się, żeby mieć tyle czasu, żeby poczekać pomocy. Prawdziwej pomocy, wyćwiczonych wojowników.

— To brzmi sensownie — rzekł powoli.

— To problem, musisz nauczyć się te rzeczy wykonywać bez myślenia. I być silniejszy niż teraz. Czyli... — wskazała ręką przyrzady — robić, co pokazała, pięćdziesiąt razy, a potem przejść do pierwszego ruchu.

Nie to chciał usłyszeć...

Zanim skończyli, Karal ślaniał się na nogach z wyczerpania, ale nauczył się reagować na niespodziewany atak. Według Kero najbardziej prawdopodobna była napaść od tyłu i próba uduszenia, pokazała mu więc, jak wykorzystać przeciwko napastnikowi jego własną siłę i rozpęd, jak go zaskoczyć i powalić, aby samemu szybko wstać i uciec.

Jeszcze trochę ćwiczeń i Karal miał nadzieję opanować te techniki do tego stopnia, by działać instynktownie.

Kiedy Kero pozwoliła mu odejść — z poleceniem, by stawił się nazajutrz — zdał sobie sprawę, iż zmęczenie dało jeszcze inny rezultat. Nie pozostało w nim ani krzty pożądania wobec nauczycielki, mimo że w czasie ćwiczeń nieraz przybierali pozy, które skłoniłyby niejednego karsyckiego ojca do postawienia Karalowi ultimatum: ślub albo sąd. Nie wiedział, dlaczego tak się stało, ale nie miał wątpliwości: nawet gdyby Kero zrzuciła z siebie szaty i stanęła przed nim jak uliczna kobieta, Karal by jej nie dotknął. W jego umyśle Kero należała teraz do tego rodzaju kobiet, co Solaris — stała się absolutnie nieosiągalna.

Cieszył się, że pozwolono mu uciec.

Powlókł się do komnaty, Ulricha nie było, ale ktoś pomyślał o tym, by napalić w łaźni. Johen? Jeżeli to on, może jednak nie był tak niezycliwy, jak się zdawało.

Po kąpieli świat wydawał się nieco bardziej przyjazny, a Karal nabrał gotowości do zmierzenia się twarzą w twarz z Ulrichem, dworem i wszystkim, co stanęłoby na jego drodze. I całe szczęście, że tak się poczuł, gdyż w tej chwili, właśnie kiedy skończył się ubierać, rozległo się zdecydowane pukanie do drzwi. Zanim Karal zdążył odpowiedzieć, drzwi się otworzyły.

W progu stał mężczyzna ubrany w ciemnoszare skóry, podobny do Kero. Wysoki, szczupły i ciemny, Karal nigdy nie spotkał kogoś, kto tak bardzo przypominałby zgłodniałego wilka. Włosy nieznanego były zupełnie białe, a twarz poznaczona bliznami, wpatrywał się w Karala badawczo, jak Kerowyn. Miał szare oczy bez wyrazu.

Bez wątpienia pochodził z Karsu, świadczył o tym jego wygląd. Nie było zatem wątpliwości, kim był nieznajomy, Karal zupełnie zapomniał o czekającej go lekcji valdemarskiego.

Chłopiec przełknął ślinę, czując suchość w gardle. Skłonił się.

— He... heroldzie Alberichu, jestem zaszczycony... — wymamrotał po karsycku.

Alberich uśmiechnął się sardonicznie.

— Zaszczycony? Wizytą Wielkiego Zdrajcy? Nie sędzę. — Herold wszedł do komnaty i zamknął drzwi. — Są trzy możliwości: jesteś dyplomatą, ignorantem albo kłamcą. Mam nadzieję, że tym pierwszym.

Karal nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc na wszelki wypadek nie otwierał ust.

Alberich znów go obejrzał i jego twarz nieco złagodniała.

— Zatem pierwsze. Przekaz Solaris, że gratuluje jej doboru podwładnych.

Sięgnął po najbliższe krzesło, przyciągnął je do siebie i odwrócił oparciem do Karala, po czym usiadł, opierając ramiona na wysokiej poręczy. Karal usiadł również, czując znowu słabość w kolanach, ten człowiek miał bardzo silną osobowość.

— Najpierw przekonajmy się, ile już umiesz — powiedział Alberich i zaczął egzamin, a raczej przesłuchanie. Zadawał pytania i czekał na odpowiedzi, kiedy Karalowi brakowało słów i potrzasał głową, nauczyciel przechodził do następnej kwestii.

Przez cały czas Alberich świdrował chłopaka swymi szarymi oczami, przez przypadek czy nie, pytania, które zadawał, odsłoniły więcej prawdy o nim, niż Karal się spodziewał.

Niemożliwością okazało się wciąż uważać tego człowieka za Wielkiego Zdrajcę. Wszystko, co mówił i robił, potwierdzało pierwsze wrażenie Karala: Alberich w każdej chwili swego życia kierował się honorem, był twardy jak stal i niewzruszony jak góry w ojczystym Karsie.

— Chodź — rzekł wreszcie po upływie marki na świecy. Wstał szybko i sprawnie, podczas gdy Karal gramolił się na nogi, czując się niezgrabny i zupełnie wycieńczony. — Pokażę ci kilka książek, od których możesz zacząć.

Poprowadził go krętymi korytarzami i schodami do niestrzeżonych drzwi, za którymi, jak się okazało, znajdował się — przynajmniej w pojęciu Karala — raj.

Książki. Od sufitu do podłogi pełne półki książek. Jedyne biblioteka świątyni mogła się równać z tą, ale tam nowicjuszy wpuszczano wyłącznie w towarzystwie kapłanów. Karal stał olśniony w drzwiach, lecz Alberich wiedział, czego szuka, skierował się od razu w głąb, wydobył kilka małych tomów, zdmuchnął z nich kurz i wrócił do Karala.

— Chyba nikt z nich nie korzystał oprócz mnie — powiedział ze swoim sardonicznym uśmiechem. — To słowniki karsycko-valdemarskie, gramatyka, hi-

historia początków wojny z Karsem, opowiedziana z punktu widzenia Valdemaru, napisana przez kapłana Słońca — jednego z wyznań, które oderwały się od Świątyni. Trochę staroświecka, ale da ci nieco inną perspektywę i jednocześnie dobrą praktykę językową. Jutro przepytam cię z pierwszego rozdziału.

Potem zaprowadził Karala z powrotem do komnaty, tym razem sekretarz usiłował zapamiętać drogę, gdyż chciał powrócić jeszcze do tak imponującej biblioteki. Jednakże pamięć go zawiodła, był rozczarowany — naprawdę bardzo chciał tu wrócić. Przywiózł własne książki w obawie, iż nie pozwolą mu korzystać z zasobów pałacowych, ale brak straży przy drzwiach wskazywał, że mieszkańcom wolno było wchodzić do biblioteki, kiedy zechcą.

Oczywiście o ile odnajdą drogę. Może temu właśnie służył labirynt korytarzy?

Alberich musiał odczytać jego myśli, gdyż przy wejściu do komnaty zatrzymał się.

— Gdybyś chciał odwiedzić królewską bibliotekę, poproś pазia, by cię do niej zaprowadził — powiedział, a jego zwykle surowa twarz złagodniała. — Widziałem już głód książki, chłopcze. W bibliotece nie ma nic, czego nie mógłbyś dostać, a poznanie sposobu myślenia Valdemarczyków z ich własnych dzieł to nie najgorszy sposób spędzania czasu. — Po czym odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając chłopaka, ściskającego książki pod pachą i patrzącego za nim.

Wreszcie Karal wszedł do środka, położył książki na łóżku i usiadł obok, zastanawiając się, skąd weźmie siły na resztę dnia.

A przecież czekał go jeszcze formalny posiłek z dworem i królową!

Spodziewał się, że będzie ciężko, ale nie aż tak. Jak Ulrich radził sobie ze swym planem dnia, jeszcze bardziej napiętym? I jeszcze trudniejszym. . .

„W ten sam sposób, jak mnie zawsze uczył: jedna rzecz na raz” — zdecydował. „Jedna na raz.”

W tej chwili oznaczało to, że ma znaleźć i przygotować wyjściowy strój mistrza. Z wysiłkiem wstał i pozwolił nawykowi wziąć górę nad zmęczeniem.

Jedna rzecz na raz.

Przez kilka pierwszych dni Karal myślał, że lada chwila padnie, nigdy nie starczało światła dnia, by dokończyć wszystkie zadania, więc obaj z Ulrichem spędzali długie wieczory przy świecach. Czasami Karal asystował mistrzowi na spotkaniach, częściej jednak Ulrich wyznaczał je w czasie lekcji swego sekretarza — prawdopodobnie był to taktowny sposób wykluczenia go z rozmów, przy których jego obecność była niepożądana. W końcu był dyplomata. Karal przestał już się zastanawiać, dlaczego jego osoba tak przeszkadza Valdemarczykom, w gruncie rzeczy to nie miało znaczenia. Przynajmniej ubyło mu trochę obowiązków w, i tak przepełnionym, planie dnia.

Karal miał stopy zapełnione bazgrołami stron do przepisania na czysto: ko-

respondencję do Karsu podyktowaną przez Ulricha, jego notatki z poufnych spotkań, pierwsze zarysy porozumień — robota wydawała się nie mieć końca. Przez pewien czas Karal poniechał wszelkiej nadziei na znalezienie kiedykolwiek czasu dla siebie. Właściwie jedynymi chwilami spędzonymi bez leżącego przed nim tekstu były chwile kąpieli.

A jednak wkrótce tempo się zwolniło. Pierwsze porozumienia, zatwierdzone przez Ulricha i reprezentantów królowej — zwykle księcia Darena — zostały wysłane do Karsu, pierwsze kontakty dyplomatyczne nawiązano, teraz wszelkie sprawy przechodziły przez Solaris i królewską Radę. Solaris dokładnie rozważy każdą propozycję Ulricha, zanim podejmie decyzję, natomiast co do valdemarskiej Rady — nie wyróżniała się pod względem szybkości działania spośród innych podobnych instytucji, jakie Karal znał, i równie dużo czasu zabierało jej dojście do jakichkolwiek wniosków. Ilość zajęć Karala zmniejszyła się znacznie, do zadań Ulricha zaś należało teraz zawarcie bliższych i nieformalnych znajomości z ludźmi u władzy. Oznaczało to kolejne spotkania, na których Karal nie bywał obecny. Miał coraz więcej czasu do własnej dyspozycji, mógł czytać książki, uczyć się valdemarskiego i odcyfrowywać dzienniki zostawione mu przez Ulricha. W pierwszej chwili cieszył się z wolnego czasu, lecz wkrótce przeczytał wszystkie książki przywiezione z Karsu — a nauka języka i odcyfrowywanie dzienników były pracą, nie rozrywką. Kilka razy Karal próbował szukać towarzystwa, ale nie odniósł wielkich sukcesów. Potomkowie wysoko urodzonych Valdemarczyków, jego rówieśnicy, ignorowali go całkowicie, jakby był posągami albo jeszcze jedną rośliną w ogrodzie. Patrzyli zawsze w bok albo poprzez niego i nie odpowiadali na jego ostrożne pozdrowienia. Uczniowie-heroldzi chyba się go obawiali i unikali, jak mogli, Arnod był wyjątkiem, lecz jego dyżur przypadał zawsze późno w nocy.

W końcu, pewnego popołudnia, Karal usiadł przy oknie swej komnaty i poddał się nostalgii. Czuł się bardzo nieszczęśliwy, potrzebował czegokolwiek znajomego, co przypominałoby mu dom, nie był zmęczony, lecz brakło mu energii, by się poruszyć. Chciał znaleźć się z powrotem w domu, w znajomych komnatach Ulricha, w świątynnej bibliotece pomagać mistrzowi znaleźć odpowiednią księgę czy kopiować tekst. Tak, tutaj pływał się w luksusie, lecz oddałby wszelkie wymyślne potrawy za kawałek karsyckiego jęczmiennego placka. Z chęcią zamieniłby miękkie łożo i własną sypialnię na łyk górskiego powietrza, słodkie kremowe ciasta na mrożony sorbet, a wino z korzeniami na kubek gorącej, mocnej kawa.

Nic w tym kraju nie było całkiem takie same, jak w Karsie, jedzenie, zapachy, rośliny w ogrodach, meble. . . Wszystko nosiło piętno obcości, nawet we śnie Karal nie mógł zapomnieć, gdzie jest, gdyż zioła, którymi nasycano pościel, pachniały inaczej niż w domu, łożko nie przypominało podobnych sprzętów używanych w Karsie, a za oknem śpiewały inne ptaki.

Nie znalazł się też nikt, komu Karal mógłby zaufać. Ulrich miał za dużo pra-

cy, by zawracać mu głowę błahostkami, poza tym, pewnie wzięłby swego sekretarza za niedowarzonego młokosa, niedorosłego do obowiązków. Karal znalazł się w Valdemarze, by służyć swemu mistrzowi, a nie zajmować go swymi dziecinny-
mi kłopotami.

„Dobrze mi się rozmawiało z Rubrykiem. . . Nie, on ma ważniejsze sprawy na głowie, niż wysłuchiwanie skarg jakiegoś cudzoziemca tęskniącego za domem. I jaki w tym sens? Co mógłby mi poradzić — żebym wracał? Nałożono na mnie obowiązek, muszę go wypełnić.”

Zwierzenie się Kero lub Alberichowi absolutnie nie wchodziło w rachubę. Straciliby tę odrobinę szacunku, jaki mieli dla niego. Uznaliby go za dziecko, tymczasem miał pokazać, że jest już mężczyzną, wypełniającym obowiązki dorosłego człowieka. Co gorsza, gdyby dowiedzieli się o jego samopoczuciu, pewnie zgłosiliby to przełożonym. Nawet nostalgia mogłaby zostać wykorzystana przeciwko ich misji, każda oznaka słabości groziła niebezpieczeństwem.

„Wiedziałem, w co się pakuję, gdy Ulrich wyjaśnił mi, dokąd jedziemy” — powiedział sobie, wpatrując się w ogród, różniący się od regularnych, symetrycznych ogrodów w Karsie. „Wiedziałem, że będę tęsknił i będę samotny.”

Czy jednak naprawdę wiedział? Lata spędzone w klasztorze dziecięcym, chociaż niemiłe i pozbawione przyjaciół, upłynęły jednak w otoczeniu ludzi mówiących tym samym językiem, jedzących to samo pożywienie, wyznających to samo bóstwo. Tutaj jedynymi jego rodakami byli mężczyźni o wiele lat starsi i wyżsi pozycją, wyżalenie się im nie wchodziło w rachubę.

To miejsce ofiarowało mu mnóstwo atrakcji, rzeczy fascynujących, a także większą swobodę, niż kiedykolwiek miał w domu. Jednak to nie był dom. Nigdy nim się nie stanie. Już pewnie nie znajdzie nikogo, z kim mógłby po prostu porozmawiać, bez obawy, że jakieś nieopatrzne słowo zostanie wykorzystane do rozpetania konfliktu dyplomatycznego.

Skoro nie miał domu, potrzebował przyjaciela. Nigdy dotąd go nie miał. Lecz teraz potrzebował kogoś bliskiego.

Długo wpatrywał się w okno, czując coraz większą apatię. Nie miał nawet ochoty przejrzeć jeszcze raz którejs z książek.

„To mnie do niczego nie doprowadzi. Jeżeli szybko czegoś nie zrobię, wkrótce nie będę zdolny zrobić niczego.” Po prostu siedziałby tutaj, póki ktoś by go nie znalazł, a wtedy zaczęłyby się kłopoty. Ulrich chciałby wiedzieć, o co chodzi, ludzie uznaliby go za chorego i nie obyłyby się bez zamieszania.

„Chyba uzdrowiciele także nie potrafią leczyć tęsknoty za domem. Nawet tutaj. . .”

Pewien zakątek ogrodu, w którym na starannie utrzymanych grządkach rosły zioła używane w kuchni, przypominał nieco ogródek świątynny: bez krzewów różanych i romantycznych pnączy, rzadko odwiedzany przez młodzież, Karal postanowił posiedzieć tam w słońcu. Może zbyt wiele czasu spędził w zamkniętych

pomieszczeniach i stąd jego melancholia.

A może ryby zaczną fruwać... ale warto spróbować. Lepiej zrobić cokolwiek, niż siedzieć tutaj i tonąć w rozpacz.

„Użalenie się nad sobą nie pomoże.”

Zdołał jakoś podnieść się z krzesła, najtrudniej było mu zmusić się do ruchu. Kiedy już podjął decyzję i obrał kierunek, podążył tam machinalnie. Ogródek kuchenny okazał się pusty, tak jak przypuszczał — z wyjątkiem starego kapłana w żółtej szacie, wygrzewającego się w słońcu, jego obecność tym bardziej upodobniła to miejsce do karsyckich ogrodów medytacyjnych, tam też przesiadywali kapłani.

Po chwili poszukiwań Karal odnalazł odosobniony ką: ławkę osłoniętą krzewami przed ciekawskim okiem. Usiadł na chłodnym kamieniu.

Niestety, jego smutek nie uleciał, nawet się nie zmniejszył. Promienie słońca nie rozproszyły melancholii.

Karal zamknął oczy, poczuł ucisk w gardle i w żołądku. Po co tu przyjechał? Dlaczego nie znalazł sobie wymówki, by zostać? Dlaczego nie zostawił tego zadania komuś starszemu, doświadczonemu? Mógł przecież znaleźć sobie nowego mistrza. Nawet gdyby nie okazał się on tak dobry, jak Ulrich, to czy nie byłaby to skromna zapłata za pozostanie w domu? Czy to ważne, że Ulrich był jedynym człowiekiem dobrym dla niego, odkąd zabrano go od rodziny? Już wycierpiał obojętność i niezyczliwość, nawet gdyby jeszcze raz miał się z tym spotkać, przynajmniej byłby w domu! W domu, a nie w obcym otoczeniu, gdzie każdy mógł się okazać wrogiem.

— „Byłem obcym wśród obcych, a nikt mnie nie poznał. Każde serce zwróciło się przeciwko mnie, a wyciągnięta dłoń okazała się pusta.”

Karal podskoczył, tłumiąc niegodny okrzyk strachu, otworzył oczy. Kto mógłby cytować *Obrządek Vkandisa*, w dodatku z takim okropnym akcentem?

Przez moment nie rozpoznawał stojącej tuż przed nim, lekko uśmiechniętej kobiety, ubranej jak Kero w tunikę i bryczesy, lecz nie tak obcisłe — i białe, a nie brązowe.

Była to kobieta koło trzydziestki. Niezbyt wysoka, prawdopodobnie sięgałaby Karalowi ledwie do podbródka, w jej brązowych włosach lśniło kilka srebrnych nitek, oczy zaś miały kolor zielono-brązowy. Wydawała się jednocześnie krucha i silna.

Po chwili umysł Karala zaczął pracować szybciej i wróciła mu pamięć, początkowo zmylił go jej strój. Dotąd widział ją tylko w formalnym dworskim kostiumie. To była Talia, osobisty herold królowej.

Została także kapłanką Słońca, lecz jak nauczyła się *Obrządku*? Po co zadawała sobie trud? Nie musiała tego robić, jej tytuł był tylko honorowy.

— Myślałeś, że nie wezmę zbyt poważnie mianowania na kapłankę, prawda? — powiedziała z przekornym uśmiechem. — Być może Solaris uważała to tylko

za symbol, lecz mnie się wydawało, że powinnam odnieść się do niego z szacunkiem, więc nauczyłam się co nieco o tym, kogo miałam reprezentować.

— Och — wykrztusił, czując się bardzo głupio. W tej chwili zdał sobie sprawę, iż Talia mówi w jego języku, słowa, choć wypowiedane z silnym akcentem, wsiąkały w jego spragnioną duszę jak krople deszczu w suchą ziemię. Chciał usłyszeć więcej, potrzebował tego.

— Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam sobie, że ten cytat najbardziej pasuje — ciągnęła. — Nie wyglądałeś na szczęśliwego. Oczywiście to mogła być zwykła niestrawność. . .

Przechyliła głowę na bok, jakby czekając na jego odpowiedź, może zwierzenie? Karal wahał się. Talia wydawała się życzliwa, lecz czy rozmowa z nią nie przysporzy mu kłopotów?

„Z drugiej strony, jest nie tylko heroldem, ale i należy do ludu Vkandisa. Gdyby skrzywdziła kogoś z jego wyznawców, czy Vkandis nie zareagowałby na to?”

Poczekala jeszcze chwilę, uśmiechnęła się szerzej. Miała piękne, życzliwe oczy.

— Być może to szczególny rodzaj niestrawności — podsunęła. — Trafił ci się zbyt wielki kęs Valdemaru i nie możesz go łatwo przełknąć.

Musiał się zaśmiać na takie wyobrażenie.

— To chyba niezłe wyjaśnienie — stwierdził, odprężając się nieco. Od długiego czasu tęsknił do rozmowy z kimś, Talia sama się ofiarowała. Może to właśnie bezpiecznie zwierzyć się jej? Co właściwie wiedział o tej kobiecie? Była kimś w rodzaju specjalnego doradcy królowej, Solaris spędziła z nią dużo czasu, jednak było coś ważniejszego. . .

„Hansa jej ufał.”

Tak, o to chodziło. Teraz sobie przypomniał. Ognisty kot obdarzył ją zaufaniem, to Hansa zaproponował, by uczynić Talię honorową kapłanką. Przynajmniej Ulrich tak twierdził.

Talia kiwnęła przyjaźnie głową, najwyraźniej nie szykowała się do odejścia mimo jego wahania. Ciekawe — nie próbowała usiąść obok na ławce. Nie chciała się narzucać?

— Czułam się tak samo, kiedy pierwszy raz tu przybyłam — powiedziała, przenosząc ciężar ciała na drugą nogę. — Pochodziłam z tak odmiennej okolicy, jakby znajdowała się na końcu świata. Może trudno ci będzie w to uwierzyć, lecz u nas dzieci trzymane z daleka od tego, co się działo poza wioską. Nie miałam pojęcia, czym są w istocie heroldowie i Towarzysze, wiedziałam tylko to, co wyczytałam w kilku opowieściach. Kiedy Rolan mnie wybrał, myślałam, że to zabłąkany Towarzysz. Chciałam odprowadzić go do domu, jak zwykłego konia!

Musiał się roześmiać. Wiedział już więcej niż Talia w dzieciństwie. Rubryk opisał mu, jak Towarzysze dokonują wyboru, przypominało to zwrócenie na siebie uwagi ognistego kota. Trudno uwierzyć, że w samym Valdemarze żyli ludzie

nieświadomi prawdziwej natury Towarzyszy.

Z drugiej strony, jak słusznie zauważyła Talia, dziecko łatwo kontrolować. Wybór to chyba dość dramatyczne wydarzenie — Karal wyobrażał sobie, jak niektórzy próbowali uciec od tego losu, gdyż burzył on wszelkie plany życiowe. Talia, ze swą niewiedzą, musiała stanowić wyjątek.

— Poważnie jednak — czułam się tutaj tak samo nie na miejscu, jak pewnie ty teraz. Zapewne przejeżdżaliście w drodze do stolicy przez ziemie ludu Grodów, właśnie stamtąd pochodzę — uśmiechnęła się, kiedy Karal bardzo ostrożnie przytaknął. — Według własnej tradycji — kiedyś uciekli z Karsu, lecz ja przypuszczam, że wyrzucono ich stamtąd. Chyba na całym świecie nie ma równie zamkniętej i nietolerancyjnej społeczności. Według mnie porozumienie z nimi sprawia więcej kłopotów, niż przynosi korzyści.

— Nie wiem nic na ich temat — przyznał. — Nigdy się nimi nie zajmowałem, więc nie ośmielę się formułować opinii. Ale rozumiem, że mogłaś się czuć bardzo... obco, kiedy tu przybyłaś. Z pewnością pałac różni się od waszych grodów. Pewnie czułaś się tu tak samo obco, jak ja. — To chyba zabrzmiało wystarczająco dyplomatycznie.

Przyjrzała się swoim palcom, potem spojrzała na niego.

— Podobno nie zdołałeś jednak zawrzeć tu żadnych znajomości — to różnica między nami. Oczywiście tobie jest trudniej, przybyłeś w orszaku posła, co czyni cię niebezpiecznym, a w dodatku pochodzisz z kraju do niedawna wrogiego, spomiędzy kapłanów znanych ze swych magicznych zdolności, co czyni cię osobiście niebezpiecznym znajomym. Przysłowie Shin'a'in mówi: „Mądrze jest trzymać się z daleka od kogoś, kto włada demonami.” Trudno zawierać znajomości, kiedy wszyscy wokół boją się, że w chwili złości możesz ich zamienić w smażone kotlety.

— A... to ciekawe — odparł, by zyskać na czasie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby się wydawać niebezpieczny, że mógłby po prostu napawać lękiem ludzi, z którymi chciał się zapoznać. — Nie myślałem o tym.

— Cóż, nasza młodzież bywa nieśmiała i raczej konserwatywna — rzekła swobodnie. — Przynajmniej dzieci wysoko urodzonych. Nie wiem o nikim, kto umyślnie byłby wobec ciebie nieuprzejmy czy wrogi. Z drugiej strony, ci młodzi ostatnio wiele przeszli. Prawie każdy stracił kogoś bliskiego w wojnie z Ancarem, niektórzy z piątego czy szóstego w kolejności dziedzica stali się drugim czy trzecim. Część z nich już nie ma rodziców, opiekuje się nimi starsze rodzeństwo. Nie chcą już o tym myśleć, dlatego koncentrują się na pozornie błahych sprawach. Kłopot polega na tym, że nie spotkałeś się z tymi, którzy jakoś wykorzystują swój czas — oni po prostu są tak samo zajęci, jak ty.

Jej słowa otrzeźwiły go całkowicie. Jak wielu Valdemarczyków zginęło na wojnie? Czy Kars równie ucierpiał? Nie, przynajmniej nie na początku. Może kiedy przymierze ujawniono...

— Przykro mi to słyszeć — powiedział szczerze. — Mój kraj nie miał chyba aż takich kłopotów.

— Nie, przynajmniej na początku — zgodziła się Talia. Przeczesła palcami włosy. — Po pierwsze, Ancarowi nie zależało tak bardzo na zdobyciu Karsu, jak na Valdemarze, po drugie zaś, mylnie uważał Solaris za mężczyznę. Kiedy przekonał się o pomyłce, włączenie waszego kraju do jego planu zemsty na kobietach było już tylko kwestią czasu. Pewnie dlatego Solaris wysłała posłów do Albericha z propozycją rozejmu.

Znów się uśmiechnęła.

— Ale nie przyszłam tu po to, by rozmawiać na tak ponure tematy! Widziałam, że jesteś nieszczęśliwy i chciałam cię pocieszyć. Wspominanie wojny z pewnością w tym nie pomoże, prawda?

— Prawdopodobnie nie — zgodził się.

— Kiedy już ludzie uświadomią sobie, iż nie zamierzasz wzywać demonów za każdym razem, kiedy ktoś cię dotknie, staną się bardziej przyjaźni — ciągnęła. — Znam przynajmniej kilku na tyle ciekawych, by wkrótce zaczęli zasypywać cię pytaniami. Przecież nie jesteś najbardziej niecodzienną istotą na dworze. Wkrótce przemogą skrępowanie i strach, zapewniam cię.

Karal pomyślał o gryfach i zachichotał.

— Przynajmniej chodzę na dwóch nogach — stwierdził. — Poza tym wiadomości o moich magicznych zdolnościach wydają się mocno przesadzone. Nie tylko nie potrafię wezwać demona — zresztą Solaris tego zabroniła — ale nawet nie umiem zapalić ognia. Jedynie świecę. Mój mistrz Ulrich jest magiem, lecz nie wybrał mnie z powodu moich zdolności do rzucania zaklęć, ale dzięki mojemu zamiłowaniu do ksiąg. Twoi rodacy są przy mnie bezpieczni.

Karal starał się być zabawny, lecz ona pociągnęła myśl o krok dalej.

— Nie powiedziałałabym — odparła z błyskiem w oku. — Byłbyś bardzo przy stojny, gdybyś nie wyglądał tak, jakbyś zaraz miał rozpocząć kazanie na temat moralności. Gdybyś się częściej uśmiechał, nie ręczyłabym za bezpieczeństwo żadnej dziewczyny w twym towarzystwie!

Z opóźnieniem Karal uświadomił sobie, iż jeżeli nauczyła się *Obrządku* na tyle, by go cytować, musiała również wiedzieć i o innych sprawach: kapłani Vkan-disa nie składali ślubów czystości, lecz tylko złagodzony ślub wstrzemięźliwości. Wiedziała zatem, iż Karal mógł tak samo zabiegać o względy jakiegokolwiek dziewczyny, jak każdy inny chłopak. Nawet go do tego zachęcała. Karal zaczerwienił się.

Jednak dobrze się z nią rozmawiało, nawet coraz lepiej. Łatwo było się jej zwierzyć. Przypominała w tym matkę Karala. „Mama przygarniała każde zbłąkane stworzenie, od osieroconych stajennych po koty. Talia jest do niej podobna — pewnie dlatego zatrzymała się, kiedy mnie zauważyła.”

Talia zaśmiała się, widząc jego rumieniec.

— Mam nadzieję, że cię nie uraziłam — rzekła. — Nie dzieli nas aż tak wiele lat, jak się wydaje. Wcale nie tak dawno byłam w twoim wieku i gdybym nie była szczęśliwą żoną Dirka. . . — Roześmiała się i zmarszczyła nos. — Cóż, uważaj moje słowa za wyraz tego, co myślą o tobie dziewczęta z dworu.

Karal poczuł, że pała go policzki, zamrugął oszołomiony. Jej słowa? Uważała go za atrakcyjnego? Żadna kobieta ani dziewczyna nigdy mu tego nie powiedziała!

Potrząsnęła głową.

— Posłuchaj: gdybym była w twoim wieku, brzmi to tak, jakbym miała całe życie za sobą! Cóż, macierzyństwo wysssało ze mnie wszelkie porywy krwi!

Musiał się roześmiać.

— Moja matka mówi to samo — wyjaśnił jej. — Przysięga, że każde z nas dodało jej pięć lat!

— Może kiedyś się z nią zgodzę — odparła Talia z westchnieniem. — Nie pamiętam, żeby moim rodzicom dzieci sprawiały tyle kłopotu! Masz rodzeństwo?

— Brata i kilka sióstr — odrzekł i zaczął opowiadać o swojej rodzinie, podczas kiedy ona stała i słuchała bez oznak znudzenia. Zadawała mu nawet pytania, świadczące o tym, że słucha z zainteresowaniem.

W końcu Karal zdobył się na wyznanie swej samotności. Wydawało się to naturalne, po tym, jak powiedział jej o wszystkim innym. Skoro Hansa jej ufał, dlaczego on nie mógł?

— Nie wiem nawet, dokąd zabrali Trenera — westchnął, kiedy zakończył swe, trwające z markę na świecy, opowiadanie. — W końcu on też pochodzi z Karsu. . . a konie zawsze były moimi przyjaciółmi. Z przyjemnością bym pojeździł, lecz nie wiem, gdzie. Zresztą co by ludzie pomyśleli, gdybym spytał o stajnie? — Wzruszył ramionami. Mogliby wziąć mnie za szpiega, szukającego sposobu przesyłania wiadomości, kiedy ja tylko chcę pojeździć na własnym koniu.

Talia rozpromieniła się.

— Niebiosa, przynajmniej w tym mogę ci pomóc! Wiem, gdzie są stajnie, a na Łące Towarzyszy znajdziesz doskonałe trasy jeździeckie. Jeździ tam mnóstwo ludzi. Nie wyobrażam sobie, dlaczego ktokolwiek miałby ci tego zabronić. Czy mam cię tam zaprowadzić i zapoznać z koniuszym? On może dopilnować, by Trenora codziennie siodłano dla ciebie, jeśli chcesz.

Karal wpatrywał się w nią przez chwilę, była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał — i rzeczywiście mogła pomóc! Początkowo nie potrafił jej odpowiedzieć, dopóki nie zebrał myśli.

— Dziękuję ci! — zawołał. — Tego właśnie chciałem! Dziękuję ci bardzo!

Machnęła ręką.

— Nie ma za co. Cieszę się, że mogłam ci zaofiarować przynajmniej jedno lekarstwo na tęsknotę. Niestety, drugim jest czas — zaśmiała się na widok jego grymasu. — Wiem, wiem, młodzi ludzie nie znoszą tego. Jednak nic na to nie

poradzę — to prawda. Kiedy kłopoty stają się zbyt wielkie, absorbują wszystkie myśli. Gdy minie jakiś czas, wyłonią się nowe sprawy, a stare problemy zmaleją. Poczekaj więc trochę, zajmij się tym, co lubisz, i pozwól swemu umysłowi odpocząć.

Na skinienie Talii Karal szybko wstał i poszedł za nią. Po drodze opowiadała mu o miejscach, które mijali.

— Oto ogród różany, przez który prowadzi labirynt, za nim możesz dostrzec dworskie skrzydło pałacu. Tam właśnie mieszkasz, większość dworzan ma swoje posiadłości poza murami — Karal zaczął się wreszcie orientować w terenie, prawdopodobnie Alberich specjalnie prowadził go do biblioteki zawiłą drogą, może nie specjalnie, może ostrożność leżała w jego naturze i dlatego próbował zmylić nawet Karala. Z zewnątrz jednak rozmieszczenie pałacowych budynków wydawało się mieć sens. Biblioteka znajdowała się na pierwszym piętrze, w skrzydle wykorzystywanym zwykle do celów reprezentacyjnych, skrzydło to miał teraz Karal przed sobą.

Talia wskazywała inne budynki, stojące osobno.

— Oto Kolegium Uzdrowicieli, a tam Bardicum — spójrz, to są stajnie, za kępą drzew.

Lecz uwagę Karala przyciągnął teraz ogromny zadrzewiony obszar po prawej stronie. Wydawał się pełen koni. Wszystkie konie były białe, co oznaczało. . .

Talia popatrzyła w tym samym kierunku i zmrużyła oczy od słońca.

— To Łąka Towarzyszy. Chcesz spojrzeć?

Równie dobrze mogłaby spytać, czy chce latać. Oczywiście chciał — ale jednocześnie przerażał go taki pomysł. Towarzysze! Przepiękne istoty, tak wysławiane przez Rubryka, przedstawiane tak przerażająco we wszelkich karsyckich opowieściach. Teraz już Karal wiedział, że nie były to demony, którymi straszono go w dzieciństwie, lecz jego żołądek i tak skurczył się na samą myśl o takiej ich liczbie zebranej w jednym miejscu. Jednakże skinął głową.

Talia musiała odgadnąć coś z wyrazu jego twarzy — a raczej z jego braku.

— Wiesz, że to nie demony, prawda? — spytała trochę nerwowo. — Wasz przewodnik wyjaśnił wam z pewnością, kim naprawdę są heroldowie i Towarzysze?

— Tak — odparł. — Nasz przewodnik dużo rozmawiał z mistrzem o Towarzyszach. Ulrich chyba planuje przyjść tutaj któregoś dnia, kiedy nie będzie zajęty gonieniem dyplomatycznych królików po dyplomatycznych dziurach. — Przysunął się bliżej do ogrodzenia i oparł o żerdzie, wpatrzony w białe sylwetki.

„To nie demony” — przypomniał sobie jeszcze raz, według ortodoksyjnej teologii demony mogły przyjmować najpiękniejsze postacie, jednak teraz jego napięcie zelżało, a żołądek się uspokoił. W Towarzyszach było coś tak czystego, że sam pomysł nazwania ich demonami zakrawał na absurd.

„Ale nie są to też konie.” Wzbudziłyby podziw u każdego znawcy koni. Gdyby

udało się wyhodować zwierzęta o takiej sylwetce! Towarzysz Rubryka nie stanowił wyjątku, wszystkie odznaczały się wielką elegancją. Podobno Shin'a'in hodowali konie dorównujące Towarzyszom, lecz czy to prawda? Podobno Shin'a'm jeździli nago, pomalowani na niebiesko, a w to Karal wątpił.

„Po pierwsze jazda bez ubrania jest piekielnie niewygodna. Można nabawić się pęcherzy od siodła, a jeśli nie ma siodła. . .”

— Cóż — odezwał się w końcu, otrząsając się z zadumy. — Twój czas jest cenny, choć ja nie mam nic pilnego do zrobienia. Nie mogę cię zatrzymywać zbyt długo, więc gdybyś mogła pokazać mi stajnie. . .

— Mogę poświęcić ci tyle czasu, ile potrzebujesz — odrzekła Talia stanowczo. — Przedstawię cię koniuszemu.

Talia nie była z pewnością rozleniwioną dworką, narzuciła szybkie tempo marszu, Karal cieszył się, że dzięki ćwiczeniom z Kero poprawił swoją kondycję.

Stajnie, jak się należało spodziewać, okazały się olbrzymie, jednak szczęście im sprzyjało, gdyż znaleźli Trenora w trzecim boksie od drzwi, koń zarżał, kiedy poczuł zapach swego pana.

Karal wszedł do środka, podczas gdy Talia ruszyła na poszukiwanie koniuszego. Trenor z radości prychał, znacząc mokrymi plamami bluzę Karala. Nie widać było po nim śladów zaniedbania. Karal uspokoił się, Valdemarczycy otoczyli jego pupila odpowiednią troską.

Koniuszy podszedł w chwili, kiedy Karal sprawdzał kopyta swego konia. Wydawał się być miło zaskoczony starannością przeglądu, a nie obrażony faktem, że Karal sam sprawdza jakość opieki nad wierzchowcem.

— Znasz się na koniach — stwierdził raczej, niż zapytał, kiedy Karal skończył i wyprostował się. Karal skinął głową, mężczyzna odwrócił się do Talii i powiedział coś w dziwnym dialekcie i zbyt szybko, by chłopak mógł coś uchwycić. Potem wrócił do swego zajęcia: podkuwania młodej klaczy. Karal dziwił się, że koniuszy robi to sam, zamiast zlecić komuś z podwładnych — ale z drugiej strony, klacz wyglądała na wrażliwą i nerwową, a z takimi końmi koniuszy potrafi sobie lepiej poradzić niż chłopcy stajenni. Tak przynajmniej uważał ojciec Karala.

— Tak powiedział, że na pewno jesteś dobrym jeźdźcem i że dopilnuje, by Trenora codziennie siodłano do przejażdżki, jeśli sobie życzysz — odezwała się Talia. — Lub, jeśli wolisz, może zostawić rozkazy podwładnym, by cię wypuścili z koniem, kiedy tylko zechcesz. — Podrapała Trenora i zaśmiała się, widząc, z jaką ochotą poddaje się pieszczotom. — Odpowiedziałam mu, że prawdopodobnie nie będziesz chciał robić tyle kłopotu, ile wysoko urodzeni i sam zajmiesz się swym koniem, wtedy powtórzył, że dobry z ciebie jeździec.

— Dziękuję — odrzekł szczerze Karal. — Nie ma potrzeby siodłać Trenora o określonej porze, gdyż nigdy nie wiem, kiedy Ulrich będzie mnie potrzebował.

— Tak myślałam. — Talia drapała dalej, a koń przymknął oczy z zadowolenia. — Chyba mógłbyś połączyć lekcje z Alberichem z codzienną wycieczką, on

też musi zapewnić swemu Towarzyszowi porcję ćwiczeń od rana, kiedy obaj są równie zeszywniali. — Przekrzywiła głowę, jakby domyślając się obaw Karala przed zaproponowaniem czegokolwiek groźnemu heroldowi. — Chcesz, żebym ja mu to zaproponowała? Powiem, że to mój pomysł.

— Och, mogłabyś? — Był jej nieskończenie wdzięczny. — Na Światło, coraz bardziej się u ciebie zadłużam. . .

Ponownie machnęła ręką na podziękowania.

— Nie ma za co. Naprawdę chciałam ci pomóc. Zależało mi na tym. Jeżeli będziesz szczęśliwszy, praca pójdzie ci łatwiej.

— A jeśli praca pójdzie mi łatwiej, mistrz będzie zadowolony i bardziej skłonny do ustępstw, tak? — zachichotał, Talia również się roześmiała. — To rozumiem. Każdy tutaj jest dyplomata.

„Chociaż dlaczego akurat zależało jej na tym, bym był szczęśliwszy, nie potrafię wyjaśnić.”

— Chodźmy lepiej — rzekł wreszcie, niechętnie odrywając się od Trenora, lecz w o wiele lepszym nastroju. — Ma wilgotną derkę, pewnie już się dziś nażeździł. Od jutra ja się nim zajmę.

— Myślałam. . . jeszcze o czymś — rzekła Talia z wahaniem. — Powiedziałeś, że chciałbyś nawiązać tu jakieś przyjaźnie, prawda?

Nic takiego nie powiedział, ale myślał o tym. Skinął głową.

— Jest pewna osoba, którą chciałabym ci przedstawić. Znajduje się w podobnej sytuacji, lecz bez autorytetu sekretarza posła. Wiem, że jest bardzo samotny i, choć pochodzicie z zupełnie różnych krajów, łączy was to, iż obaj jesteście tu obcy.

Spojrzał jej w twarz, czując, że nie powiedziała wszystkiego.

— Co dokładnie. . . masz na myśli?

— Nie wiem, ile mogę ci o nim powiedzieć. Jego sytuacja jest. . . prawie taka, jakie znasz tylko z legend, i to tych nieprawdopodobnych. Obaj czujecie się tu. . . zagubieni, to chyba najwłaściwsze słowo. Zagubieni i obcy. On potrzebuje przyjaciela, lecz jest bardzo nieśmiały i zamknięty w sobie, więc do pytań młodych heroldów odnosi się, jak do prób wkraczania w jego prywatność.

Karal z grymasem przytaknął. Oprócz Arnoda spotkał jeszcze kilku przyszłych heroldów, którzy nie bali się go — lecz ci zasypali go lawiną pytań uważanych w Karsie za co najmniej nieuprzejme. Odpowiedział im tylko dlatego, że były to dzieci, nie mające złych zamiarów.

— Spotkam się z nim, jeżeli chcesz — zaoferował, czując się w obowiązku spełnić jej prośbę w zamian za pomoc, jaką mu okazała. — Nic więcej nie mogę obiecać. W końcu od pierwszego spojrzenia możemy się znienawidzić.

— To chyba niezbyt prawdopodobne — odrzekła zadowolona. — Zwykle udaje mi się dobrać ludzi tak, by cieszyli się swym towarzystwem. — Przygryzła wargę, jakby coś sobie uświadomiła. — Jeszcze jedno. . .

Karal spojrział ostro.

— Co takiego?

— Czy pamiętasz posła Tayledrasów? Śpiew Ognia — Sokolego Brata i maga?

Oczywiście pamiętał go. Nawet gdyby nie posiadał wyćwiczonej pamięci sekretarza, nie zapomniałby tak wyrazistej osoby. Kiwnął głową.

Talia zmarszczyła brwi.

— An'desha jest z nim, lecz nie pochodzi z Tayledrasów. Ściśle rzecz biorąc, urodził się w klanie Shin'a'in. Poza tym ma o wiele lat mniej niż wygląda. Jest w twoim wieku, może dwa lata starszy.

— Tak? — Karal kiwał głową, chociaż słowa Talii jeszcze bardziej wszystko zaciemniły. „An'desha jest z nim”... Czy to znaczyło to, co podejrzewał?

„Może tak, może nie. Pewnie niektórzy przypuszczają, że Ulrich jest dla mnie czymś więcej niż mistrzem.”

Zresztą, czy to miało znaczenie? Poza tym, iż takie związki uznawano za sprzeczne z wolą Vkandisa, zdarzały się one często pomiędzy kapłanami — i w klasztorze nie robiono z tego tajemnicy. Kiedy zaś Solaris doszła do władzy, wszelkie związki oparte na przymusie — nieważne, czy między partnerami tej samej płci czy nie — uznano za wyklęte na równi z wzywaniem demonów. Podstawową dla niej zasadą wydawało się przykazanie: „nie zmuszaj”.

Co się tyczy Karala, to dopóki An'desha nie szukał...

— Jest ze Śpiewem Ognia — powtórzyła Talia, jakby czytała w jego myślach. — Będzie pewnie potężnym magiem. Śpiew Ognia go uczy. Chyba powinienes to również wiedzieć.

Karalowi przyszły na myśl rozmaite odpowiedzi, w końcu zdecydował się na wzruszenie ramionami. Może chodziło jej o to, co jemu, może nie. To nie miało znaczenia.

„Tyle już rzeczy w moim życiu wywróciło się do góry nogami.”

— W porządku — odparła Talia z ulgą. — Chodź ze mną, opowiem ci o nim więcej. Jeżeli uważasz, że twoje życie toczyło się dziwnymi kolejami, to niewiele jeszcze słyzałeś!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

An'desha może i nie dorównywał umiejętnościami magicznymi Zmorze Sokółów, ale umiał rozpoznać empatę, kiedy go ujrzał. Od razu odgadł ten dar w heroldzie nadchodzącym ścieżką ku jego ekele, prowadzącym nieznanego w czarnej szacie. Zdawało mu się, że pamiętał tę kobietę, choć niedokładnie. O, Zmora Sokółów z radością zapanowałyby nad kimś takim! Empatia była jedynym darem, którego nie potrafił sfalszować — a żaden człowiek nim obdarzony nie zgodziłby się z własnej woli służyć demonowi.

„Nie ma także sensu przymuszać empaty do posłuszeństwa, ten dar nie znosi przymusu, choć z pewnością Zmora Sokółów próbował ze wszystkich sił.”

An'desha zastanawiał się, czy ci dwoje też należeli do przyjaciół Śpiewu Ognia, niezbyt chętnie powitałby następny najazd gości. Wstał z ławki i poszedł ich przywitać, rozdarty między chęcią okazania się dobrze wychowanym a pretensją do Śpiewu Ognia o przyprowadzanie coraz to nowych obcych bez uprzedzenia.

Jednak kobieta rozpromieniła się na jego widok i podeszła, młody mężczyzna został kilka kroków za nią.

— An'desha? — odezwała się, o dziwo, wymawiając jego imię z prawidłowym akcentem. — Nie znasz mnie, jestem herold Talia, przyjaciółka Elspeth. Elspeth dużo mi o tobie opowiadała, szczerze mówiąc, posiadam dar współodczuwania, a ponieważ nie osłaniałeś się przede mną, sporo dowiedziałam się od ciebie samego.

Niemal podskoczył, nie zdawał sobie sprawy, iż jego uczucia mogą być tak czytelne. Kiedy zaś pomyślał o rodzaju emocji, które opanowały go od przybycia do Valdemaru, zaczerwienił się. W większości napięcie, niezadowolenie, poczucie krzywdy, nawet rozpacz — nie życzyłby żadnemu empatie zmagania się z taką mieszanką.

— Elspeth mówiła, że większość czasu spędzasz w samotności, a z tego, co odebrałam. . . cóż, wydawało mi się, że tęsknisz za towarzystwem. Chyba masz wiele wspólnego z tym młodym człowiekiem.

Odwróciła się do swego towarzysza.

— An'desha shena Jor'ethan, oto Karal Austreben, sekretarz posła karsyckiego na dwór Valdemaru. Karalu, oto An'desha, przybyły z posłem Sokolich Braci.

— Posiadała chyba silny dar: An'desha poczuł jej uspokajający wpływ niemal od razu, nie sprzeciwił się, gdyż opanowała go ciekawość.

Od kiedy wymówiła swoje imię, wiedział, kim jest. Talia, osoba, której Elspeth ufała najbardziej ze wszystkich, łącznie z Mrocznym Wiatrem. An'desha zaś potrzebował pociechy, poprzedniego dnia znów spróbował zawrzeć znajomość z valdemarską młodzieżą i ponownie spotkało go rozczarowanie. Talia, posiadająca dar, mogła znaleźć kogoś naprawdę bardziej pasującego do cudzoziemca niż tamci.

— Pomyślałam, że powinniście się poznać — powiedziała do przystojnego, ciemnokiego i ciemnowłosego mężczyzny. Mówiła wyraźnie i starannie, by obaj mogli zrozumieć każdą sylabę. — Nie wyobrażam sobie kogoś, kto ma mniej wspólnego z Valdemarem, niż wy. Nawet Śpiew Ognia lepiej się z nami czuje. Przykro mi, że tak długo z tym czekałam — nie tylko z zapoznaniem was ze sobą, ale i ze mną — lecz musiałam poczekać, aż opanujecie przynajmniej podstawy naszego języka.

An'desha roześmiał się.

— To był dobry pomysł. Masz rację, nawet Śpiew Ognia nie czuje się tutaj bardziej obco niż ja — przyznał ostrożnie. — Ale chyba nigdy nie znajdę miejsca ani osoby, przy której poczułbym się naprawdę dobrze.

To było delikatne ostrzeżenie. „Żeby nie oczekiwała od nas zawarcia przyjaźni na śmierć i życie.”

Talia wzruszyła ramionami.

— Prawdopodobnie masz słuszność, lecz Karal przynajmniej jest obeznany z magią i nie boi się jej. To przemawia na jego korzyść, gdyż większość naszych... konserwatywnych rodaków obawia się was i waszej magii. Ci zaś, którzy się jej nie boją — lub udają, że się nie boją — stają się zbyt bezpośredni, wręcz natrętni, chcą wiedzieć o was wszystko, i to od razu. Was łączy przynajmniej to, że obaj zetknęliście się z magią.

An'desha uniósł brwi. Karal skinął głową.

— Mój mistrz Ulrich jest potężnym magiem i kapłanem — odezwał się obojętnie. — Kiedyś wzywał demony, dopóki Syn Słońca, Solaris, nie zabroniła tych praktyk.

— Wzywał demony? — An'desha ożywił się. Może Talia miała i głębsze zamiary oprócz zapoznania ze sobą dwóch samotnych cudzoziemców. Jeśli ktokolwiek potrafił zrozumieć jego rozterki, to na pewno ktoś znający się na demonach.

— Nigdy nie przepadał za tym zajęciem — powiedział Karal, lecz An'desha wyczuł głębsze znaczenie tych słów. — We mnie zaś nie ma żadnej magii. Moje talenty dotyczą zupełnie innych dziedzin.

Tym lepiej, nie groził mu jeszcze jeden nauczyciel. Śpiew Ognia w zupełności wystarczy.

— Czasem taki dar przynosi więcej kłopotu niż pożytku — podsunął An'desha ostrożnie.

Talia obserwowała ich z lekkim uśmiechem.

Karal też się uśmiechnął.

— To słowa jakby wyjęte z ust mojego mistrza — odparł ciepło. — Tutejsi ludzie chyba tego nie rozumieją, stale chcą wiedzieć, czy magia zdoła pomóc w tym czy w tamtym. . . — Wzruszył ramionami. — Zresztą chyba sam to wiesz.

— Owszem — odrzekł An'desha. On też się uśmiechnął, Talia miała rację, łączyło ich sporo, choć pochodzili z zupełnie innych środowisk.

Dotąd An'desha nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tęskni za przyjaźnią. Osoba z tak silnym darem, jak Talia, musiała to wyczuć poza jego ciemnymi i gwałtownymi uczuciami związanymi z obawą o przyszłość, musiała także wyczuć podobną potrzebę Karala.

Była to pierwsza dobra rzecz, jaka spotkała go od czasu przekroczenia Bramy wiodącej do tego kraju.

— Nie mogłam wyjawić Karalowi zbyt wiele o tobie, gdyż nie czułam się do tego uprawniona — powiedziała Talia do maga. — Może więc sam wyjaśnisz mi swoją sytuację? Kim jesteś, jak się tu znalazłeś. . .

An'desha jęknął.

— Nie mówię aż tak dobrze po valdemarsku! — zaprotestował.

Talia jednak była głucha na jęki.

— Mówisz lepiej, niż ci się zdaje — stwierdziła, po czym wskazała głową otwarte drzwi do ogrodu wokół ekele i uniosła brew w niemym pytaniu.

Skoro Śpiew Ognia mógł zapraszać gości, to dlaczego An'desha nie miałby tego uczynić? Zaprowadził więc ich oboje do ogrodu i opisał sposób jego budowy — częściowo po to, by zyskać na czasie, a częściowo — by wybadać Karala. Po krótkiej chwili poczuł się zadowolony, pytania młodego Karsyty były równie taktowne, jak dociekania młodych heroldów były natrętne.

Kilka chwil później Talia wycofała się cicho, An'desha zaś i Karal usiedli przy wodospadzie. An'desha zauważył nieobecność Talii tylko po zniknięciu jej uspokajającego „czaru”, Karal zaś chyba wcale nie zwrócił na to uwagi. Cichy szum wody sprzyjał prowadzeniu rozmów, miejsce zaś wyglądało na odosobnione i spokojne.

Karal opisywał właśnie swoje przeżycia, An'desha słuchał zafascynowany i przerażony o „dokonaniach” kapłanów Vkandisa, nie tylko wobec wrogów kraju, ale wobec dzieci i własnej ziemi. Choć ich uczynki nie mogły się równać z postępowaniem Zmory Sokołów, wielu z nich znalazło się na najlepszej drodze do przeistoczenia w następców Ancara z Hardornu — a wszystko to pod płaszczykiem religii. Jedyne, czego nie uczynili, to zatrucie ziemi i wysuszenie jej energii w poszukiwaniu potęgi.

„Prawdopodobnie wkrótce doszłoby i do tego.”

— To już się skończyło — mówił Karal. — Solaris wyjęła spod prawa ceremonie oczyszczenia i wzywanie demonów, w ten sposób Ulrich i ja znaleźliśmy się w Valdemarze, usiłując wykuć przymierze z ludźmi, z którymi tak długo walczyliśmy. To raczej... wprawia mnie w zakłopotanie. Wychowano mnie w przeświadczeniu, że mieszkańcy Valdemaru, a zwłaszcza heroldowie, są na wskroś przesiąknięci złem i znieprawieni, teraz zaś widzę, że to... po prostu ludzie. — Wzruszył ramionami. — Spotkało mnie już tyle niespodzianek! Powinienem się do nich przyzwyczaić. A ty?

An'desha szukał słów najlepiej oddających jego położenie i zdecydował się na najprostsze możliwe wyjaśnienie.

— Byłem Shin'a'in — powiedział w końcu. — Dawno temu, dawniej, niż przypuszczasz. Moje ciało ma znacznie więcej lat, niż na to wygląda. Jestem — byłem — potomkiem wielkiego maga, adepta. Bardzo złego maga, tak jak wasze demony. Z tego powodu on zdołał... — „Jak to powiedzieć?” — ...ukraść moje ciało.

— Ach! — Karal kiwał głową z całkowitym zrozumieniem, po raz pierwszy An'desha spotkał się z taką reakcją. — Opętanie. Tak my to nazywamy. Jedną z umiejętności tego demona było wcielanie się w inną osobę, jakby nakładał na siebie ubranie. Czarni Kapłani używali tego daru do złych celów. Jednakże Vkan-dis także potrafi to robić, przemawia ustami kapłanów i świętych, nazywamy to Głosem Płomieni. Ten Zmora Sokołów musiał mieć wielką moc, skoro zdołał przejąć twoje ciało, nie wszystkie demony to potrafią. — Karal mówił poważnie. — Masz szczęście, An'desha. Większość ludzi nie przeżyłaby dotknięcia demona. Ty też masz wielką siłę.

— Ty to rozumiesz! Tak myślałem — miałem szczęście, że przeżyłem. — Wreszcie rozmawiał z kimś, kto nie patrzył na niego jak na szaleńca. Mornelithe'a z pewnością można opisać jako silnego, złego i demonicznego. — Przedtem Zmora Sokołów żył w innych ciałach, do dziś nie rozumiem, jak udało mi się przeżyć po tym, jak mną zawładnął. Może to z powodu mojego tchórzostwa: uciekłem, nie próbowałem z nim walczyć.

— A może stał się nieostrożny — podsunął Karal. — Demony znane są ze swej dumy, a wielka pycha prowadzi do lekceważenia przeciwnika. Czyli ukradł twoje ciało. Co się stało potem?

— Wyrządził wiele złego, a ja nie mogłem go powstrzymać — ciągnął An'desha. — Później próbował zniszczyć mój lud, Sokolich Braci i dwoje przybyszów z Valdemaru — wszystkich naraz. Ale w pewnej chwili skrzywdził sam siebie, a wtedy moja Bogini wysłała dwa... — Zastanawiał się, jak po valdemarsku opisać awatary? — ...Dwa duchy. One mi pomogły, podobnie jak czarodziejka zwana Potrzebą i Śpiew Ognia, a także Elspeth i Mroczny Wiatr, po wielu walkach Zmora Sokołów został pokonany. Po tym wszystkim Bogini przywróciła mi mój prawdziwy wiek — no, prawie. Zwróciła mi lata zabrane przez Zmorę Sokołów.

Była to uproszczona, lecz w zasadzie poprawna wersja wydarzeń. Karal patrzył na An'deshę z powagą na twarzy, przygryzając usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie miał odwagi.

— Opętanie to wielkie zło, jeżeli tym, który przejmuje władzę nad człowiekiem, nie jest Głos Płomieni — odezwał się wreszcie. — Większe, niż sądzisz... a ty byłeś rzeczywiście pod władzą demona.

— Co masz na myśli? — spytał An'desha z nadzieją, że Karal udzieli wreszcie odpowiedzi na gnębiące go pytania. Być może był jedynym człowiekiem w tym kraju w pełni rozumiejącym to, co mu się przydarzyło.

— Ten, nad kim zapanuje demon, również się zmienia — powiedział Karal, pochylając się w przód, jakby zaraz miał ruszyć na poszukiwanie tropu. — Pozostają w nim rany, chociaż niewidzialne — rany na duszy, cięższe do uleczenia niż jakiegokolwiek dolegliwości ciała. Dotyk zła jest nieczysty i niszczy jak kwas. Może nieodwracalnie wtopić się w duszę.

Dokładnie to samo mówiły awatary! An'desha skinął głową, nie usiłując ukryć zaskoczenia. Jednakże Karal jeszcze nie skończył.

— Nie znam cię dobrze, An'desha — rzekł. — Nie wyznajesz mojej wiary, nie przysięgałeś Panu Słońca... a jednak kiedy Vkandis przemówił przez Solaris, nałożył na nas wszystkich obowiązek służenia pomocą każdemu, kto jej potrzebuje. „Kto czyni dobro w imię innego boga, czyni je dla Vkandisa — powiedział — a kto czyni zło w imię moje, czyni je dla najciemniejszych demonów. Niech ludzie dobrej woli służą sobie wzajemnie niezależnie od tego, kogo czczą.” — Karal wziął głęboki oddech, An'desha zamarł w napięciu. — Moje szkolenie dotyczyło także leczenia ran ducha — mówił dalej. — Mistrz Ulrich wie na ten temat o wiele więcej. Mnóstwo ludzi zostało skrzywdzonych w ten sposób przez Czarnych Kapłanów, mój mistrz i inni zajmowali się ich uzdrawianiem.

Przerwał na chwilę, An'desha bez słowa skinął głową. Karal wziął to za zachętę do kontynuowania.

— Myślę, że wciąż prześladowuje cię ból i strach, An'desha — powiedział poważnie jak szaman. — Nie mogę nie ofiarować ci pomocy. Jeżeli zechcesz, obaj z mistrzem spróbujemy ci pomóc. — Uśmiechnął się nieśmiało, kiedy An'desha nie odrzucił z miejsca jego propozycji ani nie odwrócił się. — Nie wiem, czy to coś da, ale możemy spróbować. Uzdrowienie nie będzie od ciebie wymagało złożenia przysięgi Vkandisowi, potrzeba jedynie twojej chęci i woli. Nawet jeśli nam się nie uda, może zdołamy ci pokazać, jak możesz sam się wyleczyć.

Przez krótki jak mgnienie oka moment Karala zdawał się otaczać łagodny, złotawy blask — jakby siedział w promieniach słońca. A przecież znajdowali się w cieniu wodospadu.

An'desha zamrugał, zdał sobie sprawę, iż w tym młodym cudzoziemcu jest coś więcej, niż przeczuwał, choć nie wiedział, co. Po spotkaniu z awatarami Bogini stał się bardziej wyczulony na przejawy czegoś, co szamani nazywali „dotykiem

boga”. Nieważne, czy bogiem była Bogini Shin’a’in czy ktoś inny. W Karalu było coś — wrażenie światła wokół niego — co przypominało bliskość awatarów, choć było o wiele słabsze. Blask, który go na moment otoczył, potwierdził mgliste odczucia maga. Podobne światło promieniowało z wysłanniczki Shin’a’in, jednak do niej An’desha nie odważył się nigdy zbliżyć, ona przysięgła Bogini, która nazaczyła ją czernią, An’desha zaś nie miał odwagi spotkać się z kimś takim po ucieczce z klanu. Poza tym uczucie budzące się w obecności Karala przypominało też uczucie ogarniające człowieka wtedy, gdy w pobliżu przebywali Towarzy-
sze. . .

„Kimkolwiek, czymkolwiek on jest, nie złożył obietnicy pochopnie, ani po to, by mi zaimponować. On naprawdę ma coś, co mi pomoże. A Śpiew Ognia nie rozumie, kiedy próbuję mu tłumaczyć, co się ze mną dzieje. . .

Jeżeli przetrwał we mnie choć cień Zmory Sokołów, Karal lub jego mistrz z pewnością potrafią go wyśledzić i wypędzić! I mówi tak, jakby rozumiał okropności, które odczuwam i które prawie zrobiłem.

Zaczerwienił się z zakłopotania i pochylił głowę.

— Tak — rzekł cicho. — Proszę. Nie wiem, dlaczego ofiarowałeś mi pomoc, lecz. . .

Karal pogłaskał go po zaciśniętej dłoni.

— Zaproponowałem ci pomoc, bo to mój. . . mój zawód? Chyba tak. Coś, co muszę robić, tak jak ptak musi latać. Teraz chyba wiem, dlaczego Talia mnie tu przyprowadziła, jeśli nie z własnej woli, to z woli Vkandisa. Ona jest Jego kapłanką i On może przez nią objawiać swoją wolę.

— Możliwe — zaczął An’desha. „Po wszystkim, co przeżyłem, nie wątpię w możliwości jakiegokolwiek boga!” — I. . .

Dzwony Kolegium wybiły godzinę, docierając aż do zakątka pod wodospadem, Karal policzył uderzenia i zerwał się. Powiedział słowo, którego An’desha nie zrozumiał, lecz łatwo zauważył zdenerwowanie młodego sekretarza.

— Niestety. . . — wzruszył bezradnie ramionami — muszę iść z mistrzem na zebranie Rady. Cóż! Wolałbym, żeby to było innego dnia, ale nie mam wyboru.

— Rozumiem — odezwał się szybko An’desha i skrzywił się. — Zebrania Rady nie przystosują się do potrzeb dwóch szaraczków, jak ty i ja!

— Nie, to my musimy tańczyć, jak nam zagrają — uśmiechnął się Karal w odpowiedzi. — Wróć tu, obiecuję, i zobaczę, co mogę dla ciebie zrobić. Zawiadomię cię, kiedy możemy się spotkać. W porządku?

— W porządku. Nie zdołam ci się odwzajemnić — odrzekł An’desha, wstając, by odprowadzić gościa do wyjścia. Karal pomachał ręką i pobiegł, znikając za krzewami otaczającymi ścieżkę, An’desha śledził go wzrokiem ze znacznie lżejszym sercem niż kilka godzin wcześniej.

„Mam przyjaciela.” I jeszcze jedna rzecz, mała w porównaniu z nadzieją ofiarowaną przez Karala, lecz równie pocieszająca.

„Nie pożądam go... chcę tylko jego przyjaźni.”

Bał się, że uczucia do Śpiewu Ognia były także spadkiem po Zmorze Sokołów. Teraz zaś, kiedy się nad tym zastanowił, stwierdził, że Talia jest piękną kobietą... Tak jak i Elspeth, choć ona budziła tyleż respektu, ile podziwu.

„To, co czuję do Śpiewu Ognia, to nie sprawka Zmory Sokołów.”

Tak, z jakichś powodów ten wniosek sprawiał mu największą radość.

Karal biegł ścieżką prowadzącą do pałacu krokiem tak lekkim i z sercem tak wesołym, jak Gregori w drodze powrotnej z Lodowej Góry. Nie wiedział, czego się spodziewać po srebrnowłosym, szarookim młodym mężczyźnie, z którym poznała go Talia, i w pierwszej chwili cieszył się tylko, że An'desha ubierał się o wiele bardziej konserwatywnie od swego przyjaciela, Śpiewu Ognia. Potem jednak, w czasie rozmowy, zdarzyło się coś nieoczekiwanego: Karal naprawdę polubił spokojnego maga, tak innego od wszystkich, których dotąd spotkał. Było to uczucie podobne do tego, jakim darzył Rubryka, lecz i w pewien sposób odmienne. Rubryka podziwiał, lecz wiek i różnica charakterów nie pozwoliły im zostać prawdziwymi przyjaciółmi. An'desha zaś okazał się podobny do samego Karala, mieli ze sobą wiele wspólnego, od miłości do ksiąg po ulubiony rodzaj muzyki. Jednakże było jeszcze coś i chociaż Karal tego nie rozumiał, czekał na moment, kiedy tajemnica się wyjaśni.

Wtedy An'desha powiedział, że został opętany przez demona — i to było wyjaśnienie.

Ulrich i wszyscy nauczyciele Karala twierdzili, że kiedy trafi na duszę potrzebującą pomocy, wtedy odczuje jej potrzebę i odpowie na nią. Należał do ludu Vkandisa i Vkandis go poprowadzi do potrzebujących wsparcia. Teraz Karal wiedział, co mieli na myśli.

„Nawet jeśli ja nie potrafię mu pomóc, z pewnością Ulrich może to zrobić. Teraz rozumiem, jak czuje się kapłan-uzdrowiciel, kiedy obok znajduje się chory — nawet gdy go nie widzi, czuje potrzebę pomocy tak silną, jak potrzeba jedzenia. Tak, potrafimy mu pomóc.”

Przedarł się przez drzewa i pobiegł do pałacu. Na szczęście do spotkania pozostało jeszcze pół marki na świecy. Ćwierć marki zabierze mu dotarcie do pałacu i zebranie notatek, będzie miał jeszcze czas złapać oddech, by nie wbiec do sali jak ścigane zwierzę.

„Ulrich najbardziej lubi wykorzystywać magię w uzdrawianiu, mówił to wielokrotnie. To na pewno Vkandis, przez herolda Talię, doprowadził do naszego spotkania.”

Zdecydował się przejść przez Łąkę Towarzyszy, zamiast okrążyć ją ścieżką. Zeskoczył z ogrodzenia, paru szaro ubranych chłopców popatrzyło na niego, pewnie go nie poznali. W bramie opowiedział się szybko strażnikowi i znów pobiegł

schodami, po kilku chwilach wpadł do komnaty z nadzieją, że zastanie w niej Ulricha. Jednak nikogo w niej nie było. Cóż, i tak dopiero po zebraniu będą mogli spokojnie porozmawiać. Trzeba uzbroić się w cierpliwość.

„Najpierw obowiązki. An'desha tak długo czekał, że kilka marek na świecy czy nawet kilka dni nie sprawi mu dużej różnicy. Cierpliwości. Ulrich zawsze mi to powtarza.”

Ponieważ miał nieco więcej czasu, niż oczekiwał, skorzystał z okazji, by się przebrać w bardziej reprezentacyjną tunikę. Potem chwycił swoje kartki i pióra i powoli poszedł do komnaty Rady, oddychając głęboko, by pozbyć się zadyszki. „Pozory. Zawsze pozory. Posłowi obcego kraju nie wolno o nich zapomnieć.”

Już kilka razy był w sali Rady, lecz po raz pierwszy pozwolono mu uczestniczyć w zebraniu, na którym zjawia się wszyscy ambasadorzy — czyli także gryfy, jeden lub oba.

Od ceremonii powitania nie widział gryfa, chociaż podejrzewał, iż Ulrich spotkał się z Treyvanem kilka razy. Sama myśl o kolejnym bliskim z nimi kontakcie przyprawiała go o dreszcz emocji. W Karsie nie żyły żadne magiczne istoty — z wyjątkiem ognistych kotów, lecz nazywanie ich magicznymi brzmiało jak bluźnierstwo. Gregori oczyścił kraj z lodowych smoków, w świątyni przechowywano czaszkę bazyliuszka, lecz te stwory wyginęły na długo przed pierwszą wojną z Valdemarem.

„Poza tym to złe potwory, w przeciwieństwie do Treyvana i jego małżonki. W Obrzędku wymieniono gryfy pomiędzy istotami miłymi Vkandisowi — łuskowcami, słonecznymi sokołami i jeleniami. Podobno są inne, stworzone bez złej woli. Nikt nie potrafił wyjaśnić mi tych słów, może któregoś dnia sam je o to zapytam.”

Istniały jeszcze inne, oprócz obowiązków, powody, dla których warto było uczestniczyć w spotkaniu.

„Poznam nieco lepiej Śpiew Ognia. Jeżeli mam pomóc An'deshy, muszę coś wiedzieć o najbliższej mu osobie.”

Kiedy dotarł do drzwi sali Rady, nikogo jeszcze nie było prócz straży i pazia. To dobrze, swą punktualnością wywrze dobre wrażenie nie tylko na mistrzu, ale i na reszcie dygnitarzy. Należało przy każdej okazji pokazywać Kars z jak najlepszej strony.

Poprosił pazia, by pokazał mu miejsce przeznaczone dla Ulricha, i usiadł obok, przygotowując papiery, ostrząc pióra, sprawdzając jeszcze raz atrament, by potem nie tracić czasu.

W chwili, kiedy zakończył przygotowania, zaczęli napływać członkowie Rady. Karal rozpoznał ich wszystkich, choć oni nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Przyszły oba gryfy w towarzystwie Śpiewu Ognia, mag usiadł przy stole, a gryfy za nim — nie zmieściłyby się na krzesłach. Wkrótce weszła wysłanniczka Shin'a'in, a z nią Ulrich.

O, to interesujące. Czyżby Ulrich rozmawiał z nią w cztery oczy przed zebraniem? Z ich zachowania wynikało, że tak. Jednakże miejsce Ulricha znajdowało się po przeciwnej stronie niż siedzenie przeznaczone dla Shin'a'in.

„Ach, rozumiem: rozsadzili nas według miejsca pochodzenia, posłowie z krajów sąsiadujących siedzą również obok siebie. To bardzo praktyczne.”

Ulrich usiadł przy Karalu, uśmiechając się z aprobatą na widok jego gotowości. Na zebranie przyszło więcej sekretarzy, lecz Karal był zdecydowanie najlepiej zorganizowany. Inni szeleścili papierami, szurali kałamarzami i mimo wszelkich wysiłków przeskadzali.

Obok Ulricha miał siedzieć poseł Rethwellanu, lecz ku zaskoczeniu Karala — który szybko je ukrył — krzesło to zajął książę Daren. Za nim usiadł poważny człowiek w błękitach, zaraz też zaczął przygotowywać się do notowania.

„To znaczy, że książę występuje również jako poseł Rethwellanu? To chyba nie całkiem zgodne z protokołem...” Jednak nikomu to nie przeszkadzało, jedynie wysłanniczka Shin'a'in podniosła nieco brwi. Z drugiej strony książę był kiedyś lordem wojny u swego brata i prawdopodobnie nadal wiele wiedział o wojskowych sprawach obu krajów. Może to i najlepsze wyjście.

Na końcu weszła królowa w towarzystwie Talii, która zajęła miejsce przeznaczone, jak przypuszczał wcześniej Karal, dla księcia. „Widocznie jednak nie.” Karal wpatrywał się w twarz Osobistej Królowej, usiłując odgadnąć, na czym polega jej rola. Z pewnością Talia była kimś w rodzaju doradcy, lecz co właściwie robiła?

„Muszę kogoś spytać.” Może nawet ci zaskakujący Valdemarczycy powiedzą mu prawdę!

Kiedy wszyscy usiedli, a sekretarze zakończyli przygotowania, królowa wstała. Jako oznakę władzy miała na głowie złoty diadem, poza tym jej strój nie różnił się wiele od uniformu heroldów. Taka postawa dawała do myślenia, tak samo uczyniła Solaris, jako jedyna spośród wszystkich Synów Słońca. Rzadko wkładała Koronę Proroctwa, chyba że miał przez nią przemówić Głos Płomieni, prócz niej jedynym symbolem jej rangi był Słoneczny Dysk — naszyjnik noszony tylko przez Synów Słońca, stary jak sam Kars. Szaty Solaris różniły się od stroju kapłanów tylko delikatniejszym materiałem. Dzięki temu Solaris stała się o wiele bardziej przystępna dla zwykłych śmiertelników. Czy zainspirowała ją królowa Valdemaru, czy sama to wymyśliła?

— Armie Wschodniego Imperium zatrzymały się na razie w Hardornie — zaczęła królowa, gdy tylko ucichł szmer głosów. Dziwne, wyglądała na spokojniejszą niż ktokolwiek inny — na przykład Karal — w tych okolicznościach. Zapamiętał to, takie wrażenia mogą okazać się przydatne. — Skorzystaliśmy z okazji, by zebrać wiadomości od agentów i zwołaliśmy Radę, by zaprezentować je od razu wszystkim naszym sprzymierzeńcom. Duża ich część będzie nowością nawet dla mnie.

„Aha, ona nie używa królewskiej liczby mnogiej. Kiedy mówi my, ma na myśli kogoś więcej niż tylko siebie.” Warto wiedzieć.

Królowa usiadła i skinęła na pierwszego z poddanych, by wygłosił swój raport.

Karal zajął się notowaniem. Pierwszy raport dotyczył sytuacji ogólnej: ile ziem Hardornu Imperium dotychczas zagarnęło, co działo się z rządem, przeniesionym na tereny jeszcze wolne. Wieści nie były dobre. Imperium podbiło już połowę kraju, na podbitych terenach rozwinął się ruch oporu, lecz nie wiadomo, czy zdoła powstrzymać Imperium, zanim dotrze ono do valdemarskiej granicy.

— Rząd utworzył Radę Nadzwyczajną — czytał urzędnik, podczas gdy Karal zastanawiał się, kto i w jaki sposób zdobył takie informacje. — W jej skład wchodzi trzydziestu ocalałych przedstawicieli szlachty, reprezentanci Gildii i ktoś, kto uważa się za przedstawiciela magów — tych, którzy pozostali. W opinii naocznych świadków Rada wciąż funkcjonuje chaotycznie, trzeba poczekać, aż wyłoni się jeden przywódca.

Urzędnik podał papiery królowej i z ukłonem odszedł. Selenay patrzyła prosto na Ulricha, kiedy podwładny wyszedł, odezwała się:

— Lordzie Ulrichu, czy twoja władczyni interesuje się sytuacją w Hardornie, mimo że wojna nie dotarła jeszcze do waszej granicy?

Karal nie spodziewał się usłyszeć odpowiedzi, lecz mistrz jeszcze raz go zaskoczył.

— Skłamałbym, mówiąc, że nie jest to dla nas pokusa, wasza wysokość — odparł gładko. — Rzeczywiście, niektórzy doradzali Solaris skorzystanie z okazji i zajęcie części Hardornu. Już byśmy to zrobili, gdyby nie pewne wydarzenie... — Podniósł brwi. — Głos Płomieni przemówił przez Solaris, zarówno wobec wszystkich, jak i w czasie medytacji Jej Świątobliwości, i jasno wyraził swą wolę: Pan Słońca Vkandis nie popiera pomysłu powiększania Karsu i każdemu, kto się sprzeciwi, potrafi okazać swe niezadowolenie. Ponieważ zaś niełaska Vkandisa bywa zabójcza, nikt więcej nie czynił podobnych propozycji.

Któryś z członków Rady prychnął z pogardą, lecz to nie Ulrich mu odpowiedział.

— Zapewniam was, lordzie — odezwała się wysłanniczka Shm'a'in tonem, od którego na wszystkich kubkach osadził się szron — że podczas gdy bóstwa w tym kraju nie ingerują bezpośrednio w życie swych wyznawców, my, z zewnątrz, jesteśmy przyzwyczajeni do wypełniania woli naszych bogów. Nie opieramy się tylko na wierze, to są fakty.

Lord oblał się głęboką purpurą i wymamrotał przeprosiny w kierunku Ulricha. Kapłan skłonił się lekko.

— Również my zastanawialiśmy się, czy nie skorzystać z chaosu — odezwała się poważnie Selenay. — Ostatnio napłynęło do nas mnóstwo uciekinierów z Hardornu, wygodnie byłoby odesłać ich do ojczyzny pod osłoną valdemarskich wojsk. Na przykład doradcy wojskowi...

O głos poprosił doradca wschodni.

— Od pewnego czasu radzimy im powrót do kraju i walkę o wolność, lecz trudno ich przekonać, skoro nie ofiarujemy im żadnej pomocy. Ancar wyniszczył ziemię, nawet bez wojsk okupantów byłoby trudno przywrócić ją do życia, w tej chwili po prostu nie mogą nic zrobić przeciwko Imperium bez pomocy z zewnątrz.

— Lecz jeśli im pomożemy, napytamy sobie następnych kłopotów — odezwał się natychmiast lord marszałek. — Hardorn chroni nas przed Imperium, które zdaje się nie śpieszyć do zagarnięcia reszty kraju. Gdyby cesarz odczytał naszą pomoc dla Hardorneńczyków jako akt agresji, napadłby na Valdemar. Jego armia porusza się szybciej niż nasza, nie mielibyśmy czasu nawet zareagować. Odradzam interwencję, jakkolwiek byśmy ją nazwali. — Skrzywił się ze smutkiem. — Jestem żołnierzem, lecz znam fakty. Po pierwsze: nie mamy dość sił, by stawić czoło Imperium. Po drugie: nie możemy sobie na to pozwolić. Nie mamy wyboru.

— Co Imperium teraz robi? — spytał książę Daren. Selenay skinęła na Kerowyn, która wstała z papierami w dłoni.

— Mam akurat raport na ten temat — powiedziała, jej głos docierał do najdalszych zakątków sali. — Na razie wojska się zatrzymały. Podobno mianowano nowego dowódcę odpowiedzialnego za całą operację, kogoś podległego bezpośrednio cesarzowi Charlissowi. Nowy wódz nakazał postój i skoncentrował się na umacnianiu swej władzy na podbitym terenie. Nie wiem, ile czasu mu to zajmie. Ma więcej ludzi i środków, więc może działać szybko... o ile nie powstrzyma go pech lub bogowie.

— Rozumiem. — Książę skinął głową. — Co dalej?

— Kiedy już się umocni — ciągnęła Kerowyn — najprawdopodobniej posunie się do przodu, potem znów stanie — i będzie powtarzał ten schemat, aż nie podbije całego kraju. Według mnie będzie tak czynił, póki nie natknie się na zorganizowany opór.

— Co się stanie, kiedy dotrze do granic Valdemaru i Karsu? — spytała reprezentantka Gildii, lady Cathan, z wyczuwalnym w głosie napięciem.

Kerowyn wzruszyła ramionami.

— Szczerze, mając tak wielką armię, nie zatrzymałabym się. Posuwałabym się do przodu, póki straty nie okazałyby się zbyt wysokie. Nie pytajcie, co dla niego znaczą „wysokie straty”, może cała ludność Valdemaru to dla Imperium tyle, co jeden garnizon. Dotąd nikt nie stawiał im takiego oporu, by zadać jakiegokolwiek straty, nie widzę, co mogłoby zmusić dowódców armii Imperium do wycofania się. Dla Ancara straty nie były wysokie, póki utrzymywał się w miejscu. Dla nas... my prędzej się wycofamy, niż narazimy życie wielu ludzi. Cesarz nie musi uznawać żadnej z tych koncepcji, może mieć własną, pośrednią. Prawdopodobnie straty liczą się u nich procentowo, w stosunku do ogólnej liczby żołnierzy. Jeden procent ich armii to o wiele więcej, niż jeden procent naszych wojsk.

— A my już jesteśmy wyniszczeni wojną z Ancarem — wtrącił ponuro lord

marszałek. — Możemy stawić opór, lecz z pewnością nie dorównamy armii Imperium.

— Kars jest w nie lepszym stanie niż Valdemar — dodał Ulrich. — Ziemia nie ucierpiała, lecz straciliśmy oddziały wysłane przeciwko Ancarowi oraz magów, których przysłano do Valdemaru.

— Co do magów — podjęła Kero — Imperium wydaje się posługiwać magią nieco inaczej niż my. Wielu z was słyszało relację Elspeth o tym, jak poseł Imperium w Hardornie stworzył Bramę bez zakotwiczenia jej w obiekcie materialnym, i tę wiadomość nasi magowie przyjęli z otwartymi ustami. Może tamci magowie przewyższają naszych, może nie, to nie ma znaczenia, są inni — w tym problem. Mogą zaskoczyć nas czymś, z czym nie będziemy w stanie się zmierzyć.

— Poza tym Imperium posiada więcej magów niż my wszyscy — wpadł jej w słowo Śpiew Ognia. — Herold kapitan Kerowyn prosiła mnie, bym przejrzał raporty dotyczące magii. Jest dla mnie oczywiste, iż duża część życia Imperium zależy od magii. Używają jej do porozumiewania się na odległość, przesyłania towarów i budowania, prawdopodobnie większość zasobów armii pochodzi z głębi kraju i przesyła się je za pomocą Bram. Jeśli mogą sobie pozwolić na wykorzystanie magii do tak prozaicznych zadań, tam gdzie my użylibyśmy wozów i posłańców, to czego mogą dokonać na wojnie?

— Chyba wolę o tym nie myśleć — wymruczał ktoś ponuro w grobowej ciszy, jaka zapadła nad stołem.

„Kerowyn to dobry dowódca, nie cofa się przed prawdą, nawet okrutną” — ocenił Karal i umieścił te słowa w swych zapiskach. „Umie powiedzieć to, czego inni wolą nawet nie brać pod uwagę.”

Wreszcie lord patriarcha odkaslnął, na co kilku siedzących przy stole podskoczyło, i przemówił niepewnie:

— W takim razie co możemy zrobić, kiedy ruszy na nas taka potęga? Czy zostały nam tylko modlitwy?

Shin'a'in spojrzała na Śpiew Ognia, na jego skinienie wstała, wzięła od pazia wskaźnik i podeszła do rozwieszanej na ścianie mapy.

— Shin'a'in i Tayledrasi postanowili stworzyć linię obronną na zachodzie, tutaj... — Pociągnęła linię biegnącą od południowego brzegu jeziora Evendim w stronę Równin Dorisza. — Cały czas będziemy utrzymywać drogę odwrotu, jak to już robiliśmy w czasie wojny z Ancarem. Możemy także przejąć część uciekinierów z Hardornu — tych, którzy zdecydują się osiąść na zachodzie, mamy nadzieję, że w ten sposób ulżymy Valdemarowi.

Usiadła. Śpiew Ognia przejął pałeczkę.

— Muszę was ostrzec, że jako wojsko, nasze ludy nie przydadzą się na wiele. Jesteśmy przygotowani do walki na małą skalę, nie do wielkich bitew. Shin'a'in walczą samodzielnie, nie posiadają w ogóle organizacji ponad pojedynczy klan. Tayledrasi mają zwiadowców, lecz także nie zdołają chronić dużego obszaru. Mo-

żemy zaoferować bezpieczny odwrót i nieco pomocy, lecz jeśli chodzi o armię... tego nie mamy.

— Co z magami? — zawołała przedstawicielka Gildii.

— Ach, magowie. — Śpiew Ognia pokiwał głową. — Przede wszystkim Shin'a'in nie mają magów. Jednakże Kaled'a'in — nasi krewniacy — praktykują magię i Gwiazdzistooka dała im pozwolenie na używanie jej nawet tutaj, prawda? — Spojrzał na Treyvana. Gryf zaśmiał się.

— Ona dała im rrraczej rrozkaz wymarrsszu — powiedział, rzucając okiem na lorda, który poprzednio nie wierzył w potęgę Vkandisa. — Jak ktośś już powiedział, niektórzy z nasss sssą przyzwyczajeni do sssłuchania ssswych bogów.

— Czyli mamy jedną grupę — i muszę przyznać, że nawet ja nie wiem do końca, do czego zdolni są ich magowie. Ich klan przez długi czas żył w oddaleniu i izolacji, przechowali wiele umiejętności przez nas zapomnianych. My, Tayledra-si, możemy przysłać tu magów z naszych Dolin. Nie zamierzamy narażać Dolin na niebezpieczeństwo, ale niektóre projekty mogą poczekać, podczas gdy nasi magowie będą wam pomagać.

— Białe Wiatry, Błękitna Góra i każda inna szkoła, z którą zdołamy się skontaktować, zrobią to samo — odezwał się przedstawiciel Białych Wiatrów. „Qu-enten, jak sądzę. Przyjaciel Kerowyn.” Karal zapamiętał, że oboje zdawali się rówieśnikami.

— Skoro Imperium posuwa się tak daleko na zachód, nie możemy pozwolić sobie na bezczynność. Imperium nas podbije albo zniszczy. Tak postępowali w przeszłości i tak postępują teraz w Hardornie.

Śpiew Ognia przytaknął.

— Powiedziałem, że pod względem liczby magów nie możemy się równać z Imperium i nadal tak uważam. Jednakże fakt, iż nasi magowie używają magii inaczej niż magowie Imperium, działa także na naszą korzyść. My nie wiemy, na co ich stać — ale oni też nie wiedzą, do czego my jesteśmy zdolni. W tej chwili najważniejsze to dowiedzieć się jak najwięcej o magach i magii Imperium.

— Zgadzą się, pracujemy nad tym — odparła Kerowyn. — Jednak nie zapominaj, że oni będą robili to samo.

Karal notował błyskawicznie, choć miał ochotę przyjrzeć się dokładniej osobom, siedzącym po przeciwnej stronie stołu. Śpiew Ognia jak zawsze wyglądał olśniewająco, tym razem ubrał się w szkarłatny z akcentami jasnego błękitu, wysłanniczka Shin'a'in była spokojna i groźna jak jedna z jej strzał, a gryfy... Słyszając wydobywające się z dziobów wyraźne, inteligentne wypowiedzi, Karal ciągle jeszcze nie mógł opanować nerwowego wzdrygnięcia. Gdyby nie widział Hansy rozmawiającego z Solaris, byłby jeszcze bardziej zaskoczony i podejrzewał oszustwo albo magię.

Ulrich wstał i wszystkie spojrzenia skierowały się na niego.

— Ogólnie rzecz biorąc, zgadzam się z kapitan Kerowyn — rzekł ostrożnie.

— Jednakże trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jedno: Imperium jest stare, ogromne i potężne, prawdopodobnie jego przywódcy od dawna nie spotkali się ze skutecznym oporem i przyzwyczaili się do tak sprzyjających warunków. Pewnie uważają nas wszystkich za nieokrzesanych barbarzyńców i nie zajmują się zbieraniem informacji o nas tak starannie, jak powinni. Oczywiście, nie wolno nam na to liczyć. . . — dodał, widząc, jak Kero zrywa się do protestu — . . . lecz powinniśmy zwrócić uwagę na tropy idące w tym kierunku. Moglibyśmy podsunąć fałszywe wiadomości, na przykład o naszym nie zorganizowaniu i braku silnego przywódcy oraz o rozprzestrzeniającym się strachu. Jeśli w ten sposób umocnimy pewność siebie władcy Imperium, wyjdzie nam to tylko na dobre.

Karal uśmiechnął się szeroko na te słowa i skłonił lekko w uznaniu dla sprytu swego mistrza. Ulrich odpowiedział ukłonem i usiadł.

— Co z magami Valdemaru? — rzucił książę Daren w ciszy.

Nadeszła kolej Elspeth.

— Oczywiście odpowiedź brzmi: musimy szkolić, ilu się da i jak najszybciej — właśnie to robimy. Drugi oczywisty wniosek jest taki, że powinniśmy przyciągnąć magów z południa, ilu tylko zdołamy, tak jak w czasie wojny z Ancarem — tu jednak powstają trudności: poza magami pochodzącymi z Kaled'a'in i Tayledrasów, a także szkół znanych Quentenowi, wszystkich innych musimy podejrzewać o współpracę z Imperium. Większość magów, za których ręczy Quenten, już przybyła do Valdemaru. W ten sposób pozostała nam jeszcze pierwsza możliwość — szkolenie własnych. Niestety, nie ma ich zbyt wielu.

— Zaraz, poczekajcie chwilę — wtrąciła Kerowyn ze skupioną twarzą. — Coś mi przyszło do głowy. Dlaczego w ogóle tak nam zależy na magach?

— Ale! . . . — zawołał ktoś, powodując szum oburzenia. Kerowyn zamachała ręką.

— Nie, mówię poważnie. Skąd pomysł, że magowie są uniwersalną bronią?

„No, teraz wpuściła lisa do kurnika.”

Wszyscy zamilkli na moment, osłupiali, Kerowyn skorzystała z okazji, by dokończyć.

— Owszem, podczas wojny z Ancarem potrzebowaliśmy magów, ponieważ innymi sposobami nie dało się z nim walczyć. Lecz teraz to co innego. — Wybuchła wrzawa, Kerowyn daremnie próbowała uciszyć krzyki. — Chwilę, posłuchajcie mnie!

Gdy stało się jasne, że Kerowyn nie uciszy oburzonych dyplomatów, królowa nakazała ciszę, jednakże po twarzach widać było, że o ile Kero nie przekona zebranych, za chwilę znów ją zagłuszą.

— Spójrzcie — zaczęła energicznie Kerowyn, nachylając się nad stołem. — Okoliczności, na które Imperium nie jest przygotowane, dają Karsowi i Valdemarowi szansę. W Karsie jest to coś, o czym niewiele wiemy: fakt, iż Vkandis może osobiście wpływać na los swych wyznawców. Zdaje się, że gdyby Imperium na-

ruszyło granicę Karsu, byłby nawet zdolny zesłać kilka dobrze wymierzonych piorunów prosto w cesarskich generałów!

— Musiałoby to być coś więcej niż tylko naruszenie granicy — zamruczał Ulrich, kiedy Kero spojrzała na niego z wyczekiwaniem. — Jednak to całkiem możliwe.

— Właśnie, w Karsie cuda zdarzają się niezwykle często — odparowała Kero. Ulrich tylko lekko się uśmiechnął.

— Dlatego też atak Imperium w tę stronę staje się raczej niemożliwy. Przez ten czas zaś Pan Słońca zrobi na pewno coś jeszcze, zupełnie nieoczekiwanego dla Imperium, mianowicie dostarczy Solaris najdokładniejszych i najświeższych wiadomości — zaryzykowała Kerowyn, widząc lekkie skinienie Ulricha, uśmiechnęła się. — Cóż, mam dla Karsytów miłą nowinę. Z tego, co donoszą moi agenci, wynika, iż mieszkańcy Imperium wyznają kult cesarza i jego przodków. Z pewnością pochlebia to Charlissowi, ale nie przydaje mu mocy większej niż moc adepta. Znaczy to, że Panu Słońca nie grozi walka z innym bóstwem, gdyby jednak zdecydował się spuścić te pioruny.

Karal zapisywał słowo w słowo.

— Ach — rzekł rozpromieniony Ulrich — to rzeczywiście zwiększa szanse osobistej interwencji Vkandisa, przynajmniej w granicach Karsu.

— Tak myślałam — rzekła Kerowyn z szerokim uśmiechem.

— W Valdemarze zaś Imperium natknie się na heroldów i Towarzyszy, i na rozwiniętą magię umysłu. Nie sądzę, by jeszcze gdzieś ludzie używali jej tak... naukowo.

— Nie słyszałem o tym — potwierdził Quenten. Kerowyn skinęła głową.

— Tak właśnie myślałam. Od czasów Vanyela musieliśmy radzić sobie bez magii, nauczyliśmy się zastępować ją innymi środkami. Dla nich zaś magia jest najważniejsza, słyszeliście raport: używają jej do celów, o jakich nam by się nie śniło. Z tego też powodu są bardzo wrażliwi na magiczne ataki i jeśli podejrzewają nas o podobny sposób działania, muszą odpowiednio zaplanować swe posunięcia.

Śpiew Ognia entuzjastycznie kiwał głową, Ulrich był nieco ostrożniejszy. El-speth nad czymś się zastanawiała.

— To nie najgorszy plan, jak na początek — powiedziała wreszcie.

— Tym razem mamy coś, czego brakowało nam w wojnie z Ancarem: mamy czas. Na razie Imperium jest zajęte połykaniem Hardornu. — Kerowyn wzruszyła ramionami. — Wiem, że to brzmi okropnie, lecz w tej chwili odradzam otwartą pomoc Hardornowi. Uważam, iż powinniśmy zająć się poznaniem Imperium, dyplomatycznymi zabiegami zyskać jeszcze trochę czasu i dowiedzieć się, jak możemy przeciwstawić się ich magii, nie używając jej albo posługując się tylko magią umysłu. Zdobytą wiedzę możemy znakomicie wykorzystać, gdyż oni po prostu nie spodziewają się tego.

Więcej osób zaczęło kiwać głowami, Karal uzupełniał notatki, wdzięczny za lekcje Alberichowi, bez nich już dawno by się zgubił.

Książę Daren przemówił jako następny.

— Imperium czekało kilkadziesiąt lat, może dłużej, zanim ruszyło na Hardorn — zauważył. — Zaatakowali dopiero wtedy, kiedy mieli największe szansę na zwycięstwo przy minimalnym oporze. Wiemy, że mieli swego agenta wśród najwyżej postawionych, prawdopodobnie nie tego jednego i nie od wczoraj. Jeżeli przekonamy przywódców, że atak na Valdemar będzie kosztował ich zbyt wiele, może zrezygnują.

— Miejmy nadzieję — odparła Selenay. — Trzeba próbować, lecz nie wolno nam na to liczyć.

— Zgadzam się — przytaknął lord marszałek.

Dyskusja przeciągnęła się, lecz najważniejsze zostało już powiedziane. Kiedy niektórzy zaczęli powtarzać swoje wcześniejsze opinie, Selenay zamknęła zebranie.

Dla Karala nie było to zbyt wcześnie, miał wrażenie, że za chwilę palce mu odpadną.

Jednakże przez cały czas pamiętał o prośbie swego nowego przyjaciela. Nie mógł się doczekać rozmowy z Ulrichem.

— Jesteś dziś bardzo milczący — zauważył Śpiew Ognia. An'desha wpatrywał się w wodospad, lśniący odbitym w nim światłem lamp. — Dobrze się czujesz?

— Jestem trochę zmęczony — odrzekł chłopiec zgodnie z prawdą. — Pracowałem w ogrodzie i powtarzałem ćwiczenia magiczne, które mi pokazałeś.

Śpiew Ognia wydawał się zadowolony i An'desha odetchnął. Postanowił na razie trzymać w tajemnicy swą przyjaźń z Karalem z Karsu, częściowo dlatego, że nie wiedział, jak Śpiew Ognia przyjmie taką nowinę. Owszem, mag zachęcał go do nawiązania znajomości, lecz nie wiadomo, co by zrobił, dowiedziawszy się o nowym przyjacielu, zwłaszcza mężczyźnie...

Mógłby uznać tę przyjaźń za opartą tylko na pociągu fizycznym, w takim zaś razie, według niego, ta znajomość szybko wykroczyłaby poza ramy czystej przyjaźni. Nie, lepiej na razie spotykać się tylko we dwójkę — chyba że Karal przyprowadzi swego mistrza. Wtedy można będzie bezpiecznie wszystko wyjawić.

„Najdziwniejsze jest to, że Śpiew Ognia nigdy by nie wyciągał takich wniosków, gdybym zaprzyjaźnił się z kobietą — a przecież prędzej mógłbym... ee... związać się z nią niż z mężczyzną.”

— Czy miałeś jeszcze jakieś przeczucia? — spytał lekko drwiąco Śpiew Ognia. — Właściwie przydałyby się teraz, kiedy magowie Imperium...

Przechucia...

An'desha zachłysnął się, ziemia zaczęła nagle uciekać mu spod nóg, a głos Śpiewu Ognia zginął w szumie wypełniającym uszy. Chciał chwycić się skały, obok której siedział, ale palce odmówiły mu posłuszeństwa. Otoczyła go ciemność, w niej zaś nagle rozbłysło oślepiające światło, po czym znów zapadł mrok, przecinany smugami czerwieni, An'desha zawsze widział czerwień po oślepieniu blaskiem. Próbował krzyknąć i nie mógł. Nie czuł nawet, czy otwiera usta.

Wtedy otoczyły go kręgi światła, czuł się tak, jakby ktoś go chwycił i potrząsał, jak dziewczęta powiewające szalami w Tańcu Deszczowego Ptaka. Całą przestrzeń, całe otoczenie wypełniał strach, lodowaty, paralizujący, po chwili znów ciemność, po niej światło — nieco słabsze — i znów ciemność.

Skończyło się tak nagle, jak zaczęło. An'desha czuł, że leci w tył, na kamienie, Śpiew Ognia trzymał go za ramiona i patrzył mu w oczy, ręce chłopca kurczowo chwyciły skałę.

— Co... — wydyszał.

— Wpadłeś w trans — wyjaśnił Śpiew Ognia, dotykając jego czoła. Krzyknąłeś, szukałeś rękami kamienia — widziałem twój wzrok, wyczułem w tobie moc i odgadłem, że to trans. Wyglądałeś na przerażonego.

— Byłem... jestem przerażony — wykrztusił An'desha. — To było straszne, okropne, lecz nie umiem tego opisać. Światło i fale ciemności oraz poczucie zagubienia.

Śpiew Ognia spojrział mu w oczy i zmarszczył brwi.

— Zaczęło się, kiedy spytałem cię o przeczucia. Zbyt dobrze wybrany moment na zwykły zbieg okoliczności.

An'desha ogłuszony skinał głową, jego napięcie i strach znów wzrosły.

— Posłuchaj, opowiem ci, co mówiono na zebraniu Rady — odezwał się wreszcie Śpiew Ognia. — Mornelithe Zmora Sokołów nie miewał przeczuc, lecz ty nim nie jesteś. Być może posiadasz ten dar, może Ona cię nim obdarzyła. Na zebraniu przypomniano nam, iż w tym kotle mieszają nie tylko ludzkie ręce.

„Nie byłbym taki pewny, czy nie jestem Zmorą Sokołów” — pomyślał tępo An'desha, ale wysłuchał bez słowa relacji Śpiewu Ognia.

— Czy cokolwiek, o czym mówiłem, wzbudziło w tobie jakiś odzew? — spytał, kiedy skończył.

An'desha potrząsnął głową.

— Nic — odrzekł smutno. — Równie dobrze mógłbyś mi opowiadać o hodowli bydła. Nic to dla mnie nie znaczy.

Śpiew Ognia bawił się machinalnie kosmykiem swych włosów i rozmyślał.

— Nie potrafię tego rozwiązać — rzekł w końcu. — Wydawało mi się, że nasz wielki wróg to Imperium i że to jego dotyczyły twoje obawy, jednak...

— To nie Imperium, głupcze! — wybuchnął An'desha, tracąc panowanie nad sobą. — Od początku próbuję ci to powiedzieć! To coś innego, coś, co nam się

nawet nie śniło! I myślę... - zająknął się i poczuł zimne dreszcze — myślę, że klucz do tego leży we wspomnieniach Wielkiej Bestii.

Śpiew Ognia uspokajająco położył dłoń na zaciśniętej pięści młodego maga.

— W takim razie musimy je przebadać — odparł z łagodnością, o jaką An'desha nigdy by go nie posądzał. — Ty i ja. Pomyliłem się, każąc ci przemierzać te ścieżki samotnie. Byłem tak pewny moich przypuszczeń... — An'desha patrzył na niego, zaskoczony nieoczekiwaną pokorą maga. — Nie wiem. Kapitan Kerowyn jasno wytłumaczyła mi, iż magowie Imperium różnią się od nas całkowicie i najprawdopodobniej nie zdołałbym się z nimi zmierzyć. — Nagle wrócił cięń jego dawnej pewności siebie. — Przynajmniej nie za pierwszym razem. Ośmielę się przypuścić, że po tym pierwszym razie wiedziałbym już, z czym mam do czynienia i umiałbym sobie z tym poradzić.

Jednak po chwili beztronski ton zniknął.

— Mimo wszystko wystarczy, jeżeli będą odpowiednio często zmieniali broń. Jak słusznie zauważyła Kerowyn, nie obronię się przed tym, czego się nie spodziewam. — Z pobladłą twarzą spojrzął w oczy młodego maga. — Pierwszy raz w życiu nie jestem pewien swojego bezpieczeństwa. To... niepokoi. Nawet podczas zmagania z uszkodzonym kamieniem-sercem nie miałem takiego poczucia własnej śmiertelności, jak teraz.

„Pięknie. Co dalej?”

— Jeśli to prawda, to i inne moje przypuszczenia mogą okazać się fałszywe... także i te dotyczące ciebie — westchnął. — Teraz więc, wreszcie, słucham ciebie i pytam cię: co my razem powinniśmy zrobić?

„Uciekać!” — odparła tchórzliwa część An'deshy, ale tego nie powiedział.

— Musisz pomóc mi poznać wspomnienia Zmory Sokołów z czasów, zanim zawładnął moim ciałem — odezwał się chłopiec drżącym głosem. — Musimy dotrzeć dalej, niż dotąd się odważyłem.

„Gdyby awatary znów przyszły” — pomyślał, tłumiąc strach, kiedy Śpiew Ognia kiwał głową. „One wiedziały, czego powinienem poszukać...”

Czy naprawdę wiedziały? We wszelkich ostrzeżeniach pobrzmiwała nuta irytacji, że nie potrafią wytłumaczyć jasno, o co im chodzi. Może nawet one tego nie wiedziały. Od ludzi z krwi i kości nie dzieliło ich wiele, właściwie Jutrzenka i Tre'valen nie umarli, jak mu wyjaśniali. To dlatego mogli mu pomóc tak daleko od Równin i Wzgórz, poza zasięgiem Gwiazdzistookiej.

„Pewnie wróciły tam, gdzie mogą uczynić coś dobrego, cokolwiek to jest. Może pomagają Ka'lenedrał, Zaprzysiężonym Mieczowi. Chyba już nie umiałyby mi pomóc.”

Ale Śpiew Ognia umiał. Choć przywoływanie śladów demona mogło się okazać niebezpieczne, An'desha nie widział innego wyjścia.

— Może zaczniemy dziś wieczorem? — zaproponował nieśmiało.

Śpiew Ognia z powagą kiwnął głową.

— Chyba to najlepsze, co możemy zrobić, ke' chara, zanim obaj stracimy opowanie.

„Ja już straciłem” — pomyślał An'desha, ale nie protestował, kiedy Śpiew Ognia pomógł mu się podnieść i poprowadził do szczelnie osłoniętego kręgu w ogrodzie — miejsca magicznych ćwiczeń. „Może jednak teraz znajdę nową odwagę...”

ROZDZIAŁ JEDENASTY

— To znaczy, że z fałszywego Syna Słońca nic nie zostało? — An'desha z zapartym tchem słuchał opowieści Karala o dojściu Solaris do władzy. Było coś pocieszającego w fakcie, że inne narody miały bogów równie bezpośrednich, jak Gwiazdzistooka. Nawet bardziej, An'desha nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek z Shin'a'in odważył się ubiegać o absolutną władzę w imię Bogini, co więcej, by przetrwała cała linia fałszywych proroków. Bogini zesłałaby od razu głodną bestię i pozbyłaby się bluźniercy, zanim ten zdążyłby stać się zagrożeniem.

— Nic, ledwie trochę popiołu — Karal skinął głową. — To było... niesamowite. Z pewnością nie odważyłbym się lekceważyć woli Pana Słońca, najchętniej w ogóle nie ściagałbym na siebie jego uwagi!

— Rozumiem cię dobrze — odrzekł An'desha. — Gwiazdzistooka postępuje bardziej... delikatnie.

„To bardzo dyplomatyczne stwierdzenie. Kal'enel nie zabija ludzi piorunem nawet w chwili największego gniewu.”

Mały wewnętrzny ogródek stał się miejscem ich spotkań, mieli prawie pewność, że nikt ich tu nie zaskoczy, a ponieważ An'desha ćwiczył tu magię ze Śpiewem Ognia, czuł się tu dobrze. W dodatku, niezależnie od pory roku i pogody, w miniaturowej Dolinie panowało łagodne lato.

Karal już nie podskakiwał na każdą wzmiankę o Gwiazdzistookiej i nie okazywał zmieszania na dźwięk jej imienia. „Biedny Karal, tak go oszołomiła myśl, że Vkandis może nie być jedynym prawdziwym bogiem.”

— Jednakże — ciągnął An'desha, wzruszając ramionami — jak możemy przewidzieć, co zrobią, a czego nie zrobią bogowie? Mimo że Gwiazdzistooka dotknęła mnie własną ręką, nie ośmielę się snuć przepowiedni na Jej temat.

Karal zakaszłał uprzejmie, An'desha pojął aluzję.

— Mówiąc o tym, co prawdopodobne — rozmawiałem o tobie z Ulrichem — powiedział Karal i czekał na reakcję.

Entuzjazm An'deshy mógłby zadowolić każdego. Młody mag poczuł dreszcz podniecenia.

— Przyjdzie? Czy ma tyle czasu? Czy myśli, że uda mu się mi pomóc? — An'desha spędził tyle czasu na przywoływaniu wspomnień poprzednich wcieleń

Zmory Sokołów, iż czuł, jak niepewny poprzednio grunt pod nogami zamienia się w bagno. Tylko wyjątkowe szczęście uchroniło go dotąd od stoczenia się w bezdenną przepaść, która pochłonęłaby go, zanim zdołałby zawołać o pomoc. Ostatniej nocy, po kolejnej wycieczce w przeszłość, męczył go straszliwy koszmar, pół nocy An'desha spędził owinięty w koc, przerażony i drżący, po nieudanych próbach uspokojenia go Śpiew Ognia poddał się, stracił w końcu cierpliwość i poszedł spać do ogrodu.

„Miał słuszość, to tylko koszmar senny, ale dokąd prowadzą takie koszmary? Co się stanie, jeśli nie zdołam się z nich wydobyć? To ten strach tak mnie opanował, nie wiem, ile jeszcze takich nocy wytrzymam.”

Karal poważnie skinął głową.

— Powiedział, że jeśli masz czas, przyjdzie dziś po południu. Mam po niego pójść?

— Proszę! — zawołał An'desha głośniejszym głosem, niż zamierzał. Opanował się natychmiast, Karal jednak nie wydawał się zaskoczony. — Proszę. Naprawdę... bardzo chcę z nim porozmawiać.

— Idę. — Karal znał An'deshę na tyle dobrze, by nie lekceważyć takiego tonu. Wstał i odszedł, zostawiając An'deshę samego w ogrodzie, chodzącego niecierpliwie tam i z powrotem. Po tak długim czasie wreszcie spotkał kogoś, kto rozumie jego cierpienie i strach, kto chce mu pomóc... .

Jak ten Ulrich będzie wyglądał? „Oby nie jak szaman mojego klanu... to by tylko pogorszyło sprawę!” Nie zniósłby wykładu o moralnej słabości i potrzebie okazania silnej woli zamiast kulenia się jak przerażone dziecko na widok cieni. Naprawdę czynił wszystko, co w jego mocy — nawet jeśli Śpiew Ognia tak nie uważał... .

Teraz, kiedy upragniona chwila miała nadejść, zamieniał się w kłębek nerwów.

— Jesteśmy. Spotkałem mistrza na ścieżce — odezwał się raźnie Karal od drzwi. An'desha podbiegł do wejścia i zobaczył swego przyjaciela w towarzystwie znacznie starszego mężczyzny, idącego ostrożnie i nieco sztywno. Miał spokojną, szczupłą, mądrą twarz o długim, ostrym nosie i takimż podbródkiem — obaj z Karalem byli przedstawicielami tego samego typu fizycznego, podobnie jak Shin'a'in, Kaled'a'in i Tayledrasi. Mieszkańcy Valdemaru zaś stanowili mieszankę najróżniejszych cech.

Kapłan liczył sobie około pięćdziesięciu lat, w jego srebrnych włosach przewijały się jeszcze czarne nitki. Co ważniejsze, w jego twarzy An'desha nie doszukał się tej niecierpliwości, jaka charakteryzowała szamana.

— An'desha. — Mężczyzna skłonił się lekko, zamiast według valdemarskiego zwyczaju wyciągnąć rękę do uścisku. — Karal opowiadał mi o tobie, lecz chciałbym usłyszeć wszystko jeszcze raz z twoich ust. — Uśmiechnął się lekko, w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. — Czasem tłumaczenie zmienia sedno sprawy, jak ci powie każdy dyplomata.

Uśmiech przekonał An'deshę, że Ulrich na pewno nie przypomina szamana. Szaman nigdy się nie uśmiechał.

Ulrich wysłuchał jego historii i opowieści o prześladowających go obawach bez żadnych oznak niecierpliwości, kilka razy nawet przerwał chłopcu, prosząc o bardziej szczegółowe wyjaśnienia. W miarę upływu czasu An'desha coraz bardziej kojarzył go z magicznym mieczem Potrzebą, teraz noszonym przez Nyarę. To Potrzeba kierowała nim w walce ze Zmorą Sokołów, prowadzonej dosłownie od wewnątrz. Nigdy nie obiecywała mu wolności, nie litowała się nad nim, nie współczuła, tylko prowadziła.

Ulrich bardzo ją przypominał. Nie słuchał wymówek, nie przyjąłby ich do wiadomości — ale dopóki An'desha starał się ze wszystkich sił, Ulrich doceniał to i akceptował jego działania.

Wyraźnie zainteresowało go spotkanie z awatarami, An'desha wspominał je bardzo ostrożnie, pamiętając zaskoczenie Karala na wieść o istnieniu innych prawdziwych bogów poza Vkandisem. Ku zdziwieniu maga Ulrich przyjął opowieść ze spokojem.

— Wierzycie mi, prawda? — zapytał, kiedy Ulrich siedział zamyślony. — Mam na myśli, czy wierzycie, że Jutrzenka i Tre'valen są Jej awatarami, a nie moim wymysłem.

Ulrich zastanowił się przez chwilę.

— Przyznaję, takie wytłumaczenie przeszło mi przez głowę, kiedy o nich wspomniałeś — powiedział wreszcie, splatając palce. — Według zwykłych norm trudno cię uznać za zupełnie... normalnego. Jednak po tym, co powiedziałaś, mam pewność, że są dokładnie tymi, za kogo ich uważasz.

Karal zakrztusił się, An'desha spojrzał na niego i zobaczył dziwny kolor jego twarzy.

Ulrich zachichotał i zwrócił się do swego sekretarza.

— Czyżbym cię zaskoczył, młodzieńcze? — zakpił. — Czy uważasz mnie za tak posłusznego literze *Obrządku*! To dla ciebie kolejna lekcja. Większość mądrych kapłanów ma świadomość, że Światło przyjmuje wiele form, wiele imion, a wszystkie równie prawdziwe. W najstarszych kopiach *Obrządku* także to zapisano, jeśli komuś chce się je przejrzeć.

Odwrócił się z powrotem do młodego maga.

— To uczynki określają człowieka — powiedział poważnie. — Jak pewnie Karal ci mówił, sam Vkandis stwierdził: dobry uczynek dokonany w imię Ciemności i tak pozostaje dobrym, lecz zły uczynek dokonany w imię Światła skazuje duszę na potępienie.

An'desha z ulgą kiwał głową. Związany tradycją szaman Shin'a'in nigdy nie wypowiedziałby tych słów.

— Zawsze czułem — ciągnął z namysłem Ulrich — iż zanim osądzę człowieka na podstawie jego wiary, powinienem poznać jego relacje z innymi ludźmi.

Jeżeli postępuje szlachetnie, imię jego boga staje się sprawą drugorzędną.

„Wszystko pięknie — pomyślał An'desha. — Miło z jego strony, ale co ze mną? Co z moimi marzeniami i...”

— Jednakże to nie ma nic wspólnego z twoimi kłopotami — Słyszac te słowa, An'desha podskoczył. Czyżby kapłan umiał czytać w myślach? — Twoje obawy są bardzo rzeczywiste. Zacznijmy od strachu najbliższego twej duszy — strachu, że nadal żyje w tobie demon zwany Zmorą Sokołów.

An'desha pochylił się do przodu, zapominając o złych przeczuciach. Punkt po punkcie, jasno i wyraźnie Ulrich udowodnił mu, że wie, co mówi — że Śpiew Ognia i inni mieli rację: Zmora Sokołów odszedł na zawsze.

Najbardziej przekonał go argument Ulricha dotyczący odczuwania przez maga emocji.

— Wyjaśnienie jest proste: przez wiele lat istniałeś tylko w postaci duchowej — tłumaczył cierpliwie Ulrich. — Dopiero teraz masz możliwość odczuwania fizycznych skutków swych uczuć. To tak, jakby nagle przywrócić wzrok niewidomemu albo słuch głuchemu. Pomyśl, jak do niedawna głuchy człowiek reaguje na niespodziewany hałas — ty podobnie reagowałeś na przyływ silnych uczuć. Nie tylko to, czujesz przecież także pot na swych dłoniach, rumieniec na twarzy — wszystko to po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Wydaje ci się, że uczucia nad tobą panują i łatwo uznajesz je za kolejny znak opętania. Jednakże teraz po prostu odczuwasz uczucia także poprzez reakcje swego ciała — własnego ciała, nie kontrolowanego przez demona.

An'desha powoli skinął głową. Wyjaśnienie brzmiało prawdopodobnie, nie wiedział, co myśleć.

— Ja... ja nie potrafię sobie z tym poradzić — zaczął z wahaniem.

Ulrich uśmiechnął się.

— Gdybyś nie miał żadnych trudności, uznałbym to za znak opętania przez innego ducha. Żaden normalny człowiek nie czułby się dobrze w twoim położeniu!

An'desha odpowiedział słabym uśmiechem.

— Zapewne macie słuszność...

— An'desha, nie każdy człowiek może zostać kapłanem, bohaterem czy uzdrowicielem. Obwiniasz siebie o tchórzostwo, a w rzeczywistości zdobywasz się na wielką odwagę. Spróbuj osądzać siebie sam, nie według tego, co mówią o tobie inni, i zadowolaj się tym, co potrafisz. Nie zwalnia cię to z obowiązku opanowania swych emocji — ostrzegł Ulrich. — W nich kryje się cień demona: łatwiej ci odczuwać złość niż radość, nienawiść niż współczucie. To są stare, wytarte ścieżki, twoje ciało przyzwyczało się do nich — także twój umysł, który doświadczał wszystkiego, co przeżywał Zmora Sokołów. Zawsze łatwiej pójść utartym szlakiem, niż spróbować nowego. Musisz przełamać stare nawyki. Można usunąć blizny z twej duszy, ale będzie to wymagało nie tylko czasu, ale i wysiłku

twey woli — okazania, że nie jesteś w niczym podobny do swego prześladowcy.

To także miało sens i An'desha przytakiwał, dawno nie czuł takiej ulgi. Śpiew Ognia i inni mówili mu to samo, choć różnymi słowami — i nie tłumaczyli mu tego wszystkiego, teraz uwierzył, gdyż usłyszał to od osoby postronnej. Może Ulrich był uzdrowicielem umysłu, albo nawet duszy — o ile istnieli tacy uzdrowiciele.

„A kim ja jestem, by twierdzić, że nie istnieją? Karal tak twierdzi, więc powinienem mu uwierzyć.”

— Lecz ten drugi strach, przecucie nadciągającego niebezpieczeństwa, niepokoi mnie mocno — przyznał Ulrich. — Być może wypływa on z najstarszych, tkwiących w twym umyśle wspomnień, tak przynajmniej przypuszczam. — Przygryzł w zamyśleniu wargę. — Innymi słowy: ta część ciebie, która przechowuje te wspomnienia, wie, co zawierają, i wie, że teraz dzieje się coś, co ma z nimi związek. Jednak pozostała część twego umysłu nie chce przyjąć ich do wiadomości. W rezultacie część ciebie usiłuje przekonać... resztę, by zmierzyła się z tym czymś. — Zmarszczył brwi. — Czy to, co mówię, ma dla ciebie jakiś sens, czy to tylko bzdury?

— Ma sens — odparł An'desha oszołomiony. Właściwie, jak i poprzednie wytłumaczenie, było aż nadto logiczne. Od pewnego czasu An'desha miał uczucie, jakby składał się z dwóch części, lecz uznawał je za jeszcze jeden dowód ciągłej obecności Zmory Sokołów. Teraz uzyskał inne wyjaśnienie, bynajmniej nie pobłażające jego lękom i nie pozwalające mu pozostać beczynnym...

„I to właśnie czyni je bardziej prawdopodobnymi.”

— To coś, co szaman nazywa „wewnętrznym wojownikiem” — powiedział powoli. — Głos, który podpowiada nam, co czynić, jak postępować. Podobno jest źródłem męstwa, honoru i powodzenia, jeżeli słucha się go i mądrze stosuje jego wskazówki.

Ulrich obserwował jego twarz, gdy tak siedzieli w zamyśleniu, wreszcie z zadowoleniem skinął głową.

— Położyłem fundament — powiedział do Karala. — Ty możesz dokończyć dzieła. Wystarczy, byś utrzymywał otwarty umysł, tak jak teraz, a nie powinienesz zbłądzić.

Odwrócił się z powrotem do maga.

— Rozwiązanie twych kłopotów leży w tobie — rzekł. — Karal ci pomoże, lecz to ty musisz je odnaleźć. Zrobię, co w mojej mocy, lecz teraz nie widzę niczego, co wymagałoby mojej interwencji.

Czy to znaczyło, że do tej chwili potrzebował Ulricha?

— Wszystko się zmienia — ciągnął Ulrich. — Gdybyś zauważył coś złego, przyjdź koniecznie. Na razie zaufaj Karalowi, jego rozsądkowi i osądowi. Nie boi się obcych mocy, nawet potężnych, a co najważniejsze, ma dobre serce.

Karal ciągle jeszcze nie pozbył się rumieńca, kiedy Ulrich wstał i odszedł, zostawiając ich samych.

Z błogosławieństwem mistrza Karal spędzał większość wolnego czasu z przyjacielem. W miarę upływu dni coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że Ulrich trafnie ocenił sytuację, klucz do przeczuć i koszmarów młodego maga leżał w starych, pogrzebanych wspomnieniach, także tych dotyczących samego An'desha, którym musiał w końcu stawić czoło. Karal pracował więc na fundamencie położonym przez Ulricha, budował pewność siebie, przekonując przyjaciela, iż ma prawo popełniać błędy, lecz póki będzie pamiętał o kontrolowaniu swej mocy, będzie mógł uczyć się na własnych błędach.

— Współczucie i honor — powtarzał ciągle. — Póki działasz zgodnie z nimi, nie wyrządzisz nikomu krzywdy.

— Na pewno? — odparł An'desha sceptycznie, był to znak, że nauczył się myśleć samodzielnie i nie przyjmować nic bez zastanowienia. — Ale...

— Ale liczą się i dobre intencje, inaczej dawno już wylądowałbym w najzimniejszym piekle Vkandisa! — Karal skrzywił się i objął przyjaciela. — Jeżeli masz w sobie honor i współczucie i mimo to skrzywdzisz kogoś, czy to samo poczucie honoru i litość nie każą ci naprawić błędu?

— Tak, chyba tak — odrzekł wolno An'desha.

— A czy ujrawszy skutki swej pomyłki, nie spróbujesz ich odwrócić? — ciągnął logicznie Karal. — Widzisz, współczucie i honor nie pozwalają ci szukać wymówek ani stwierdzić: „Nic nie da się zrobić”. W takim razie nawet jeśli się pomylisz, możesz to naprawić. Będziesz chciał to zrobić.

Może Karal nie posiadał wielkiej mocy, lecz nie brakowało mu odwagi w spotkaniu z potęgą, jak przewidział Ulrich, An'desha w końcu nabrał do niego zaufania. Choć chłopiec o tym nie wiedział, wzbudził zainteresowanie kapłana, który co wieczór wypytywał swego sekretarza o jego postępy i plany na kolejne dni. Bardzo rzadko proponował ich zmianę — Karal miał wrażenie, iż Ulrich również pozwalał mu popełniać błędy i naprawiać je — lecz dawał Karalowi pewność, iż śledzi ich postępy, mimo że niewielkie.

Jednak były. An'desha zaczął wreszcie przyglądać się starym wspomnieniom, przeżył już etap maga zwanego Larethem, co w języku Sokolich Braci znaczyło „ciemność”, żyjącego kilkaset lat temu.

Śpiew Ognia także był zadowolony, przynajmniej An'desha tak przypuszczał. Jego pewność siebie uwidoczniła się także w lekcjach magii i pozwoliła mu zacząć korzystać z mocy, zamiast od niej uciekać. Sukcesy dodały młodemu magowi odwagi do zapuszczania się coraz dalej w przeszłość. Co równie ważne, An'desha potrafił teraz zmierzyć się z okropnościami przechowanymi w pamięci i przyznać, iż także nienawiść i chęć mordy odczuwane przez niego — choć nie wprowadzane

w czyn — były dalekim echem tego, co czynił Zmora Sokołów.

Ulrich zwrócił także uwagę Karala na coś, co już wcześniej go zastanawiało: im dalej w przeszłość, tym bardziej — nie mniej — ludzka stawała się postać złego maga i tym więcej argumentów znajdowała on na usprawiedliwienie niewybaczalnego. Ulrich nie wyciągnął z tego żadnych wniosków — przynajmniej w obecności sekretarza — lecz zostawił go samemu sobie, by mógł się zastanowić i sam do nich dojść. Karal czytał nadal starożytne księgi podsunięte mu przez mistrza i odnajdywał w nich dziwnie znajome fragmenty, po pewnym czasie zorientował się, że były to słowa przytoczone przez Ulricha w rozmowie z An'deshą na temat czynienia zła i dobra w imię Światła.

Pewnego dnia Karal przedzierał się przez valdemarską historię poleconą przez Albericha, kiedy usłyszał chrząknięcie Ulricha tuż za otwartymi drzwiami sypialni. Podniósł wzrok i wyprostował się, jego mistrz nałożył najbardziej oficjalne szaty z jedwabiu w kolorze hebanu, dodające mu powagi i dostojeństwa. Miał też niezwykle poważny wyraz twarzy.

— Nie lubię wypraszać cię z komnat, Karalu — rzekł przepraszająco — lecz właśnie umówiłem się z kimś niezwykle ważnym na omówienie pewnych bardzo delikatnych kwestii. A jeżeli...

— Jeżeli ja tu zostanę, gość nie zechce nic powiedzieć w obawie, że podsłuchuję. Dobrze, mistrzu. — Karal włożył zakładkę do książki i wstał szybko. — Ponieważ te dyskusje dotyczą teorii, nie będziesz potrzebował notatek. Z pewnością zdołam znaleźć sobie zajęcie do... powiedzmy, do obiadu? Jestem już odpowiednio ubrany, więc nie będę musiał tutaj wracać.

— Wspaniale, dziękuję ci. — Ulrich stał w drzwiach, więc odszedł na bok, pozwalając Karalowi przejść. Karal oczekiwał czegoś podobnego już od kilku dni, negocjacje pomiędzy karsyckim posłem a przedstawicielami Valdemaru i Rethwellanu dotarły do punktu, w którym można było pomyśleć o konkretach, oznaczało to potrzebę poufnych spotkań dla przedyskutowania szczegółów.

Idąc wyłożonym drewnianymi płytami korytarzem, zdał sobie sprawę, że nie bardzo ma co robić. An'desha ćwiczył ze Śpiewem Ognia, do ogrodu nie było po co iść — naraziłby się na pogardliwe spojrzenia młodych lordów, wiedzieli już, że nie pochodził z arystokracji, więc nie mieli powodu, by traktować go lepiej niż służącego. W bibliotece przesiadywali o tej porze młodzi heroldowie, w pałacowych ogrodach zaś — dworzanie. Ci nie patrzyli na niego z góry, lecz nie miał ochoty stawić czoła ich wścibskim pytaniom.

„Pojeździłbym konno, ale nie jestem odpowiednio ubrany.” Może założenie uroczystego stroju o tej porze nie było najlepszym pomysłem. Szkoda, przejażdżka dobrze by Trenerowi zrobiła. Jednakże nie wchodzi się na dworski obiad prosto ze stajni.

Ta myśl nasunęła mu pewien pomysł. Prawie codziennie przechodził przez Łąkę Towarzyszy, nie zwracając zbytniej uwagi na jej mieszkańców, skoro tak

długo mógł się przyglądać prawdziwym koniom, dlaczego nie poobserwować Towarzyszy? Może uda mu się trochę je poznać.

Skierował się do najbliższych drzwi prowadzących na zewnątrz i poszedł ścieżką w stronę Łąki.

Mijający go ludzie nie zwracali na niego uwagi. Karal oparł się o żerdzie i przyglądał pełnym wdzięku stworzeniom, czerpiąc z ich widoku czysto estetyczną przyjemność. Nie zastanawiał się, kim są, po prostu patrzył. Po krótkim czasie jednak zdał sobie sprawę, iż z zachowania w ogóle nie przypominają koni. Nie tworzyły stada, źrebaki zbierały się w małe grupki, klacze stały lub pały się nieopodal, jak matki pilnujące dzieci i ucinające przy okazji pogawędkę z sąsiadkami. Młode ogiery nie okazywały ani śladu agresji i chęci do walki, nawet w pobliżu klaczy, były tak samo spokojne i można je było odróżnić od siebie tylko po wyglądzie, nie po zachowaniu. Wszystkie zdawały się wyjątkowo szanować jednego ogiera, lecz i jego nie można było nazwać przywódcą stada, pozostałe Towarzysze zachowywały się wobec niego raczej jak dworzanie przed łaskawym monarchą. To było fascynujące. Dla każdego, kto jako tako znał konie, różnice w zachowaniu były oczywiste. Karalowi zdawało się chwilami, że ogląda raczej grupę ludzi przechadzających się po parku.

— Kiedyś oddałbym wszystko za spędzenie chwili w ich towarzystwie — zabrzmiał znajomy głos za plecami Karala.

— Nawet wiem, dlaczego — odrzekł Karal z uśmiechem, odwracając się, by powitać byłego przewodnika. — Być może któregoś dnia wyjaśnisz mi także, jak stworzenie o takich rozmiarach jak Towarzysz potrafi skradać się bezszelestnie za plecami?

Rubryk wzruszył ramionami, spoglądając na Karala z wysokości siodła.

— Nie wiem, lecz gryfy umieją to równie dobrze. Ostatnio Treyvan wystraszył mnie w ten sposób, nie miał takiego zamiaru i bardzo mnie przeproszał, lecz nie mam pojęcia, jak mu się to udało. — Herold zmierzył Karala wzrokiem. — Czy mógłbyś poświęcić chwilę i pomóc mi zsiąść?

— Oczywiście. Tu czy w stajni? — odparł ochoczo Karal.

— W stajni, jeśli łaska — zachichotał Rubryk. — Masz zbyt uroczyście szaty, więc nie poproszę cię o pomoc przy rozsiedlaniu Laylana, ale docenię twoje towarzystwo.

— Szczerze mówiąc, też mam ochotę na pogawędkę — przyznał Karal, kiedy Towarzysz ruszył stępą ku furtce, zajął miejsce przy strzemieniu Rubryka. — Nie mam co robić, znam tu tak niewielu ludzi. Z tymi zaś, których znam z imienia, nie bardzo mógłbym swobodnie porozmawiać.

— Hm... — Rubryk przekrzywił głowę. — Rozumiem. Zdaje się, że to jedna z mniej miłych cech zawodu dyplomaty: każde słowo może zostać rozpatrzone z wszelkich możliwych stron. Poza tym zwykły śmiertelnik, zmuszony do przebywania z ludźmi wysoko urodzonymi, o przesadzonych wyobrażeniach na temat

pochodzenia, nie musi czuć się najlepiej. Twego mistrza chroni tytuł ambasadora, który sam w sobie daje wysoką pozycję, ale ty jesteś tylko zwykłym sekretarzem. W takich warunkach trudno o prawdziwą rozmowę.

Karal westchnął, bawiąc się medalionem Vkandisa, który miał na szyi.

— Chciałbym, żeby to nie była prawda, panie.

— Przynajmniej poprawiłeś znacznie swój valdemarski — zauważył Rubryk, kiedy wreszcie dotarli do stajni i weszli do ciemnego, chłodnego wnętrza.

Karal lekko się uśmiechnął.

— Gdybym tego nie zrobił, herold Alberich dałby mi nauczkę. Pewnie wiesz, że trudno go ułagodzić, kiedy naprawdę się rozgniewa! — Karal pomógł Rubrykowi zsiąść i stojąc obok, podał heroldowi szczotkę i zgrzebło, podczas gdy Rubryk zdejmował siodło. Rozmowa potoczyła się gładko, Rubrykowi znów udało się skłonić Karala do zwierzeń. Co prawda nie było to trudne, gdyż sekretarz bardzo chciał rozmawiać, wkrótce Karal zdał sobie sprawę, jak bardzo brakowało mu wnikliwych uwag herolda i jego spokojnego tonu.

— Chyba jestem samotny — wyznał wreszcie z westchnieniem, opierając się o ścianę przegrody i patrząc, jak Rubryk czesze grzywę Towarzysza. — W domu przywykłem do samotności i nie sądziłem, że aż tak będzie mi dokuczać w Valdemarze, jednak tu jest trudniej, gdyż czuję się nieswojo. W Karsie nikt z ludu Vkandisa nie może czuć się samotnie w miejscu świętym, a jest ich dużo. Tu zaś wszystko wydaje się takie obce.

— Chyba mam rozwiązanie — dla odmiany tylko jedno, nie pełną garść — odrzekł Rubryk nieoczekiwanie. Karal spojrzał na niego, herold pogłaskał Towarzysza i wysłał go na dwór, a potem odwrócił się z błyskiem w oku. — A gdybym znalazł dla ciebie towarzystwo twych rówieśników? Dwór to nie wszystko, nawet Kolegium Heroldów to nie środek wszechświata, choć chętnie byśmy w to uwierzyli!

Karal nie bardzo wiedział, co powiedzieć, więc słabo się uśmiechnął. Rubryka nie uraził ten brak entuzjazmu.

— Przebywa tu całkiem sporo młodych ludzi w twoim wieku, nie wszyscy zaś to uczniowie-heroldzi czy zarozumiali lordowie — ciągnął. — Chciałbyś poznać kogoś, kogo bardziej interesują twoje zdolności niż pochodzenie?

— Brzmi miło, ale nie wiem, panie — odrzekł ostrożnie Karal. — Jak zauważyłeś, jestem cudzoziemcem, związanym z misją dyplomatyczną. Nie muszą mnie polubić.

Lecz Rubryk nie dał się zbić z tropu i przytoczył mnóstwo argumentów, w większości były zbyt optymistyczne i idealistyczne, ale w końcu Karal dał się namówić, zachowując zastrzeżenia dla siebie.

Rubryk nie skończył jeszcze czyszczenia uprzęży i miał wyraźną ochotę na dalszą pogawędkę, lecz czas uciekał. Kiedy dzwon obwieścił porę obiadową, Karal poszedł sam do pałacu, zastanawiając się, kim są ci tajemniczy ludzie, o któ-

rych mówił Rubryk. Przez cały czas pobytu w Valdemarze nie zauważył ich obecności. Czym różnili się od, na przykład, uczniów-heroldów?

„No, dobrze” — zdecydował wreszcie, wchodząc do pałacu i kiwnięciem głowy pozdrawiając strażnika. — „Warto spróbować. Mam więcej czasu, niż oczekiwałem, i mniej pomysłów na wypełnienie go.” Włączył się w wąski, lecz ciągły strumień dworzaków zmierzających z ogrodu do sali jadalnej.

Obiad przebiegał zwykłą koleją, z szumem rozmów, Karal siedział po prawej stronie Ulricha i jak zwykle rozumiał mniej niż połowę z tego, co mówiono dookoła. Z drugiej strony nie było mu potrzebne rozumienie każdego słowa, czasem więcej mógł odczytać z gestów, mimiki i spojrzeń. Zwrócił szczególną uwagę na siedzącego po drugiej stronie Ulricha lorda patriarchę, obaj pograżyli się w ożywionej dyskusji, może nawet stanowiącej dalszy ciąg wcześniejszych rozmów. Używali jednak samych ogólników i Karal nie mógł się zorientować, o czym właściwie mówili. Czyżby to lord patriarcha był osobą, którą Ulrich zaprosił tego popołudnia na poufne spotkanie?

W Valdemarze istniały grupki wyznawców Vkandisa — odszczepieńców oficjalnej religii z Karsu jeszcze z czasów pierwszych wojen między oboma krajami, ci dochowywali wierności Valdemarowi — czy też staremu *Obrządkowi*, a nie Synowi Słońca. Biorąc pod uwagę to, czego Karal zdołał się dowiedzieć, chyba dobrze wybrali sojusznika. Czyżby jednak Solaris zamierzała włączyć te zbłąkane owieczki z powrotem do stada? Z pewnością spowodowałyby to duże poruszenie i co najmniej kilka dyplomatycznych incydentów.

Karal nie zdziwił się, kiedy po obiedzie znów został wyproszony z komnat z powodu kolejnych poufnych spotkań. Tym razem jednak mógł się schronić w pustej już bibliotece.

Tam znalazł go Rubryk.

Nie przyszedł sam, przyprowadził z sobą szczupłą młodą kobietę ubraną w uniform podobny do stroju heroldów, lecz w odcieniu jasnego błękitu, nie szarości. Miała nos niemal tak duży, jak Karal, głęboko osadzone brązowe oczy i brązowe włosy, według norm karsyckich skandalicznie krótkie. Nie była ładna, ale jej twarz świadczyła o silnym charakterze i poczuciu humoru.

— Przypuszczałem, że cię tu znajdę — powitał go radośnie Rubryk, podchodząc do biurka, przy którym Karal przeglądał album o ptakach Valdemaru. — Oto ktoś, z kim chciałem cię zapoznać. Natoli, to Karal, Karal, moja córka, Natoli.

„Córka? O nie, czy to jakieś próby swatania?”

Karal szeroko otworzył oczy, jednocześnie w popłochu usiłował znaleźć jakąś wymówkę, by uciec. Jednakże dalsze słowa herolda rozwiały jego obawy.

— Należy do uczniów zwanych przez heroldów błękitnymi — ciągnął Rubryk. — Znaczy to, iż uczy się z nimi, lecz nie należy do heroldów, bardów ani uzdrowicieli. Niektórzy błękitni to dzieci szlachty, lecz wielu z nich pochodzi z rodzin kupieckich i innych, to młodzi ludzie na tyle inteligentni, iż uzyskali prawo

studiowania w kolegium. Większość przyjaciół Natoli to matematycy i rzemieślnicy, jak i ona sama.

Dziewczyna skinęła szybko głową, nie okazywała najmniejszej chęci do flirtu. Karal odetchnął z ulgą.

— Poprosiłem ją, by oprowadziła cię po pałacu i kolegiach i przedstawiła ci je z punktu widzenia błękitnych, a także zapoznała cię ze swymi przyjaciółmi. — Rubryk skrzywił twarz. — Będziesz zaskoczony, niektórzy znają podstawy karsyckiego.

Zanim Karal zdołał wyjąkać podziękowanie, herold odszedł, śmiejąc się do siebie. Jego córka z założonymi na piersi rękami zmierzyła wzrokiem Karala, widać rezultat wypadł po jej myśli, gdyż przemówiła:

— Właściwie ojciec nie do końca rozumie, co chcę robić. Mam zamiar konstruować przyrządy, maszyny, jak je nazywamy, które wykonają pracę kilku ludzi i koni.

— Jak młyny wodne i wiatraki? — zaryzykował Karal.

Natoli skinęła głową.

— Właśnie! Chciałabym także budować mosty, pod którymi zmieściłby się statek z masztami i... ale to teraz nieważne. Słońce jeszcze świeci, chciałbyś się teraz przejść?

Wydawała się przyjazna, chociaż nie przypominała żadnej znanej Karalowi kobiety z Karsu. Nagle zdał sobie sprawę, że w Valdemarze spotkał wiele nietypowych kobiet. Skinął głową i wstał.

— Jesteś w bibliotece pałacowej, pokażę ci najpierw sale kolegów.

Poprowadziła go korytarzami, zwracając jego uwagę na szczegóły, którymi sam by się nie zainteresował: detale architektoniczne i urządzenia zapewniające komfort mieszkańcom pałacu. Tłumaczyła mu konstrukcję kominów, dzięki której ogień w kominkach płonął równo, oraz system rur i zbiorników na wodę w łaźniach. Widać było, że kocha to, co robi, a próby uwodzenia nawet nie przechodzą jej przez myśl.

Słońce zaszło w chwili, kiedy skończyli wycieczkę. Natoli kiwnęła z zadowoleniem głową.

— „Róża Wiatrów” powinna się już zapełniać — powiedziała nagle.

Karal zmarszczył czoło.

— Róża wiatrów? — powtórzył.

— To miejsce, w którym prawie co wieczór spotykają się moi przyjaciele i nauczyciele — wyjaśniła. — Ojciec prosił, żebym cię przedstawiła, a to najlepszy sposób spotkania ich wszystkich od razu.

— Gospoda? — zająknął się. — Eee... dzisiaj wieczorem? Masz na myśli — teraz? — „Nie jestem pewny, czy mam ochotę na wizytę w obcej gospodzie pełnej obcych ludzi...”

— Oczywiście — odparła i skierowała się do małej bramy w murach, tej samej, przez którą Ulrich i Karal dotarli do pałacu. Natoli nawet się nie obejrzała, by sprawdzić, czy Karal idzie za nią. — To bardziej logiczne niż próby odszukania ich po kolei jutro — i o wiele bardziej skuteczne.

Miał wrażenie, że logika i skuteczność odgrywały wielką rolę w jej sposobie widzenia świata. Zastanawiał się, co by o tym powiedzieli niektórzy nauczyciele ze Świątyni.

Strażnik wypuścił ich bez słowa, wyszli na oświetlone ulice. Natoli przemierzała je z pewnością siebie stałego bywalca, zapewne odnalazłaby drogę nawet po omacku. Gospoda leżała zaraz za pierścieniem rezydencji szlacheckich otaczających pałac, lecz Natoli znała skróty, o których Rubryk chyba nie miał pojęcia: ścieżki między ogrodzeniami i w poprzek alejek, ukryte tak dobrze, że łatwo je było minąć. Zanim ostatnie promienie słońca zgasły na zachodzie, stanęli przed drzwiami „Róża Wiatrów”.

Karal wiedział, czego należy przede wszystkim szukać w dobrej gospodzie i z zadowoleniem znalazł to i tutaj: czyste stoły i podłoga, wystarczająca ilość obsługi, by zająć się klientami bez zbytniego zamieszania, przyzwoite oświetlenie, brak zapachów zepsutego jedzenia i rozlanych napitków. Co do oświetlenia, „Róża Wiatrów” mogła konkurować ze skryptorium świątyni.

Stoły były w większości zajęte, ale Natoli wiedziała, dokąd iść.

— Chodź — powiedziała i poprowadziła go przez izbę, ocieniając dłonią oczy. — Chyba wszyscy już są.

Zręcznie lawirowała między krzesłami i kręcącą się służbą.

— Zbieramy się w grupy zależnie od zainteresowań, każda grupa ma własny stół — wyjaśniała mu przez ramię, Karal przeciskał się za nią. — Nauczyciele zbierają się w tylnej sali, wiesz, że skończyłeś naukę, kiedy przysyłają ci zaproszenie, byś się do nich przyłączył. Wtedy nadchodzi czas znalezienia pracy lub nauczania innych.

— Aha — odparł tylko, w tej chwili dotarli na miejsce: do długiego stołu otoczonego przez przynajmniej dwa tuziny krzesel, siedzieli na nich młodzi ludzie — wśród nich zaledwie kilka dziewcząt — ubrani w błękitne stroje, na stole stały dzbanki, talerze i kubki, ale też leżały książki i papiery. Teraz wyjaśniło się, dlaczego sala była tak jasno oświetlona. Ci ludzie wydawali się przyzwyczajeni do czytania i nauki zarówno w bibliotece, jak i w zatłoczonej gospodzie. Niektórzy z nich wyglądali tak egzotycznie, jak sam Karal, choć wszyscy nosili jednakowe stroje. Goście zostali powitani z entuzjazmem.

— To Karal — powiedziała Natoli, kiedy ucichł gwar pozdrowień. — Sekretarz karsyckiego ambasadora.

— Naprawdę? — Najbliżej siedzący chłopak, ze strzechą czerwonych jak marchewka włosów i o ostrych, lisich rysach, podniósł zdziwiony brwi, po czym wyrecytował po karsycku: — Byłbym wdzięczny, panie, gdybyście pokazali mi dro-

gę do świątyni.

— Na południe, panie, około czterystu *meiline* stąd — odrzekł Karal krótko we własnym języku, po czym dodał po valdemarsku: — Masz bardzo dobry akcent, lecz powinieneś popracować nad głoskami gardłowymi, przypominają one koński oddech, a nie płukanie gardła.

— Ach! Alberich nigdy nie potrafił tego wyjaśnić, dzięki! — odparł chłopak i sięgnął po najbliższe wolne krzesło, by je podsunąć gościowi. — Siadaj. Natoli, pomóż nam przy projekcie zwodzonego mostu.

Karal zajął ofiarowane krzesło, Natoli znalazła sobie miejsce obok i pogрузzyła się natychmiast w technicznej dyskusji, z której Karal rozumiał zaledwie połowę. Uwaga zebranych skupiła się na ogromnym arkuszu papieru pokrytym zapiskami, z rysunkiem mostu w środku, projekt zajmował centralne miejsce na stole. Ktoś podał Karalowi kubek lekkiego piwa, ktoś inny — talerz kanapek z serem, zachowywali się tak, jak gdyby Karal należał do grupy. Karal przysłuchiwał się dyskusji, wtrącając czasem słowo lub dwa. Z zadowoleniem zauważył, iż nowi znajomi nie interesowali się jego wyglądem ani pochodzeniem, ale tym, co mówił i myślał, traktując jego słowa z nie większym i nie mniejszym szacunkiem, niż wypowiedzi innych.

Karal popijał piwo, ukrywając swe zaskoczenie. Nigdy dotąd nie widział ludzi ogarniętych tak nieposkromioną ciekawością. Zachowywali się, jakby wszystko było możliwe, od latania w powietrzu jak ptaki do pływania pod wodą jak ryby, jakby nie istniały obszary zakazane dla ludzi. Wiedział, jak przyjęłaby taką postawę większość nauczycieli ze Świątyni. W Karsie każdy z tych młodych ludzi mógłby zostać uznany za bluźniercę, a bluźnierstwo przed objęciem rządów przez Solaris oznaczało tylko jedno: stos.

Kiedy wreszcie Natoli zakończyła dyskusję i wyszli w ciemność, Karalowi huczało w głowie od natłoku myśli i emocji. Cieszył się z mroku, który krył jego twarz przed Natoli. Dziewczyna z ożywieniem opowiadała o jakimś matematycznym problemie, więc Karal mógł tylko wtrącać pomruki, świadczące o jego uwadze — i ukryć fakt, iż nie zdołałby jej sensownie odpowiedzieć, nawet gdyby wiedział, o czym ona mówi.

Strażnik przy bramie znał chyba dobrze Natoli, potrząsnął głową, widząc ich oboje.

— Co powiem twemu ojcu, młoda damo? — odezwał się. — Włóczysz się do północy, i to z mężczyzną!

— Sam ojciec prosił mnie, bym przedstawiła go moim przyjaciółom — odparła Natoli bystrze. — A co do późnych powrotów... jeżeli o nic nie spyta, nie musisz mu mówić, prawda?

Strażnik dalej potrząsał głową, lecz otworzył im bramę i zamknął ją za nimi bez słowa.

Natoli zostawiła Karala na ścieżce do pałacu, pomachała mu ręką i obiecała

spotkać się z nim nazajutrz.

— Mieszkam w dormitorium z uczniami Kolegium Bardicum — powiedziała.
— Większość z tych, których dziś poznałeś, mieszka w mieście, lecz ponieważ mój ojciec jest heroldem, pozwolili mi zostać w pałacu. Będziesz wolny po obiedzie?

— Yy... chyba tak — odparł Karal, zanim zdołał pomyśleć.

— Świetnie, zatem spotkajmy się w pałacowej bibliotece — i nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i znikła w ciemności.

Karal wracał do pałacu nieco oszołomiony. Straże widocznie go rozpoznawały, gdyż tylko dwa razy musiał się tłumaczyć, kim jest i dokąd idzie. Zdołał jakoś odnaleźć drogę do komnaty, nie błędząc zbyt długo w półmroku korytarzy.

Strażnik przed drzwiami zrobił porozumiewawczą minę, jakby miał własne poglądy na temat spędzania wolnego czasu przez sekretarza karsyckiego posła. Drzwi komnaty nie zamknięto na zamek, Karal powoli otworzył je, modląc się, by nie zaskrzypiały. W saloniku paliła się jednak świeca, Karal najciszej jak mógł poszedł do swej sypialni, starając się nie obudzić mistrza. Czuł się nieco winny, że nie zostawił mu wiadomości, dokąd idzie. „Może Rubryk powiedział Ulrichowi, że poszedłem z Natoli. . .”

Przynajmniej nie przeszkadzała mu późna pora, nieraz siedział do północy, czytając albo pracując, nie potrzebował zbyt wiele snu.

Otworzył drzwi do sypialni i zamknął je delikatnie. Odetchnął z ulgą — nie obudził mistrza. Odwrócił się. . .

I zastygł w miejscu.

Ktoś czekał na niego. Siedział na łóżku, długi, blady kształt skulony na poduszce. To nie był Ulrich, w ciemności jarzyła się para zielonozłotych oczu.

Karal zachłysnął się, w tej chwili lampa przy drzwiach rozbłysła światłem.

Giętkie, jasnobrazowe stworzenie rozprostowało się na całą długość, złotawe punkciki okazały się źrenicami błękitnych oczu osadzonych w rudo-kremowym pyszczku, zwieńczonym parą rudych, spiczastych uszu, ogon powiewał bez wytchnienia, zwijając się i rozwijając.

Chyba miło spędziłeś wieczór — przemówił ognisty kot prosto do umysłu Karala lekko rozbawionym, lecz bez wątpienia życzliwym tonem.

„To ognisty kot. W moim pokoju, na moim łóżku.”

— Ja... hm... — Wpatrywał się w stworzenie z otwartymi ustami, niezdolny do logicznego myślenia. Co robił tutaj ognisty kot? Dlaczego w jego sypialni?

Zamknij buzię, dziecko, wyglądasz jak ryba wyjęta z wody — zaśmiał się kot, najwyraźniej w doskonałym humorze. — *Nie przybyłem tu, by cię ukarać. Po prostu od czasu do czasu mam ci służyć radą, wtedy, gdy twój mistrz nie zdoła ci pomóc. Tego przecież pragnęłaś, prawda? Kogoś, komu mógłbyś zaufać.*

Karalowi nasunęło się stare powiedzenie: uważaj na to, czego sobie życzysz...

... *Ponieważ to otrzymasz. Rzeczywiście. To przystawie, jak większość powie-
dzeń, oddaje prawdę, jednak chyba nie za bardzo pasuje do twego położenia. Przy-
byłbym tutaj, nawet gdybyś sobie tego nie życzył. Znalazłeś się w środku zamie-
szania, sytuacja jest niepewna, ty zaś zostałeś powiernikiem kilku ważnych osób,
nie mogliśmy pozwolić ci na samotne borykanie się z trudnościami i ryzykować,
że popełnisz błędy.*

— Aha — odparł niewyraźnie Karal i zaczął się zastanawiać, gdzie popełnił błąd.

*Na Jasne Płomienie, nigdzie! Świetnie sobie radzisz. Nie chodzi o to, bym cię
pchał w kierunku wyznaczonym przez los, gdyż nikt, nawet Pan Słońca, nie wie,
jak się to wszystko skończy. Mam po prostu służyć ci informacjami, których w inny
sposób byś nie uzyskał. Przy dużej dozie szczęścia wyjdziemy z tego cało.*

Kot przekrzywił głowę w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Jeżeli to mnie miało pocieszyć — odrzekł Karal bardziej odważnie, niż się
czuł — to się nie udało.

*Dobrze. Nie przybyłem po to, by cię pocieszać. Mam nadzieję, że się denerwu-
jesz, powinieś. Teraz jednak zrzucaj ubranie i wskakuj do łóżka, przyda ci się
odpoczynek.* — Kot przesunął się w nogi pościelenia i siedział tam, świdrując Karala
spojrzeniem jasno nakazującym natychmiastowe posłuszeństwo, gdyż w przeciw-
nym razie sam mu... pomoże.

„Pewnie zdzierając ze mnie ubranie pazurami.”

Karal rozebrał się szybko i wślizgnął pod kołdrę. Kot ułożył się wygodnie przy
stopach, nie przygniatając ich jednak, i szybko wylizał łapy.

*Przy okazji — odezwał się, kładąc łeb na poduszce. — Kulejący herold zawi-
domił Ulricha, że porwała cię jego córka i nie ma co na ciebie czekać. Mam na
imię Altra.*

„Altra? Czy to nie tak nazywał się Syn Słońca, który...”

Karal nie zdołał już dokończyć tej myśli, gdyż zapadł w głęboki sen.

Obudziło go ćwierkanie ptaków, zapowiadał się ładny dzień. Może heroldowie
wreszcie nauczyli się kierować pogodą.

Karal przeciągnął się i ziewnął, nie otwierając oczu. „Śniło mi się, że odwie-
dził mnie ognisty kot. Co za dziwny...” Otworzył oczy, czując ciężar w nogach
łóżka. Kot podniósł głowę i mrugnął.

Dzień dobry. Jak widzisz, nie jestem snem. — Altra ziewnął, pokazując wspa-
niałe uzębienie. — *Masz bardzo wygodne łóżko i miło mi zawiadomić, iż nie chra-
piesz ani się nie rzucasz we śnie.*

— Hm, dzięki. — Karal zastanawiał się, co powiedzieć. „Jak się rozmawia

z awatarem boga? Cześć, słyszałeś ostatnio jakieś dowcipy od Pana Słońca? Dzień dobry, jak mogę cię uwielbić?” — Czy mam znaleźć ci coś do jedzenia? Eee... rybę, mleko?

Dzięki, nie trzeba. Ogniste koty są ponad takimi prozaicznymi sprawami jak pożywienie.

Cóż, właściwie to dobrze. Skoro nie jadł, to i nie trawił, czyli Karal nie będzie musiał szukać skrzynki z piaskiem. A może ogniste koty używałyby wtedy toalet przeznaczonych dla ludzi?

Och, miał zbyt wiele do przemyślenia, przede wszystkim, jak wytłumaczy obecność w sypialni dużego kota, który znalazł się tu nie wiadomo skąd? Przyszedł z gospody? Co powie Ulrichowi, wiedzącemu doskonale, kim są ogniste koty?

Nie przejmuj się, jeśli nie będziesz mnie widział zbyt często — dodał Altra, przeciągając się na całą długość. — Mam swoje sprawy. Twojemu mistrzowi tak samo potrzeba rad, jak i tobie. Wpadnę dyskretnie od czasu do czasu, gdy będziesz potrzebował dodatkowych wiadomości, jeżeli bardzo będziesz chciał, mogę także służyć ci... ehm... ojcowską radą, pod nieobecność twego ojca, gdybyś krępował się poprosić o nią Ulricha. — Altra zachichotał. — Poza tym na ogół będę niewidzialny.

Drzwi sypialni otworzyły się same, ognisty kot przeciągnął się i skoczył z łóżka w stronę smugi światła słonecznego w sąsiedniej komnacie, wszedł w nią — i zniknął.

Karal opadł na poduszki, niepewny, czy ma być zachwycony czy śmiertelnie wystraszony. Zdecydował się na jedno i drugie, z niemałą dawką paniki.

„O, na Jasne Płomienie, ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to zwrócenie na siebie uwagi Pana Słońca! I ognisty kot! Koty wszędzie wściubiają nos — a jeśli Vkandis dowie się o tym, czego ja tutaj wysłuchuję? A jeśli dowie się o „Róży Wiatrów”? Chwileczkę. Vkandis był bogiem, wszechmocnym i wszechwiedzącym. Jak mógłby n i e wiedzieć, co Karal tutaj robi i czego słucha?

„Altra mówi, że dobrze sobie radzę, więc...”

Wizyta awatara, ostrzegającego, że sytuacja jest niepewna i w każdej chwili może się stać niebezpieczna, setka świętokradczych pomysłów, z którymi zetknął się wczorajszej nocy...

... potężny mag, bojący się samego siebie i zwący go przyjacielem...

... młoda kobieta, błyskotliwa, inteligentna, kompetentna i niepokojąco atrakcyjna...

„Głowa mnie boli.”

I to jeszcze przed śniadaniem.

„Czy jeśli z powrotem zasnę, wszystko to zniknie? Nie, chyba nie.”

W takim razie trzeba będzie wstać i zmierzyć się z tym. Sytuacja i tak się nie poprawi.

„Mam tylko nadzieję — pomyślał ponuro Karal, wstając i rozglądając się za ubraniami — że się także nie pogorszy.”

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nadzieja jednak okazuje się słabym uczuciem w porównaniu z szokiem. Do obiadu Karal niemal przestał wierzyć w prawdziwość ognistego kota, całe wydarzenie zdawało się igraszką przemęczonej wyobraźni i skutkiem wypitego w gospodzie piwa. Poza tym to nie miało sensu! Dlaczegoż by Altra miał przyjść akurat do niego? Jak zwykły, choćby najlepszy, sekretarz miałby być centrum czegokolwiek? Ulrich, nawet herold Talia, owszem, ale on? Ulrich wspominał czasami, iż Karal jest „kanałem”, co podobno rzadko się zdarza, ale nigdy nic z tego nie wynikło i prawdopodobnie nic nie wyniknie.

Po dobrym, całkowicie zwyczajnym obiedzie, nie zauważywszy żadnych innych oznak zainteresowania ze strony Pana Słońca, Karal był już skłonny uznać wspomnienia poprzedniego wieczoru i ranka za sen. Wracając do komnaty, by zmienić ubranie po jeździe z Alberichem, przemyślał wszystko jeszcze raz, na łóżku nie znalazł kocich włosów ani na podłodze jaśniejących śladów łap, nie było żadnego ognistego kota, za dużo się naczytał starych ksiąg.

Pocieszony w ten sposób, Karal wyszedł i skierował się w stronę domu Sokolich Braci — ekele, poprawił się natychmiast, An'desha uczył go tyledraskiego. Bez żadnych przeczuczeń szedł ścieżką ku Łące Towarzyszy, ciesząc się piękną pogodą. Ostatnio zbyt często musiał tędy biec w deszczu czy nawet ulewie. Dziś może uda się nawet wyciągnąć An'deshę z Doliny na dwór, stanowczo za dużo przesiadywał w zamknięciu.

Karal właśnie planował trasę spaceru, kiedy zauważył, że Towarzysze już nie ignorują jego obecności, jak to miały w zwyczaju. Przeciwnie, zbliżały do niego ze wszystkich stron, niektóre stanęły tak, by zagrodzić mu drogę, choć nie przejawiały złych zamiarów. Karal stanął jak wryty, Towarzysze nadal go okrążyły, nadal bez oznak gniewu, wyglądało to raczej jak powitanie.

Nawet jak na Towarzyszy było to nietypowe zachowanie!

Zanim Karal zdołał się odezwać — chociaż i tak nie wiedział, co miałby powiedzieć — albo ruszyć do ucieczki, Towarzysze przejęły inicjatywę. Okrążyły go ciasnym kręgiem, żeby uciec, musiałby je odepchnąć, a wiedział dobrze, iż nie zdoła tego uczynić.

Najbliższy, młody ogier, podniósł głowę i wydał z siebie dźwięk przypomina-

jący chrząknięcie. Karal spojrział na niego, ogier zamrugał błękitnymi oczami.

Ach, ty jesteś Karal, jak rozumiem — odezwał się w jego umyśle głos, podobnie „rozmawiał” Altra. — *Mam nadzieję, że wybaczysz bezpośredniość: jestem Florian.*

Ton jego „głosu” różnił się od tonu Altry jak niepewny, wysoki tenor młodego chłopaka od dojrzałego, rozbawionego basu mężczyzny. Jednak, ponieważ w pobliżu nie było nikogo innego, ów głos musiał należeć do najbliższego Towarzysza, o oczach koloru nieba, w które tak łatwo było wpaść...

„Drugi raz i to tego samego dnia ktoś się do mnie w ten sposób odzywa. Dlaczego ja? Dlaczego teraz?”

Karal potrząsnął głową i zastanowił się, czy nie powinien usiąść. Zakaszłał, spróbował wymyślić coś mądrego do powiedzenia i zdecydował się na pierwszą głupią rzecz, jaka mu przyszła na myśl.

— E... Florian? Czy jesteś Towarzyszem?

Ostatnio, kiedy się sobie przyglądałem, byłem nim. — Towarzysz, który musiał być Florianem, poruszył ogonem i przekrzywił głowę. Inne zaczęły się powoli rozchodzić, jakby wystarczyło, iż Karal nie uciekł z krzykiem, ale zaczął rozmowę.

Nie uciekł zaś pewnie tylko z powodu trzęsących się kolan, które nie pozwoliłyby mu nawet chodzić, nie wspominając o biegu, z krzykiem czy bez.

— Dlaczego... dlaczego do mnie mówisz? — zapytał Karal.

Częściowo z powodu Altry — powiedział Florian, niszcząc nadzieję Karala, iż ognisty kot był tylko snem. — *Jest tu obcy, jak i ty, nie wie wszystkiego. My znamy całą historię Valdemaru, łącznie z tym, czego nie zapisano w księgach. Nadszedł czas, byś miał przy sobie kogoś będącego w stanie odpowiedzieć na twoje pytania dotyczące heroldów i Valdemaru. Zwykle nie zadajesz pytań, usiłujesz odnaleźć odpowiedzi w księgach.* — Florian parsknął. — *To nie zawsze jest możliwe, ludzie często nie zapisują najważniejszego.*

Rzeczywiście, Karal nie śpieszył się z pytaniami. Nie chciał wyjść na głupiego...

Chyba nie musisz się tym przejmować w towarzystwie konia, co? — Florian machał bez troski ogonem i Karal miał wrażenie, że się skrzywił.

— Ale czy An'desha nie mógłby mi powiedzieć? Albo Natoli, ona pochodzi z Valdemaru i ma ojca herolda!

Florian przestąpił z nogi na nogę.

Twój przyjaciel, An'desha, jest cudzoziemcem, młoda Natoli zaś, choć to bardzo miła panienska, nie wie absolutnie nic o polityce.

— A ty wiesz? — odparł z powątpiewaniem Karal.

Florian parsknął.

Ja sam może nie, ale my, Towarzysze, owszem. Pamiętaj, nasi heroldzi nurzają się w tym po uszy, a przecież dzielimy się nawzajem myślami. W ksiągkach nie

znajdziesz wiele o nas ani o heroldach, łączące nas więzi nie należą do rzeczy, które się utrwała na piśmie. Ja zaś mogę ci o tym opowiedzieć.

— Na pewno? — Karal wciąż nie był przekonany.

Cóż, jeżeli coś będę musiał przemilczeć, przynajmniej nie skłamię. — Żywy i bystry Florian teraz zdawał się niemal błagać. Opuścił głowę. — Po prostu chcieliśmy być pewni, że znajdziesz pomoc. Altra jest twym przewodnikiem, ale znasz koty. Pokazują się, kiedy uznają to za stosowne, a nie wtedy, kiedy ich potrzebujesz. Poza tym kochają tajemnice. Altra mógłby nawet nie przekazać ci czegoś ważnego tylko po to, by wydać się bardziej tajemniczym. To się często zdarza.

Zabrzmiało to prawie jak słowa kota i Karal zaśmiał się słabo.

— A jednak... nie pochodzę z Valdemaru, ale z Karsu. Co więcej, przysięgłem Vkandisowi. Czy na pewno nie powinniście zostawić tego Altrze?

Altra nie wie prawie nic o Towarzyszach i heroldach — parsknął Florian. — Tobie będzie potrzebna ta wiedza, a kot, jak to kot, będzie udawał, że wie wszystko i w ostateczności wymyśli coś na poczekaniu. Naprawdę, Karalu, chcę ci pomóc... o ile mi pozwolisz.

Karal nie wiedział, co zrobić, pamiętał jedynie słowa Ulricha, że Towarzysze są prawie jak ogniste koty. W takim razie one także mogły przemawiać w imieniu Pana Słońca...

„Albo czyimkolwiek” — przypomniał sobie.

Pamiętaj, co mówił Ulrich — odezwał się Florian. — Czy to ważne, w którym imieniu mówię? Jesteśmy po tej samej stronie. Musisz mnie przyjąć. Proszę, zaufaj mi.

Cudownie, znów ktoś chce, by mu zaufać. Z drugiej strony...

Potrzebujesz mnie — powtórzył z uporem Florian.

Karal westchnął.

— Zgoda — rzekł zrezygnowany. — Zaufam ci. Ale przede wszystkim dlatego, iż łatwiej jest przychodzić po odpowiedzi do ciebie, niż szukać ich gdzie indziej.

Wspaniale! — Florian podrzucił głowę i zatańczył w miejscu. — Świetnie! Mówiłem im, że się zgodzisz! A teraz — akurat wiem, że twój przyjaciel, An'desha, ćwiczy jeszcze ze Śpiewem Ognia, a ty masz pewnie głowę pełną pytań — mówiąc to, Towarzysz popchnął go lekko nosem w stronę stajni. — Czy mógłbyś mnie wyczyścić, kiedy będziesz je zadawał? Nie mam herolda, a nikt nie czyści zbyt porządnie towarzysza bez herolda. Skóra mnie swędzi.

— Na pewno — odparł z westchnieniem Karal i posłusznie skierował się do stajni. W końcu mógłby odplacić Towarzyszowi małą przysługą za uzyskanie odpowiedzi na szereg pytań, z których pierwsze brzmiało: co właściwie robi Osobi-sta Królowej?

Jednak pomiędzy Altrą, Natoli i Florianem zaczynał się czuć nieco osaczony!

„Niektórzy rodzą się do wielkości — rozmyślał posepnie książę Tremane. — Inni powolutku i w pocie czoła wspinają się na szczyt, jeszcze innym dostają się same obowiązki bez uznania zasług.”

Od chwili, kiedy przekroczył Bramę wiodącą do Hardornu, musiał improwizować. Sytuacja okazała się koszmarna, kampania — najgorsza, o jakiej słyszał. Jediną zaletą była kwatera: obronny pałacyk wysoko urodzonego Hardorneńczyka, zagarnięty przez wojsko Imperium bez żadnych szkód. Ocalały nawet obrazy na ścianach i bibeloty w komnatach. Jeżeli musi stawić czoło niebezpieczeństwu, przynajmniej ma do tego odpowiednie warunki. To był przywilej dowódcy.

Zwykle wynik ataku Imperium na sąsiednie państwo był z góry przesądzony od momentu przekroczenia granicy przez wojska cesarza. Dzięki machinacjom agentów Imperium kraj znajdował się w stanie bezładny, rząd się rozpadał, a lud zrywał się do buntu przeciwko samowoli możnych, korzystających z okazji, by złupić, ile się da. Wtedy opór kończył się na kilku potyczkach.

Pierwsze oddziały armii zajmowały zawsze ściśle określony obszar — nie mniej i nie więcej, po czym stawały i ustanawiały linię frontu, za nimi posuwały się następne oddziały pomocnicze, miażdżąc resztki — zwykle już słabego — oporu. Kiedy dowódca uznał, że teren został podbity i nie sprawi już kłopotu, wkraczały oddziały, których zadaniem było umocnić twierdze, zbudować drogi, młyny i ożywić przemysł. Za nimi napływali urzędnicy, mający utrzymać ład i wprowadzić prawo Imperium. Do tego czasu mieszkańcy podbitego kraju byli tak oszołomieni poziomem i organizacją Imperium, iż wprowadzanie nowych rządów witali z zapałem. W końcu przybywali kapłani, ustanawiali kult cesarza i wszelkich jego przodków, nie niszcząc jednakże poprzednich kultów.

Kiedy zakończono wcielanie podbitego terytorium do Imperium, oddziały frontowe mogły ruszać dalej.

Ta strategia nigdy dotąd nie zawiodła.

Magowie uczestniczyli oczywiście we wszystkich etapach inwazji, bez nich nic by się nie udało. Można było bardziej polegać na nich niż na szpiegach, umożliwiali komunikację między dowódcami oddziałów i swoją magią porażali wroga. Bez ich Bram nie dałoby się utrzymać wojsk, Bramami napływały posiłki, ekwipunek i żywność, generał zaś w każdej chwili mógł wrócić do stolicy. Magowie stanowili najważniejszy element kampanii, dlatego każdy kandydat do Żelaznego Tronu musiał osiągnąć przynajmniej drugi stopień, a najlepiej pierwszy, wtedy magowie nie mogli go oszukać swymi sztuczkami.

Sam Tremane zdobył pierwszy stopień — i w dodatku czerwień, wyżej od niego stali magowie błękitni i fioletowi, a nad nimi już tylko adepci. Dzięki temu uważał się za najlepszego kandydata do tronu, dlatego też sądził, iż poprzedni

generał nie mógł sobie poradzić z kampanią, gdyż nie umiał w pełni wykorzystać umiejętności swych magów.

Gdy tylko postawił stopę na ziemi Hardornu, zrozumiał swą pomyłkę.

Początkowo kampania przebiegała pomyślnie — i tak powinno być nadal. Nie było wytłumaczenia, dlaczego wszystko nie idzie zgodnie z planem.

Tremane oparł podbródek na ręce i wpatrzył się w mapę rozpostartą na stole. Nie patrzył jednak na Hardorn, ale na kraj leżący za nim, na zachodzie.

Valdemar.

To Valdemar był odpowiedzialny za jego problemy, Tremane nie potrafiłby tego udowodnić, ale czuł to w kościach. Imperium miało tam tylko jednego agenta mogącego obserwować dwór, zresztą niezbyt zdolnego. Nie zdołał dotrzeć do nikogo z królewskiej Rady, a jako pochodzący z niskiej warstwy nie miał dostępu do żadnych źródeł informacji prócz plotek. Nie donosił o pomocy Valdemaru dla Hardornu, ale Tremane wiedział swoje.

Valdemarczycy musieli zaofiarować Hardornowi ciche poparcie i pomagać w organizacji oporu, choćby się do tego nie przyznawali. Było to jedyne logiczne wytłumaczenie tego, co się działo. Do śmierci Ancara Valdemar walczył z tym krajem, wojna powinna trwać nawet po zabicu króla. Valdemar powinien się cieszyć, że ktoś jeszcze zaatakował jego wroga. Powinien cieszyć się z wkroczenia wojsk Imperium, tak samo zresztą, jak i mieszkańcy Hardornu.

„A jednak się nie cieszyli — ku naszemu zdziwieniu. Nie mogę nawet udowodnić, że to rzeczywiście Valdemar po cichu miesza nam szyki!”

Tempo zdobywania Hardornu można było porównać do żółwiego, a cała kampania stawała się coraz droższa i mniej opłacalna. Sytuacja okazała się nawet gorsza, niż przewidywał Tremane. Imperium prowadziło ścisłe rachunki, czasami miało się wrażenie, że właściwe rządy sprawowali rachmistrze. Każda nieoczekiwana strata oznaczała konieczność uzupełnienia zapasów z innego źródła.

Tremane schował twarz w dłoniach. Czuł się zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Od chwili przybycia każdą chwilę poświęcił próbom opanowania sytuacji, brakowało mu czasu na sen. Teraz przynajmniej nie tracili już ludzi w takim tempie, jak przedtem, ale i nie posuwali się naprzód. Nie mogli także zawrócić ani też wpuścić oddziałów pomocniczych, gdyż kraj nie został do końca opanowany.

„Muszę podjąć decyzję” — pomyślał niechętnie. „Mógłbym iść dalej, jak to robił generał Sheda, albo przemienić ten chwilowy postój w stały, umocnić się i dopiero wtedy spróbować znaleźć jakieś wyjście.”

Podjął już zbyt wiele decyzji, z których będzie się musiał później tłumaczyć — wiedział o tym. W jego szeregach roiło się od szpiegów, nie wiedział, kto dla kogo pracuje. Przybył zbyt późno, by umieścić między podwładnymi odpowiednią liczbę własnych agentów i zorientować się w stosunkach panujących w armii. Część agentów pracowała dla jego rywali, część dla cesarza, część zaś sprzedawała informacje temu, kto więcej zapłaci. Na tym polegała trudność życia w Impe-

rium: każdy stojący odpowiednio wysoko w hierarchii musiał strzec się zarówno wrogów zewnętrznych, jak i wewnętrznych.

„Nie spodziewałem się, że będę zmuszony podejmować tak ryzykowne decyzje”. — Żołądek go palił, a w gardle czuł kwaśny posmak, którego nie mogła zmyć żadna ilość wina. „Jak będę wyglądał przed cesarzem, kiedy pierwszy wydany przeze mnie rozkaz brzmi: okopać się i zostać w miejscu? Kazał mi podbić Hardorn, a nie siedzieć na piętach i obserwować! Wydam mu się słabym, niezdecydowanym dowódcą, niegodnym tronu.”

„Niewygodne” było absolutnie nieadekwatnym określeniem położenia, w jakim się znalazł, lecz tak właśnie je nazwał w pierwszej wiadomości przesłanej cesarzowi. Oderwał dłonie od piekących oczu i ponownie przyjrzał się mapie, tym razem nie zwracając uwagi na irytujący zarys Valdemaru.

„Ignoruj ich. Udawaj, że ich nie ma. Skup się na taktyce.”

Poza linią wojsk pozostawało zbyt wiele czerwonych plam — obszarów, w których armię Imperium szarpała hardorneńska partyzantka. Napastnicy znikali jak śnieg w słońcu zaraz po walce, nie dało się ich wytropić. Z pewnością nie przypominało to terytorium zdobytego, nie można było wpuszczać oddziałów pomocniczych — nie byłoby to narażenie ich na niebezpieczeństwo, lecz po prostu marnowanie ich.

„Będę musiał się umocnić” — zdecydował, wziął pióro i narysował na mapie linię, za którą miały się wycofać wojska Imperium. Oznaczało to oddanie terytorium, na którym ludność stawiała najsilniejszy opór. Z tym, co się dzieje wewnątrz zakreślonego obszaru, jakoś sobie poradzi.

„Mam nadzieję” — pomyślał książę ponuro, pisząc rozkazy i dzwoniąc na ordynansa, by zaniósł je magowi. Gdy chłopiec zabrał papiery, Tremane poczuł, jak wielki ciężar spada mu z ramion, choć zaczęły się nowe kłopoty.

Stało się, nie było odwrotu. Za kilka chwil mag powieli rozkaz i prześle go magom przydzielonym poszczególnym dowódcom. Zacznie się odwrót.

Zadzwoił po kolejnego służącego.

— Przyniesź jeszcze raz raporty z bitwy — polecił. — Tym razem sektor czwarty. I przygotuj stół, zostaw na nim raporty.

Chłopak skłonił się i wyszedł. Kiedy Tremane zebrał wreszcie siły, by wstać i przejść do gabinetu, papiery czekały, a na małym stoliku rozłożono mapę sektora czwartego razem z pionkami oznaczającymi siły komandora Jamana.

Przynajmniej mieszkał w porządnym budynku, a nie w namiocie. Pogoda zrobiła się okropna, nawet gorzej. Przez trzy dni na pięć szalały burze, tak jak w tej chwili, o szyby uderzały strugi deszczu, wyglądało to tak, jakby pałac stał w środku wodospadu. W namiocie nie dałoby się nic zrobić — tylko mieć nadzieję, że za chwilę nie poleci z wiatrem.

Hardorneńcy wiedzieli, jak zbudować porządny kominek i przewód kominowy, co w oczach Tremane’a podniosło ich pozycję nieco wyżej. Książę wybrał

sobie kilka komnat z kominkami, teraz też, gdy rozstawiał pionki, słyszał za plecami wesołe trzaskanie ognia.

Wybrał sektor czwarty, gdyż reprezentował on typowe położenie większości oddziałów, zaś Jaman pisał jasne i szczegółowe raporty. Tym razem jednak nie położył pionków w przypuszczalnych miejscach pobytu wroga, ponieważ Jaman nie potrafił ich określić, jego dane opierały się na przypuszczeniach, jak sam to przyznawał. Tremane rozstawił jedynie własne oddziały, po czym przyjrzał się dokładnie sytuacji.

Zanim przeanalizował wszystkie raporty, wiedział już, dlaczego wojsko Imperium przegrywa, mimo że jest tak dobrze wyćwiczone i zdyscyplinowane. Było to widoczne jak na dłoni dla każdego, kto przyjrzałby się sytuacji, zamiast zaprzeczać temu, co oczywiste.

Armia Imperium przegrywała dlatego właśnie, że była tak dobrze wyszkolona i zdyscyplinowana.

Jeżeli opór mieszkańców miał jakąkolwiek organizację, to bardzo luźną, dającą wielką niezależność poszczególnym dowódcom. Nieprzyjaciel uderzał tam, gdzie nadarzyła się okazja — i tylko wtedy, kiedy mógł liczyć na małe straty. Imperium nie walczyło przeciwko wojsku, lecz przeciwko ludziom — nie żołnierzom — dobrze znającym swą ziemię.

Zdyscyplinowane oddziały nie potrafiły stawić czoła wrogowi, który unikał bezpośredniego starcia i znikał natychmiast po rozpoczęciu kontrataku. Nie potrafiły walczyć z wrogiem pojawiającym się znikąd i rozplywającym się we mgle. Mieszkańcy Hardornu prowadzili wojnę składającą się z małych potyczek — i ta strategia przynosiła efekty.

Jak regularna armia mogła zmierzyć się z wrogiem pojawiającym się nagle na terenie uznanym za opanowany i bezpieczny? Rolnik sprzedający warzywa kucharzom wojskowym mógł informować o wielkości zakupu, liczebności oddziału i kierunku marszu. Równie dobrze mógł zmieniać się w jednego z tych mężczyzn o uczernionych twarzach, wpadających nocą do obozu, kradnących żywność i broń, rozpędzających konie i podpalających wozy z ekwipunkiem.

Magowie księcia zapewniali, iż po stronie przeciwnika nie ma magów, nie znaleźli śladów kogoś, kto ukrywałby ruchy oddziałów, broni magicznej ani prób wyśledzenia oddziałów armii Imperium. Jednak po przeczytaniu także raportów magów Tremane doszedł do przeciwnego wniosku.

„Ich magowie koncentrują się na jednym: utrzymaniu oddziałów w absolutnej tajemnicy.”

Jedynie w ten sposób dało się wytłumaczyć fakt, iż żaden z magów księcia nie potrafił przewidzieć najmniejszego ataku. Nie starali się, jak to zwykle bywało, uczynić niewidzialnymi, nie musieli — robił to za nich teren. Magowie księcia nie znaleźli nigdy żadnych śladów obozu, żadnej kolumny zbrojnych, żadnych śladów wojska — nawet dalekowidzący nie potrafili nic wykryć. W takiej sytu-

acji jedynie jasnowidze potrafiliby odgadnąć moment ataku. Ale i oni nie zdołali tego uczynić, gdyż magowie wroga zalewali pierwszą linię obrony obrazami marszerujących wojsk, zanim magowie mogli się zorientować, co było prawdą, a co złudą, było już po wszystkim.

W jakiś sposób Tremane musiał podziwiać umysł kryjący się za tym planem. Nic łatwiejszego, niż stworzyć iluzję istniejącą jedynie w umyśle. Był to przykład doskonałego wykorzystania niewielkich środków — i jakże skuteczny.

„Kimkolwiek jest, chciałbym go mieć po swojej stronie.”

Jedynym sposobem walki z takim wrogiem było trzymanie oddziałów w gotowości dzień i noc.

„Co jest niemożliwe, i ten ktoś z pewnością to wie.”

Trzymanie żołnierzy w napięciu dzień po dniu, kiedy nic szczególnie się nie działo, groziło tym, że w momencie prawdziwego ataku stracą czujność i zapalą do walki. Nie dało się tego uniknąć: ludzie po prostu by się zmęczyli.

Tymczasem wróg wcale nie potrzebował magów do przewidywania ruchów wojsk Imperium, robiły to za niego dzieci bawiące się przy drodze.

Logiczne i niezwykle błyskotliwe. Ale bez pomocy z zewnątrz mieszkańcy Hardornu nie stworzyliby tak doskonałej organizacji ani nie broniliby się tak zaciekłe, skoro już przedtem kraj rozdzierały walki wewnętrzne i wyniszczała samowola monarchy.

Tremane odwrócił się do okna. „Nigdy nie zaczynamy aneksji, póki sytuacja wewnątrz kraju nie stanie się wystarczająco zła. Nasze wojsko powinno być witane jak wyzwolicieli, a nie napastnicy. Król Ancar z pewnością stworzył odpowiednie do tego warunki!”

Szczerze mówiąc, jeżeli raporty, które przeglądał, choć w połowie zawierały prawdę, Ancar za pięć do dziesięciu lat musiałby sobie radzić z buntem własnych poddanych. Kiedy oddziały cesarza przekroczyły granicę, rzeczywiście witano ich jak wyzwolicieli. Na początku. Co się potem zdarzyło?

„To nie może być trybut, jeszcze go nie nałożyliśmy.”

Podatki w Imperium sięgały sześćdziesięciu procent tego, co dany kraj wytwarzał rocznie, poza tym wszyscy młodzi mężczyźni pomiędzy szesnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia musieli służyć w armii. Jednak nic z tego nie wprowadzono jeszcze w Hardornie, najpierw należało zapoznać mieszkańców z dobrodziejstwami życia w Imperium — tej reguły zawsze przestrzegano. Kiedy ludzie przyzwyczaili się do wodociągów, systemu nawadniania pól, dróg i, co najważniejsze, do cesarskiej policji, zwykle stawali się bardziej tolerancyjni wobec wymagań stawianych przez Imperium.

Podatki obliczano co roku, dostosowując je do urodzaju lub jego braku, rolnik i kupiec pozostawali z niespełną połową tego, co zarobili, zamiast oddać wszystko — lecz dzięki temu nie musieli się martwić o bezpieczeństwo żon, sióstr i córek. Kobiety spokojnie chodziły na targ, nie bojąc się napaści czy porwania.

„Co z pewnością jest lepsze od rządów Ancara.”

Jeśli zdarzały się narzekania, zachowanie policji szybko je zamieniało w niechętną akceptację, obywatele Imperium podlegali tym samym surowym zasadom. Nawet w wojsku na pierwszej linii frontu przestrzegano prawa co do litery, było ono jedno dla wszystkich, bezstronne i nie pobiężało nikomu.

„Prawo jest prawem.”

Traktowano wszystkich tak samo, nie było wymówek, wyjątków ani okoliczności łagodzących.

Napaść oznaczała dla żołnierza karę, a dla cywila więzienie połączone z ciężką pracą. Złodziej płacił karę o wartości dwukrotnie wyższej, niż to, co ukradł, połowę przeznaczano na odszkodowanie, połowę przejmowało Imperium. Jeśli złodziej nie miał pieniędzy, zsyłano go do obozu pracy, póki nie odpracował całej grzywny. Jeśli złodziejem okazywał się żołnierz, konfiskowano mu żołd, a służbę przedłużano tak, by zapłacił całą sumę. Morderstwo karano śmiercią, nikt przy zdrowych zmysłach nie popełniłby gwałtu, gdyż ofierze nadawano status rozwiedzionej małżonki i przekazywano jej połowę majątku przestępcy, przysługiwała jej także przez pięć lat połowa jego zarobków, jeśli zaś urodziło się dziecko, gwałciciel płacił ofierze alimenty przez szesnaście lat. Dziewczyna otrzymywała pełny posag z własności gwałciciela, a chłopiec ekwipunek na służbę wojskową. Była to wysoka cena za chwilę przyjemności, toteż gwałty zdarzały się w Imperium rzadko. Drugi cesarz zdecydował, że o wiele bardziej skuteczne okazuje się karanie przestępcy na majątku niż na ciele.

Jeżeli przestępcą okazywał się niebieski ptak, włóczęga bez miejsca w społeczeństwie, kończył on zwykle w obozie pracy, budując drogi i akwedukty, zarobione pieniądze oddając na utrzymanie dziecka. Za powtórny gwałt groziła seria kar — magicznych i fizycznych — które pozostawiały przestępcę pozornie niekniętego, lecz na zawsze niezdolnego do popełnienia tego przestępstwa.

Tremane zmrużył oczy, oślepiiony błyskawicą.

„W porównaniu z życiem pod rządami Ancara takie warunki muszą się wydawać wręcz rajskie. Skąd zatem ten opór?”

Być może należało pozwolić Ancarowi działać nieco dłużej. „Może starsi ludzie pamiętają idylle z czasów jego ojca, oni mogliby się za tym kryć.”

Skrzywił się. „No cóż, szkoda, że brakło im wyczucia, by umrzeć razem z ojcem Ancara i zaoszczędzić nam wysiłku!”

Jednakże będzie musiał zmienić plany, uwzględniając nowe czynniki. Trzeba jakoś zrównoważyć ich wpływ.

„Gdybym umocnił wybrane miasta i sprowadził policję z budowniczymi... nieważne, jak wspaniałe wydają się dawne czasy, rzeczywistość wygra ze wspomnieniami. Kiedy pod rządami Imperium miasta rozkwitną, buntownicy zaś będą ledwie wegetować na prowincji, rozwiązanie równania stanie się oczywiste nawet dla laika.”

Ale co z Valdemarem? Im więcej mu się przyglądał, tym bardziej się przekonywał, że to właśnie w tym kraju należy szukać przyczyn kłopotów armii cesarskiej. Lecz co Tremane mógł zrobić, skoro prawie nic o nim nie wiedział?

Nagle coś sobie przypomniał.

„Głupcze, nie masz dostępu do świeżych wiadomości, ale pozostają przecież starsze źródła.” Książę wierzył w przydatność historii, czuł, że jeżeli poznało się przeszłość narodu czy człowieka, można z większym prawdopodobieństwem przewidzieć jego zachowanie.

„Przyprowadziłem ze sobą całą szkołę uczonych i badaczy, nie wspominając mojej prywatnej biblioteki. Mogę zatrudnić ich do wyszukiwania wiadomości o Valdemarze, przede wszystkim: skąd się wziął.”

Pozostawał jeden niepokojący szczegół: od niepamiętnych czasów, sięgających pierwszego cesarza, a nawet wcześniej, zachód uważano za miejsce niebezpieczne. „Z zachodu przychodzi zagrożenie” — mawiano, nie precyzując jednakże rodzaju owego zagrożenia.

Dlatego właśnie, między innymi, Imperium interesowało się głównie przesuwaniem swej wschodniej granicy aż do Morza Słonego, na północ jego armia dotarła do granicy ziem nadających się do zamieszkania, dalej nie opłacało się iść. Na południu powstrzymało ją inne imperium, jeszcze starsze. Dopiero wtedy, w czasach cesarza Charlissa, zwrócono uwagę na zachód, w stronę Hardornu.

Tremane odwrócił się od okna i poszedł do gabinetu. Magiczna lampa na biurku płonęła równo, stwarzając złudzenie spokoju i ciszy, można było niemal zapomnieć o szalejącej burzy. „Dziwne, jak łatwo stworzyć ludziom poczucie wygody przez tak prostą rzecz jak światło.”

Na ciemnym blacie biurka leżał raport dotyczący Valdemaru, sporządzony przez szkolarzy — ledwo dwie strony. Książę podniósł go i przejrzał raz jeszcze, nie musiał tego robić, znał go dobrze, ale przynajmniej miał poczucie, że nie siedzi beczynnie.

Uczeni opisali w nim początki państwa.

Kilka stuleci wcześniej pomniejszy baron imieniem Valdemar, mieszkający na ziemiach zdobytych przez Imperium, zareagował na samowolę i okrucieństwo swego zwierzchnika w raczej nietypowy i drastyczny sposób: zamiast przedłożyć swe skargi cesarskiemu sądowi, zebrał wszystkich swych przyjaciół i zwolenników — był to środek zimy, a podróż niemal niemożliwa — i polecił im spakować wszystko, cokolwiek chcieli zatrzymać. Był on magiem, jak i jego żona, razem zdołali odnaleźć i uciszyć szpiegów na swym dworze, po czym razem ze służbą, dzierżawcami i ich rodzinami uciekli z tym, co zdołali unieść. Według ostatnich doniesień podążyli na niebezpieczny zachód — Valdemar prawdopodobnie wiedział, iż nikt nie będzie ich ścigał w tym kierunku.

„Chyba jego poszukiwania nowego domu z dala od Imperium były owocne.”
Zbieżność nazwiska i nazwy kraju nie mogła być przypadkowa, zwłaszcza że

według uczonych terażniejsze królestwo Valdemaru nosiło piętno takiego samego idealistycznego podejścia do świata, jak jego założyciel.

W ten sposób można było łatwo wytłumaczyć niechęć przywódców Valdemaru do Imperium, o którym wiedzieli zapewne bardzo mało. Jeżeli jednak istniał wśród nich zakorzeniony strach przed Imperium, mogli zareagować wrogo na pojawienie się jego wojsk w pobliżu granic swego państwa.

Tyle można się domyślić. Nie sposób jednak odgadnąć, jaki kształt przyjął idealizm barona Valdemara. Skąd, na czterdziestu bogów, wziął się kult białych jeźdźców? Ani w Imperium, ani poza nim nigdy coś takiego nie istniało! I czym były ich konie? Magowie księcia przysięgali, że nie były to zwykłe zwierzęta, lecz nie umieli powiedzieć nic więcej. Jaką moc posiadały? Nikt nie wiedział. Jaką spełniały rolę? Nie wspomniano o nich w zapiskach, jedynie w legendach, według których miały być darem bliżej nieokreślonych bogów. Nawet agent w Valdemarze niczego się nie dowiedział, sami jeźdźcy, pytani o konie, uśmiechali się i twierdzili, że zrozumie to tylko inny jeździec.

Trudno to uznać za wskazówkę.

„Nigdy nie podobał mi się pomysł zatrudniania artysty jako szpiega” — pomyślał z niesmakiem książę. „Są albo niegodni zaufania, albo nieskuteczni.”

Niestety nie miał wyjścia, odziedziczył tego agenta po poprzedniku i nie miał czasu ani okazji zastąpić go kimś innym.

Biali jeźdźcy i ich konie to nie wszystko, najgorsze zdarzyło się tuż przed ostatnią szaloną bitwą Ancara z nieznanym magiem lub magami.

Valdemar zdołał jakoś pozbyć się uprzedzeń wobec swego odwiecznego wroga, Karsu, a jak udało im się nawiązać rozmowy z tą dumną, upartą wiedźmą Solaris — tego Tremane nie pojmował. Nie przypuszczał, by tak zwany Syn Słońca zniżył się do sojuszu z kimkolwiek, a co dopiero z wrogiem!

I skąd pochodziła reszta dziwacznych sojuszników Valdemaru? Nie uwierzyłby opisom, gdyby nie widział rysunków: Shin'a'in, o których słyszał w niejasnych pogłoskach, Sokoli Bracia — co to za jedni? I kto wierzy w gryfy? Gryfy to stworzy z legend, nie z rzeczywistego świata!

Według raportu, to była następczyni tronu, Elspeth, ściągnęła te dziwaczne istoty do Valdemaru. Była? Od kiedy to następca tronu tracił do niego prawo, nie tracąc zarazem życia ani wolności? A jednak Elspeth abdykowała, działając nadal w szeregach białych jeźdźców, heroldów. Była zbyt młoda, żeby nawiązać tyle sojuszy. Nie miała odpowiedniego doświadczenia w dyplomacji i w rządach. Tremane odrzucił doniesienia agenta, uznając je za zbiór plotek rozpuszczanych specjalnie po to, by ukazać byłą następczynię w lepszym świetle. Chętnie odrzuciłby także wiadomość o gryfach jako jeszcze jeden wytwór fantazji, lecz słyszał o nich już wcześniej. Gryfy go niepokoiły. W i tak zbyt skomplikowanym równaniu stanowiły kolejną niewiadomą, czy oprócz tych dwojga istniały inne? Cała armia? Wizja skrzydlatych zwiadowców bynajmniej go nie uszczęśliwiła.

Jęknął cicho i rzucił się na krzesło. Nie ma sensu pytać: dlaczego ja? Wiedział, dlaczego. „Chcę Żelaznego Tronu. Cesarz musi umieć poradzić sobie z czymś takim. Jeżeli mam zdobyć tron, muszę przekonać cesarza, że na niego zasługuję.”

Oczywiście teraz, kiedy już zaczął, nie mógł się z wdziękiem wycofać.

Jego największy rywal był jednocześnie osobistym wrogiem i gdyby książę zawiódł albo nawet zrezygnował, przyznając się do porażki, jego życie potrwałoby jeszcze kilka miesięcy, może lat — do abdykacji Charlissa. Żaden nowy cesarz nie pozostawiał przy życiu swych konkurentów, pierwsze lata panowania zwykle obfitowały w kłopoty, więc nie było sensu oszczędzać starych przeciwników, którzy mogliby przyczynić się do pogorszenia sytuacji.

Nie, teraz musiał brnąć dalej — albo uciekać: na południe, na zachód, na barbarzyńskie ziemie za Valdemarem — i dobrze zacierać ślady, by nie znaleźli ich agenci cesarza.

„Spaceruję po cienkiej linii nad wulkanem — pomyślał posepnie. — Ktoś w dodatku potrząsa liną, próbując mnie zrzucić.”

Potrząsa? Dziwne... przez chwilę książę czuł drżenie budynku, jakby początek trzęsienia ziemi. Jednak to nie trzęsienie ziemi, nie w fizycznym sensie, odczucie dotyczyło zmysłów magicznych — jakby nadciągało coś wielkiego, obcego i przerażającego...

Zanim zdołał dotrzeć do krzesła, to coś uderzyło.

Wszystkie jego zmysły znikły, unosił się w oceanie nicości, oderwany całkowicie od realnego świata. Moc przepływała przez niego nie dotykając go jednak. Przypomniawszy sobie, jak w dzieciństwie spędzał lato nad morzem: nadeszła wielka fala i porwała go, niemal topiąc, po czym zaniósła na brzeg i zostawiła, z trudem łapiącego oddech. To też przypominało falę, Tremane czuł się równie bezradny i nie wiedział, czy zostanie w końcu wyrzucony na brzeg czy zatonię, dryfował w kierunku nicości, tracąc zupełnie orientację, gubił się...

Może krzyczał w panice, lecz nie słyszał własnego głosu.

Nagle wszystko się skończyło. Poczł krzesło, na którym siedział, usłyszał swój oddech, czuł szalone bicie serca i dłonie zaciśnięte spazmatycznie na poręczach krzesła. Przez chwilę myślał, iż oślepl, ale gdy ciemność za oknem przecięła błyskawica, zdał sobie sprawę, co się stało: lampa po prostu zgasła.

Po prostu? To nie takie proste, to światło mogło przetrzymać wszystko, a zgasnąć dopiero po odwołaniu zaklęcia!

Tremane zamrugał, w pomieszczeniu obok płonął ogień, rzucając słabą poświatę. Książę zwolnił uścisk dłoni, przynajmniej nie pozostawiono go w ciemności. Dziwne, całe życie otaczał się magicznym światłem, nawet do sypialni przenikał blask z ogrodu, nie zdawał sobie sprawy, jak ciemna może być komnata.

Trzęsącymi się rękami odszukał w szufladzie stołu świecę i zaniósł ją do kominka, by zapalić od ognia. Z pewnością któryś z wrogów przypuścił na niego magiczny atak. Magicznych zabójców nie dopuszczały do księcia stale podtrzymy-

wane osłony, może ten atak miał odwrócić jego uwagę? Z pewnością nie wyrządził wielkich szkód, jednakże ktoś, kto zdołał zgasić magiczne światło wewnątrz osłon, musiał dysponować wielką mocą. Mimo drżenia rąk, Tremane zmusił się do zastanowienia, kto miałby taką siłę.

W tej chwili do komnaty wpadła służba i posłańcy od wszystkich podległych księciu dowódców, niosąc nowiny o różnym nasileniu hysterii.

Wtedy uświadomił sobie, że skutki tego, co się zdarzyło — cokolwiek to było — dotknęły nie tylko jego.

Zdołał jakoś zgromadzić swych magów już następnego dnia, by oszacować szkody.

— Czyli to się przetoczyło przez cały kraj? — zapytał księżę głównego maga, mistrza Gorduna. Brzydki mężczyzna o kwadratowej twarzy przytaknął, splatając dłonie.

— Z tego, co wiemy, tak — odparł. — Przypominało to jedną z olbrzymich fal na Morzu Słonym: nadeszło z północnego wschodu i przemieszcza się na południowy zachód. Prawdopodobnie dotarło także do Imperium, ale w tej chwili nie potrafimy nic powiedzieć. Nie możemy się z nimi porozumieć, oni z nami zapewne też.

Tremane skrzywił się. Ta magiczna fala, jak fale na morzu, przepłynęła i zostawiła za sobą spustoszenia, tym większe, im bardziej dane sprawy były związane z magią. Każde mniejsze lub większe zakłęcie zostało uszkodzone, pozrywane linie komunikacyjne, Bramy zniszczone, osłony zburzone lub nadwerężone, tysiące drobnych wygód, jak magiczne światła, kuchnie, płaszcze, czasomierze — znikły, gdyż zakłęcia, które je podtrzymywały straciły moc. Oznaczało to dla wojska zimne namioty i zimny posiłek, o ile zapobiegliwi dowódcy nie znajdą innych, nie magicznych sposobów.

— Była to z pewnością magiczna burza — ciągnął Gordun. — Tyle wiemy. Nie spotkaliśmy dotąd takiej burzy, trwała ledwie chwilę, magowie odczuli ją na sobie, nie magowie zaś nic nie poczuli.

— Wystarczy — mruknął Tremane. — Odtworzenie zniszczonych zaklęć zajmie kilka dni, a skontrolowanie tych, które przetrwały i ewentualne naprawy jeszcze dłużej.

— To nie wszystko, księżę — odezwał się wysoki głos jednego z najstarszych magów i nauczyciela księcia, Sejanesa. Starzec wyglądał bardzo niepozornie, lecz jego umysł działał bez zarzutu — tak, jak w młodości. — Burza wywarła wpływ także na świat materialny. Posłuchajcie. . .

Pewnymi, spokojnymi dłońmi zebrał ze stołu papiery.

— To raporty moich wysłańców, których rozesłałem do innych magów naszej armii. Wieści nie są pocieszające. Z Halloway: „W niektórych okolicach skały

stopiły się i w mgnieniu oka zastygły z powrotem”. Z Gerrolt: „Wokół obozu pojawiły się nowe, dziwaczne formy owadów, a nawet wyższych stworzeń. Nie wiadomo, czy powstały w czasie burzy, czy zostały przeniesione z innych części świata”. Z Morgan: „Z dalekich stron przeniesione zostały fragmenty ziemi owalnego kształtu, między nimi znajduje się kawałek pustyni, lasu, moczarów, nawet dno jeziora z mułem, wodorostami i rybami”. — Mag zamachał papierami. — Takich raportów nadeszło więcej. Wiem, że nie muszę cię już uczyć, Tremane, ale to nie wygląda na dzieło natury!

— Nie jest chyba także efektem działań Ancara — zgodził się Tremane.

— Nie widzę związku między nimi — odrzekł Sejanos, kładąc papiery na stole. — Ancar nie byłby zdolny do czegoś takiego. Żaden mag nie potrafiłby tego dokonać. Przypuszczam, że to dzieło grupy magów, to tłumaczyłoby także różnorodność uszkodzeń.

Tremane szukał w pamięci jakichkolwiek wzmianek o podobnym zjawisku, lecz nic nie znalazł. Owszem, zdarzały się magiczne burze, ale ich skutki objawiały się tylko w świecie materialnym, powodowało je używanie nie osłoniętej mocy. Były to zwykłe, choć bardzo gwałtowne, burze z piorunami. Takiej zaś burzy magicznej, jak ta z poprzedniego dnia, księżę jeszcze nie widział, jednakże określenie do niej pasowało. Uderzyła nagle, silnie, poczyniła szkody i poszła dalej.

Mogła pochodzić tylko z jednego miejsca.

— Taka burza może pochodzić tylko z jednego miejsca — odezwał się Sejanos, jakby czytając w myślach księcia. — Chociaż nadeszła ze wschodu... każdy głupiec wie, że ziemia jest okrągła! Jak lepiej zaskoczyć wroga, niż nasyłając na niego atak od tyłu, chociażby miał po drodze okrążyć cały świat?

— Twierdzisz, że to Valdemar? — odparł Tremane.

— A kóżby inny? — wzruszył ramionami Sejanos. — Kto ma sojuszników w dalekich krajach, o których nawet nie słyszeliśmy? Kto inny używa magii nam nie znanej? Kto inny ma powód, by nas zaatakować?

— Kto inny, rzeczywiście — powtórzył Tremane. — Nic nie tracą, utrudniając nam życie, swoich przyjaciół zaś mogli ostrzec, by się osłonili. Poza tym — sądzicie, że Valdemar dysponuje odpowiednią mocą?

Potoczył po obecnych oskarżycielskim spojrzeniem. Magowie spuścili wzrok, jedynie Sejanos patrzył mu prosto w oczy.

— Ciągłe nie wiemy, czym są te konie — przypomniał zimno stary mag. — Nie znamy rodzaju magii, którą się posługują. Nasze przypuszczenia opierają się na faktach, iż w codziennym życiu oni nie używają magii. Nie mają magicznych lamp, ale świece, kominki i latarnie, budują domy, używając siły ludzi i zwierząt, ręcznie przepisują dokumenty albo nakładem wielkich środków drukują je na maszynach. Wiadomości przesyłają przez posłańców albo za pomocą wież obserwacyjnych. Stąd nasze założenie, że nie mają żadnej magii.

— W takim razie nie ucierpieli od burzy tak bardzo, jak my — myślał na głos Tremane.

Sejanes przytaknął, kiwając energicznie głową.

— Właśnie tak. Tak jakby planowali taki atak albo się go spodziewali.

To miało sens. Jeżeli oczekuje się, że nieprzyjaciel zaatakuje ogniem, buduje się kamienne twierdze. Jeżeli oczekuje się powodzi, sypie się wały i kopie kanały.

A jeżeli oczekuje się czegoś, co zniszczy zaklęcia — po prostu się ich nie używa.

— Skąd jednak przysłała ta burza? — spytał Tremane. Sejanes wzruszył ramionami, a magowie potrząsali głowami.

— Przesuwała się mniej więcej ze wschodu na zachód, gdyby rzeczywiście pochodziła z Valdemaru, musiałyby okrążyć świat, by się tutaj dostać. To logiczne i zgadza się z przypuszczeniem, że mogła powstać w Valdemarze. Szczerze mówiąc, gdybym zamierzył taki atak, przeprowadziłbym go właśnie w ten sposób, gdyż fala powróciłaby do mnie bardzo osłabiona i łatwo bym się przed nią obronił.

To też miało sens.

— W takim razie nie potrafisz dokładnie określić miejsca jej powstania — naciskał Tremane. — Gdybyś zdołał to zrobić, moglibyśmy wysledzić miejsce pobytu ich najlepszych magów. — „Wtedy ten bezużyteczny artysta może by ich wytropił, a my moglibyśmy się ich pozbyć.”

— Nie ma szans — odrzekł bez ogródek Sejanes. — W tej chwili będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się porozumieć z magami z innych obozów. Jesteśmy niemal bezbronni i możemy tylko mieć nadzieję, że ani buntownicy, ani Valdemar nie wybiorą tej pory na atak. Wtedy nie mielibyśmy wielkich szans.

Na szczęście dowódcy poradzili sobie jakoś, zastępując magiczne wygody materialnymi namiastkami, Tremane cieszył się, że żołnierze byli przyzwyczajeni do surowych warunków. Niestety, nie dało się naprawić przerwanej komunikacji.

Dobrze, że książę dał hasło do postoju jeszcze przed burzą. Gdyby złapała ich w trakcie manewru, skończyłoby się to katastrofą.

Jedynie Sejanes miał coś sensownego do powiedzenia, a i to były ledwie przypuszczenia.

— Oto, co jedynie możemy teraz zrobić — powiedział wreszcie Tremane. — Naprawić uszkodzenia i zabezpieczyć zaklęcia przed ponownym atakiem, najpierw komunikacja, potem Bramy, za tydzień skończą się nam zapasy. Osłońcie wszystko, co zdołacie, potem skontaktujcie się ze mną, zdecyduję, co dalej.

Po chwili Tremane odesłał magów do ich zadań, a sam usiadł w krześle. Głowa mu pękała, bardziej ze zdenerwowania niż po burzy, jeżeli tak samo czuli się magowie, nie zrobią więcej niż połowę tego, czego dokonaliby w normalnych warunkach.

Książę zadzwonił na pazia i polecił przynieść mocne wino. Rzadko pił, ale tym razem potrzebował wzmocnienia. Wpatrywał się w polerowany blat, obracając w dłoniach kubek. Po głowie kołatało mu się pytanie: „jak oni to zrobili?”

Chodziło mu nie tylko o siłę ataku i jego rodzaj, lecz przede wszystkim o jego chaos.

To szalone, nawet Ancar nie rzuciłby takiego zaklęcia.

A co do skutków... po co było wyrwać kawałki gruntu i przenosić o tysiące mil? Czy chodziło tylko o wywołanie paniki?

Czy w ogóle o coś chodziło? Może istotą napaści był chaos? Czy to na tym polegał sposób myślenia Valdemarczyków? Jeśli tak, to byli bardziej dziwacznicy niż ich przyjaciele gryfy!

„Jeśli umieją zrobić coś takiego — rozmyślał, popijając ciemne, gorzkie wino — to do czego jeszcze są zdolni? A może to kolejny test Charlissa?”

To też możliwe. Charliss i Imperium znajdowali się na wschodzie, a burza nadeszła właśnie z tej strony. Cesarz mógł w ten sposób sprawdzać jego wytrzymałość.

Mógł to być także jeden z jego wrogów albo, co bardziej prawdopodobne, kilku wrogów działających razem.

Nagle przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, bardziej gorzka od wina i bardziej przerażająca od samej burzy. A jeśli cesarz chciał się go pozbyć? Cóż łatwiejszego, niż uwikłać go w z góry przegraną walkę? Czyżby od początku został skazany na porażkę?

Tremane zazgrzytał zębami. Wydawało mu się, że cesarz sam go wybrał na swego następcę, w takim razie kłamał albo zmienił zdanie. Czyżby na korzyść kogoś innego?

Czy Charliss mógłby pozbyć się Tremane'a, gdyby ten odniósł sukces w Hardornie? Raczej nie. Książę stałby się zbyt popularny, cesarz musiałby ogłosić go swym następcą. „Kiedy wrócę do stolicy, zdołam chyba przekonać cesarza o mojej użyteczności.”

Jednak mogą go spotkać nowe problemy.

„Muszę liczyć się z tym, że moje raporty i rozkazy zostaną przedstawione w niekorzystnym dla mnie świetle. Dostawy mogą dochodzić z opóźnieniem, w niedostatecznych ilościach... albo wcale. Muszę przygotować się na najgorsze i dobrze przemyśleć kolejne posunięcia, kiedy wreszcie magowie przywrócą połączenia.”

A jeśli nie?

„Będzie trzeba utrzymać się tutaj nawet bez pomocy.”

Ponura perspektywa.

„Muszę zaskoczyć Valdemar i pomieszać mu szyki.”

Co umożliwiło im skuteczną walkę z Ancarem? Skąd brali magię?

Sojusznicy.

Przesuwał palcem po brzegu kubka. To dzięki sojuszom Valdemar utrzymał się do tej pory. Jeśli uda się je rozbić, Valdemar będzie miał zbyt dużo kłopotów wewnętrznych, by zajmować się jeszcze położeniem Hardornu.

Książę znów się skrzywił z niesmakiem. Korzystał z usług szpiegów, zbierał poufne informacje, lecz jednego sposobu gry Imperium nie cierpiał. Teraz jednak będzie zmuszony go zastosować, by zyskać na czasie — to sprawa życia i śmierci. Położył na szalę nie tylko własne życie, ale też życie tych, którzy związali z nim swój los. Jego upadek oznaczał upadek całej jego rodziny i przyjaciół.

Zadzwoił na służącego. Istniał jeden skuteczny sposób zerwania niepewnego sojuszu Valdemaru, Karsu i Rethwellanu, musi wykorzystać swego agenta i kopię małej pamiątki z Valdemaru, która znalazła się w posiadaniu cesarza.

— Przyślij lorda Yelchera — powiedział służącemu. — Powiedz mu, że wreszcie potrzebuję jego szczególnych usług.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Karal z zamkniętymi oczami siedział po turecku na łożku, oddychając równo i powoli, czekał.

Ulrich nazwałby to medytacją, podobnie określiłaby to większość nauczycieli ze Świątyni. Karal nie przepadał za tym słowem, kojarzyło się ono z jakimś rodzajem świętości i sugerowało, że usiłuje dotrzeć do Pana Słońca.

Karal nie uważał się za zbyt religijnego, choć został nowicjuszem Świątyni. Nie był to jego wybór, tak się złożyło — tak zrządził los, przeznaczenie czy też wola Vkandisa. A jednak odwiedzał go ognisty kot, zgodził się pomagać magowi Shin'a'm, mimo iż nie chciał naprzykrzać się bogu, pomyślał, że jeżeli będzie czekał spokojnie odpowiednio długo, Vkandis sam wesprze go radą. Czekał więc, odsuwając od siebie wszelkie myśli, czekając na objawienie woli bóstwa, lecz starając się o nic nie prosić.

Nie doczekał się jednak żadnego znaku, chociaż skupiał swą uwagę na kręgach na wodzie czy kroplach deszczu uderzających o powierzchnię stawu, w końcu, kiedy ścierpły mu stopy, poddał się. Otworzył oczy, przeciągnął się, odkrywając, że ćwiczenie uwagi rozluźniło także jego mięśnie. Miał właśnie opuścić stopy na podłogę, kiedy do komnaty wtargnął gość.

Altra pojawił się znikąd na środku komnaty, miał zjeżoną sierść i oczy tak powiększone, iż przypominały błękitne talerzyki.

Zaczyna się! — zawołał. — *Trzymaj się!*

I zniknął, nie mówiąc, co się właściwie dzieje.

Karal siedział, wpatrując się w miejsce, w którym zniknął kot, po chwili już nie musiał się zastanawiać, o co chodzi.

Komnata podskoczyła nagle i zawirowała, jakby była pyłkiem na dywanie, który ktoś postanowił strząsnąć. Choć na zewnątrz nic się nie działo, żołądek Karala podskoczył, chłopak przyłgnął do łożka, kiedy nadeszła fala oszołomienia i zawrotu głowy, trwająca kilka uderzeń serca.

I nagle wszystko się skończyło.

„To tyle?” To dlatego Altra tak się denerwował? Było to dziwne, przypominało trochę początek trzęsienia ziemi, ale żaden ze sprzętów nie został uszkodzony — czyli trzęsienie nie dotknęło świata materialnego. Chyba że... był to objaw

choroby? Zaraza? Czy o to chodziło Altrze?

„A co z Ulrichem, czy mógłby się zarazić? Gdyby zachorował... Nie jest siłaczem, poważna choroba mogłaby go zabić!”

Karal, jak wszyscy uczniowie, przeszedł szkolenie pomocy w nagłych wypadkach, jeśli z Ulrichem działo się coś złego, potrafił przynajmniej postawić diagnozę. Wyskoczył z łóżka i pobiegł do sąsiedniej komnaty, jednym szarpnięciem otworzył drzwi, niemal wyłamując sobie rękę, Ulrich siedział w swym fotelu tak sztywno, jakby zamiast kręgosłupa miał kij. Jego twarz była blada, ciekły po niej strużki potu, pobielające dłonie ścisnęły poręcz, a źrenice zwężyły się do wielkości łebków od szpilek.

Kapłan zamrugnął i odprężył się, osuwając się na oparcie. Jego bladość ustąpiła, podniósł drżącą dłoń do czoła, by wytrzeć pot.

— Mistrzu Ulrichu? — zapytał Karal niespokojnie. — Czy mogę w czymś pomóc? Zawołać uzdrowiciela? Dobrze się czujesz?

— Nie... nie przejmuj się, synu — odrzekł Ulrich głosem drżącym ze zmęczenia. — Uzdrowiciel sobie z tym nie poradzi. Czy czułeś coś przed chwilą?

— Przez chwilę zawróciło mi się w głowie i wydawało mi się, że zaraz upadnę — odrzekł natychmiast Karal. — Ale nic się nie stało. Czy powinienem czuć coś jeszcze?

Ulrich zdobył się na słaby uśmiech i potrząsnął głową.

— Niekoniecznie. Altra ostrzegł mnie, bym się dobrze trzymał. To na to czekał cały czas, przed tym nas ostrzegał! Może i An'desha przeczuwał coś w swych koszarach. To była magiczna burza, Karalu, ale taka, jakiej w życiu nie widziałem.

— To? — Karal potrząsnął głową. — I na czym polegało to niebezpieczeństwo? To tylko zawrót głowy!

— Dla ciebie — odrzekł ostro Ulrich. — Ale dla magów to wieczność. Czułem się tak, jakby ktoś wrzucił mnie w środek trąby powietrznej! Prawdopodobnie im większą moc się posiada, tym bardziej czuje się skutki tej burzy.

— Zatem An'desha... — zaczął Karal.

— A także Śpiew Ognia — dodał Ulrich z niepokojem. — Oni obaj na pewno odczuli ją jeszcze mocniej niż ja. Upadając, mogli się pokaleczyć, a przynajmniej są oszołomieni. Idź do nich! Ja sobie poradzę.

Nie potrzebował tego powtarzać, Karal ruszył jak strzała. Przebiegł całą drogę z pałacu do ekele, przed drzwiami zatrzymał się na chwilę. Nigdy dotąd nie przyszło mu na myśl, że mógłby zastać dwóch magów w krępującej sytuacji, jednakże ktoś mógł potrzebować pomocy i tylko to się liczyło. Wbiegł do ogrodu.

Nie było tam nikogo.

Karal skierował się ku schodom.

— An'desha! — zawołał, przekrzykując szum wodospadu. — Śpiewie Ognia!

— Tutaj... — dobiegł słaby głos z góry. Nie należał do młodego maga, musiał to być zatem Śpiew Ognia. Karal wbiegł po stopniach i zastał srebrnowłosego Sokolego Brata leżącego na podłodze z nogą dziwacznie podwiniętą, z twarzą białą jak jego włosy, rozglądającego się w oszołomieniu dokoła. Jego ptak wczepił się pazurami w poręcz krzesła obok i popiskiwał niespokojnie.

— Moja noga... upadłem...

— Nie ruszaj się, znam się nieco na leczeniu — odparł Karal. Potrafił zlokalizować połamane i przesunięte kości i gdyby to było konieczne, zawołałbym uzdrowiciela.

Śpiew Ognia spojrział na niego, w jego półprzytomnym spojrzeniu pojawił się błysk — rozpoznał go.

— Co... kto... — zaczął.

— Nazywam się Karal, An'desha jest moim przyjacielem. Później o tym opowiem. Widziałeś mnie na pewno na zebraniach Rady, byłem tam z moim mistrzem, Ulrichem, posłem Karsu. Zdaje się, że kostka jest zwichnięta i pewnie bardzo boli. Czy możesz poruszyć, bardzo ostrożnie, palcami i stopą?

Krzywiąc się z bólu, Śpiew Ognia wykonał polecenie.

— Ja... ach! Jeżeli mogę to zrobić, to kość nie jest złamana. Zawołaj An'deshę — powiedział mag. — Opowiesz resztę, kiedy będę pewny, że nic mu się nie stało.

— Dobrze. — Karal zostawił Sokolego Brata siedzącego na podłodze i masującego stopę, a sam pobiegł do kuchni, wołając przyjaciela. Za trzecim razem usłyszał odpowiedź.

— Tu jestem — odezwał się An'desha. Leżał skulony w najmniejszym pomieszczeniu, zawieszonym draperią przypominającą namiot, chyba nic mu się nie stało. Karal opadł na kolana obok niego.

— An'desha? — odezwał się, dotykając ramienia przyjaciela.

— Wszystko w porządku, Karalu — odrzekł chłopiec, powoli otwierając oczy. — Chyba już się skończyło.

— Nie zraniłeś się? — spytał Karal niespokojnie.

— Nie. Czułem, jak nadchodzi i coś ostrzegło mnie, bym się położył. — An'desha zamrugał, jakby miał kłopoty z widzeniem. — Na szczęście tak zrobiłem. Chyba... chyba to właśnie czułem i tego się obawiałem... — Zamrugał znowu, na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie i ulga. — Karalu, ten strach przed czymś okropnym minął!

— Możesz wstać? — zapytał Karal. — Twój przyjaciel, Śpiew Ognia, jest ranny, ale...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej, gdyż An'desha zerwał się na równe nogi i znikł za drzwiami, zanim Karal wstał. Kiedy Karal dotarł do rannego maga, An'desha pomagał mu właśnie przejść na sofę, jęcząc nad szybko puchnącą kostką.

Karal zaczerwienił się gwałtownie.

— Chyba... lepiej zawołałam uzdrowiciela — wyjąkał i wyszedł szybko, zostawiając An'deshy wyjaśnienie, w jaki sposób się poznali.

Karal wrócił z uzdrowicielem, przynosząc także nowiny. Najprawdopodobniej burza nie wyrządziła materialnych szkód w pałacu ani w jego pobliżu, najcięższe zaś rany to siniaki, rozbite nosy i zwichnięta kostka Śpiewu Ognia. Magiczne osłony wokół stolicy częściowo runęły, lecz ogólnie rzecz biorąc, nic poważnego się nie stało. Jeżeli przeczucia An'deshy dotyczyły tej właśnie burzy, z pewnością były przesadzone.

Poza tym Karal przyniósł dla obu magów wezwanie na spotkanie sojuszników i Rady, widocznie poza stolicą burza wyrządziła większe spustoszenia.

Rzeczywiście tak było.

— Poza osłonami wzniesionymi przez Elspeth, Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia dzieją się naprawdę dziwne rzeczy — mówił Skif. — Pojechałem na krótki zwiad na Cymry i widziałem co nieco na własne oczy. Miejscami skała stopiła się na chwilę, miejscami ziemia wygląda, jakby była przeniesiona z zupełnie innej okolicy, ludzie przynosili mi dziwaczne owady, rośliny, nawet zwierzęta — nigdy nie spotkałem niczego takiego! Ludzie są przerażeni.

— Z pewnością to sprawka Imperium — zaczął seneszał, lecz, rzecz dziwna, to lord marszałek pierwszy potrząsnął przecząco głową, a Kerowyn mu zawtórowała.

Lord marszałek skinął głową Kerowyn, ustępując jej pierwszeństwa.

— Nie może to być Imperium, chyba że chcieli wypróbować jakiś całkiem nowy rodzaj magii, który nie do końca im wyszedł — powiedziała Kero, nerwowo splatając palce. — Otrzymałam już dwa raporty od myślmówców przebywających poza ich liniami. Wojsko Imperium poniosło znacznie większe szkody niż my. Posługują się magią na co dzień, toteż teraz muszą się obejść bez wielu ułatwień, zwłaszcza zaś bez dostaw z samego Imperium i bez możliwości porozumienia się między sobą inaczej niż przez posłańców. Jednym słowem, panie i panowie — zakończyła z nutą satysfakcji w głosie — zostali całkowicie pokonani. Jedyna gorsza rzecz, która mogłaby ich spotkać, to nagła epidemia dyzenterii.

Zapadła cisza, królowa Selenay usiadła wygodniej.

— Wybaczcie to, co powiem, ale cieszę się z tych wiadomości — odezwała się. — Choć to niskie uczucie...

— Wybacz, wasza wysokość — przerwał Mroczny Wiatr — jako mag i adept muszę przeanalizować sytuację bardziej wnikliwie niż inni. Uważam, że fizyczne skutki burzy wskazują na coś bardzo złego. Niepokoją mnie bardziej niż magiczne. Skąd wiemy, czy nie grozi nam powtórna burza?

Zwrócił się do Śpiewu Ognia po potwierdzenie, Sokoli Brat skinął głową.

— Nie potrafimy stwierdzić, co to było i skąd nadeszło — rzekł poważnie. — Nie umiemy także przewidzieć, czy nadejdzie jeszcze raz — ani kiedy.

Spojrzał ukosem na Karala, notującego w pośpiechu, nie było to pierwsze szczególne spojrzenie, którym obdarzył sekretarza, lecz poza tym nie powiedział ani słowa na temat znajomości Karala z An'deshą.

— Według was nie jest to zatem pojedynczy wypadek — stwierdziła raczej, niż zapytała Selenay.

— Właśnie — odparł Śpiew Ognia. — A zanim zaczniemy snuć przypuszczenia co do natury tego zjawiska, musimy wiedzieć więcej o tych fizycznych anomaliach — ich wyglądzie, występowaniu. . .

Włączyli się inni magowie: Elspeth, Treyvan, Hydona i Ulrich, nawet An'desha odważył się wtrącić słowo czy dwa. Dla Karala stało się oczywiste, iż inni członkowie Rady są tu bezużyteczni. Królowa również musiała dojść do tego wniosku, gdyż po przywróceniu porządku i złożeniu obietnicy dostarczenia magom wszelkiej możliwej pomocy, zamknęła zebranie i wyszła, zostawiając komnatę magom i księciu Darenowi.

Karal także został, przygotowując się do swych zwykłych zajęć, lecz, jak się okazało, czekało go jeszcze inne zadanie.

— Potrzebujemy widoku z górrry — powiedział otwarcie Treyvan. — Jeżeli issstnieje jakaś prrrawidłowość, dostrzeżemy ją wyłącznie z górrry.

— Prawda, przyjacielu — zgodził się Mroczny Wiatr. — Ale powinniście zabrać ze sobą człowieka, nie jesteście znani w Valdemarze, a nie chcę, by jakiś zbyt prędki myśliwy wysłał wam strzałę. Poza tym przyda wam się ktoś, kto narysuje to, co zobaczycie.

— Rrr. . . — Gryf przymknął dziób i rozejrzał się wokoło, zatrzymał spojrzenie na Karalu.

— On — zdecydował. — Jessst lekki, wysstarrrczająco mały i inteligentny. Umie notować. Za pozwoleniem? — skinął z gracją Ulrichowi.

Kapłan spojrzał gryfowi prosto w oczy, Karal trząśł się z oszołomienia. Gryfy chciały z nim polecieć? Polecieć? Jak ptaki?

— Mój sekretarz sam decyduje o sobie — odezwał się Ulrich, kiwając głową Karalowi. — Ja nie mam nic przeciwko temu, ale wbrew obiegowym opiniom w Karsie nie czyni się z podwładnych niewolników. Jeśli Karal się nie zgodzi, nie będę go zmuszał.

— Więc? — zapytał gryf Karala, zwracając na niego spojrzenie ogromnych oczu.

— Emm. . . tak, panie — odrzekł sekretarz, usiłując się nie jąkać. — Jeżeli na coś się przydam. . . Nigdy dotąd nic takiego nie robiłem. Mogę tylko przeszkadzać.

„Może umrę ze strachu, zanim ulecimy tysiąc kroków. . .”

— Dobrze, zatem ussstalone — zakończył Treyvan, zwracając się z powrotem ku magom, pozostawiając Karala w oszołomieniu, całkowicie zbitego z tropu.
„W co ja się wpakowałem?”

Kilka marek później miał okazję ponownie zadać sobie to pytanie, widząc coś, co Treyvan nazwał „siatką transportową”. Swój powietrzny wehikuł Karal wyobrażał sobie nieco bardziej solidnie, tymczasem gryf przygotował mu kosz prawie jak na bieliznę, opleciony cienkimi linami, z przymocowanymi tu i ówdzie kawałkami drewna. Nie wydawało się, by można w tym unieść choćby dziecko.

Pojazd ten stał na środku trawnika w ogrodzie, tam, gdzie nie rosły drzewa. Pewnie stąd gryfy zamierzały unieść się w powietrze, to bynajmniej go nie pocieszyło.

— W rzeczywistości jest mocniejsze, niż wygląda — odezwał się Mroczny Wiatr, który przyprowadził Karala na miejsce.

Karal spróbował się nie skrzywić z powątpiewaniem.

— Na pewno — odrzekł uprzejmie. Już dawno zdołał sobie przemyśleć szalony pomysł podniebnej podróży.

— Hm, chyba nie jesteś zbyt pewien tego, co powiedziałaś, Karalu. Tę linę zrobiono za pomocą magii — ciągnął Mroczny Wiatr, jak gdyby nie mieli właśnie badać śladów zakłóceń magii! — Nie bój się, szybko się przyzwyczaisz. Według Treyvana k’Leshya używają takich siatek cały czas i uważają je za równie bezpieczne, jak barki.

„Tak jakbym wiedział, co to jest k’Leshya albo barki!” Karal jeszcze raz zmierzył spojrzeniem siatkę, końce lin miały zostać przymocowane do czegoś w rodzaju upręży założonej na tę okazję przez gryfy, kosz miał dodatkowo zapewniać podróżującemu równowagę. Liny były rzeczywiście mocne, Karal nie zdołał również przewrócić kosza, choć z łatwością go uniośł. Najwidoczniej całe urządzenie było czymś więcej, niż się zdawało na pierwszy rzut oka.

Może nie będzie tak źle. Ale jednak — latanie?

— Gryfy zjawia się lada chwila — powiedział Mroczny Wiatr, spoglądając na słońce. — Muszę zacząć nasz zwiad z Vree, Śpiewem Ognia i Aya, więc zostawię cię tutaj.

— Chwileczkę — Karal zawahał się, lecz zadał pytanie męczące go od czasu narady. — Dlaczego mnie zabierają? Przecież same zapamiętałyby doskonale to, co zobaczą.

— Ale nie mają rąk — przypomniał mu mag. — Umieją czytać, lecz nie pisać i rysować — przynajmniej nie z taką łatwością, jak ty i ja. Dlatego także musieliśmy wykluczyć Rrisa — zapewniam cię, że był bardzo rozczarowany. Marzył o lataniu, podobno wtedy zdołałby przewyższyć nawet swego słynnego kuzyna Warrla! — Mag uśmiechnął się i poklepał Karala po ramieniu. — Nie martw się.

Po kilku chwilach będziesz się cieszył, że cię zabrali w powietrze. Na pewno dasz sobie radę.

Karal nie wiedział, co skłoniło maga do takiego zapewnienia, ale odważnie pokiwał głową.

Mroczny Wiatr odszedł, po kilku chwilach ukazała się Hydona, już w uprzęży, składającej się z rzemieni i metalu, wyglądającej o wiele bardziej solidnie niż sam kosz. Otworzyła dziób i kłapnęła nim na przywitanie, po czym podeszła do Karala.

— Gdybyś mógł tu zapiąć — odezwała się, wskazując pazurem na klamerkę. — I tu... — pokiwała z aprobatą głową.

— Śśświetnie. Gdy przyjdzie Trreyvan, zrrrób to sssamo z jego uprzężą.

Przekrzywiła głowę i przez moment przyglądała mu się uważnie.

— Jeśli ci to pomoże: nossssiałam w tym kossszu nasze młode. Sssą już opie-rzone, lecz nie rradzą ssssobie z długimi lotami.

„Jeśli zaufała tej sieci na tyle, by powierzyć jej młode...” Instynkt macie-rzyński Hydony był jedną z cech wymienianych na pierwszym miejscu, nigdy nie zaryzykowałaby zdrowia swych dzieci. Karal odprężył się i uśmiechnął.

Skąd wiedziała, że właśnie ten argument go przekona?

— Dzięki, pani — odrzekł. — Naprawdę pomogło. Nigdy dotąd nie latałem. Hydona zachichotała.

— Zdziwiłabym sssię, gdyby było inaczej — odparła. — Ale chyba ci się ssspodoba.

Z góry spłynął Treyvan i z wdziękiem wylądował obok.

— Przyjrzałem sssię już okolicy, chyba sssą pewne prrrawidłowości — rzekł rażno. — A więc sssprrrawdźmy, czy sssię nie pomyliłem!

Zarażony jego energią Karal szybko przypiął mu do uprzęży liny trzymające kosz i wskoczył do pojazdu, ożywiony i pełen chęci do podróży. Ułożył swe przy-bory i zapomniał nawet o strachu, a gdy wznieśli się na wysokość kilku pięter, przepełniło go uczucie mocy i swobody.

Jak większość ludzi Karal czasem śnił o lataniu, lecz żaden sen nie przypo-minał tego, co się teraz działo. Poczul podmuch wiatru, posuwali się szybciej niż najlepszy koń, Karal uchwycił się krawędzi kosza — który utrzymywał równo-wagę nawet wtedy, gdy się wychylił — i popatrzył w dół, na miasto.

To tak gryfy widziały ziemię. Z tej wysokości miasto wyglądało zupełnie ina-czej, pojawiły się niewidoczne dotąd wzory, na przykład domy pochodzące z te-go samego okresu można było odróżnić po jednakowej konstrukcji dachów, po-dwórka wielu zdawałoby się olśniewających rezydencji odsłaniały smutną praw-dę o swych zbiedniałych lub niedbałych właścicielach. Mieszkańcy uboższych dzielnic wykorzystywali każdy skrawek gruntu, na dachach zakładali ogródki w doniczkach, wieszali pranie i urządzali spotkania towarzyskie. Kobiety i dzie-ci z otwartymi ustami spoglądały w górę, pokazując sobie gryfy, jedna z kobiet

krzyknęła i schowała głowę pod wiszącą na sznurku bieliznę.

Po chwili znaleźli się już poza miastem. Gryfy wzniosły się jeszcze wyżej, Karal z niepokojem spojrzał na chmury, na pewno nie był to najlepszy czas na burzę! Gdyby jednak teraz błyskawica strąciła go z nieba, zginąłby ze świadomością, że znalazł się tak blisko Vkandisa. . .

— Patrz! — zawołała Hydona, przekrzykując szum swych skrzydeł. — Tam, w dół! To pierrrwssszy znak!

Karal posłusznie spojrzał w dół i zobaczył, o czym mówiła Hydona. Dokładnie pośrodku zielonego pola znajdował się krąg wypełniony ciemnym piaskiem. Owce podejrzliwie mu się przyglądały.

— Musssimy wznieśśś sssię wyżej! — zawołał Treyvan. Hydona skinęła głową i wystrzeliła w górę.

Owce zmalowały do białych plamek na zielonym tle, powietrze oziębiło się i rozrzedziło, nawet w górach Karal nigdy nie dotarł tak wysoko. Dzwoniło mu w uszach, w oczach pojawiły się mroczki, lecz spoglądał w kierunku wskazywanym przez Treyvana.

Przez plecy Karala przebiegł dreszcz emocji. Znalazł to, czego szukali! Za kręgiem czarnego piasku leżała plama — prawdopodobnie również okrągła — ziemi wyraźnie różniącej się barwą od otaczającego ją gruntu. Jeszcze dalej można było dostrzec kolejną plamę leżącą w równej linii z poprzednimi dwiema. Co więcej, odległość między wszystkimi trzema była prawie równa.

— Lećcie w dół! — zawołał Karal do Treyvana. — Wylądujcie obok plamy piasku! Zrobię notatki i pobiorę próbkę, potem zrobimy to samo przy następnej. Zmierzymy odległość między nimi i jeśli ta trzecia jest tym samym. . .

— A potem czwarta i piąta — dodała Hydona. — Dobry pomysł, Karalu!

Opadali szybciej, niż się wznosili. Karal zacisnął dłonie na krawędzi kosza, choć miał raczej ochotę przycisnąć ręce do żołądka. Kosz jednakże wylądował miękko, leciutko tylko uderzając o ziemię, od czego zęby Karala zadzwoniły. Innych skutków lądowania jednak nie było.

Karal wyskoczył i krokami zmierzył średnicę okręgu, po czym w zwiniętą kartkę papieru nabrał nieco piasku, wreszcie naszkicował plan i opisał miejsce. Nie było tu widać żadnej żywej istoty, dla pewności Karal poruszył patykiem ziemię w środku okręgu, lecz nie znalazł nic prócz drobnego, ciemnego piasku. Owce obserwowały czynności człowieka z lekkim niepokojem, lecz na razie nie podjęły decyzji, czy uciekać czy raczej zostać. Bardziej bały się Karala niż gryfów, odsunęły się jak najdalej i pobekiwały, kiedy tylko się zbliżył.

Gryfy patrzyły z boku, słońce odbijało się w ich piórach. Karal marudził dostatecznie długo, by dać im czas na odpoczynek.

— W porządku — odezwał się wreszcie, kiedy nie zdołał wymyślić już nic więcej do mierzenia. — Jesteście gotowi?

Treyvan skinął głową i Karal wszedł z powrotem do kosza. Tym razem wzbijanie się trwało nieco dłużej, nie mając — prócz owiec — widowni podziwiającej jego majestat, Treyvan nie śpieszył się tak, jak w mieście.

Następna łąka miała również okrągły kształt — tym razem jednak nie była z piasku. Rosła tam trawa o krótkich i sztywnych źdźbłach, w dziwnym, żółto-zielonym kolorze. Sama ziemia była twarda i czerwona jak glina. Tutaj Karal znalazł kilka martwych owadów, nie różniących się od powszechnie spotykanych, mimo to jeden czarny żuk razem z garścią ziemi i kępą trawy powędrował do torebki jako próbka. Może ktoś inny zdoła z nich coś wywnioskować.

Trzeci krąg okazał się niespodzianką: wypełniała go gleba mogąca pochodzić z łąki w Karsie. Wszystko się zgadzało: szara, kamienista ziemia, górską, twarda trawa, zdatna do jedzenia tylko dla kóz — i kwitnące z jednej strony kwiaty z pewnością nie spotykane w Valdemarze. Karal wiedział o tym, gdyż drobna roślina stanowiła doskonały lek na ból głowy, kiedy zaś poprosił o nią valdemarskich uzdrowicieli, okazało się, że jej nie znają.

Pobrał próbki, zerwał zioło — prawdopodobnie już wkrótce bardzo się przyda — po czym porównał notatki i szkice. Odległość między kręgami ziemi była identyczna.

Polecieli dalej na północ, szukając innych śladów burzy, nie wszystkie były tak dobrze widoczne — czasami musieli lądować, by przekonać się, iż krąg gleby rzeczywiście został przeniesiony. Czasem tylko wyraźna, lecz cienka linia odgradzała obcy grunt od reszty terenu. Raz znaleźli krąg nie gleby, lecz stopionego piasku. Karal raz już widział coś takiego, w dzieciństwie, w miejscu, w które uderzył piorun. Piorun jednakże pozostawił ślad wielkości dłoni, tu zaś mieli przed sobą koło wypełnione poczerniałymi, popękanymi okruchami szkła, pełnymi pęcherzyków powietrza, wszystko zmieściłoby się na spory wóz. Coś uderzyło w ziemię z olbrzymią siłą. A gdyby tak się stało w obrębie murów miejskich?

A gdyby gdzieś — w Valdemarze, Karsie, Rethwellanie — coś takiego uderzyło w rejon zamieszkały? W gospodę ojca Karala? W świątynię?

— W dawnych czasach istniała broń mogąca wywołać takie skutki — odezwała się cicho Hydona. — Szaszaszna broń. W czasach Sskandrana używali jej wielcy adepci. Mieliśmy nadzieję, że już więcej jej nie zobaczymy w czasach naszych dzieci.

Broń? Taka możliwość nie przyszła Karalowi do głowy. Jak się przed tym chronić?

„Pamiętaj o Panu Słońca, Vkandis też mógłby tak uderzyć. On z pewnością chroni swój lud. Kars jest bezpieczny.”

Jednakże widząc coś takiego, trudno było nadal wierzyć, że Vkandis obroni swój lud. Wydawało się to zbyt chaotyczne i gwałtowne, jak kosmiczna katastrofa — a nawet Vkandis był podobno częścią wszechświata.

— Chyba wystarczy — odezwał się głośno Treyvan, otrząsając się, jakby

przyszło mu na myśl coś okropnego. — Czas wracać.

Posłusznie, choć zatroskany, Karal wszedł do kosza. Był zbyt pochłonięty rozważaniami, by cieszyć się lotem do domu.

Po zmierzchu magowie ponownie zebrali się w komnacie Rady, by porównać wyniki swych dociekań. Zjawił się także An'desha. Wyjaśnił już przyjacielowi, w jaki sposób poznał się z Karalem, Śpiew Ognia przyjął to ze spokojem. An'desha podkreślił, że to Talia ich zapoznała, Śpiew Ognia odnosił się do niej ze szczególnym szacunkiem.

Tym lepiej, An'desha miał zbyt wiele na głowie, by tłumaczyć się kochankowi ze zwykłej przyjaźni. Uderzenie burzy poruszyło najgłębsze wspomnienia Zmory Sokołów i An'desha jeszcze ich do końca nie uporządkował.

Przede wszystkim był pewien — jak niczego dotąd — iż to właśnie przed burzą ostrzegały go i awatary, i jego własne przeczucia. Wiedział już, że jakaś część jego pamięci rozpoznała to zjawisko — a raczej to, czego burza była zapowiedzią.

Jedno z wcieleń Zmory Sokołów nazywało się Ma'ar, postać ta wiązała się w jakiś sposób z burzą, lecz bez wnikięcia głęboko we wspomnienia An'desha nie umiał powiedzieć nic pewnego.

Kiedy Śpiew Ognia i Mroczny Wiatr wyszli, by poprzez swoje ptaki przeprowadzić zwiad na południe od stolicy, An'desha pozostał za bezpiecznymi osłonomi Doliny. Chociaż wolałby porozmawiać z Karalem, odważył się poprosić mistrza Ulricha o pomoc w poszukiwaniu najdawniejszych wspomnień. Ulrich zgodził się i zaproponował swoją komnatę jako miejsce spotkania, co An'desha przyjął z ulgą. Młody mag zebrał całą odwagę, jak wtedy, gdy zwabił Zmorę Sokołów w śmiertelną pułapkę — i zapadł w trans.

Po długim czasie obudził się, zbyt wstrząśnięty, by mówić. Ulrich go nie poganiał, siedział obok, trzymając filiżankę słodkiej herbaty, dając mu czas na odzyskanie równowagi.

Jednak zanim An'desha zdołał się odezwać, przybył Śpiew Ognia z wiadomością, że magowie już się zebrali.

— Ja też powinienem pójść — powiedział An'desha tak stanowczo, jak tylko mógł, Śpiew Ognia spojrzał na niego z ciepłą aprobatą.

„Od tak dawna usiłowałem przekonać mnie, bym zaakceptował moją moc i wynikające z niej obowiązki. . . Pewnie teraz cieszy się, że jego praca daje owoce.”

Pomimo oszołomienia wywołanego zetknięciem się ze śladami Zmory Sokołów, An'desha również czuł ulgę. Lepiej było podnieść ciężar, niż z obawą oczekiwać chwili, kiedy i tak będzie musiał się z nim zmierzyć. Podobnie czuł się po wizycie awatarów — jak małe, lecz jasne światełko wśród ciemności. Zaakceptował to, co musiał zrobić.

Poszedł z innymi do komnaty Rady i czekał, aż paziowie pozapalają latar-

nie wiszące na ścianach zdobionych gipsowymi ornamentami. Dworski artysta, siedzący dotąd w komnacie i szkicujący magów pod pozorem utrwalania historycznego wydarzenia, został wyproszony przez Darena. Karal siedział tym razem obok gryfów, wyglądał, jakby wrócił z wycieczki za miasto. Widząc przyjaciela, uśmiechnął się do niego niepewnie. Wydawał się zmartwiony, An'desha był niemal pewien, że to nie lot wprawił go w taki nastrój. „Karal jest odważny, bardziej niż ja. Nie bałby się samego latania. Coś innego musiało go przestraszyć.”

— Niech Karral przemówi w imieniu naszej trójki — odezwał się Treyvan, kiedy ucichł szelest papierów i szuranie krzesel. Gryf podniósł głowę, w jego zamyślonych oczach odbiło się światło. — Przedyskutowaliśmy wspólnie i Karral wyrazi nasze wspólne zdanie.

Karal chrząknął, wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego.

— Na razie odkryliśmy pewną prawidłowość łączącą miejsca, które odwiedziliśmy. Wszystkie kręgi ziemi mają podobne rozmiary i leżą w linii prostej, dzieli je ta sama odległość. Dolecieliśmy możliwie jak najdalej i nie widzieliśmy końca tej linii. Większość z nich wygląda, jakby kawałek gruntu został wycięty i zastąpiony innym. Zwykle tak przypominają ziemię valdemarską, że gdybyśmy ich specjalnie nie szukali, nie dostrzeżlibyśmy różnicy. Niektóre pochodzą z miejsc zupełnie mi obcych — na przykład najbliższy: krąg czarnego piasku na północ od pałacu. Znalazłem też glebę pochodzącą prawie na pewno z Karsu, rosło na niej ziele występujące tylko w tym kraju. Mam próbki wszystkich kręgów. Ale jeden z nich... różnił się od pozostałych. To był... stopiony piasek, jak źle zrobione szkło — przełknął z trudem. — Byłoby... bardzo źle, gdyby stało się to w okolicy, gdzie mieszkają ludzie.

— Czy widziałeś jakieś niezwykle zwierzęta, jak te, które nam opisywano? — spytała Elspeth.

Karal potrząsnął głową.

— Nie, nic nadzwyczajnego. Najwyżej owady nie występujące zwykle w tej okolicy.

— Ja znalazłem kilka dziwnych zwierząt, nawet ptaka — odezwał się Mroczny Wiatr. — A raczej to Vree je złapał. Odniosłem wrażenie, że zakłócenia przebiegały nieregularnie i nie odnalazłem żadnej prawidłowości, lecz nie przyszło mi na myśl, iż niektóre z nich mogą się nie różnić od otoczenia.

An'desha przysłuchiwał się niespokojnie. To wszystko coraz bardziej przypominało stare wspomnienia, by mogło być tylko przypadkiem. „Miałem nadzieję, że dowiodą mojej pomyłki, a oni potwierdzają moje obawy!”

Na razie siedział i chłonał każde słowo, nie mając dość odwagi, by przemówić.

Mroczny Wiatr opisał schwytane i sprowadzone do pałacu stworzenia, inni magowie, którzy udali się w pozostałych kierunkach, dzielili się swoimi obserwacjami. Karal również wtrącił kilka słów, spokojnie, lecz z szacunkiem. Nie odważył się dotąd formułować wniosków, lecz zaczął zaznaczać wyniki zwiadów na

mapie terenów otaczających Przyszań. Jego pewność siebie — a także zachęcające spojrzenia i jego, i Ulricha — dodały odwagi An'deshy.

— Wiecie, czym... kim byłem — odezwał się cicho, korzystając z chwili ciszy. Oczy miał utkwione w stole.

Wszyscy spojrzeli na niego, Karal przerwał pisanie.

— Ciągłe noszę w sobie wspomnienia Zmory Sokołów — ciągnął. — Także z czasów, kiedy żył w innych postaciach. Rozpoznałem burzę w chwili, kiedy się zaczęła, choć nie wiedziałem jeszcze, dlaczego i w jaki sposób. Proszę, nie bierzcie mnie za szaleńca. Mówię prawdę. Z pomocą mistrza Ulricha... poszukałem odpowiedzi na pytania, chyba wiem, co to za burza, co ją spowodowało i nawet wiem, dlaczego.

Zapadła cisza tak ciężka, że słychać było syk latarni.

— Miejcie cierpliwość, spróbuję wam to opowiedzieć. To najstarsze wspomnienia, do jakich dotarłem, chyba najstarsze ze wszystkich wspomnień Zmory Sokołów. Pochodzą z czasów, kiedy był on magiem i królem zwanym Ma'arem.

Gryfy zasyczały jednocześnie, podnosząc czuby. Nikt się nie poruszył.

— Wspomnienie takiej burzy pochodzi z czasów, kiedy zniszczono Bramę. Nie Bramę tymczasową, jakie i my znamy, ale stałą, gotową do przekroczenia w każdej chwili. Burza była niewielka, a jej skutki ograniczone do małego obszaru, lecz bardzo przypominały to, co opisaliście przed chwilą — zamilkł na chwilę, to, co miał teraz powiedzieć, było trudne, bardzo trudne, nawet pominawszy brzemie stuleci dzielących go od tamtych czasów. — Ale kiedy Ma'ar... umarł, wiedział, że jego królestwo — również królestwo jego wroga — czeka nieuchronna katastrofa. Oba królestwa zbudowano na magii, uzależniono od niej — a w chwili śmierci Ma'ara każde zaklęcie miało zostać zerwane. Bramy, osłony, pomniejsze zaklęcia — wszystko w jednej chwili. Ma'ar umarł, zanim poczuł skutki kataklizmu, lecz przypominały one to, co widzieliście, były jednak o wiele potężniejsze, trwały wiele dni i przemierzyły kontynenty.

— Kontynenty? — zapytał ktoś.

An'desha skinął głową.

— To pewnie nazwano w starych tekstach kataklizmem — zamruczał pod nosem Ulrich.

— Ale to było dawno temu — zdziwiła się Hydona. — Co to ma wspólnego z nami?

An'desha odetchnął głęboko. Teraz czekało go najtrudniejsze, choć z innych powodów niż poprzednio.

— Zwykle o tym nie opowiadam... Kiedy Zmora Sokołów uwięził mnie w moim własnym ciele, pomagały mi dwie... istoty.

„Proszę, proszę, uwierzcie mi!”

— Ma na myśli awatary Bogini — dopowiedział Śpiew Ognia, ściskając pod stołem dłoń An'deshy. — Wiem o nich od miecza Potrzeby. Wierzę im, ona także,

część z was widziała je, kiedy przywróciły Nyarze i An'deshy bardziej ludzkie postacie.

— An'desha mówił mi o nich — potwierdził Karal. — Ja także uważam je za prawdziwe wcielenia.

An'desha chrząknął, czując, że jego uszy i szyja oblewają się gorącym rumieńcem.

— Kilka razy ostrzegały mnie przed czymś strasznym, co czeka nas w przyszłości, czymś, co zagraża nie tylko Valdemarowi, ale wszystkim ziemiom. Myślałem, że chodzi tylko o Zmorę Sokołów, ale nawet po jego odejściu wciąż nawiedzały mnie koszmary i straszne przeczucia. Po magicznej burzy jeszcze raz sięgnąłem do wspomnień i... — Potrząsnął głową. — Nie jestem wielkim magiem wbrew temu, co myśli Śpiew Ognia, lecz teraz uświadomiłem sobie kilka strasznych rzeczy. Awatary mówiły raz o chaosie i mocy powracającej z głębin czasu. Wtedy myślałem, że to Zmora Sokołów, lecz teraz zmieniłem zdanie. Pamiętam, jak wiele mocy uwięziono w zaklęciach z czasów Wojen Magów. Ma'ar do ostatniej chwili wierzył, iż takiej mocy, uwolnionej w jednej chwili, świat po prostu nie zniesie — i, co ważne, moc ogniskowała się w dwóch ośrodkach. Według mnie dociera do nas echo tamtych wydarzeń, lecz odwrócone, jak w lustrze. Burza, którą przeżyliśmy, to tylko zapowiedź. — An'desha odetchnął głęboko i podsumował: — To, co się stało, to tylko wietrzyk poprzedzający nadejście huraganu.

Oślupiały Śpiew Ognia wpatrywał się w niego, Treyvan przerwał ciszę.

— Według trrradycji Kaled'a'in k'Lessshya po śmierrrci Urrtha szalały magiczne burze — rzekł spokojnie. — Podobno nie sssposssób opisssać ich sssiły i ogrrrromu znissszczeń, jakich dokonały. Sssama ziemia zosstała rrrodzarrta i przez nasstępnny rrrrok nawet czasss płynął inaczej.

— O tym samym opowiadają przekazy Tayledrasów — wtrącił Śpiew Ognia i potrząsnął głową. — Nie potrafię nawet ocenić, jakie skutki mogło przynieść uwolnienie takiej ilości energii magicznej. Jeśli teren wokół pałacu Ma'ara zamienił się w jezioro, a okolice wieży Urtha w taflę szkła, nie ma powodu wątpić, że tak potężne zaklęcia nie zdołałyby się wpleść w tkankę czasu. Mnóstwo zaklęć wiąże się z czasem, jakby to był materialny przedmiot, nawet niewielkie wybuchy energii niszczą normalny przepływ prądów w promieniu wielu mil.

Wszyscy zwrócili znów spojrzenia na śmiertelnie bladego An'deshę.

— Nie mam tyle wiedzy, by ryzykować dalsze przypuszczenia — rzekł pokornie. — I, wybaczcie, nie chcę zanurzać się w przeszłość po to, by ją zdobyć. Przynajmniej nie dziś. Na samą myśl czuję się chory.

— Ja znam ssstarrą magię Kaled'a'in — wtrącił Treyvan. — Taką, jaką sssam Urrtho przekazał Ssskandrrranonowi i Vikterrenowi. Ssstworzenie Brramy, zwłaszcza ssstałej Brramy, zmienia bieg czasssu, jak zwałone drzewo zmienia bieg ssstrrrumyka. W wieży Urrtha było przynajmniej dwadzieścia Brram, były

też inne rrrrodzaje brrroni, zbyt ssstrrrraszne, by Urrrtho ich kiedykolwiek użył. Do tego dodajcie osssłony wieży i magię miejsssc, w których urodziły sssię grrryfy.

Ulrich zmarszczył brwi w zamyśleniu.

— Ja... to wykracza poza zasób mojej wiedzy — odezwał się. — Jednak tyle mogę powiedzieć: ja też zostałem ostrzeżony przez awatara Vkandisa, że coś takiego się zdarzy.

Elspeth zniecierpliwiła się.

— Wy otrzymaliście niejasne ostrzeżenia, An'desha też, dlaczego nikt nie powiedział nic konkretnego?

Brzmiało to zupełnie logicznie, An'desha nie umiał odpowiedzieć. Ulrich jednakże uśmiechnął się lekko.

— Może sama Gwiazdzistooka ani sam Vkandis nie wiedzieli dokładnie, jakie będą skutki — odrzekł spokojnie. — Posłuchajcie. Kiedy bogowie dali ludziom wolną wolę, dopuścili do istnienia niepewności. Niektórych wydarzeń nie da się przewidzieć. Jeśli wolno mi posłużyć się porównaniem — potrafię przewidzieć, kiedy nadchodzi wielka burza. Opierając się na wiedzy, jaką posiadam, potrafię stwierdzić, biorąc pod uwagę kierunek wiatru i wygląd nieba, iż prawdopodobnie nadchodzi burza. Nie umiem jednak przepowiedzieć, jakie tereny zostaną zalane, jak wysoko podniesie się woda w rzekach, które domy zostaną zniszczone. Skoro to moc powracająca z dawnych czasów, chyba nawet bogowie nie potrafią dokładnie przewidzieć, Jaką przyjmie postać — być może z powodu naszych, ludzkich, działań magicznych przez te wszystkie wieki. Bogowie mogą nas tylko ostrzec.

— Czyli — rzekła powoli Elspeth po długiej chwili ciszy — dobra wiadomość to ta, że nie jest to wynik naszych działań czy też spisek Imperium. Zła — iż to nie jest zwykła magiczna burza. Jeszcze nie. To tylko... pierwsza fala, która wzburzyła wodę i zatopila łodzie, lecz prawdziwy sztorm jeszcze nie nadszedł.

An'desha spoglądał na twarze magów, musieli przyznać rację słowom Elspeth. Nawet jeśli nie zawierały całej prawdy, były jej najbliższe. Burzy nie wywołał żaden wróg ani sami magowie, jednakże nie potrafili jej też powstrzymać, tak jak nie potrafiliby zatrzymać prawdziwego huraganu.

— Widzę jednak jeden jaśniejszy punkt — odezwał się książę Daren. — Jak już zauważyła Kerowyn: Imperium w dużej mierze opiera się na magii i magiczna burza wyrządzi im o wiele większe szkody niż nam.

— Prawda — Elspeth przygryzła paznokiec. — Ale może też zniszczyć i nas, i Imperium. Cóż, jest jedna rzecz, którą możemy zrobić, choć nie wiem, czy na cokolwiek się przyda. Musimy wysłać ostrzeżenia do wszystkich sprzymierzeńców, by dowiedzieli się przynajmniej, co to było i czego jeszcze powinni się spodziewać. Przy okazji dowiedzą się też, że to nie my jesteśmy sprawcami tego uderzenia. A można się spodziewać gorszego, tak?

Spojrzała na Śpiew Ognia, uzdrowiciel wzruszył ramionami.

— Według mnie, tak. An'deshę nawiedzały prawdziwe koszmary, niemożliwe,

by dotyczyły tej niewielkiej burzy. Kiedyś już zdarzały się fale magicznych burz, jeśli to one wracają z przeszłości, to czeka nas potężne przesilenie.

— Musimy zebrać jak najwięcej informacji — nalegał An'desha. — Musimy znać każde miejsce zakłóceń w Valdemarze. Jeżeli zdołamy odkryć prawidłowość, może uda nam się przewidzieć, w jakie rejony uderzy kolejna fala.

— My — a raczej Tayledrasi — mamy najpierw inny obowiązek do spełnienia — wtrącił ponuro Śpiew Ognia. — To dlatego zamierzam zaraz po spotkaniu wysłać wiadomość moim rodzicom. Musimy zbudować najsilniejsze osłony, jakie kiedykolwiek powstały, wokół każdego kamienia-serca, włączając w to kamień pod pałacem. Jeżeli tego nie zrobimy, grozi nam walka z rozszalałą mocą kamieni — wtedy żadna burza nie będzie już potrzebna, gdyż zginiemy, zanim zdąży uderzyć.

Ku zdumieniu An'deshy Elspeth i Mroczny Wiatr pobledli, choć niełatwo było ich przestraszyć.

— W takim razie Mroczny Wiatr i ja — wszyscy magowie heroldów — powinni zabrać się do pracy — powiedziała Elspeth, odsuwając krzesło. — Wszystko inne może poczekać.

— Pomogę wam, jeśli chcecie — zaofiarował się Ulrich. — Znam pewnie sposoby osłaniania, o których nie słyszeliście.

— My także — zaśmiał się sucho Treyvan. — W końcu także nasze ogony znajdują się w niebezpieczeństwie!

— Czy ja... — zaczął An'desha, chcąc się przyłączyć, ale Elspeth i Śpiew Ognia potrząsnęli głowami.

— Wiem, że przeraża cię myśl o kolejnej wędrowce w przeszłość, ke'chara — odezwał się cicho Śpiew Ognia — lecz jeżeli zdołasz znaleźć tam jeszcze jakieś informacje, chciałbym, byś to uczynił.

— Poproszę k'Lessshya o kopie starych kronik — odezwała się Hydona. — Tam możemy znaleźć wiele informacji.

— Hm, Ris miałby pewnie także coś do dodania, ale jest tak zazdrosny o swoje historie! — Mroczny Wiatr podniósł brew, słysząc nerwowy chichot, którym odpowiedziano na jego komentarz. — Jednak zajmuje się historią, może ustna tradycja kyree przechowowała pamięć o tych wydarzeniach.

— Racja — przytaknął książę Daren, wstając i odruchowo wygładzając biały uniform. — Cóż, chyba powiedzieliśmy sobie wszystko, co trzeba. Idę z raportem do Seleny. Zostawiam was waszym obowiązkom.

Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami i obrzucił wszystkich niespokojnym spojrzeniem. An'desha nie wytrzymał jego wzroku, spuścił głowę, jakby to, co się stało, było jego winą.

— Choć czeka mnie niemiłe zadanie zanieśienia złych nowin królowej, nie zazdroszczę wam — rzekł w końcu książę. — Choć raz cieszę się, że nie jestem

magiem. Musicie czuć się, jakbyście wiosłowali naprzeciw wysokiej fali, której nie możecie powstrzymać.

Z tymi słowami wyszedł, za jego przykładem poszli pozostali. An'desha nie wiedział, co myślą, ale według niego słowa księcia Darena zawierały aż zbyt wiele prawdy.

Mimo ponurych przepowiedni księcia, Karal nie zamierzał poddać się bez walki. Na pewno coś można zrobić. Nawet jeżeli nie potrafią zatrzymać samej burzy, przecież mogą zbudować mocne schronienia, tak jak to robiono wszędzie przeciwko zwykłym burzom.

„Wtedy ktoś przeżył, w przeciwnym razie nas by tu nie było. Potrzebujemy więcej informacji. Im więcej się dowiemy, tym lepiej będziemy mogli się przygotować.”

Nie miał magicznych zdolności, ale wiedział dobrze, gdzie znaleźć ludzi wprost idealnie nadających się do zbierania informacji.

Podczas gdy Ulrich podążał za Elspeth, Mrocznym Wiatrem i gryfami do tajemniczej komnaty w podziemiach pałacu, Karal skierował się w zupełnie inną stronę.

Chmury zgęstniały i powietrze nasyciło się wilgocią, więc wstąpił jeszcze na chwilę do swej komnaty po płaszcz i poszedł ku niskiej bramie, którą pokazała mu Natoli. Tego wieczora pilnował jej nieznanomy strażnik, ale to nie miało znaczenia, większość z nich z pewnością znała każdą gospodę w Przystani.

Jak się okazało, miał rację, strażnik bardzo chętnie opisał Karalowi drogę do „Róży Wiatrów”, jego słowa zgadzały się z mglistymi wspomnieniami Karala.

Zanim wartownik skończył objaśnienia, przetoczył się nikły jeszcze grom i w oddali zajaśniała błyskawica. Karal wyszedł na ulicę w pierwszych ciężkich kroplach deszczu. Gdy docierał do tawerny, pojedyncze krople zamieniły się w ulewę i przez głowę Karala przebiegła niespokojna myśl: „A jeśli deszcz zatrzymał ich w domach? Jeśli nikogo nie zastanę? Co wtedy zrobić?”

Lecz kiedy przez otwarte drzwi buchnęło światło i ciepło, przekonał się, że jego obawy były przedwczesne. „Róża Wiatrów” pękała od nadmiaru gości, burza, zamiast odstraszyć błękitnych, raczej ich przyciągnęła do ciepłego schronienia.

Smakowite zapachy podrażniły żołądek Karala, lecz na razie chłopak zignorował głód. Odczekał, aż jego oczy przyzwyczają się do światła, a uszy do hałasu, i zaczął przeciskać się między stołami. Ku swej wielkiej uldze po chwili dojrzał głowę Natoli, dziewczyna siedziała tyłem, ale jeden z jej kolegów zauważył gościa i pomachał do niego. Natoli odwróciła się i gestem zaprosiła Karala do stołu.

Nie potrzebował dalszej zachęty, przyśpieszył kroku, mamrocząc przeprosiny dla tych, których bezceremonialnie potrącił, i wreszcie dotarł do stołu zajętego przez przyjaciół Natoli.

— Karal! Właśnie mówiliśmy o wszystkich dziwnych rzeczach, które się dzisiaj wydarzyły — powitała go Natoli, podczas gdy inni przesuwali się na ławce, robiąc miejsce dla przybysza. — Niektórzy mieli zawroty głowy, kilku nawet pomyślało, że to trzęsienie ziemi — a potem te dziwaczne zmiany za murami! To na pewno magia, lecz nikt z nas nie potrafi wyjaśnić, co się zdarzyło ani dlaczego — spojrzała na niego z namysłem. — Ty pewnie wiesz, prawda? Przecież jesteś w pałacu, w centrum wydarzeń.

Karal w myśli podziękował Vkandisowi za ten wstęp, lepszemu nie mógł oczekiwać.

— Owszem, wiem, co się stało, a przyszedłem właśnie po to, by z wami o tym porozmawiać.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego, a rozmowy umilkły. Karal poczuł się jak na wysepce ciszy pośród panującego wokół hałasu.

Miał ochotę wyrzucić z siebie wszystko naraz, słowa same pchały mu się na usta — ale ci młodzi ludzie kierowali się logiką, więc im jaśniej im to przedstawili, tym bardziej prawdopodobne, że mu uwierzą. Sam Karal nie uwierzyłby w to, o czym miał opowiedzieć, gdyby nie uczestniczył w wydarzeniach od samego początku. Będzie musiał opowiadać dokładnie, by nie podejrzewali go o zwodzenie lub, co gorsza, kłamstwo.

Zaczął więc od samego początku — od przeczuć An'deshy, relacjonując szczegółowo to, co się zdarzyło i to, co powiedziano na ten temat, jednakże nie wspominał o awatarach ani Altrze. Ci uczniowie wiedzieli o darze przewidywania, lecz objawienia bóstw mogłyby się okazać zbyt ciężką próbą dla ich zaufania.

Słuchali go uważnie, bez oznak niedowierzania, nawet kiedy opowiadał o skutkach magii wędrującej przez tysiąclecia.

— Wiem, że to brzmi niewiarygodnie — zakończył — ale do tego wniosku doszli nawet Śpiew Ognia i Elspeth. Księżę Daren im wierzy...

Natoli uspokajająco położyła swoją dłoń na jego ręce.

— Wierzymy ci, Karalu — rzekła i rozejrzała się wokół. — Prawda?

Odpowiedziały jej potakujące skinienia głów.

— Nie masz powodu nas okłamywać — odezwał się ktoś. — Poza tym twoje słowa zbyt dobrze pasują do tego, co dziś widzieliśmy. Mam tylko jedno pytanie. Nie jesteśmy magami i mamy do czynienia tylko z przedmiotami materialnymi. Dlaczego do nas przyszedłeś?

Karal odetchnął z ulgą, kamień spadł mu z serca.

— Ponieważ uważam, iż możecie pomóc — powiedział. — Oto dlaczego: w tej chwili szukamy prawidłowości, zasady, która pozwoli nam przewidzieć, co nas jeszcze czeka, a nawet, być może — kiedy się to stanie. Prawidłowości zaś to logika, matematyka.

— A któż lepiej od nas potrafi sobie radzić z matematyką i logiką? — dokończyła Natoli z oczami błyszczącymi entuzjazmem. — Zgadza się! Trafieś pod

właściwy adres. My... — przerwała na chwilę, marszcząc brwi. — Czekajcie, to trochę zbyt ważne zadanie na jedną małą grupę uczniów. O tym powinien usłyszeć każdy, a zwłaszcza mistrzowie.

Skoczyła na równe nogi i precyzyjnie się do kominka, przy którym wisiał wielki dzwonek. Karal nie widział dotąd, by ktoś go używał, więc uznał go za dekorację. Teraz, gdy Natoli pociągnęła za sznurek, zdał sobie sprawę z jego przeznaczenia.

W całej izbie natychmiast zapadła cisza, tak głęboka, że można było usłyszeć wycie wichru i szum deszczu na zewnątrz oraz szmer odsuwanych krzeseł w sąsiedniej komnacie, zajmowanej przez mistrzów. Po chwili oni także weszli do wspólnej izby, kilku z nich wyglądało na niezadowolonych, lecz większość wydawała się zaciekawiona.

— Oto nasz przyjaciel, Karal, sekretarz posła karsyckiego — odezwała się głośno Natoli. — Zapoznał nas mój ojciec, herold Rubryk, powiedział, że mogę mu zaufać. Dziś Karal dowiedział się o czymś, co według niego powinniśmy usłyszeć, kiedy opowiedział, o co chodzi, zadzwoniłam, by dowiedzieli się o tym wszyscy uczniowie i mistrzowie. — Skinęła na Karala, który wstał, oblewając się rumieńcem. — Karalu, czy mógłbyś powtórzyć to, co nam przed chwilą opowiedziałeś?

Wciąż zaczerwieniony Karal zaczął relację od początku, starając się trzymać chronologii wydarzeń. Kiedy skończył, nadal panowała cisza, ale żadna twarz nie zdradzała niedowierzania ani wrogości.

Wreszcie spoza pleców rzemieślników wystąpił niewysoki mężczyzna. Z szacunku, jaki okazywali mu uczniowie, Karal domyślił się, że to najwyższy rangą mistrz. Nie był wyższy od Natoli, łysinę na czubku głowy otaczał wianuszek siwych włosów, a ubranie nie różniło się od odzieży reszty zebranych, była jednak od niego siła autorytetu.

— Młoda damo... Natoli, prawda? Miałaś zupełną słuszność, uderzając w Dzwon Ciszy — odezwał się nieco chrapliwym głosem. — Rzeczywiście powinniśmy to wszyscy usłyszeć i z pewnością takie zadanie przerasta siły jednej małej grupki uczniów. A ty, młodzieńcze, nie pomyliłaś się, przychodząc tutaj — dodał, kierując spojrzenie na Karala, jego oczy niemal znikły w siatce drobnych zmarszczek. — Jak kiedyś powiedziałem, magia nie rozwiązuje wszystkich kłopotów.

— Znowu — zamruczał któryś z chłopców siedzących po lewej stronie Karala.

— Nie wiadomo, czy magia zdoła sobie poradzić z tym, co się stało — ciągnął stary mistrz. — Jeśli jednak szukasz fachowców potrafiących zbierać fakty i wyciągać wnioski — trafiłaś we właściwe miejsce!

— Zgadza się — dobiegło Karala ciche potwierdzenie ze strony pozostałych mistrzów, wydawało się, że wzmianka o magii nieco ich rozdrażniła i że z przyjemnością rozwiązałyby problem, z którym nie umieją sobie poradzić magowie.

Starzec spojrział wokół.

— Wiem, że macie swoje obowiązki i nie możecie ich zaniedbać — czy to naukę, czy budowę drogi, młynu albo domu. Jednakże z tego, co widzę, niemal każdy z nas ma jeszcze kilka godzin wolnego czasu — inaczej nie siedzielibyśmy tutaj, popijając wyśmienite piwo naszego gospodarza i racząc się nawzajem kłamstwami. Czy mogę poprosić was o poświęcenie tych wolnych godzin królowej i naszemu krajowi?

Karal szczerze wątpił, czy zgłosi się więcej niż jedna trzecia zebranych — co i tak stanowiłoby pokaźną liczbę, większą niż przypuszczał. Lecz nagle Natoli wskoczyła na stół i podniosła rękę, by zwrócić na siebie uwagę zebranych.

— Ilu z was spędziło czas nauki w kolegium? — zapytała. — Ile razy widzieliście wysoko urodzonych paniczków, spoglądających na nas z pogardą tylko dlatego, że musimy pracą zarabiać na życie? Ilu z was skreślało się z zazdrości, kiedy przejeżdżał obok herold na towarzyszu? Szlachta, heroldowie — oni zawsze byli ważniejsi, a naszym zadaniem miało być uprzyjemnianie im życia! Nasza pozycja jest niewiele wyższa od domokrażcy!

Studenci zaczęli gwizdać, popierając jej przemówienie, gorycz na twarzach mistrzów mówiła sama za siebie.

— Ale teraz możemy zrobić coś, czego oni nie potrafią! — zawołała triumfalnie Natoli. — Nawet ci świetni magowie nie przeszli takiej nauki, jak my — nie umiemy myśleć logicznie. Oni nie mogą rozwiązać problemu, ale my tak! Czyż nie?

Odpowiedział jej chór zacietrzewionych głosów, wyrażających całkowite poparcie. Natoli uśmiechnęła się z satysfakcją.

— Nawet gdybyśmy musieli poświęcić na to każdą wolną chwilę, i tak go rozwiążemy, prawda?

Odpowiedź była taka sama.

— A jak lepiej zdobyć fundusze na nasze projekty, niż pokazując im, co umiemy?

Tym razem krzyki zabrzmiały jeszcze głośniejsze. Natoli zeskoczyła na ziemię i skłoniła się lekko w stronę starego mistrza.

— Oto odpowiedź na wasze pytanie, mistrzu Henlinie — rzekła i wróciła do stołu.

Mężczyzna potrząsnął głową, ale uśmiechnął się. Poczekał cierpliwie, aż hałas przycichnie i skinął na pozostałych rzemieślników.

— Wybierzcie sobie pomocników, panowie, pewnie zdecydujecie się na własnych uczniów, ale nie przegapcie nikogo chętnego do pomocy. Mistrzu Tamie, mistrzu Levy, proszę, idźcie z tym młodzieńcem do pałacu i zaproponujcie nasze usługi królowej. Ja zorganizuję grupy na jutro. — Westchnął i potrząsnął głową. — Jestem już zbyt stary na bieganie w czasie burzy, inaczej sam bym poszedł.

Mistrz Tam — jak się okazało, mocno zbudowana kobieta w średnim wieku — zaśmiała się i skrzyżowała ręce na piersi.

— Henlinie, przez lata nie zdarzyło ci się wyjść z gospody, póki została choć kropelka na dnie dzbana. Nie oczekuję, byś teraz zmienił zwyczaje.

Mistrz Henlin wzruszył ramionami, nie wyglądał na skruszonego. Pozostali mistrzowie wrócili do swej komnaty, lecz Tam i Levy skierowali się od razu do stolika Natoli.

— Weźmiemy was, gagatki, skoro i tak was uczymy — odezwał się mistrz Levy, stojąc przy uczniach. — Znamy już wasze sztuczki i nie chcemy na nie narażać jakiegoś biednego niedoświadczonego kolegi.

Natoli skinęła głową.

— Dobrze. Co mamy robić?

— Siedzieć do świtu — odparła Tam i uśmiechnęła się, słysząc jęk studentów. — To oczywiste: po pierwsze musimy podzielić między siebie teren wokół Przystani, każda grupa dostanie część do analizy. Trzeba będzie poszukać anomalii — tych, które znaleźli heroldowie i tych, których nie zauważyli — z pewnością i takie się znajdują. Kiedy już pomierzycie wszystko co się da, zbierzemy się tutaj i porównamy wyniki. A co potem? — Wzruszyła ramionami. — Albo roześlemy was jeszcze dalej po kolejne nowiny, albo, opierając się na tym, co znajdziemy, opracujemy szczegółowe instrukcje i wyślemy je poszczególnym okręgom do wykonania. „Róża Wiatrów” zostanie prawdopodobnie naszą bazą.

— To prawie jak na zajęciach — jęknął jeden z chłopców.

— Właśnie tak — mistrz Levy przygwoździł nieostrożnego ucznia spojrzeniem. — Czy nie sądzicie, że warto by pomyśleć o odpoczynku, skoro macie wcześniej wstać?

Uczniowie posłusznie zaczęli zbierać płaszcze, przy innych stolikach również zaczęto się szykować do wyjścia — widocznie mistrzowie wydali podobne polecenia.

— Myślę, że powinniśmy zwrócić się do lady Elspeth, panie — odezwał się Karal do mistrza Levy’ego, stojącego najbliżej. — Na pewno jeszcze nie śpi. Czy możemy teraz iść do pałacu?

— Między nami, jestem pewna, że razem z Karalem zdołamy was przeprowadzić przez strażę — dodała Natoli. — Kręcę się po pałacu i kolegium od dziecka, a każdy wartownik i herold to mój wujek.

Mistrz Levy spojrzął na koleżankę. Mistrz Tam skinęła głową.

— Niezły plan — odrzekła, owijając się płaszczem i pociągając ostatni łyk z kubka stojącego na stole. — Chodźmy.

Przedzierali się przez strugi ulewnego deszczu, wkrótce płaszcze przemokły, a silny wiatr niemal zdierał im je z pleców. Krótki spacer do pałacu okazał się równie wyczerpujący, jak całodzienna jazda konna z Rubrykiem.

Wreszcie dotarli do bramy, strażnik rozpoznał ich i przepuścił bez żadnych pytań. Karal ocenił to jako błąd — mogli przecież w ten sposób wprowadzić wrogów królestwa. Postanowił powiedzieć o tym Alberichowi lub nawet Kerowyn.

Jednak w samym pałacu straże okazały się o wiele bardziej czujne. Przybyśców pozostawiono przed kominkiem, podczas gdy ktoś poszedł po Elspeth — i prawdopodobnie także sprawdzić, czy rzeczywiście byli tymi, za których się podawali. Paziowie przynieśli gorącą herbatę i ręczniki, płaszcze powieszono obok ognia, by wyschły. Powietrze wypełnił zapach mokrej wełny.

Elspeth nie była zadowolona z wezwania o tak późnej porze, wyglądała na zmęczoną. Kiedy jednak mistrzowie się przedstawili i wyjaśnili powód przybycia, rozpromieniła się i przeprosiła za niezbyt serdeczne powitanie.

— Przykro mi, że byłam nieuprzejma, właśnie skończyliśmy bardzo trudne zadanie i będziemy musieli powtórzyć je jutro dla wzmocnienia efektu — powiedziała, niecierpliwie odsuwając z czoła kosmyk wilgotnych włosów. — Nie potrafię wyrazić, jak jestem wdzięczna za waszą propozycję i jak bardzo doceniam waszą pomoc. Oczywiście przyjmuję ją — rzeczywiście trudno znaleźć kogoś bardziej biegłego w posługiwaniu się logiką. Może niektórym się to nie spodoba, lecz z pewnością ich przekonam — uśmiechnęła się do mistrza Levy’ego. — Matka z pewnością ucieszy się na wiadomość, że ktoś spróbuje zastosować dla odmiany matematykę, a nie intuicję!

Mówiła tak jeszcze przez chwilę, aż mistrzowie poczuli się wystarczająco docenieni i urosli z dumy. Z pewnością Elspeth była szczerą — i z pewnością rzemieślnicy obawiali się sprzeciwu ze strony herolda będącego jednocześnie magiem. Nic dziwnego, przecież jej nie znali.

„Czy przypadkiem nie przedłuża zanadto tych podziękowań?” — pomyślał Karal, kiedy Elspeth zaczęła powtarzać to, co już powiedziała. Wtedy zauważył jej spojrzenie rzucone na płaszcze i wiedział, że miała rację. Czekiła, aż wyschną.

„Może także chce zatrzeć pierwsze niezbyt miłe wrażenie?” Całkiem prawdopodobne.

— Cóż — odezwał się Levy, kiedy Elspeth zakończyła przemówienie. — Jeżeli o świcie mamy poprowadzić przez błoto drużynę niesfornych uczniów, musimy wracać, za pozwoleniem. Kiedy tylko dowiemy się czegoś konkretnego, damy znać, heroldzie Elspeth.

— Przyślijcie mi wasze pomiary i wykresy, dobrze? — poprosiła Elspeth, kiedy goście nakładali prawie suche płaszcze. — Mogą pomóc tym z nas, którzy nie radzą sobie z logiką.

— Oczywiście, pani — zapewniła mistrz Tam, zarzucając okrycie na muskułarne ramiona. — Teraz, jeśli pozwolicie. . .

— Posłałam po powóz, nie będziecie przynajmniej musieli wracać pieszo w taką pogodę — odrzekła Elspeth i skrzywiła się na widok ich wdzięcznych min. — Zapewniam was, mistrzowie: cokolwiek o mnie mówią, nie zdziczałam zupełnie

podczas pobytu w dalekich krajach!

Zaśmiali się i wyszli, poprowadzeni przez pazia. Wtedy Elspeth zwróciła uwagę na Karala, czekającego spokojnie, aż go odeśle.

— Czy to twój pomysł, panie sekretarzu? — zapytała ze srogą miną, ale iskierkami rozbawienia w oczach.

— Tak, pani — odrzekł. — Nie wiem zbyt wiele o magii, ale Altra — przyjaciel — poradził mi, bym zaufał swemu zdrowemu rozsądkowi. Wszyscy mówiliście, że potrzebujecie pomiarów i faktów, a mój zdrowy rozsądek podpowiedział, iż najlepiej poprosić o ich zebranie specjalistów.

— Twój przyjaciel miał rację — powiedziała Elspeth. — Nie potrafię wyrazić, jak jestem ci wdzięczna za to, że posłuchałeś swego rozumu. — Po czym, ku osłupieniu Karala, nachyliła się i pocałowała go, Natoli przyglądała się z rozbawieniem.

— Zrobiłeś dziś więcej niż ktokolwiek inny prócz magów i zasłużyłeś na odpoczynek — zakończyła Elspeth i zwróciła się do Natoli.

— Również tobie należy się podziw za to, że właściwie oceniłaś problem i nie porywałaś się na niego samodzielnie. Nie każdy młody człowiek potrafi poświęcić własną dumę, by jak najlepiej wykonać zadanie.

Natoli wzruszyła ramionami.

— Córka herolda uczy się opanowywać własną dumę, by nie przeszkadzała w wykonywaniu pracy — odparła.

— Córka herolda? — Elspeth spojrzała na dziewczynę z namysłem, ale nie spytała: „Dlaczego zatem także nie jesteś heroldem?”

— Dzięki temu poznałaś sekretarza Ulricha?

Natoli skinęła głową.

— Ojciec eskortował ich od granicy. Myślał, że pomogę Karalowi zadomowić się w Valdemarze.

Elspeth uśmiechnęła się.

— Chyba ci się udało, skoro trafił do „Róży Wiatrów"! Tam łatwo się zadomowić przy kilku dzbankach.

Natoli zachichotała. Elspeth jednakże jeszcze nie skończyła.

— Jest coś, co bardzo chciałabym ci powiedzieć, Natoli. Czasami wydaje się, że jest inaczej, ale naprawdę w tym kraju istnieją ważne, niezbędne prace, których nie mogą wykonać heroldowie. Między innymi dlatego towarzyszy nie spotyka się u nas na każdym kroku. Ty, twoi mistrzowie i koledzy jesteście równie ważni, jak ci wszyscy, którzy noszą biel — i nie pozwól, by ktoś cię przekonał, że tak nie jest. Heroldowie mają być symbolem dla ludzi, ale większość z naszej sławy należy się strażnikom i bardom.

Natoli zarumieniła się, zmieszana, Elspeth zaś pożegnała się i wyszła.

— Cóż — odezwała się Natoli. — Dlaczego mi to powiedziała?

Karal potrząsnął głową, chociaż miał swoje przypuszczenia. Zauważył starannie ukrytą zazdrość Natoli na widok uniformy Elspeth i matowy ton jej głosu, kiedy powiedziała, że jest córką herolda.

— Heroldowie. Kto wie? Może uznała, że powinnaś to usłyszeć właśnie od niej.

„I chyba o to chodzi, zważywszy twoją przemowę w gospodzie” — pomyślał. Natoli z zakłopotaniem wzruszyła ramionami.

— Cóż... wracam do siebie. Wizyta w pałacu nie zwolni mnie od porannej wycieczki ze wszystkimi.

— Dziękuję — powiedział Karal cicho, chwytając ją za ramię, kiedy się odwracała. — Nie udałoby się nam bez ciebie. Elspeth miała rację, dokonałaś wiele dobrego i jeszcze wiele dokonasz. Podziwiam cię.

Natoli zaczerwieniła się gwałtownie i odwróciła wzrok.

— Ja... ja muszę iść! — powiedziała i wybiegła. Karal patrzył za nią jeszcze przez chwilę.

Kiedy wracał do swych komnat, głowa pęczniała mu od myśli, których nie potrafił uporządkować. Był jednakże pewien jednego. Musi się przespać, mimo że ma tak wiele do przemyślenia. Prawdopodobnie będą to ostatnie spokojne chwile.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Następnego ranka wszystko wydało mu się snem.

A jednak Ulrich wstał bardzo wcześnie i wyszedł zaraz po odwołaniu wszelkich swych spotkań, Karal poszedł na lekcję do Kerowyn, ale i ona wydawała się roztargniona i pozwoliła mu łatwo wygrać. Karal poczekał na odpowiednią chwilę i powiadomił ją o zaniedbaniu strażnika.

Po lekcji nie wiedział, co ze sobą począć. Ulrich miał ważniejsze sprawy niż dyskusje i narady i wrócił do swej roli kapłana-maga, co pozostawiło jego sekretarza bez zajęcia.

Mistrz pojawił się w porze obiadu, przełknął coś w pośpiechu i spytał, czy Karal nie zapomniał odwołać jego spotkań.

— Tak, mistrzu — odparł Karal. — Czy mam jeszcze coś zrobić?

— Właściwie nic — powiedział Ulrich. — Odpoczywaj, masz wolne popołudnie. Ja idę na konferencję z magami. Na razie jesteśmy na etapie dyskusji, umocniliśmy osłony i... ale o to mniejsza. Zrób sobie wolne.

Z tymi słowami wyszedł, Karal zaś zaczął krążyć po komnatkach. Wreszcie dotarł do swej sypialni.

Po raz pierwszy od długiego czasu miał wolną chwilę, poczuł się znów samotny — niespodziewanie ogarnęła go tęsknota za domem. Dotąd nie miał czasu myśleć o sobie, jeśli nie pracował, spotykał się z An'deshą, zdobywał wiedzę o Valdemarze i heroldach — z biblioteki i od Floriana — później rozmawiał z Ulrichem o tym, czego się nauczył.

Nie miał okazji porozmawiać z mistrzem o ostatnich wydarzeniach i niespodziewanie zaczęło go to niepokoić. Przysiadł na łóżku i wpatrzył się w ścianę, czując się nagle niepotrzebny. Nie było sensu szukać An'deshy — na pewno także poszedł na spotkanie magów. Natoli wykonywała swe zadania razem z innymi uczniami. Florian przypominał Altrę — nie szuka się Towarzysza, on sam przychodzi, kiedy chce. Karal nie był magiem ani jednym z błękitnych i po prostu nie umiał znaleźć sobie zajęcia.

Och, przestań się nad sobą użalać! — parsknął Altra, pojawiając się znikąd i wskakując na łóżko. — *Dotąd potrafiłeś zdobyć się na inicjatywę. Dlaczego nie miałbyś tego powtórzyć? Jesteś dorosły, Karalu, nie jesteś już nowicjuszem!*

Oczywiście, że możesz znaleźć sobie jakieś pożyteczne zajęcie! Przecież jesteś pomocnikiem Ulricha, prawda?

— Prawda, ale... — zaczął Karal, podskakując z zaskoczenia na widok kota.

No to idź, pomagaj mu! Kto ma mu przypomnieć o śnie i jedzeniu? Czyż Solaris nie nakazała ci dbać o niego? Inni magowie są o wiele młodszy, więc będą pracować, póki się nie zmęczą, Ulrich zaś z poczucia obowiązku będzie usiłował dotrzymać im kroku. Kto ma robić notatki? Nawet jeśli nie do końca zrozumiesz, o czym mówią, możesz to zapisać, prawda? — Altra z widocznym rozdrażnieniem machał ogonem.

Karal kiwał głową, najpierw powoli, potem z coraz większym ożywieniem. Może nie odpędzą go, jeśli po prostu zjawi się przy drzwiach sali spotkań. Przecież był pomocnikiem Ulricha, a na konferencjach magów nikt chyba nie wcielał się w rolę sekretarza.

Poza tym to, czego się tam dowiesz, możesz przekazać Natoli i reszcie — dodał Altra, mrużąc oczy z chytrą miną. — *Poszukiwacze potrzebują tych informacji. Naprawdę nie mają pojęcia, jakimi prawami rządzi się magia, i im więcej im powiesz, tym lepiej wykonają swe zadania. Zgadza się?*

— Zgadza. — Karal wstał i pozbierał swe przyrządy do pisania. — Dziękuję, Altra.

Cała przyjemność po mojej stronie. — Ognisty kot znów poruszył ogonem, zeskoczył z łóżka — i zniknął, zanim dotknął podłogi.

Karal zadrżał. Wolałby, żeby Altra odchodził poza zasięg jego wzroku, dopóki nie zniknie. Jego sztuczki zawsze go zaskakiwały.

Karal wiedział, gdzie odbędzie się spotkanie — Ulrich o tym wspomniał. Nie w sali Rady, która mogła być potrzebna do innych celów, ale w komnatach gryfów, które były na tyle obszerne, by zapewnić im wygodę. Nigdy dotąd tam nie był, lecz z łatwością odnalazł pазia, który wiedział, gdzie mieszkają gryfy. Po drodze dziecko wyznało, że często bawiło się z młodymi gryfami. Karal potrząsnął głową ze zdziwieniem: rodzice zgodzili się, by ich dziecko przebywało w towarzystwie drapieżników zdolnych odgryźć mu ramię? To oznaczało, że gryfy potrafią zdobyć zaufanie mieszkańców Valdemaru.

Komnata mieściła się na końcu długiego korytarza, który wydał się Karalowi dziwnie znajomy. Wyglądał, jakby pierwotnie służył innym celom — świadczyły o tym podwójne, rzeźbione drewniane drzwi. Czyżby była to komnata audiencyjna? Zapukał lekko, zdziwił się, że to właśnie Ulrich otworzył mu drzwi.

— Karal? — zdziwił się kapłan, rozpoznawszy gościa. Trzymał skrzydło drzwi, jakby chciał je zamknąć, zmarszczył brwi. — Czy nie mówiłem ci...

— Nie macie nikogo, kto robiłby notatki, prawda? — przerwał Karal, zanim mistrz zdołał go zganić. — Nie macie posłańca, by wam coś przyniósł w razie potrzeby, musicie czekać na pазia. Nie macie nikogo, kto zatroszczyłby się o jedzenie i picie. Ja mogę to robić i, jak wiesz, mistrzu, nie będę zawadzał. — Do

jego głosu wkradła się błagalna nuta. — Proszę... chcę wam pomóc. To nie obowiązek, to przyjemność.

Twarz Ulricha rozpogodziła się.

— Nie myślałem, że zechcesz tu być — odrzekł z wahaniem, którego nigdy dotąd nie okazywał. — Ciężko pracowałeś, nie chciałem wykorzystywać twego dobrego serca. Bałem się, że się przepracowujesz...

Karal zakaszłał, rumieniąc się.

— Mistrzu, moim obowiązkiem jest dopilnować, byś to ty się nie przepracował. — Zniżył głos do szeptu. — Nie nadużywasz mego dobrego serca. Jestem dumny, że mogę ci służyć i czcić tak, jak czciłbym mego ojca.

Ulrich pochylił głowę i zamrugał szybko.

— Karalu, jesteś wyjątkowym człowiekiem. Jestem dumny, że mogę ci pomagać, kiedy tylko zdołam. Dziękuję. Z pewnością przyda nam się twoja pomoc.

Karal wślizgnął się przez uchylone drzwi, które Ulrich zaraz zamknął. W komnacie nie było mebli, tylko ogromne poduchy i puchowe łoża, to nawet logiczne, skoro mieszkały tu gryfy, nie ludzie. Śpiew Ognia właśnie przemawiał, nawet nie zauważył wejścia Karala. Sekretarz wyjął papier i pióra i od razu zaczął notować.

— ...jeśli wszyscy nalegacie, nie sądzę, by to zaszkodziło — mówił z zabawieniem w głosie. — Jednak powtarzam, według mnie, ci rzemieślnicy i inżynierowie, jak ich nazywacie nie przydadzą się na nic. Magia po prostu nie działa w sposób zgodny z ich sposobem myślenia, magia opiera się na intuicji, to sztuka, nie da się jej rozłożyć, przeanalizować i poddać regułom.

— Czy nie uczyłeś mnie praw rządzących magią? — sprzeciwił się An'desha. Karal podniósł w zdziwieniu brwi, lecz zgodnie z obietnicą nie odezwał się ani słowem. Czyżby An'desha po raz pierwszy nie zgadzał się ze Śpiewem Ognia?

— Owszem, ale... — Śpiew Ognia wydawał się zaskoczony, ale szybko odzyskał kontenans. — Prawa magii to tylko wytyczne! Elspeth i Mroczny Wiatr osiągnęli więcej niż magowie k'Sheyne właśnie dlatego, że nie wiedzieli o tym, co uważa się za możliwe, a co nie! Magia nie opiera się na logice. Nie zawsze działa w taki sposób, jak byśmy chcieli. Nie można przykryć jej kapturem jak schwytanego sokoła.

— Ale nie sprzeciwisz się, jeśli pomogę inżynierom? — naciskał An'desha. — Dopóki nie stracę przez to sił potrzebnych do wzmacniania osłon?

„On sprzeciwia się Śpiewowi Ognia? Czy księżyc wschodzi na zachodzie?”

Śpiew Ognia pokonany podniósł ręce.

— Jak mogę sprzeciwić się temu, co robisz w wolnym czasie? — spytał kwaśno. — Jeśli chcesz w ten sposób trwonić energię, twoja sprawa. Po prostu uważam, że nie przyniesie to żadnego pożytku.

— Zatem, kiedy już się z tym uporałimy, czy możemy wrócić do celu naszego spotkania? — zagadnął sucho Mroczny Wiatr.

Śpiew Ognia wzruszył ramionami i usiadł na poduszce w kolorze zieleni, tak ciemnej, że prawie czarnej. Karal zauważył z rozbawieniem, iż mag wybrał jedną poduszkę harmonizującą z jego szmaragdowym kostiumem.

— Zapytałem Rrisa o to, czy w ustnej tradycji kyree znalazła się wzmianka o burzach magicznych — powiedział Mroczny Wiatr. — Oto on — sam wam odpowie.

Rris powstał ze swego miejsca, na którym leżał jak posłuszny pies, postąpił krok naprzód, by znaleźć się w środku komnaty, skinął szarą głową i z godnością usiadł.

Ufam, że nie przeszkodzi wam, jeśli opowiem to w sposób tradycyjny?

— Absolutnie — odparł Śpiew Ognia. — Inaczej mógłbyś coś pominąć.

Rris skinął głową.

Słuchajcie wszyscy, od czasów Przemiany, od czasu Upadku Nieba i Gwiazd...
— zaczął, jego myślgłos dźwięczał w umyśle Karala. Pisząc w pośpiechu, Karal uzmysłowił sobie, że on sam zmienił się bardzo od czasu przybycia do Valdemaru. Nie tak dawno temu sam widok kyree przyprawiłby go o wstrząs. Teraz bez zastanowienia zapisywał jego słowa, przesyłane wprost do mózgu.

Czy to dobrze, czy źle?

„Ani dobrze, ani źle” — zdecydował, bez wytchnienia przesuwając piórem po papierze, zapełniając kolejne strony. „To po prostu zmiana. Albo człowiek się zmienia, albo zamienia w drewniany kłoc.”

Jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy: „Kłoc łamie się pod zbyt wielkim naciskiem.” W takim razie może to dobrze. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali, to załamanie któregoś z nich.

To był długi dzień, a Karal wciąż nie miał czasu na odpoczynek. Kiedy po zakończeniu narady An'desha poprosił go o opisanie drogi do „Róży Wiatrów”, Karal zaofiarował się zaprowadzić go tam po kolacji. Ulrich miał pracować z Elspeth i Tayledrasami nad umacnianiem osłon, do czego nie potrzebowali sekretarza, Karal prędko przepisał notatki i wyszedł z przyjacielem z pałacu.

Znaleźli się na ciemnej ulicy, mrok pogłębiały jeszcze chmury zasłaniające gwiazdy. Pod ich butami chlupała woda w kałużach, a z oświetlonych latarniami gospód dolatywały głosy gości.

— Dziękuję, że idziesz ze mną — odezwał się nieśmiało An'desha. — Sam czułbym się o wiele gorzej.

Zważywszy, iż An'desha po raz pierwszy opuścił teren pałacu, można było tak przypuszczać. Prawdopodobnie młody mag byłby przerażony. Jednak szedł dzielnie, czuł, że ktoś powinien wyjaśnić magię ludziom pozbawionym daru, a on nadawał się do tej roli najlepiej. Zaproponował to na zebraniu, w chwili, kiedy wszedł Karal, An'desha sam się zaofiarował pomóc uczonym, Śpiew Ognia zaś

zaoponował stanowczo.

„Może Śpiew Ognia jest zazdrosny? Może boi się, że An'desha znajdzie sobie kogoś innego. Ciekawe, czy takie wyjaśnienie przyszło mu do głowy?”

— Mam przy sobie notatki z narady i muszę dostać od nich kopie wyników dzisiejszych pomiarów — odparł Karal. — A poza tym... wiem, że jesteś nieśmiały i nie mógłbym puścić cię samego na spotkanie z tak dużą grupą obcych ludzi. Po to przecież ma się przyjaciół, prawda?

— Miałem nadzieję, że tak zrobisz — uśmiechnął się An'desha. — Ale nie śmiałem cię prosić. Masz tyle roboty z notowaniem i przepisywaniem notatek na spotkania. Przemęczasz się.

— Zanim się to skończy, wszyscy będziemy wykończeni, więc nie musisz się o mnie martwić — odparł Karal. W tej chwili dotarli do drzwi gospody, zatrzymali się na moment przed wejściem.

— Cóż, przygotuj się na całkiem nowe doświadczenie.

An'desha sprężył się cały, jednak gdy z otwartych drzwi napłynął gwar rozmów, cofnął się nieco. Gdy siedzący w gospodzie dojrzeli przybyszów, zapadła cisza. Podbiegła do nich Natoli, za nią szła mistrz Tam.

— Mamy dla ciebie wyniki i wykresy — zaczęła dziewczyna.

— A ja mam dla was notatki ze spotkania magów — odrzekł Karal. — I nie tylko, przyprowadziłem maga, który chce wam wytłumaczyć, jak działa magia. — An'desha miał ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie, ale jego zdenerwowanie zdradzało tylko drżenie rąk. — An'desha, oto Natoli i mistrz Tam. Natoli, mistrzu — An'desha, jednocześnie Shin'a'in i Tayledras, to jeden z magów, współpracownik lady Elspeth.

— Bardzo miło mi cię poznać, mistrzu An'desha — powiedziała Tam, składając ręce i kłaniając się, nie próbowała ścisnąć jego dłoni, co według Karala dobrze świadczyło o jej takcie. — Rzeczywiście bardzo potrzebujemy pomocy w zrozumieniu zasad działania mocy magicznej. W tej chwili próbujemy odczytać wiatr, co przynosi raczej mierne rezultaty.

— Rozumiem — odrzekł An'desha tak cicho, że Tam musiała się schylić, by go usłyszeć. — Cieszę się, że mogę pomóc.

— W takim razie chodźcie z nami. Karalu, mistrz Henlin potrzebuje twych notatek, by porobić ich kopie, dołącz do nas, kiedy cię puści.

Mistrz Tam zajęła się An'deshą, jakby była przyzwyczajona do troszczenia się o zagubionych nowicjuszy. Może i tak było, pewnie wielu jej uczniów przypominało nieśmiałością młodego maga. Dzieci wyróżniające się inteligencją zwykle popadają w kłopoty wśród swych mniej zdolnych rówieśników, Karal sam tego doświadczył w szkole klasztornej.

„Mam tylko nadzieję, że żaden z jej uczniów nie miał tak niezwykłego życia, jak An'desha. Nikomu bym tego nie życzył.”

Karal zaniósł notatki mistrzowi Henlinowi, siedzącemu w pomieszczeniu dla nauczycieli na tyłach budynku. Mistrz nachylał się nad morzem papieru pokrytego wykresami i cyframi. Kiedy Karal pozbył się ciężaru, pośpieszył do izby ogólnej, sprawdzić, jak radzi sobie An'desha.

Radził sobie nie najgorzej, pogrążony w dyskusji na temat pochodzenia energii magicznej.

— ... więc niektóre szkoły magów gromadzą rezerwy w specjalnych zbiornikach, jak wodę w basenach, pracujący tam magowie mogą zaczerpnąć mocy właśnie z takich zbiorników — mówił. — Jednakże wszystko to pochodzi z tego samego źródła — życia, które nas otacza. Jako istoty żywe musimy oddychać i poruszać się, wtedy uwalniamy energię.

— A co z adeptami, o których wspomniałeś? — zapytała Natoli. — Czy oni używają jakichś specjalnych źródeł energii? Czy istnieją źródła, z których tylko oni mogą czerpać?

— Owszem — pokiwał głową An'desha. — Ale nie są to zbiorniki stworzone przez innych magów. Są to zasoby energii występujące tam, gdzie spotykają się naturalne linie mocy, tak zwane ogniska, tak potężne, że tylko adept może sobie z nimi poradzić. Każdy inny mag albo w ogóle nie zdołałby zaczerpnąć z nich energii, albo zostałby wessany.

Jeden z chłopców zadrżał.

— Niezbyt miły koniec.

— Nie — odparł poważnie mag. — Ale, widzicie, to wszystko działa w zgodzie z prawami natury. Moc pochodzi z jakiegoś źródła i biegnie w jakimś kierunku, jak woda spływająca do morza. W końcu dociera do miejsca zwanego przez nas Równinami, składającego się w całości z energii i chaosu. Przypuszczam, że stamtąd wraca do naszego świata poprzez żywe istoty.

— O tym pomyślmy w wolnym czasie — wtrącił mistrz Levy, rozkładając na stole mapę. — Przebadałiśmy każdą piędź ziemi w promieniu pół dnia drogi od Przystani i oto nasze wyniki. Obszary przeniesione zaznaczyliśmy na zielono, stopione skały na czerwono, zaś obszary przemienione na żółto.

An'desha pochylił się nad mapą.

— Co to za obszary przemienione? — Karal zapytał szeptem Natoli.

— Miejsca, które pozostały tam, gdzie były, ale panuje w nich inna pora roku — odszepnęła. — Teraz mamy późne lato, tam zaś może być zima, jesień albo nawet wiosna. Rośliny, które powinny teraz owocować, kwitną lub straciły liście, owady zginęły albo zwinęły się w kokony, a ptaki i zwierzęta mają sierść zimową lub godową.

Karal zamrugnął ze zdziwieniem, Natoli odpowiedziała grymasem.

— Nie pytaj mnie, nie mam pojęcia, co mogło być przyczyną.

Karal zwrócił uwagę z powrotem na mapę i z ulgą spostrzegł, że znajdowało się na niej mniej plam czerwonych niż żółtych i zielonych. Rzeczywiście, ujawniła

się prawidłowość: plamy koloru leżały w równych odległościach i tworzyły wzór: trzy zielone, czerwona, trzy zielone — żółta. Jednak nie dało się odszukać środka ani początku.

— Zastanawiam się... — zaczął An'desha i urwał.

— Nad czym? — spytała Tam. — Śmiało, ty znasz magię, my nie. Jeżeli przychodzi ci do głowy jakieś wyjaśnienie, będę bardzo wdzięczna.

— Cóż... zastanawiam się, czy w miejscach stopionych i przemienionych nie uwolniło się zbyt dużo mocy, co spowodowało takie skutki? — Wzruszył ramionami. — To tylko domysły bez solidnych podstaw.

— My też możemy snuć tylko domysły — odparł Levy. — Sprawdźmy, czy ta teoria pasuje.

Karal pojął za ledwie połowę z tego, co powiedziano, lecz oni zdawali się rozumieć nawzajem doskonale. Ponieważ An'desha pozbył się strachu przed otaczającymi go ludźmi, a Natoli pograżyła się w ożywionej dyskusji, Karal zostawił ich i poszedł do jednego ze stołów kopistów, gdzie zabrał się do przepisywania notatek. Inni przerysowywali mapę, którą mistrz Tam rozłożyła na stole przed An'deshą.

„Mógłbym ją skopiować i zabrać ze sobą, dzięki temu zaoszczędzę innym pracy.”

Sięgnął po papier, pióra i atrament. Kiedy skończył, zabrał się za kopiowanie swych własnych notatek dla innych mistrzów.

Kiedy wreszcie przestał widzieć cokolwiek, dokończył ostatnią stronę, zwinął wszystko w jeden rulon i poszedł do stołu, przy którym siedział An'desha.

Wbrew obietnicy złożonej Śpiewowi Ognia, An'desha pokazywał zebranym próbki swej sztuki, co go zmęczyło, teraz gotów był wracać do pałacu. Kiedy Natoli również zerwała się do wyjścia, całe towarzystwo rozeszło się, ziewając.

— Pójdę z wami do pałacu — powiedziała Natoli, gdy Karal podawał przyjacielowi płaszcz. — Mieszkam tam w skrzydle przeznaczonym dla błękitnych, którzy nie mają patronów albo nie są wysoko urodzeni, albo nie mają rodzin w mieście. Dzielimy je z uczniami Bardicum i uzdrowicielami.

— Zastanawiałem się nad tym — przyznał Karal, owijając się płaszczem, Natoli odnalazła swoje okrycie w stercie ubrań w kącie. — Ciągłe myszkujeś po pałacu i czujesz się tam jak u siebie.

— W pewnym sensie to jedyny dom, jaki kiedykolwiek miałam — odparła Natoli. — Ojciec został Wybrany po śmierci matki wskutek komplikacji po porodzie. Nie — dodała szybko. — To nie byłam ja, dziecko urodziło się martwe. Ja miałam wtedy cztery lata. Ojciec przywiózł mnie ze sobą do Kolegium, gdyż nie miał co ze mną zrobić. Spędziłam tu całe życie. Kiedy jeździł w teren, opiekowali się mną inni heroldowie.

Cóż, nie było to najgorsze dzieciństwo, choć nie przypominało ciepłego domu Karala.

— Chyba czułaś się trochę samotna — odezwał się An'desha, kiedy Karal otwierał drzwi.

Natoli wzruszyła ramionami, wychodząc na ciemną ulicę.

— Raczej dziwne. Kiedy ojciec bywał tutaj, czynił wszystko, bym czuła się potrzebna i kochana. Z braku lepszych zajęć zaliczyłam wszelkie możliwe kursy w kolegiach, z wyjątkiem tych związanych z kompozycją i występami oraz z wykorzystywaniem daru bardów albo uzdrawiania. Potem pewnego dnia zdałam sobie sprawę z tego, co naprawdę chcę robić — wtedy poszłam do mistrza Tam i poprosiłam o przyjęcie na zajęcia. Ona zaś zapytała, dlaczego tyle czasu zabrało mi odnalezienie dziedziny, w której jestem dobra.

— Nie dziwię się — odrzekł Karal. — Mam wrażenie, że jeśli istnieje bezpośrednia droga do celu, mistrz Tam nigdy nie korzysta z okrężnej.

Mijali ich inni uczniowie, rozmawiając cicho.

— Owszem — zgodziła się Natoli z uśmiechem. — Ojciec był zadowolony, że znalazłam swoje powołanie i bez kłopotu udzielił mi zgody, od tej pory ucze się u mistrza Tam.

— Miałaś przynajmniej wybór — powiedział Karal z zazdrością. — Ja zostałem dosłownie porwany przez kapłanów. — Zaczął opisywać swoje dzieciństwo, a Natoli i An'desha słuchali z zaciekawieniem.

— Dziwne, z całej naszej trójki ja miałem dzieciństwo najbardziej normalne — zastanawiał się An'desha.

— O, nadrobiłeś to — Karal klepnął go w plecy. — Nieważne, wydaje mi się, że każdy, kto przewyższa inteligencją rówieśników, wpada w kłopoty. Najważniejsze to przewyciężyć je i pogodzić się z tym, że stanowią część rzeczywistości. Za to część życia, nad którą ma się kontrolę, powinno się ukształtować najlepiej jak tylko się da!

— To ma sens — przyklasnęła Natoli i zmieniła temat. — Zastanawiam się, czy uda nam się zdobyć kontrolę nad czymś do zjedzenia?

Minęło kilka dni, Karal wciąż był zapracowany: pomagał i magom, i rzemieślnikom. Z upływem czasu uczniowie i mistrzowie gromadzili coraz więcej wykresów, diagramów i map. Florian przekazał mnóstwo „danych”, jak to nazywała mistrz Tam, pochodzących od Towarzyszy wysłanych w teren ze swymi heroldami. Okazały się one bardzo ważne i dokładniejsze, niż te zebrane przez ludzi. Po trzech dniach pracy Karal zatrzymał się nagle w środku przepisywania, porażony nagłą myślą, a jeśli Pan Słońca nie pochwała jego postępowania? Od kilku dni nie widział Altry. Czy Vkandis się rozgniewał?

W tej chwili ognisty kot pojawił się w komnacie, przechodząc przez nią z dumnie zadartym ogonem.

Karal zamarł — nie dlatego, że Altra pojawił się właśnie teraz, kiedy o nim

pomyślał, ale dlatego, że stało się to w tłumie... niewierzących. Jak oni zareagują na tak niecodzienne zjawisko? Ognisty kot z pewnością nie przypominał zwykłego zwierzęcia.

Lecz inni nie zdradzali oznak poruszenia. Widzieli Altrę — omijali go, przechodząc przez komnatę — lecz nie poświęcali mu uwagi. Altra wskoczył na stół i z ciekawością przejrzał leżące na nim mapy i wykresy, a nikt się tym nie zainteresował, tak jakby to był najzwyklejszy domowy kot.

Zważywszy jego rozmiary — był większy od zwykłego kota cztery czy pięć razy — wydawało się to co najmniej dziwne!

Altra w końcu skierował się w stronę wpatzonego w niego Karala — i mrugnął do sekretarza z aprobatą.

Oni widzą tylko to, co spodziewają się zobaczyć — odezwał się tajemniczo. — *Mam dla ciebie nowiny: te same prawidłowości pojawiły się po burzy w Karsie i na południe od niego. Powiedz to reszcie. Wkrótce dostaniecie mapy i notatki od Solaris, wysłała je kilka dni temu.*

Z tymi słowami Altra zniknął pod stołem i już się nie pojawił. Karal jeszcze przez długą chwilę siedział nieruchomo z piórem w ręce.

„Cóż, przynajmniej popiera to, co robię” — pomyślał wreszcie — Oznaczało to jeden kłopot mniej, chociaż ostatnio na miejsce jednej troski pojawiały się cztery nowe!

Dzień później uderzyła oczekiwana druga fala, nadeszła trzynastdzieci dni po pierwszej, niemal o tej samej porze dnia.

Tym razem zakłócenia uwidoczniły się dopiero po kilku dniach, ktoś zauważył, iż w niektórych miejscach rośliny i owady zmieniły się — nie zginęły, ale nie przypominały też tego, co żyło tam przed burzą. Zwłaszcza rośliny przemieniły się w rodzaj prymitywnych zwierząt — tak się w każdym razie zachowywały. Reagowały na obecność żywych istot — niektóre się kurczyły, inne, przeciwnie, wydawały się sięgać po wszystko, co się zbliżyło. Niektóre rośliny zaczęły łapać i prawdopodobnie zjadać owady, inne wytworzyły dziwne sposoby obrony — kolce, ciernie i zadziory kryjące w sobie truciznę. Po dwóch dniach od burzy pewien rolnik znalazł swoją córeczkę na ścieżce pośród takich roślin. W ciele dziecka tkwiły setki maleńkich kolców, dziewczynka przysięgała, że roślina sama wystrzeliła kolce. Po tym wypadku Selenay rozkazała wysłać próbki roślin do pałacu, a same rośliny niszczyć, gdziekolwiek się je znajdzie.

Magowie przebadali zmienione rośliny, ale niewiele się dowiedzieli — jedynie Śpiew Ognia zauważył ich podobieństwo do niebezpiecznych „myślących roślin” ze skażonych ziem, zwanych przez mieszkańców Valdemaru Wzgórzami Pelagiru.

Trzydzieści dni później nadeszła kolejna fala.

„Jeśli taka pogoda potrwa jeszcze jakiś czas, powinienem wyhodować sobie skrzela” — Karal przedzierał się przez kolejną nocną ulewę w stronę „Róży Wiatrów”, tym razem jednak w lepszym nastroju niż kiedykolwiek przedtem.

Według Śpiewu Ognia ostatnia burza była troszeczkę słabsza niż poprzednie dwie. Nie zdołała zniszczyć żadnych osłon i chociaż nawet ludzie pozbawieni daru magii odczuli jej uderzenie, trwała krócej niż wcześniejsze fale. Na razie nie dotarły jeszcze raporty spoza stolicy, lecz magowie pozwalali sobie na ostrożny optymizm. Najgorsze minęło.

Dla tak dobrej nowiny warto było wychodzić nocą w ulewę — przynajmniej tak uważał Karal. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy usłyszą ją inni.

Otworzył drzwi gospody i wszedł w krąg światła i ciepła. Wszyscy zgromadzili się przy jednym stole. Panowała niezwykła cisza, na odwróconych ku wchodzącemu twarzach Karal nie dostrzegł uśmiechów.

— Mam dobrą wiadomość! — zawołał w ciszy. — Śpiew Ognia twierdzi, że ostatnia fala była najslabsza!

Jednakże nikt się nie ucieszył. Karal zaniepokoił się.

— Przecież była słabsza, prawda? Śpiew Ognia tak mówił. Nie straciliśmy osłon. . .

Mistrz Levy powoli pokręcił głową.

— Niestety, twój Śpiew Ognia myli się — odrzekł. — Ostatnia burza nie tylko nie była słabsza od poprzednich, ale nawet silniejsza. Nic opartego na magii nie ucierpiało, ponieważ wzniesiście bardzo mocne osłony, poza tym ograniczyliście używanie magii do absolutnego minimum. Podejdź tutaj i spójrz.

Pokazał drewnianą skrzynkę przykrytą kratką. Karal nie widział dokładnie zawartości, pochylali się nad nią wszyscy obecni. Podszedł więc do stołu i spojrzął.

Było tam zwierzę, ale niepodobne do niczego, co widział w swoim życiu. Wpatrywały się w niego obłąkane oczy, z głowy sterczały nagie, długie uszy, zaś czaszkę pokrywało rzadkie szare futro. Stworzenie parsknęło i Karal mimo woli cofnął się o krok.

— Nie dotykaj go — ktoś ostrzegł. — Przed chwilą omal nie odgryzło Semonowi dłoni.

— Co to jest? — zapytał, zafascynowany i przerażony jednocześnie. Zwierzę wydawało się znajome.

— Z tego, co wiemy, to był królik — mistrz Levy spojrzął na zwierzę i potrząsnął głową. — A raczej część tego była królikiem. Nie umiemy powiedzieć, czy w tym stworzeniu stopiło się w jedno kilka istot, czy też zwykły królik został zmieniony w jakiegoś mięsożercę. To dzieło ostatniej fali, zawiadomiliśmy pałac, by ostrzegli ludzi we wsiach. Mamy szczęście, że w miejscach takich zmian nie

przebywają na ogół większe zwierzęta. Nie wiem, w co mógłby się zmienić na przykład pies. Wydaje nam się, że energia burzy wzrosła na tyle, by oddziaływać na coraz większe istoty.

— Pomyśl, co by się stało, gdyby to była krowa, albo, co gorsze, świnia — dodał ktoś. Mistrz zadrżał, Karal nie miał mu tego za złe.

— Albo człowiek. Kolejnym dowodem na coraz większą siłę burzy jest pogoda na zewnątrz — kończył mistrz Levy. — Po każdej fali nadchodzi burza i ulewa, ta jest silniejsza od poprzedniej, a tamta z kolei była silniejsza od pierwszej.

— Ze złymi nowinami idą zawsze w parze dobre — wtrąciła Natoli, kiedy Karal odwrócił się od stołu. — Po trzecim uderzeniu mamy dość informacji, żeby odważyć się snuć przewidywania co do następnej, teraz wiemy, kiedy ona nadejdzie, jakie obszary zostaną dotknięte i jeszcze coś: dotąd nazywaliśmy je falami tylko ze względu na podobieństwo, ale to są naprawdę fale.

— Możecie je przewidywać? Naprawdę? — Karal rozluźnił się nieco. — Wspaniale! Jeżeli potrafimy je przewidzieć, możemy nie dopuścić, by powtórzyło się to, co stało się z królikiem!

— Na razie — odparł mistrz Levy. — Każda kolejna fala jest także większa i trwa dłużej...

— Czekajcie! — zawołał Karal. — Nie mówcie tego mnie. Powiedzcie to radzie magów, powinniście iść ze mną teraz, póki są jeszcze wszyscy i gratulują sobie, że Valdemar przeżył najgorsze. Nie powiadomili na razie nikogo, musimy ich zatrzymać, zanim dotrą do Selenay.

— Ma rację — zaskrzeczał mistrz Henlin, gładząc się po łysinie. — Jeżeli będziemy czekać do jutra, mogą nam nie uwierzyć, nawet jeśli pokażemy im zawartość skrzynki. Nawet gdyby nam uwierzyli, nie zechcą okazać się głupcami, odwołując przed królową to, co powiedzieli chwilę wcześniej. Prawda. Levy, Norten, Bret, idźcie z nim. Zabierzcie wszystkie nowe tabele i szkice fali! Idźcie! Poczekamy tu na wasz powrót. Może teraz, kiedy wiemy, jak zachowują się te fale, zdołamy opracować bardziej skuteczny sposób obrony.

Zwoje papieru starannie zwinięto i włożono do nieprzemakalnych tub, zebrano płaszcze i po chwili Karal prowadził przez ulewę grupę mężczyzn, którzy w innych okolicznościach nie poświęciliby mu chwili uwagi.

Burza fizyczna była rzeczywiście gorsza niż poprzednie dwie.

— Samo to powinno przekonać twoich magów o naszej racji! — zawołał mistrz Levy, przekrzykując grom. — Ten An'desha pokazał nam, jak nie osłonięta magia wpływa na pogodę i jeśli to nie jest przykładem na jego słowa, zjem moją tubę!

Według Karala tubie z pewnością nie zagrażał los smaczkowej przekąski, zważywszy na gwałtowność burzy. Miał nadzieję, że zastanie wszystkich tam, gdzie ich zostawił. Całą drogę do pałacu walczyli z wiatrem i deszczem, chociaż stojące

po obu stronach ulicy budynki nieco ich osłaniały. W pewnej chwili Karal wystraszył się, że nagły poryw wiatru powali ich na ziemię, ale do tego nie doszło.

Kerowyn musiała dać ostrą nauczkę strażom, gdyż teraz przepytывanie i tłumaczenie, kim są, zajęło trochę czasu. Karal jednakże nie narzekał na opóźnienie, w przeciwieństwie do mistrza Levy'ego, który pędził ścieżką, mamrocząc pod nosem. Karal podążał za nim, a dwaj pozostali zamykali pochód. Norten i Bret byli zbyt zajęci przytrzymywaniem swych płaszczy, by silić się na słowa, co Karalowi ani trochę nie poprawiło samopoczucia.

Jednakże po przekroczeniu drzwi do pałacu Levy oddał prowadzenie Karalowi, choć jego twarz nie była mniej pochmurna od szalejącej na zewnątrz burzy. Na szczęście komnaty gryfów nie znajdowały się daleko, Karal bał się, że zbyt długa zwłoka mogłaby spowodować wybuch mistrza.

„Może to nie zły humor, tylko troska. Może się martwi.”

Strach i zmartwienie różnie odbijały się na ludzkim zachowaniu, Ulrich w chwilach krytycznych stawał się bystrzejszy — może mistrz Levy miewał wtedy napady złego humoru.

„Nieważne” — powiedział sobie, kiedy dochodzili do drzwi komnat gryfów. „Na razie mamy większe kłopoty niż złe nastroje.”

Otwierając drzwi, Karal usłyszał dobiegający z wnętrza głos Elspeth. Oznaczało to, iż najbardziej potrzebna im osoba jeszcze stąd nie wyszła. Karal puścił mistrzów przodem i zawahał się przez chwilę. Właściwie mógłby odejść i pozostawić trud wyjaśniania mistrzom.

„Nie — powiedział do siebie surowo. — To byłoby tchórzostwo.” I niechętnie wsunął się do komnaty.

Karal słuchał, jak mistrz Levy mówi o matematyce — i zazdrościł Natoli takiego nauczyciela. Gdyby on miał podobnego, może nauczyłby się więcej i bardziej polubiłby ten przedmiot. Niestety, matematyka pozostała dla niego równie tajemnicza jak magia i do tej pory niechętnie wspominał lekcje.

— ...Widzicie więc — mówił mistrz Levy z pewną dozą ponurej satysfakcji — używając modelu matematycznego, potrafiłem przewidzieć miejsca zakłóceń podczas ostatniej fali. Zobaczymy, czy potwierdzą się one w całości — sprawdzą to grupy wysłane w teren. Jednakże te, do których zdołaliśmy dotrzeć przed zmrokiem, leżały tam, gdzie przypuszczałem — i miały rozmiary takie, jak przewidziałem.

— Czyli te burze w rzeczywistości są falami i tak się zachowują? — spytała Elspeth, na jej twarzy zmęczenie walczyło z potrzebą zrozumienia słów mistrza. Mroczny Wiatr przez jej ramię spojrział na wykresy, także on był wyraźnie zmęczony.

— Pod wieloma względami — odrzekł mistrz Levy i podniósł brwi. — Zakła-

dam, że was przekonałem?

— Przede wszystkim dzięki temu stworzeniu. Widziałam podobne na ziemiach skażonych — odparła Elspeth. — Zbyt podobne, by wątpić w wasze słowa.

— Ja także muszę się zgodzić, przynajmniej w tym, że fale stają się coraz silniejsze — dodał Śpiew Ognia z wielką niechęcią. — Gdyby było inaczej, nie zdołałyby odmienić w taki sposób królika. Lecz jednak... matematyka? Magia nie działa w ten sposób!

Ku zdziwieniu Karala mistrz spojrział na maga ze zrozumieniem i współczuciem.

— Panie, rozumiem twoje uczucia. Opierasz się na intuicji i czynisz to tak dobrze, że wyczuwasz prawa i zasady, nie próbując ich formułować. Podobnie artysta maluje wizerunek kwiatu albo śnieżycy — jednakże ja potrafię odwzorować ten kwiat w pojęciach ściśle matematycznych. Każdy płatek śniegu jest figurą matematyczną. Jeżeli pokażę to w sposób zrozumiały, czy mi uwierzysz?

Śpiew Ognia, ogłuszony, skinął głową. Mistrz Levy posiadał silną osobowość, dorównującą charakterowi maga — choć nie zawsze ją eksponował. Zapewne rzadko zdarzało się Sokolemu Bratu spotkać kogoś równego sobie pod względem inteligencji.

— Spójrzcie. To wasz pierwotny kataklizm — powiedział mistrz Levy, kładąc na stole czystą kartę i rysując na niej koncentryczne koła. Karal patrzył z podziwem — nie znał zbyt wielu ludzi, którzy potrafili narysować koło bez użycia narzędzi. Mistrz Levy musiał być także artystą. — Pierwotnie istniały dwa ośrodki mocy — ciągnął mistrz. — Jeden tam, gdzie dziś leżą Równiny Dorisza, a drugi w miejscu jeziora Evendim. Moc rozprzestrzeniła się w postaci fal — każde koło reprezentuje taką falę — widzicie, jak się spotykają i nakładają? To są właśnie obszary najbardziej dotknięte — miejsca spotkania wierzchołków dwóch fal.

— W takim razie dlaczego w pierwszej katastrofie ucierpiały tak wielkie obszary? — nie ustępował Śpiew Ognia. — To nie były małe kręgi ziemi, ale olbrzymie połacie od jeziora Evendim do wschodniej granicy Hardornu!

Mistrz Levy uśmiechnął się cierpliwie.

— Pierwsze fale miały pewien cykl — lub, jeśli wolicie, szerokość — olbrzymich rozmiarów, pokrywającą tereny kilku dzisiejszych krajów. Na terenach, na których znalazły się wierzchołki fal, energia była tak wielka, że nie trzeba było spotkania fal, by ucierpiał świat materialny — zrobiła to jedna fala. W ten sposób powstały Równiny Dorisza i Wzgórza Pelagiru — a jednak ludzie tam mieszkający przeżyli. Podejrzewam, iż na obszarach spotkania się dwóch fal nikt nie uszedł z życiem.

Śpiew Ognia przygryzł wargę, jakby słowa mistrza poruszyły jakieś wspomnienie, nie odezwał się jednak.

— Teraz... to także przypuszczenie, lecz wydaje mi się, że za pierwszą falą uderzeniową, pochodzącą ze zniszczenia dwóch ośrodków, przyszły następne,

krótsze i słabsze... — Przechylił głowę, pytając maga spojrzeniem, czy zrozumiał.

— Może... — wymruczał Śpiew Ognia niechętnie.

Mistrz Levy rzucił Karalowi porozumiewawcze spojrzenie.

— Spójrzcie: teraz rysuję koła bliżej siebie, mam powód. Kolejne fale były coraz krótsze, więc obszary ich nakładania się występowały częściej, lecz miały mniejszą powierzchnię — i tak do końca, do ostatniej fali. Skoro fale stawały się słabsze, zakłócenia powodowało już tylko nałożenie się ich wierzchołków. Dlatego w regularnych odstępach leżą małe obszary zakłóceń, odstępy między nimi to tereny, na których działały obie fale o różnych cyklach, cykle te prawdopodobnie skracają się, podobnie jak dzieje się z falami na wodzie — to z powodu strat energii.

Śpiew Ognia przestudiował szkic i powoli kiwał głową, nerwowo bawiąc się kosmykiem swych włosów.

„Śpiew Ognia zdenerwowany? Czyżby słońce weszło na zachodzie?”

— Jeżeli moje przypuszczenia okażą się prawdą, te fale powracają do nas przez czas, ale w odwrotnej kolejności, jak odbite w lustrze — powiedział mistrz Levy i czekał, jak nauczyciel, którym przecież był, aż ktoś inny wyciągnie wnioski.

— Czy chcesz powiedzieć, że zaczęło się od fal krótkich i słabych, a skończy na najsilniejszych? — zaryzykował Mroczny Wiatr.

— Właśnie tak — odparł mistrz, kiwając magowi głową, jak dobremu uczniowi. — W dodatku fale posuwają się w odwrotnym kierunku: zamiast rozchodzić się od jeziora Evendim i Równin, zmierzają do nich. Znaczy to, że w końcu cała ich siła skupi się na tych dwóch obszarach.

— Och! — Elspeth podniosła dłoń do twarzy, zapadła cisza.

— W miarę wzmacniania fal obszary zakłóceń nie będą już związane tylko z miejscami spotkania się wierzchołków, lecz osiągną wielkość... — mistrz przerwał na chwilę — przypuszczam, że koło jednej trzeciej szerokości fali. Jeszcze raz ogarną one tereny wielkości kilku krajów.

Śpiew Ognia usiadł powoli.

— Przekonałeś mnie, matematyku — rzekł z pobladłą twarzą — Masz zbyt dobre argumenty. Powiedziałeś także, że mój naród jest skazany — mój i Shin'a'in. Mieszkają oni na terenach, które najbardziej ucierpią. Żadne osłony nie wytrzymają takiej siły.

W ciężkiej ciszy rozległo się nagle parsknięcie mistrza Nortena — mocno zbudowanego, niskiego mężczyzny, dotąd milczącego. Zebrani podskoczyli.

— Co się stało? — spytała Elspeth.

— Nikt nie jest skazany, młodzieńcze. — Mistrz spojrzał ostro na maga, jakby posądzał go o wyjątkową tępotę. — Mamy dość informacji, by przewidzieć szerokość kolejnych fal! Wiemy wystarczająco dużo, by przewidzieć ich siłę i miejsca

spotkania! W tej chwili niebezpieczne są tylko one, możemy trzymać ludzi i zwierzęta z dala od nich i zniszczyć rosnące tam rośliny. Na razie mamy rozwiązanie — zyskaliśmy na czasie i możemy poszukać ostatecznego rozwiązania.

— Macie? — Elspeth zapało dech.

— Mamy? — zdziwił się mistrz Levy.

Mistrz Norten szturchnął kolegę swą laską.

— Oczywiście, że mamy, ty ośle! Ty nie widzisz nic poza tymi modelami matematycznymi. Pomyśl, człowieku! To ty zauważyłeś, że ta moc zachowuje się jak fale! A czyż nie umiemy chronić zatok i portów przed sztormami za pomocą falochronów? Dlaczego więc ci magowie nie mieliby skonstruować podobnych falochronów dla ochrony miast, ognisk i innych ważnych miejsc? — Patrzył na nich, jakby nie wierzył, że nie widzą czegoś tak oczywistego. — Do licha! Dlaczego nie mogliby zbudować falochronów dla każdego kraju należącego do sojuszu?

— To dlatego właśnie jestem matematykiem, a nie inżynierem — odrzekł smutno mistrz Levy. Mistrz Norten parsknął raz jeszcze, wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

— Chyba... chyba to możliwe — zastanawiał się Mroczny Wiatr ze zmarszczonymi brwiami.

— W takim razie zróbcie to, chłopcze! — odparował Norten. — My podamy wam daty i punkty przecięcia fal. Z waszą pomocą zdołamy ustalić siłę i szerokość fal. Mając takie dane, nie rozumiem, dlaczego nie mielibyście zrobić reszty, zamiast siedzieć i jęczeć!

— Ale magia nie działa w ten sposób — wyszeptał Śpiew Ognia, tym razem prawie błagalnie.

— Przykro mi, Śpiewie Ognia, ale myliłeś się — odrzekł Karal, któremu wcale nie było przykro widzieć maga wreszcie pokonanego. Może teraz uwierzy, że nie jest ekspertem we wszystkim. Podał magowi wykresy dotyczące ostatnich dwóch fal — własne kopie, które nosił przy sobie. Skonfrontowany z rzędami beznamiętnych, logicznych cyfr i reguł nawet Śpiew Ognia musiał się ugiąć i przyznać do porażki.

— Zgoda — rzekł wreszcie adept. — Myliłem się. Obiecuję nauczyć się tym posługiwać. Ile mamy czasu do największej magicznej burzy?

— Jeszcze tego nie obliczyliśmy — odparł natychmiast mistrz Levy. — Wiemy tylko, o ile silniejsze będą kolejne fale. Pomogłoby nam, gdybyśmy wiedzieli, jak silne i jak szerokie były pierwotne fale.

— Tak szerrrokie, że Kaled'a'in zosstah ogarrnieni kataklizmem, mimo odległości, jaką przebyli od czasssu opuszczenia Wieży Urrrrtha — wtrącił Treyvan. — Jednakże wydostahśśmy sssię na zewnątrz, zanim znaleźliśmy czysstą ziemię. Tam sssię zatrzymaliśmy. Może my damy wam choć przybliżone wielkości.

— To wystarczy — odparł mistrz Levy. W pierwszej chwili wydawał się nieco

zaskoczony, ale szybko przyjął do wiadomości fakt, że gryfy mówią i są równie inteligentne, jak ludzie.

— Mogę wysłać magiczną wiadomość — zaofiarował się Śpiew Ognia. — ... czy w historii opowiedanej nam przez Rrisa nie było mowy o tym, jak długo trwały efekty pierwszego uderzenia?

— Była wzmianka, dość mglista — odrzekł Karal po chwili, sprawdzwszy w notatkach. — Mam ją tutaj. Rris powiedział tylko: „wiele księżyców”. To niewiele pomoże.

— Mamy jednak kilka miesięcy, by wyobrazić sobie, co się stanie, kiedy potwór nadejdzie — wtrącił szybko mistrz Norten, po czym ziewnął szeroko i zrobił zaskoczoną minę. — Na bogów i demony, musi być naprawdę późno, skoro ziewam! Może my trzej spotkamy się z magami jutro rano i zobaczymy, co zdołamy razem zrobić?

— To dobry pomysł — przytaknął Śpiew Ognia. — Mam nadzieję, że mi wybaczyacie. Nie jestem przyzwyczajony do tego, że się myślę, i drażni mnie, kiedy tak się dzieje.

— Rozumiem — odrzekł Norten z sardonycznym uśmiechem. — Ja także nie lubię tego uczucia.

— Możemy się więc dogadać. — Śpiew Ognia chwycił dłoń mistrza, Elspeth i Mroczny Wiatr przyglądali się — ona z aprobatą, on z rozbawieniem. — Zatem do jutra?

— Do jutra. — Mistrz Norten spojrzał na Karala. — Mam nadzieję, że także się zjawisz, ze zręcznymi palcami i ostrym piórem. Chcę notatek ze wszystkiego, nawet gdyby coś wydawało się pozbawione sensu. Może się przydać.

Karal westchnął. Zapowiadał się długi dzień.

— Będę — obiecał, przybyła mu następna grupa, dla której miał robić notatki. W tym tempie zedrze sobie palce do kości! Dobrze, że miał teraz nowe, szklane pióra, trwalsze od metalowych.

„Cóż, sam się zgodziłem. Może w ten sposób wywrę wrażenie na Natoli. Zdaje się, że niczego tak nie podziwia, jak fachowości. . .”

Dopiero idąc korytarzem obok Ulricha, zastanowił się, dlaczego taka myśl przyszła mu do głowy.

* * *

Wielki książę Tremane słuchał opowieści swych podwładnych z pozbawioną wyrazu twarzą. Wszyscy przyjechali tu konno, jak w barbarzyńskim wojsku, a nie w dumnej armii Imperium. Większość z nich od lat nie musiała podróżować kon-

no, lecz teraz, po zniszczeniu Bram — powtórnym zniszczeniu — nie było innego wyjścia.

Dla każdego było oczywiste, że wojska Imperium znalazły się w stanie kontrolowanej paniki. Kiedy tylko magowie zdołali uporać się ze zniszczeniami, nadeszła kolejna fala i ponownie zniszczyła wszystkie zaklęcia. Nie było nawet czasu, by wznieść osłony! Teraz powtórzyło się to po raz trzeci, z jeszcze gorszymi skutkami niż poprzednio, osłony, które przetrzymały pierwsze dwa uderzenia, załamały się.

Ani jeden z dowódców nie troszczył się teraz o zdobycie kolejnych obszarów Hardornu, chcieli jedynie, by wszystko wróciło do normy. Nawet magowie zajmujący się pogodą napotkali trudności — nie potrafili już kontrolować powtarzających się burz i usiłowali jedynie utrzymać je w bezpiecznej odległości od obozów.

Dodając do tego panikę i fizyczne skutki burz, można było się spodziewać kompletnego chaosu i ogólnej katastrofy, jeżeli główny dowódca nie spróbuje dodać ducha żołnierzom. Plotki krążące po obozach niepokoiły nawet weteranów, rekruci często wpadali w histerię i starsi żołnierze musieli ich pilnować. Opowiadano, że Hardorneńczycy wezwali na pomoc Czarnych Królów z południa, że burze spowodował niechcący pewien mag z Imperium, że to Valdemar pokazywał ukrywaną dotąd moc heroldów i ich białych koni. Nikt nie wiedział na pewno, ale każdy układał teorię. W większości wyobrażenia te kończyły się wróżbą pierwszej od stuleci porażki, jaka czekała Imperium, jeżeli Tremane nie wyciągnie asa z rękawa.

Kłopot w tym, że sam książę nie miał pojęcia, co robić.

„Przyrzekam wam tonę kadzidła i kopę świec dla każdego — obiecał w myśli czterdziestu bogom — jeśli ześlecie mi jakieś natchnienie!”

Jednakże boska interwencja wydawała się mało prawdopodobna. Żaden z czterdziestu nie odpowiedział.

— Musimy coś zrobić — odezwał się wreszcie generał Harde — Rozkaż cokolwiek, wszystko jedno co, bo inaczej żołnierze pomyślą, że stracicie kontrolę nad sytuacją.

— Zebrać się — powiedział w końcu książę. — Sprowadźcie tu swoje oddziały, niech się rozłożą wokół tego obozu. Niech ostatnie piekło pochłonie plany kampanii, chcę mieć żołnierzy tak blisko, bym mógł porozumiewać się z nimi przez pieszych posłańców. Wtedy możemy wznieść całkiem materialne umocnienia. Opuścić pierwszą linię, cesarz i tak nie ma szans dowiedzieć się, co robimy.

„Oby tylko Imperium wycierpiało to samo, co my!” — modlił się. „Chaos w państwie może mnie na razie ocalić i przekona cesarza, że nie przesadzam, mówiąc o kłopotach, by ukryć brak kompetencji. A jeżeli to sam cesarz nasłał coś takiego na mnie, na swych oddanych żołnierzach...”

Nie dokończył tej myśli, to byłaby zdrada, a on jeszcze nie był gotowy na

zdradę.

„Jeszcze nie teraz.”

— Co z dostawami? — spytał jeden z dowódców. — Jak wykarmimy taką masę ludzi?

— Jeszcze nie wiem, odpowiem wam, kiedy ich tu sprowadzicie — obiecał książę. — Na razie mam zapasy na dwa tygodnie dla całej armii, zanim będziemy zmuszeni zmniejszyć racje. Na razie ciągle atakują nas rebelianci. Będzie dla nas lepiej zebrać się razem, niż rozciągać w długą linię w poprzek kraju. Nie zamierzam pozwolić, by odcięto od armii jakikolwiek oddział.

Dowódcom wyraźnie przybyło odwagi, mieli konkretne rozkazy do wypełnienia. Po pieszym marszu i fizycznej pracy przy budowie umocnień, żołnierzy także łatwiej będzie opanować.

„Powinienem polecić inżynierom zaprojektowanie takich murów, które zbudujemy z łatwo dostępnych materiałów, używając głównie siły mięśni. A potem, jeśli będę musiał, pójdę choćby pieszo do Imperium” — pomyślał ponuro, odsyłając podkomendnych. Zajął się raportem nadesłanym przez uczonych, poprzedniej nocy dosłownie wyrzucił ich z łóżek i posłał do całonocnej pracy. „Mogę popaść w niełaskę, ale nie zostawię tutaj ludzi na pewną zgubę, by buntownicy łowili ich po dwóch czy trzech.”

Na szczęście przywiózł z sobą bibliotekę, gdzieś kiedyś musiało zdarzyć się coś podobnego. Rozkazał szkolarzom zarzucić wyszukiwanie informacji na temat Valdemaru i skupić się na szukaniu śladów podobnego wydarzenia. Musi, na bogów, dowiedzieć się, gdzie i kiedy rozpętały się takie burze, a przede wszystkim — jak obronili się przed nimi ludzie!

„Mój panie”

— zaczynał się list, główny historyk został wystarczająco uderzony ostrym tonem komendy, by nie ubarwiać swego listu niepotrzebnymi pochlebstwami, lecz skupić się na najważniejszym. Z drugiej strony on także musiał się teraz obejść bez magicznych świateł, bieżącej wody i magicznego ognia, co zapewne przekonało go o powadze sytuacji.

„Zakłócenia, które ostatnio wystąpiły, są na tyle niezwykle, iż mogliśmy od razu odrzucić większość tekstów z twojego księgozbioru. Ja i moi trzej współpracownicy znamy historię Imperium i wiemy, że nie znajdziemy nic w kronikach państwowych, zaczęliśmy więc od razu od kopii tekstów pochodzących jeszcze sprzed czasów założenia Imperium.”

Tremane usiadł zaskoczony. Kopie najstarszych pism posiadał tylko dlatego, że interesował się historią, rzadko kto posiadał takie starocie. Książę poświęcił

duże sumy na łapówki, by zdobyć niektóre z tych ksiąg, Teraz cieszył się, że nie pożałował na to pieniędzy.

„Po pierwsze, muszę ostrzec, że teksty te są mieszaniną archaicznych języków i dokładne ich przetłumaczenie zajmie nam trochę czasu. Na razie zgodziliśmy się wszyscy co do ich ogólnej treści.

Po drugie — same teksty to zapiski grupy wojowników, część z nich to najemnicy, pozostali — podwładni jakiegoś pana.”

To zgadzało się z oficjalną historią państwa. Tremane podparł ręką brodę i czytał dalej.

„Grupa ta stanowiła część większych sił, lecz została odcięta od reszty po niespodziewanym zwycięstwie wroga. Ich pan doradził im ucieczkę — jak najszybciej i jak najdalej — przez Bramę.”

Ciekawe. Tego nie znalazłoby się w oficjalnych kronikach, według których grupa wojowników odeszła samowolnie, by rozpocząć podbój.

„Nie wiemy, dlaczego uciekli, zgadujemy, że ów pan chciał, by wróg zdobył tylko popioły, by zwycięstwo nic mu nie przyniosło. W każdym razie wzniesli Bramę, kierując ją w stronę uznaną przez siebie za bezpieczną, daleko na wschód od miejsca, w którym zostali odcięci. Potem, kiedy przez nią przechodzili, coś się stało — i katastrofa, prawdopodobnie magicznej natury, odrzuciła ich o wiele dalej, niż zamierzali dotrzeć. Wylądowali na ziemi zupełnie nie znanej, która potem została, jak pewnie się domyślasz, sercem Imperium. Później nastąpiła seria zakłóceń, nazwanych przez jednego z nich „magicznymi trzęsieniami”, a przez innego „wstrząsem po uderzeniu”. Opisy zakłóceń wydają się odpowiadać kłopotom, jakie teraz mamy.”

Miał nadzieję, że dowie się właśnie czegoś takiego! Poczul przypyływ dumy...
...by w następnej chwili zostać przybitym dalszym ciągiem listu.

„Bardzo zależało ci na tym, panie, byśmy znaleźli sposób, w jaki ówczesni poradzi sobie z tym zjawiskiem. Niestety, nie mam dobrych wieści. Ponownie wszyscy trzej jesteśmy jednomyślni w odczytywaniu tekstu: nasi przodkowie nie uczynili nic. Nie mogli nic uczynić, po prostu czekali, aż te magiczne trzęsienia się skończą... lub zniszczą ich samych. Wreszcie zakłócenia ustały, wtedy wojownicy umocnili swą pozycję — i tu rozpoczyna się oficjalna historia Imperium.”

Tremane schował twarz w dłoniach. Przeczekali — to nie była dobra nowina. „Ja jednak muszę sobie z tym poradzić.”

Nigdy nie próbował brać złych wiadomości za wymysły. Zwykle zachowywał się tak, jakby złe nowiny zapowiadały coś jeszcze gorszego. Teraz też powinien tak się zachować.

Magowie wpadli w panikę, każda kolejna fala okazywała się silniejsza od poprzedniej. Instynktowna decyzja księcia, by jak najszybciej podnieść Bramy i sprowadzić przez nie jak największe zapasy żywności, była słuszna. Mieli teraz wystarczająco dużo zapasów, by na zmniejszonych o połowę racjach przetrwać aż do zimy, jeśli uda się powtórzyć dostawę, doczekają do wiosny — i to na pełnych racjach żywnościowych.

Nie, to nie był dobry wybór. Owszem, zapasy są najważniejsze, ale po co wznosić kilka Bram, skoro wystarczyłaby tylko jedna? Wystarczy dotrzeć do magazynu na zachodzie Imperium, o broni można na razie zapomnieć, na razie nie zamierzał pozwolić ludziom na zmarnowanie choćby jednej strzały. Mniejsza o posiłki, miał wystarczającą liczbę ludzi, by się utrzymać i zbyt wielu, jeśli konieczny będzie odwrót. Polecą wszystkim magom skoncentrować się na budowie tej jednej Bramy, sam sfalszuje rozkazy i do najzimniejszego piekła z uczciwością, procedurą i tymi, którzy będą potrzebować tych zapasów.

„Łatwiej prosić o wybaczenie niż pozwolenie.” Później będzie się tłumaczył przed cesarzem.

Wiedział przynajmniej jedno: to nie cesarz nasyłał na niego burze. Mógł jednak wiedzieć, co się stanie, i wysłać go na straconą misję, by się go pozbyć.

„A ze mną setki tysięcy dobrych żołnierzy.”

Ta myśl rozwścieczyła księcia, lojalność armii w stosunku do władcy była wręcz legendarna. Nadużycie tej lojalności równało się sprzeniewierzeniu się wszystkiemu, co w Imperium uchodziło za święte.

Tremane potrząsnął głową, mniejsza z tym. Liczyło się to, że podczas przegrupowania zagrażał mu Valdemar, spięty w oczekiwaniu.

„Na miejscu królowej uderzyłbym teraz. Wszedłbym do Karsu, zaatakował linię wojsk Imperium w kilkudziesięciu miejscach i złamał ją, po czym po kolei wykańczał oddziały. Nie wahałbym się. Wystarczy uzbroić tutejszych mieszkańców i najpewniej dokonaliby połowy dzieła, w ten sposób dostałbym Hardorn jak najmniejszym kosztem i mógłbym jeszcze przeniknąć na tereny Imperium.”

Musiał w jakiś sposób odciągnąć uwagę Valdemaru od armii Imperium. Niestety, wymagało to użycia broni, którą dotąd trzymał w rezerwie, gdyż jej nienawidził.

„W chwili zagrożenia życia człowiek chwytą się każdego sposobu, ja zaś walczę nie tylko o własne życie, ale i moich ludzi. Nie wolno mi się zawahać. Nie zawaham się.”

Nie powierzyłby tego zadania posłańcowi ani adiutantowi, sam otworzył

szufladę i wyjął ciężki, kwadratowy pakunek owinięty w jedwab. Położył go na biurku i rozwinął — ukazał się kawałek szlifowanego czarnego obsydianu, idealnie równy i gładki.

Także z tego powodu każdy kandydat do Żelaznego Tronu musiał być magiem: niektóre wiadomości miały zbyt wielką wagę, by powierzać je posłańcom.

Ponownie sięgnął do szuflady i wyjął niewielki portret mężczyzny, twarz, choć oddana wyjątkowo wiernie, nie zapadała w pamięć. To dobrze, na tajnego agenta nie zatrudnia się człowieka łatwo zwracającego na siebie uwagę. Przy portreciku znajdował się kosmyk włosów tego człowieka, konieczny do nawiązania z nim kontaktu. Mógł on także posłużyć do zabicia właściciela włosów, gdyby okazał się on nieprzydatny — wiedzieli o tym wszyscy agenci. Nie ma to jak małe zabezpieczenie, jeśli się pracuje z tajnymi agentami.

Z pomocą portretu Tremane utrwalił sobie w pamięci twarz mężczyzny i sięgnął po energię z własnych zasobów. Nie ufał okolicznym prądom, magowie ostrzegli go, że stały się niebezpieczne. Nie zastanawiał się, w jaki sposób burza wpłynęła na linie mocy — dopóki mógł korzystać z własnych dobrze zabezpieczonych zapasów, nie musiał się troszczyć o zewnętrzne źródła energii.

Wpatrywał się w ciemną, szklistą powierzchnię, oczyszczając swój umysł z wszelkich niepotrzebnych myśli, skupiając się na potrzebie nawiązania kontaktu z agentem. Wyrzucił w przestrzeń nitkę mocy jak wędkę — zamierzał złowić szczególną rybę.

Moc z wolna odpływała, w miarę jak szukał i czekał, szukał i czekał. Wiedział, że poszukiwania mogą potrwać dość długo i przygotował się na to. Być może agent nie mógł w tej chwili odpowiedzieć na wezwanie. Nic nie szkodzi, mag musi uczyć się przede wszystkim cierpliwości, zanim przejdzie do nauki zaklęć. Musi także nauczyć się koncentracji. Tremane wyćwiczył do perfekcji zarówno jedno, jak i drugie.

Marki na świecy uciekały, wreszcie, długo po północy, nadeszła odpowiedź na wezwanie.

Na powierzchni szkła ukazała się twarz agenta z wyrazem skruchy i zaniepokojenia. Według księcia wyglądał on teraz na jeszcze większego głupca niż na portrecie. Dlaczego ktoś zatrudnił artystę jako szpiega?

Panie! — zawołał mężczyzna, jego usta poruszały się, a wysoki głos przypominał brzęczenie muchy. — *Błagam, wybacz mi! Nie mogłem odejść! Ja...*

— Marnujesz mój czas — odrzekł krótko książę. — Oto rozkazy. Wypuść ptaszki.

Twarz szpiega pobladła.

Mój... panie... — zająknął się. — *Wszystkie? Jesteś pewien?*

— Wszystkie — powiedział ostro Tremane. — Dopilnuj tego.

I nie czekając na kolejne lamente — szpieg znajdzie się w niebezpieczeństwie po użyciu tej broni — książę przerwał połączenie. Wizerunek mężczyzny zniknął

z obsydianu szybko jak płomień zdmuchniętej świecy. Tremane siedział jeszcze chwilę, masując skronie, po czym zawinął szkło w materiał i schował je razem z obrazkiem i włosami do szuflady.

Czy agent przeżyje to zadanie?

Jeśli będzie ostrożny, to tak — ocenił książkę. Nie narażał się w żaden sposób na zdemaskowanie, „ptaszki” powinny już być rozlokowane, ich uwolnienie zaś może się odbyć na odległość. Ale jeśli szpieg okaże się głupcem, złapią go.

„W takim razie niech cierpi za głupotę” — pomyślał Tremane niecierpliwie. „I tak zrobił już, co trzeba... jeżeli go schwytają, można go zastąpić.”

Rzadko bywał tak bezwzględny w stosunku do podwładnych — przez moment poczuł ukłucie żalu z powodu wydanego przed chwilą rozkazu. To było... złe, nieczyste posunięcie, niezgodne z zasadami uczciwości i honoru. Pierwsza prawdziwa skaza na jego sumieniu. Wcześniej zdarzało mu się wydawać wyrok śmierci, ale zawsze była to śmierć w bitwie lub w takich okolicznościach, kiedy obie strony wiedziały, co ryzykują. Wiedział, że za tę decyzję zapłaci niejedną bezsenłą nocą.

Skazał na śmierć niewinnych ludzi, nie żołnierzy. A jednak cesarz musi czasem okazać taką bezwzględność, by ochronić życie własnych poddanych.

„Nie miałem wyboru” — powiedział sobie, wpatrując się w ciemne okno, tak przypominające czarne szkło, którego przed chwilą użył. „Muszę ocalić moich żołnierzy. To wojna, nie miałem innego wyjścia.”

Dlaczego więc czuł się tak, jakby splamił nie tylko swój honor, ale i część swej duszy?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Do nadejścia kolejnej fali brakowało siedmiu dni i Karal nie był pewien, czy dożyje tej chwili. Na świecy nie starczało marek, by zdążyć ze wszystkim. Nie tylko Karal pracował bez wytchnienia — inżynierowie chodzili z podkrążonymi oczami, magowie dawali z siebie wszystko. Karal miał szansę na całonocną porcję snu tylko dzięki temu, że pilnował wypoczynku Ulricha.

Rankami magowie wzmacniali osłony, po przerwie obiadowej spotykali się z mistrzami rzemiosł, a później w swoim gronie. Karal nie zawsze uczestniczył w tych zebraniach, gdyż magowie potrzebowali jego raportów z pracy inżynierów, tym zaś An'desha służył wyjaśnieniami i przykładami działania magii. Karal zastanawiał się, skąd jego przyjaciel czerpie siły.

Na ogół starał się nie zwracać na siebie uwagi i pozostawać na uboczu — wkraczał jedynie wtedy, kiedy zbyt długa praca mogła się źle odbić na zdrowiu Ulricha. Wtrącenie się do dyskusji magów z żądaniem, by mistrzowi pozwolono odpocząć, wymagało całej siły woli — zwłaszcza za pierwszym razem, kiedy po powrocie z „Róży Wiatrów” Karal odkrył, że Ulrich jeszcze nie wrócił do komnaty. Jako zwykły sekretarz Karal nie mógł się równać z takimi autorytetami, jak Elspeth czy Mroczny Wiatr, ale jego najważniejszym obowiązkiem była troska o zdrowie mistrza. Solaris mu zaufała — a przesiadywanie do świtu po dwóch czy trzech godzinach drzemki i operowanie skomplikowanymi zaklęciami mogło wyczerpać kapłana w bardzo krótkim czasie. Inni magowie, dużo młodszy, nie zdawali sobie sprawy z tego, jak szybko męczył się najstarszy z nich. Wtedy to Karal zebrał całą swą odwagę, wkroczył w środek spotkania i z szacunkiem „przypomniał” mistrzowi, że kazał się zawiadomić, kiedy nadejdzie północ, by odpocząć przed kolejnym dniem pracy.

Ulrich wydawał się zaskoczony, lecz natychmiast posłał swemu sekretarzowi ciężkie, długie spojrzenie. Karal starał się utrzymać twarz bez wyrazu.

„Nie odejdę, mistrzu” — pomyślał z uporem. Nigdy nie wiedział, czy Ulrich umie czytać w myślach — jeśli tak, teraz usłyszy niejedno. „Cokolwiek będę musiał zrobić, by zapewnić ci odpoczynek, zrobię to, nawet gdybym miał wymyślać co dzień inną wymówkę albo zatrudnić Altrę do pomocy.” Chociaż na razie nie miał pojęcia, w jaki sposób miałby wpłynąć na ognistego kota, by mu pomógł.

Nie wiedział, czy jego myśli dotarły do mistrza, ale Ulrich podniósł się, dziękując za przypomnienie — i odtąd wychodził z zebrań zaraz po pojawieniu się sekretarza, nie komentując ani słowem jego zachowania.

Skoro Karal znalazł się na granicy wyczerpania, jak musiał się czuć Ulrich?

Wiedział, co nimi kieruje, sam to czuł. Na dnie umysłu w każdej chwili rozlegał się szept: „szybciej, szybciej, nie marnuj ani chwili, nie masz czasu. Znajdź odpowiedź, znajdź ją teraz, zanim będzie za późno.”

Już niedługo, za kilka krótkich miesięcy, może się okazać, że jest za późno. Nadejdzie prawdziwa nawałnica, Valdemar leżał najbliżej jednego z dwóch jej ośrodków, oprócz Shin'a'in i małej grupy Kaled'a'in, która znalazła swój nowy dom na samej krawędzi Równin. Byli to rodacy Treyvana i Hydony i chociaż gryfy nic o tym nie wspominały, Karal wiedział, że boją się o nich, tak jak ambasador Shin'a'in bał się o swój lud.

Istniała droga ratunku, która nikomu się nie podobała, ale pozwalała ocalić przynajmniej ludzi. Przed nadejściem burzy należało uciec. Nie byłoby to łatwe, tuż przed burzą fale będą nadchodzić codziennie, uniemożliwiając wzniesienie Bram. Musieliby uciekać pieszo, konno i wozami — i nawet barki Kalde'a'in nie przydałyby się na nic, jeśli magowie nie poświęcaliby całego czasu na ich osłanianie.

Po burzy tereny wokół ośrodków nie będą się nadawać do zamieszkania. Cała rzeczywistość ulegnie zmianie, zboża mogą nagle przekształcić się w śmiertelnie niebezpieczne rośliny, a zwierzęta w drapieżne potwory.

Karal rozłożył na stole przed kominkiem mapy i przeglądał je, czekając na powrót Ulricha. Na mapach narysowano przewidywane obszary zakłóceń po następnej fali. Miała nadejść trzynaście i pół dnia po ostatniej, a kręgi przemienionej ziemi miały osiągnąć dwadzieścia pięć szerokości — wystarczy, by uwięzić duże zwierzę, na przykład rumaka Shin'a'in albo valdemarskiego byka. Albo jelenia — cokolwiek. „Królik” niemal odgryzł ludzką dłoń, każde większe stworzenie przemienione w ten sposób stanie się śmiertelnym zagrożeniem.

Karal zadrżał na tę myśl. Przy pewnej dozie szczęścia i z pomocą heroldów przebywających w terenie zdołają może ostrzec mieszkańców wsi i miasteczek, by tego dnia trzymali zwierzęta w domu lub nie puszczali ich w zagrożone rejony. Ale mogli to zrobić tylko na terenie Valdemaru, zresztą i tak nie byli w stanie upilnować dzikich zwierząt. Rankiem Altra wziął kopię mapy i zniknął, widocznie nie miał kłopotów z przenoszeniem się do Solaris i z powrotem. Dzięki temu także Kars będzie mógł przygotować wszystko na przyjęcie nawałnicy — znów z wyjątkiem dzikich zwierząt.

Może Śpiew Ognia zdoła przesłać magiczne ostrzeżenie Sokolim Braciom, oni zaś przekażą je Shin'a'in i Kaled'a'in.

Ostatniej nocy książę Daren wysłał herolda do Rethwellanu. Jednakże nie uda się ostrzec Hardornu, Iftelu ani przekroczyć pustkowi za Puszcza Smutków. Nie

uda się też zawiadomić nikogo na południe od Rethwellanu, chyba że Shin'a'in prześlą wieść okrężną drogą. Jedyna nadzieja w tym, że fala powstająca wokół jeziora Evendim okaże się na tyle słaba, iż po przebyciu takiej odległości nie zdoła wyrządzić wielkich szkód.

Jednakże wcześniej czy później fale staną się silniejsze, a skutki uderzenia dotrą poza Ceejay. Wtedy zresztą będą także o wiele częstsze.

Trzeba rozesłać ostrzeżenia. Ktoś musi znaleźć sposób na zatrzymanie burzy.
„Pośpiesz się, pośpiesz, póki nie jest za późno...”

Nie można będzie pomóc Pelagirowi i górom na północy. Co się stanie, jeśli istoty z ziem skażonych, już i tak niebezpieczne, po raz drugi napotkają falę mocy, która kiedyś tak je odmieniła? Któryś z uczniów wysnuł przypuszczenie, że wtedy wrócą do swej pierwotnej postaci — ciekawa teoria, ale mało prawdopodobna.

A co z Imperium? Ciągle miało swoją armię. A jeśli zaczną podejrzewać Kars lub Valdemar o wywołanie burz? Imperium dysponowało silną magią i nieskończoną liczbą żołnierzy — tak się wydawało. Jeśli uznają ostatnie wydarzenia za atak i uderzą?

W tej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Ulrich.

Na dźwięk nierównych kroków Karal odwrócił się zmartwiony. Ulrich utykał tylko wtedy, kiedy ogarniało go zmęczenie — tak wielkie, że nawet chodzenie wymagało wysiłku. Zmarszczka na czole Karala pogłębiła się na widok bladej, przezroczystej skóry kapłana i cieni pod oczami.

— Przemęczasz się, mistrzu — zaczął.

— Raczej nie dosypiam — poprawił Ulrich. — Ostatniej nocy nawiedził mnie niepokojący sen, toteż dziś na spotkaniu nalegałem, byśmy porozsyłali wykresy i mapy nie tylko do Shin'a'in, Tayledrasów i Kaled'a'in, ale do każdej szkoły magów, jaką znamy. W szkołach zawsze znajdzie się ktoś, kto umie posługiwać się zaklęciem kryształu, wystarczyło się do niego podłączyć, by nawiązać kontakt. Pomogli nam zwłaszcza magowie z Białych Wiatrów i Błękitnej Góry — uśmiechnął się słabo. — Objęliśmy całkiem duży obszar.

— Wszystko pięknie, ale... — zaczął Karal i potrząsnął głową. — Wybacz, mistrzu. Zachowuję się jak matka albo przynajmniej natrętny syn, a jestem przecież tylko twoim podwładnym. Wybacz, mistrzu Ulrichu.

Ku jego zaskoczeniu i radości Ulrich nie tylko nie rozgniewał się, ale uśmiechnął, tym razem naprawdę ciepło. Promień słońca odbity od białych ornamentów na ścianie oświetlił postać kapłana.

— Masz pełne prawo tak się odzywać. Gdybym miał natrętnego syna, albo w ogóle jakiegokolwiek syna, chciałbym, by był dokładnie taki, jak ty. Dostarczasz mi nieskończonej radości, Karalu. Kiedyś, kiedy cię brałem do siebie, myślałem, że zawsze będę zawiedziony twym brakiem daru magicznego. Myliłem się.

— Tak? — odrzekł cicho Karal, oszołomiony nagłym zwrotem rozmowy.

— Całkowicie się myliłem. — Ulrich przeszedł, utykając, kilka kroków i nieśmiało położył rękę na ramieniu sekretarza. — Jesteś kimś o wiele ważniejszym od maga i o wiele rzadziej spotykanym. Jesteś wojownikiem ducha i uzdrowicielem dusz. Masz w sobie więcej współczucia, niż podejrzewałem, i już zaczynasz okazywać zaczątki prawdziwej mądrości. Ludzie instynktownie ci ufają, a ty to wyczuwasz i starasz się im pomóc, starasz się nie zawieść ich zaufania. Pewnego dnia będziesz wielkim kapłanem w najczystszyznaczeniu tego słowa — kapłanem, który nie ma nic wspólnego z polityką, magią i władzą. Dlatego, jak przypuszczam, przysłano ci Altrę.

Karal drżał pod dłonią Ulricha. Nie oczekiwał takich słów i nie wiedział, co myśleć.

— Obawiam się, że nie czeka cię łatwa droga — ciągnął Ulrich. — Ale powiem ci, z kim możesz się porozumieć. Herold Talia bardzo cię przypomina, ona jest raczej uzdrowicielką serc, nie dusz, ale zrozumie cię lepiej niż ktokolwiek inny.

— Ale... Solaris... — jękał się Karal, wypowiadając pierwsze słowo, jakie mu przyszło do głowy. „Dlaczego to mówi? Czyżby myślał, że może go zabraknąć, gdy będę go jeszcze potrzebował?...”

Ulrich potrząsnął głową.

— Solaris to ktoś zupełnie inny: prorokini i przywódczyni zajmująca się całym swym ludem, a nie poszczególnymi osobami. Nie pomoże ci... chociaż pewnego dnia może ty zostaniesz wezwany, by jej pomóc.

Karal ze ściśniętym gardłem spuścił wzrok. Ulrich podniósł jego twarz tak, by sekretarz musiał spojrzeć mu w oczy.

— W jednym nie pomoże ci nawet Talia i będziesz musiał znaleźć własną drogę: życie prawdziwego kapłana oznacza często samotność. Zdarza się, że jego ścieżka pobiegnie wzdłuż innej, ale w końcu muszą się rozejść, może na zawsze. Twoje życie należy do innych, chyba już to wiesz i akceptujesz, choć może nie ująłeś tego w słowa. Jeśli szczęście będzie ci sprzyjało, znajdziesz kogoś zdolnego to zrozumieć i zaakceptować. Jeśli nie, czeka cię ból. Wtedy pamiętaj, kim jesteś, i powiedz sobie, że choć nie jesteś niczym kochankiem, jednak kocha cię wielu ludzi.

Karal mrugał, starając się zrozumieć słowa mistrza. Przez moment Ulrich patrzył na niego, po czym puścił jego brodę z suchym śmiechem.

— Przez te sny stajesz się sentymentalny albo nawet szalony — powiedział lekko. — Albo też z głodu widzisz cienie przyszłości, która może nigdy nie nadejdzie. Czy zamówiłeś obiad?

Karal westchnął z ulgą i kiwnął głową.

— Dziwne, że wspomniałeś, mistrzu, herolda Talię, chciała z nami porozmawiać o An'deshy. Według niej on jest pochłonięty czymś, co go męczy — a my moglibyśmy mu pomóc.

— Może nam się uda — zaczął Ulrich, kiedy drzwi się otworzyły i weszła lady Talia, a za nią paż z obiadem. Przez chwilę panowało małe zamieszanie, Karal szybko sprzątał papiery ze stołu, chłopiec manewrował wypełnioną tacą. Paż skłonił się i wyszedł, Talia przywitała się z Ulrichem, a Karal skoczył do sąsiedniej komnaty po krzesło.

Dotarł jednak tylko do drzwi.

— Coś — dźwięk czy też tylko nagłe przecucie — kazało mu się odwrócić, każdym nerwem czuł nadchodzące śmiertelne zagrożenie.

Kominek był przyozdobiony gipsowym ornamentem, takim samym, jak w innych pomieszczeniach pałacu. Były to ozdobne ślimacznicze przyklejone do czterech rogów kominka, połączone serią mniejszych ornamentów.

Powietrze przeciął przeraźliwy świst, ozdoby na rogach kominka odpadły i rozsypały się, a w powietrze coś wyskoczyło. Karal nie przyglądał się, co — oczy bolały od patrzenia, wydawało się, że powietrze wokół dziwnych przedmiotów drży. Miał wrażenie, że to małe, kwadratowe ostrza, przerażające i śmiertelne.

Nie zastanawiał się, działał instynktownie. Rzucił się w kierunku Talii, zasłaniając ją przed morderczym ciosem. Jeśli komuś zagrażało niebezpieczeństwo, to z pewnością jej!

W następnej chwili Altra wskoczył przed Karala i ze zjeżonym włosom wydał bojowy ryk, który zagłuszył nawet świst nadlatujących ostrzy.

Dwa z nich zmierzały ku Karalowi jak para migoczących ważek, sekretarz rzucił się do tyłu, usiłując przewrócić Talię na podłogę. W każdej chwili oczekiwał ciosu w serce...

Rozległ się ostry szczęk i dwa ostrza znikły w strumieniu ognia wystrzelonym z pazurów Altry. Trzecie leciało naprzód, na spotkanie czwartego, mogło zmienić jego tor...

... Ale nie wystarczająco mocno.

Świst ustał, zapadła cisza, w której rozległ się odgłos ciężkich, nierównych oddechów.

— Ulrich! — zawołał Karal, podnosząc się na nogi i rzucając w kierunku kapłana. Talia zbliżyła się również i zatrzymała go, zanim zdążył wyjąć tkwiące w piersi mistrza ostrze. Ulrich oddychał, ale był nieprzytomny, z kącika jego ust sączyła się strużka krwi.

— Nie dotykaj go — nakazała Talia. — Wezwałam pomoc. Znam się trochę na uzdrawianiu, pozwól...

Posłusznie odsunął się i pozwolił jej wyjąć sztylet. Szarpnęła, z otwartej rany wydobyły się pęcherzyki powietrza. Talia szybko zakryła ranę dłonią.

— Niedobrze, przebite płuco — zamruczała zatroskana. — Gdzie jest ten przeklęty uzdrowiciel?

Karal klęczał obok, wijąc się w męce bezradności, pragnął zrobić coś, cokolwiek — ale nie potrafił pomóc Talii.

— Ulrichu, mistrzu — wyszeptał, kładąc jedną rękę na czole kapłana, a drugą na zdrowym ramieniu. — Proszę, pomoc już nadchodzi, nie opuszczaj mnie, potrzebuję cię, nie odchodź. . .

Czas włókł się nieznośnie. „To nie powinno się zdarzyć” — pomyślał tępo Karal. Głosy ich dwojga brzmiały głucho, jakby ze studni, a odgłos ciężkiego oddechu Ulricha wydawał się zbyt głośny.

Wreszcie drzwi otworzyły się gwałtownie i do komnaty wpadło z pół tuzina ludzi. Przynajmniej dwóch z nich miało na sobie zielone szaty uzdrowicieli. Zaroili się wokół Ulricha, odsuwając Talię i Karala. Po chwili wynieśli kapłana z komnaty, zostawiając Talię i Karala z kimś jeszcze. Karal zerwał się, by pobiec za nimi, lecz zatrzymała go czyjaś ręka na ramieniu.

— Pozwól mi iść — wyrzucił z siebie, chwytając dłoń intruza, by się od niej uwolnić. Jednakże druga ręka chwyciła go i zmusiła, by się odwrócił — i spojrział prosto w surowe oczy Kerowyn.

— Nie pomożesz Ulrichowi, a będziesz tylko przeszkadzał uzdrowicielom — rzekła. Była to prawda, której nie chciał przyjąć do wiadomości.

— Ale. . . — Spojrzął na nią i niespodziewanie wybuchnął płaczem.

Talia otoczyła go ramionami — i, co dziwne, to samo uczyniła Kero. Obie trzymały go mocno, kiedy zaczął histerycznie szlochać.

— Dlaczego? — pytał. — Dlaczego? On nigdy nikogo nie skrzywdził! To stary człowiek! Dlaczego?!

Żadna z kobiet nie odezwała się — słusznie, gdyż i tak nie usłyszałby ich słów ani nie mógłby odpowiedzieć. Po prostu go trzymały. Po chwili — czy też po upływie marki na świecy — Kerowyn odsunęła się i pozwoliła Karalowi oprzeć głowę na ramieniu Talii, która głaskała go uspokajająco i kołysała jak dziecko.

Teraz ogarnął go bezbrzeżny żal, Karal nie widział, nie słyszał, nawet nie myślał. W jego pamięci ciągle tkwił straszliwy dźwięk sztyletów uderzających w pierś Ulricha i widok kapłana padającego na podłogę.

W końcu pokonało go zmęczenie, łązy przestały płynąć z obolałych oczu. Karal pozwolił Talii doprowadzić się do krzesła i posadzić na nim. Kerowyn uklękła przed nim z dwoma ostrzami w dłoniach.

— Nie tylko Ulrich został zaatakowany — powiedziała łagodnie. — Wysłanniczka Shin'a'in zginęła na miejscu, to był łut szczęścia, że reszta magów przeżywała z gryfami, kiedy wystrzelono te ostrza, razem zdołali je pokonać, chociaż Treyvan i Mroczny Wiatr zostali ranni. Wygląda na to, że ktoś ukrył je w gipsowych ozdobach w komnatach zajmowanych przez zagranicznych magów.

Karal wpatrywał się w nią spuchniętymi oczami.

— Dlaczego? — zapytał głupio. Wzruszyła ramionami.

— Albo ktoś chciał się pozbyć wszystkich posłów, albo chciał usunąć magów i skupił się na cudzoziemcach, gdyż valdemarscy magowie mieszkają w skrzydle heroldów, do którego może ów ktoś nie miał dostępu — przekrzywiła głowę i zmarszczyła czoło. — Właściwie nie miałyby również dostępu do kwatery Śpiewu Ognia. Może dlatego w waszej komnacie umieszczono cztery ostrza, dwa pozostałe miały zabić Śpiew Ognia i An'deshę.

Karal potrząsnął głową.

— Dlaczego? — pytał ciągle. — Dlaczego ktoś chciałby ich zabić? I kto?

Kerowyn zacięła usta.

— Wyobraź sobie, że to Imperium, a prawdopodobnie będziesz miał odpowiedź. Nie widziałam wcześniej takich ostrzy, a ponieważ myślałam, że znam się na wszystkich rodzajach broni, wskazałabym natychmiast na Imperium.

Jej słowa pobudziły umysł Karala do myślenia, prawie mimowolnie zaczął snuć domysły.

— Gdybym chciał rozbić sojusz, zabiłbym ambasadorów — rzekł niechętnie. — Skoro Valdemar nie potrafił ich ochronić nawet w samym pałacu, sojusznicy mogą uznać, iż niebezpiecznie jest sprzymierzać się z nim przeciwko Imperium. Niektórzy, jak Kars, mogliby nawet obarczyć Valdemar winą za ten wypadek. Być może magowie tylko przypadkowo stali się celem ataku.

Oczy Talii otworzyły się szerzej, Kero zaś — zwężyły w zamyśleniu.

— To mi nie przyszło na myśl — przyznała. — To nawet lepszy powód, niż tylko pozbawienie nas pomocy magów.

Umysł Karala wciąż pracował — rezultat długiego przebywania z Ulrichem.

„Ulrichu, straciłem cię, wszyscy cię straciliśmy...”

— Imperium mogło sądzić, że to tylko zwykłe przymierze, zwłaszcza między Karsem i Valdemarem — ciągnął, teraz już nie mógł zatrzymać biegu swych myśli, mógł tylko podążać za nimi. — Jego przywódcy pewnie nie wiedzą, że Solaris działa z rozkazu boga, zakładają, że śmierć jej posła spowoduje powrót do tradycyjnej wizji Valdemaru jako kraju białych demonów. To dlatego w komnacie było także ostrze dla mnie, choć nie jestem magiem — nie chcieli zostawiać świadka.

Kero zacisnęła usta i pokiwała głową.

— To brzmi bardzo sensownie. Dobra robota, Karalu. Powiem to Elspeth i Mrocznemu Wiatrowi. Ciebie przeniesiemy do innej komnaty, jak tylko przyjdą moi ludzie, by zabrać twoje rzeczy.

Natychmiast domyślił się, dlaczego to powiedziała.

— W pałacu jest szpieg Imperium — powiedział głucho. — Ktoś mający dostęp do wszystkich komnat i możliwość ukrycia czegoś takiego w gipsie.

— I, do licha, nie mam pojęcia, kto to — zgodziła się Kerowyn. — Dlatego chcę przenieść ciebie i innych posłów do skrzydła heroldów. Albo, jeszcze lepiej, zakwateruję cię z An'deshą i Śpiewem Ognia, o ile się zgodzą. Śpiew Ognia miał dostać przynajmniej pięć z tych ostrzy.

Karal patrzył na nią, poczuł, jak wargi znów mu drżą i oczy zaczynają piec.

— A co z... .

— Ulrich jest w najlepszych rękach — powiedziała łagodnie Talia. — Jeszcze za wcześnie, by coś stwierdzić... to stary człowiek, w dodatku ostatnio bardzo się przepracowywał.

Karal skinął głową i spojrzął na swoje dłonie, by Kero nie ujrzała znów napływających mu do oczu łez.

Kerowyn wyszła, ale Talia została — więc kiedy znów zaczął płakać, mogła go przytulić.

Talia została z chłopcem przez resztę dnia, po południu Kerowyn wróciła z kilku zwołanymi naprędce najemnikami ze swej kompanii, wspólnie spakowali rzeczy Karala i wynieśli je do ekele Śpiewu Ognia. Karal starał się powstrzymać łzy, nie chciał okazywać słabości przy tych zahartowanych wojownikach. Pewnie uznaliby go za dziecko i potraktowali pogardliwie.

Jednak jeden z nich, wyglądający na najtwardszego, odwrócił się nagle, kiedy Karal wydał zduszony szloch na widok wynoszonych rzeczy Ulricha. Mężczyzna odłożył szaty przewieszane przez ramię i przykucnął przed krzesłem Karala.

— Nie wstydz się smutku, chłopcze — rzekł, gładząc go niezręcznie po dłoni. Mówił wolno, ale z tak dziwnym akcentem, że Karal ledwo go zrozumiał. — Takie przeżycia nie są łatwe nawet dla nas. Oplakuj tego, kto na to zasłużył, i nie wstydz się łez. Na pewno nie będziemy tobą gardzić.

Wstał i z powrotem zabrał się do pracy. Karal pokiwał głową i pozwolił łzom płynąć swobodnie, nie zwracał więcej uwagi na wchodzących i wychodzących. Siedział tak do zachodu słońca, aż komnatę ogarnął mrok.

— Czy chciałbyś iść do Kolegium Uzdrawicieli? — spytała łagodnie Talia. — Czy też wolisz poczekać tutaj?

Teraz w komnacie już nic nie zostało, znikł nawet zapach szat Ulricha.

— Chyba wolę iść do uzdrawicieli — powiedział. — Jeśli nie będę zawadzał.

— Oczywiście, że nie — odrzekła ciepło Talia i podała mu rękę. — Chodź, zaprowadzę cię.

Nie zwracał uwagi na drogę, oprzytomniał dopiero w innej komnacie, zastawionej wysłużonymi ławami, przesyconej nastrojem smutnego, nieskończonego oczekiwania. Talia zbliżała się, kiedy Karal nagle obudził się z odrętwienia i spojrzął na nią. Widocznie wcześniej wyszła, a on nawet tego nie zauważył.

— Nie ma zmian, Karalu — powiedziała, zagryzając wargę. — Nie chcę cię okłamywać, i tak byś to wyczuł. To niedobry znak. Nawet nie odzyskał przytomności.

Skinął głową, Talia położyła mu rękę na ramieniu.

— Zostanę, jeśli chcesz — zaproponowała, wiedział, że szczerze.

Wiedział także, że miała ważniejsze sprawy, niż pocieszanie go. Dzięki Florianowi znał już jej wysoką pozycję na dworze. Kiedyś będzie jej wdzięczny za pomoc, ale teraz jedynym odczuwanym przez niego uczuciem był głęboki żal.

— Musisz iść — odrzekł. — Rozumiem, poradzę sobie.

Przez chwilę mierzyła go wzrokiem.

— Naprawdę rozumiesz? — spytała. — Dziękuję ci za to, Karalu. Jeżeli nie będziesz mógł dać sobie rady, poślij po mnie.

Karal pokiwał głową i Talia odeszła szybko, lekko kulejąc. Patrzył za nią, po czym zajął się swoimi myślami.

Modlił się, chociaż sam nie wiedział, o co. Nie byłoby dobrze zmuszać Ulricha, by żył, jeśli oznaczałoby to uwięzienie go w bezsilnym ciele, nie odczuwającym nic prócz bólu. Ostrza były długie, wystarczająco długie, by dotrzeć do kręgosłupa. Może dlatego Ulrich dotąd się nie przebudził. . .

Próbował sobie przypomnieć, czego mistrz go nauczył — Vkandis to nie kosmiczny księgowy podliczający uczynki człowieka, zanim zdecyduje o jego życiu i śmierci, ani nie oprawca, zsyłający serię nieszczęść za złamanie zasad. „Mamy wolną wolę, a Vkandis jak najmniej ingeruje w nasze życie na tym świecie” — mawiał Ulrich. „Nie bawi się nami, jak dziecko bawi się żołnierzami czy lalkami, nie sprawdza, z jakiej gliny nas ulepiono. Pozwala nam żyć i dokonywać wyborów na własną rękę, a sądzi nas dopiero wtedy, kiedy się z nim spotkamy. Wtedy bierze pod uwagę to, co zrobiliśmy i czego nie zrobiliśmy z naszym życiem i wolą, które nam darowano przy urodzeniu — i jak dotrzyliśmy danego Mu słowa. Nasze wybory krzyżują się z wyborami innych, czasem oznacza to radość, czasem smutek, często — mieszaninę jednego i drugiego. Może dlatego złym ludziom zdarzają się czasem dobre rzeczy i na pewno dlatego, a nie z Jego woli, złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom.”

Zatem to sprawa wolnej woli tego, kto podłożył owe sztylety — a tylko czysty przypadek sprawił, że było ich cztery, o jeden za dużo, by Altra mógł sobie z nimi poradzić. Szczerze mówiąc, gdyby nie Altra — który znalazł się tam za sprawą Pana Słońca — sam Karal byłby teraz martwy.

„Wolałbym być na jego miejscu!” — wykrzyczał do Vkandisa. „Panie, dlaczego on?!”

Marki na świecy wlokły się niemrawo jak starożytna tortura, minęła północ, zbliżyła się pora świtu. Co jakiś czas przechodzili ludzie, zapewne by sprawdzić, jak się czuje, lecz nie przeszkadzali mu, a on się do nich nie odzywał.

Wreszcie ktoś stanął obok i dotknął jego ramienia.

Karal spojrział w górę, współczucie na twarzy uzdrowiciela powiedziało mu wszystko.

Nie chciał okazywać rozpacz przy obcych, nawet najzyczliwszych, a nie mógł też obarczać Talii swoim bólem. Nie zwracając uwagi na pocieszenia, podniósł się i po omacku wyszedł na zewnątrz, wstrząsany bezgłośnym szlochem.

Nie rozjaśniło się jeszcze, zmarznięta trawa skrzypiała pod nogami. Karal błąkał się bez celu. Musi dokądś pójść... życie potoczy się dalej. Teraz był tu jedynym reprezentantem Karsu. Dokąd go przeniesiono?

Do ekele. Śpiew Ognia i An'desha.

To nawet nie najgorzej, wolał mieszkać z nimi, niż próbować znaleźć sobie miejsce między obcymi heroldami. Nawet nie znał ich imion.

Teraz, kiedy obrał kierunek, szedł bardziej pewnie. Odkąd znalazł się poza zasięgiem uzdrowicieli i ich niechcianego, zawodowego współczucia, pozwolił płynąć łzom. Nic nie widząc, zarówno z powodu łez, jak i panującej ciemności, wyczuwał pod stopami ścieżkę prowadzącą przez Łąkę Towarzyszy, otworzył furtkę i prześlizgnął się przez nią... po czym stanął, a raczej upadł na słupek stojący obok, wstrząsany płaczem, który jednak nie przynosił mu ulgi.

Karalu — głos rozlegający się w jego umyśle brzmiał niepewnie, ale przebijało z niego prawdziwe współczucie. — *Karalu, nie jestem Talią, ale jestem tu dla ciebie.*

Odwrócił się i oparł głowę o białą postać, która położyła się tuż obok, by być jak najbliżej. Łzy spływały po jedwabistej grzywie, objął szyję Floriana i łkał, aż w gardle mu zaschło, a oczy spuchły tak, że prawie nie było ich widać. Wreszcie przestał — tylko dlatego, że zabrakło mu oddechu.

W ciemności słyszał równy oddech towarzysza, po pewnym czasie uspokoił się nieco.

Karalu, jestem przy tobie. Może to nie najlepsza chwila, ale muszę ci powiedzieć, że ktoś jeszcze przeżywa podobną rozpacz — odezwał się z wahaniem Florian. — *Bardzo cię potrzebuje, nie ma nikogo, kto by go pocieszył.*

„Nie tak, jak ja...” — dotarło do Karala nie wypowiedziane zakończenie.

— Kto? — spytał, wycierając nos.

Postuchaj — odrzekł Florian.

Karal posłusznie wstrzymał oddech i wyteżył słuch. Po chwili dotarł do niego plusk pobliskiej rzeki i to, o czym mówił Florian — zawodzenie przypominające płacz dziecka.

Dziecko? Co dziecko robiłoby na środku Łąki?

Znów usłyszał ten głos, wysoki, przepełniony tak wielkim bólem, że Karal musiał zareagować, wstał i poszedł w kierunku dochodzącego lamentu. Towarzysz szedł kilka kroków za nim. Po kilku chwilach Karal już wiedział, kto to był — nie dziecko, lecz kot.

— Czy to Altra? — spytał z niedowierzaniem.

Tak — odrzekł Florian. — *Nie powiedział ci całej prawdy. Ogniste koty bardzo przypominają nas, Towarzyszy, Z wyjątkiem tego, że dysponują magią do obrony i mogą się przemieszczać tak, jak ktoś, kto ma dar przenoszenia. Są śmiertelne, muszą jeść — on kradł pożywienie z kuchni — i nie mają większego pojęcia o przyszłości, niż ty czy ja.*

— To dlatego nie wiedział o nadejściu burz, przeczuwał tylko, że coś się zdarzy — odparł Karal, na chwilę zapominając o smutku.

Tak. Dlatego też nie wiedział o ataku na was. Nie wie, kto był napastnikiem. Wini siebie. — Głos towarzysza zabrzmiał smutno. — *Rozumiem go aż za dobrze. Dziś rano chciałem cię namówić na przejażdżkę na Trenorze, dawno się z nim nie spotkałeś. Zastanawiam się teraz, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym to zrobił.*

— Nie ma sensu zadrećzać się przypuszczeniami — odrzekł Karal. — W ten sposób sprawiasz sobie tylko większy ból.

Wiem o tym i ty także wiesz, to Altra powinien to usłyszeć.

Podeszli już tak blisko, że Karal mógł dojrzeć jasny kształt, zwinięty w kłębek nieszczęścia, lamentujący rozpaczliwie. Karalowi ścisnęło się serce, jego postanowienia o zachowaniu spokoju prysły jak bańka mydlana.

— Altra! — zawołał, rzucając się na trawę obok ognistego kota. Wziął go w ramiona, jak Talia jego samego kilka godzin wcześniej — i znów się rozpląkał. — Altra, Altra, to nie twoja wina.

Musiałem wybrać! — zawołał kot w jego umyśle. — *Musiałem wybrać, a skoro posłano mnie do ciebie, musiałem wybrać ciebie.*

— I mimo wszystko niewiele brakowało, a uratowałbyś nas obu — powiedział Karal, przytulając mocno drżącego kota. — Nie jesteś Panem Słońca, nie możesz wiedzieć wszystkiego ani być wszędzie. Zrobiłeś, co mogłeś, wiem o tym.

Ale... nie mogłem... go uratować! — przejmujący szloch rozbrzmiał ponownie. Altra nie umiał płakać, Karal robił to za nich obu.

Florian stał na straży, jego duża, jasna sylwetka rysowała się w ciemności. Wreszcie obaj byli zbyt zmęczeni, by płakać.

Karal wziął kota — ważącego połowę tego, co on sam — na ręce i zaniósł go do ekele, Florian ich odprowadził. Śpiew Ognia jeszcze nie spał, nie odezwał się, widząc ich w wejściu, gestem pokazał Karalowi, że ma iść za nim i poprowadził go do pomieszczenia obwieszzonego tkaniną.

Tam Karal rozmawiał z Altrą aż do wschodu słońca, mówiąc mu to wszystko, czym usiłował przekonać samego siebie i dostrzegając w tych słowach prawdę. Wreszcie zasnęli — ale żaden z nich już nie był samotny.

Karal obudził się po południu. Spał dłużej niż sądził, Altra wciąż leżał obok zwinięty w kłębek. Otworzył oczy, czując poruszenie Karala, i podniósłszy głowę, spojrział na niego błękitnymi oczami.

— Altra? — odezwał się Karal cicho.

Poradzę sobie — odrzekł kot. — *Ból stał się lżejszy do zniesienia. Mamy sporo do zrobienia, zwłaszcza ty, mistrz nie podziękowałby nam, gdybyśmy zaniedbali nasze obowiązki.*

Karal przetarł piekące, zapuchnięte oczy. Policzki i podbródek również go piekły od ciągłego wycierania. Dziwne, jak takie drobne niedogodności pozwalały na chwilę zapomnieć o bólu, niestety nie na długo.

Karal wciąż odczuwał ciężar na duszy, tak wielki, że rzucał cień na świat wokół. Wiedział, że powinien się posilić, ale nie miał ochoty na jedzenie.

Podrapał Altrę za uszami — ognisty kot lubił takie pieszczoty jak każdy kot. Do izby przyniesiono rzeczy Karala i ułożono je w koszach pod ścianami. Czy zawieszane draperiami ściany nie przypominały namiotu? Pewnie tak, w takim razie to pokój An'desha, choć sam An'desha chyba raczej rzadko z niego korzystał.

Przez chwilę zastanawiał się, o czym chciała rozmawiać Talia. Gdyby nie przyszła do ich kwatery, czy wypadki potoczyłyby się inaczej?

Nieważne. Powinien posłuchać własnej rady i nie zamęczać się snuciem przypuszczeń. Niebezpieczeństwo związane z magicznymi burzami nie minęło, chociaż Ulrich już...

Oczy znów zapiekły.

Miał jeszcze dużo do zrobienia. Powinien się przebrać i zabrać do pracy.

— Altra, zostań tu i odpocznij. — Futro kota było w nieładzie, wyglądał naprawdę żałośnie. Wypadki poprzedniego dnia zupełnie wytrąciły go z równowagi. — Wrócę, jak dowiem się, co robią inni.

— Wszyscy — to jest książę i magowie — idą... przychodzą... tutaj — odezwał się Śpiew Ognia od drzwi. Karal podskoczył, nie słyszał kroków maga. — Skoro w pałacu przebywa szpieg, boją się zostać podsłuchani. Ekele jest bezpieczne — sam nadzorowałem jego budowę, a przed twoim przybyciem dodatkowo upewniłem się, czy nikt nie zostawił nam takich upominków, jakie znaleźliśmy wczoraj.

Sokoli Brat wszedł do izby i przysiadł przy wspólnym pościeliu Karala i Altry. Przez długi czas wpatrywał się w sekretarza bez słowa, Karal także się nie odzywał. Był zbyt zmęczony i zbyt przytłoczony smutkiem, by bawić się w dyplomację. Jeśli mag chce się czegoś dowiedzieć, niech o to spyta.

— Chyba już wiem — powiedział nagle uzdrowiciel.

— Co? — zapytał Karal, niezdolny na razie do odczytywania półsłówek i mglistych aluzji.

— Co An'desha w tobie widzi — odparł Śpiew Ognia, wciąż siedząc na piętach i obserwując go.

Karal odpowiedział mu spojrzeniem, Śpiew Ognia zarzucał przynętę, ale on nie miał ochoty jej łapać. Może Sokoli Brat miał dobre zamiary, może chciał go odciągnąć od smutnych rozmyślań, lecz wybrał niewłaściwą taktykę.

— Talia chciała z wami rozmawiać i... — Śpiew Ognia zawahał się, ale podjął po chwili: — Ze mną rozmawiała wcześniej. An'desha znalazł się według niej w sytuacji krytycznej: boi się okazać własne uczucia, a jednocześnie boi się stracić panowanie nad sobą, jeśli nadal będzie się zanurzał we wspomnienia Ma'ara.

Zapewne są one najsilniejsze i najbardziej mroczne. Zmora Sokołów był po prostu szaleńcem — w przeciwieństwie do Ma'ara, posiadającego rozsądek na tyle, na ile ktoś o takim charakterze może być rozsądny. Dla swoich czynów wynajdywał usprawiedliwienia i uzasadnienia — i może dlatego jego wspomnienia wywołują taki wpływ na An'deshę. — Wzruszył ramionami. — An'desha się boi, a ja straciłem cierpliwość. Szczerze mówiąc, uważam, że nie przyda się nam na wiele, jeśli nie zmierzy się z tym, co się w nim czai. On także wie, że nie będzie z niego pożytku, póki nadal będzie się tak zamykał w sobie.

— Czy to powiedziałaś Talii? — spytał Karal.

— A teraz tobie — potwierdził Śpiew Ognia. — Teraz bardziej niż kiedykolwiek nie możemy sobie pozwolić na słabość któregośkolwiek z nas, a An'desha przypomina zakapturzonego sokoła.

— Albo związanego konia — przytaknął Karal. — Pozwól, że sobie to przemyślę.

— Zgoda. — Śpiew Ognia wstał, tego dnia ubrał się na biało, jakby chciał uosabiać zbliżającą się zimę. — Ja... nie zawsze bywam taki niewrażliwy. Gdybym miał wybór, nie wspominałbym ci o tym, póki nie poczujesz się lepiej. Masz dość własnych trosk.

— Ale nie mamy czasu na wrażliwość — przyznał Karal. — Rozumiem.

— Możesz się wykąpać w stawach koło ekele — zmienił temat mag. — W kuchni znajdziesz jedzenie. Inni wkrótce tu będą.

Po tych słowach odwrócił się, szeleszcząc długimi rękawami i pobrzękując kryształowym naszyjnikiem — i wyszedł tak cicho, jak się pojawił.

Jedzenie? Nie, nie chciał o tym myśleć. Nie chciał przypominać sobie tych chwil, kiedy Ulrich docinał mu z powodu pochłanianych przez niego ilości jedzenia...

„Nie, zaraz. To nie tak. Powinienem właśnie pamiętać takie chwile.” Pamiętać jak najwięcej, w niemal każdym słowie mistrza kryła się rada — a teraz Karal mógł się oprzeć tylko na wspomnieniach i starać się wydobyć z nich tyle, ile zdoła.

Wiesz, często oferował mi kocimiętkę, jakby uważał, że podziata na mnie, jak na zwykłego kota.

Altra spojrział na Karala z posłania.

— A ty co robiłeś? — zapytał Karal posłusznie, spełniając nie wypowiedzianą prośbę.

Proponowałem mu domieszać ją do herbaty i podać mi w sposób cywilizowany — westchnął ognisty kot. — Wtedy wydawało się to zabawne.

— Będzie znów zabawne — obiecał Karal ciepło. — Przynieść ci coś do jedzenia?

Florian rozgłosił mój sekret? — prychnął Altra i przez chwilę wyglądał na rozdrażnionego. — Zresztą i tak pewnie nie mógłbym na zawsze pozostać nie-

przeniknionym i tajemniczym. Proszę, przynieś mi coś, co nie będzie jarzyną ani chlebem.

— Bardzo chętnie, zaraz po kąpieli — odparł Karal. Przynajmniej Altra odzyskał apetyt. Dobry znak — dochodzi do siebie.

Po kąpieli i zmianie odzieży poczuł się lepiej. Na szczęście nic w otoczeniu nie przypominało mu Ulricha, inaczej chyba nie zdołałby utrzymać kruchego spokoju.

Nadal nie miał ochoty na jedzenie, poszukał jednak czegoś dla Altry. Znalazł rybę tak świeżą, że musiała zostać złapana rankiem — widocznie któryś z gospodarzy nie dał się zwieść tajemniczości ognistego kota. Altra rzucił się na pożywienie i w mgnieniu oka wylizał talerz do czysta.

„Jestem teraz jedynym reprezentantem Karsu — pomyślał Karal, przeglądając swoje szaty. „Dopóki Solaris nie przyśle kogoś innego, muszę wziąć na siebie ten obowiązek. Lepiej będzie ubrać się stosownie.”

Wybrał sobie jedną z oficjalnych szat, a na szyi zawiesił słoneczny dysk. Żałował, że nie ma lustra.

Robisz wrażenie — zauważył Altra z postania. — *Od przyjazdu do Valdemaru bardzo dojrzałeś. Jesteś trochę młody jak na postać, ale widziałem już panujących wielmożów, a nawet władców, w twoim wieku. Słyszałem też o Synach Słońca nie starszych od ciebie.*

Karal wygładził tunikę.

— Muszą się mną zadowolić — odrzekł. — Na razie nie ma nikogo innego.

Nadasz się — wymruczał Altra.

Jeśli chodziło o wygląd, Karal nie musiał się wstydzić, chciałby tylko być równie pewny swych umiejętności.

Rozmowa nieuchronnie skierowała się na przypuszczalnego szpiega Imperium.

— Wszystkich służących przepętałam pod zaklęciem prawdy — powiedziała Elspeth, kiedy Karal i Śpiew Ognia zajęli miejsca w kręgu. Obok niej siedział Mroczny Wiatr z zabandażowanym ramieniem, a Treyvan miał zaszytą ranę na prawym skrzydle. — Szpieg nie może należeć do służby, gdyż wśród nich nikogo nie znalazłam.

— Mógłby to być ktoś z nas — powiedział niechętnie Karal.

Książę Daren skrzywił się.

— Nie zapomniałem o tej możliwości. Mógłby to być także któryś z posłów lub ambasadorów, nawet spośród tych przebywających tu od dawna. Czyjkolwiek to agent, prawdopodobnie kręci się między nami od dłuższego czasu, może nawet zdobył sobie zaufanie. Trudno namówić cudzoziemców, by poddali się zaklęciu prawdy.

— Trudno? — wtrącił sardonicznie Śpiew Ognia. — Tylko jeśli nie chcecie ryzykować incydentu dyplomatycznego.

— Solaris nie chce — odrzekł Daren. — Mamy dość kłopotów, jednakże od Solaris nadeszła rano magiczna wiadomość, że wie o wszystkim i to, co zaszło, nie zmienia nic w naszych relacjach.

„Tylko Ulricha już nie ma...” — pomyślał Karal i opuścił głowę, by nie pokazać po sobie żalu. „Altra musiał do niej dotrzeć z nowinami, zanim padł nad rzeką. Nic dziwnego, że był tak wyczerpany.”

— W takim razie co nam zostaje? Koło setki podejrzanych? — zastanawiała się Kerowyn. — I możliwość, że ten, kto to zrobił, może powtórzyć atak.

Karal zmarszczył brwi. Przebywanie z matematykami chyba zaostrzyło jego przenikliwość, gdyż teraz potrafił z całą pewnością ograniczyć liczbę podejrzanych.

— Chwileczkę. Na pewno nie musimy brać pod uwagę aż setki. Musi to być ktoś stojący na tyle wysoko, by swobodnie poruszać się po pałacu, lecz jednocześnie na tyle niepozorny, by nie ściągać na siebie uwagi. Musi także mieć powody, by przynajmniej raz w roku znaleźć się w komnatach mieszkalnych. Jeżeli przebywa w pałacu od dawna, na pewno zbiera informacje dla Imperium — w takim razie musi jakąś drogą je przesyłać, na pewno częściej niż raz na rok. Aż do tego roku nie mógł przesyłać wiadomości za pomocą magii, pamiętacie? Mielicie bariery ochronne. — Po raz kolejny konieczność rozwiązania zagadki uchroniła go od pograżenia się w rozpacz. — W ten sposób możemy wykluczyć całą służbę pałacową.

Kerowyn przygryzła wargę.

— W ten sposób eliminujemy większość moich podejrzanych — przyznała. — Zostaje jeszcze prywatna służba kogoś z naszej własnej szlachty.

— Owszem, jak również sama szlachta — dodał szybko Mroczny Wiatr. — Nie pierwszy raz intrygowaliby przeciw Selenay.

— Jednakże rodzaj broni... wydaje mi się, że z pomocą magii skierowano ostrze przeciwko określonym osobom — odezwał się nieśmiało An'desha. — To oznacza, że agent sam jest magiem lub, co bardziej prawdopodobne, zdobył jakieś przedmioty należące do ofiar, by wskazać je jako cele swym ostrzom.

— Potem zaś ukrył je w ścianach — dokończyła zaskoczona Kerowyn. — W ten sposób mógł to zrobić każdy z wyjątkiem służby pałacowej.

Karal długo rozważał propozycję, którą chciał przedstawić zebrany. „Czy można mnie zastąpić? Z łatwością. Mam też Altrę, on spróbuje mnie obronić. Chyba muszę to zrobić.”

— Mogę zaproponować pułapkę — odezwał się w końcu. — Ze mną jako przynętą. Dwa z tych ostrzy miały mnie trafić, pozwólcie mi znaleźć się tam, gdzie mogę spotkać naszego szpiega. Prawdę mówiąc, nie spodziewam się, by próbował jeszcze raz mnie zabić, raczej będzie chciał się dowiedzieć, co sądzi

Solaris i czy przymierze znalazło się w niebezpieczeństwie z powodu. . .

Przerwał na chwilę. Nikt go nie popędzał. Po krótkiej walce odzyskał panowanie nad swoim głosem.

— Jeżeli chodziło mu przede wszystkim o rozbicie sojuszu, spróbuje porozmawiać ze mną, jak tylko pokażę się w pałacowych korytarzach. Pozwólcie mi po nich pochodzić i zobaczyć, kto podejdzie z wyrazami współczucia, by jednocześnie zdobyć informacje.

— A jeśli szpieg jednak cię zaatakuje? — spytała Kerowyn.

Karal uśmiechnął się krzywo.

— Czyż nie ćwiczyłem samoobrony na tyle, by wytrzymać do czasu nadejścia pomocy? Magiczną broń trudno zdobyć, jeśli agent znów uderzy — tak krótko po pierwszym ataku — zrobi to raczej sposobem konwencjonalnym. To wymaga umiejętności, okazji i czasu. Zakładam, że posiada pierwsze, drugiego sam mu dostarczę, ale trzeciego nie będzie miał pod dostatkiem. — Miał nadzieję, że wyglądał jak pewny siebie karsycki poseł, ale z pewnością tak się nie czuł.

Kerowyn ciągle gryzła dolną wargę.

— Ten pomysł mi się podoba i nie podoba — rzekła w końcu. — Nie podoba, gdyż bardzo się narażasz, Karalu. Podoba, ponieważ daje szansę złapania szpiega. Nie prosiłabym cię o to, ale skoro sam się zgłaszasz. . .

Ja także — odezwał się Altra tylko do Karala. — *Miałeś racją, potrafię cię obronić. Tym razem lepiej sobie poradzę.*

— Zgłaszam się — potwierdził stanowczo Karal. — Co więcej, jestem gotowy w tej chwili.

— Ale ja nie — odparła Kerowyn. — A raczej moi ludzie. Daj mi czas do kolacji. Nie przychodź do głównej sali na posiłek, niech to wygląda, jak gdyby sojuszowi groziło niebezpieczeństwo. Po kolacji możesz spacerować i narzekać do woli. W ten sposób przekonasz także naszych ludzi, że jeszcze nie zanoszą się na wojnę z Karsem.

Karal pozwolił innym przedyskutować kwestię samej broni, oni byli magami, on nie. Jednak miał okazję zrobić coś pożytecznego. To trochę pomogło.

Tylko trochę — ale to już początek.

Wieczorami, po oficjalnej kolacji, Ulrich często przechadzał się po ogrodach z innymi dworzanami. Gdy pogoda nie dopisywała, podobne spacerunki odbywały się na korytarzach i w małych komnatach przyjęć. Tego dnia ciepły wieczór pozwalał korzystać z obu form spaceru, więc Karal z rezygnacją przygotował się na długą wędrówkę.

Valdemarscy dworzanie nie wiedzieli, jak go traktować: dotąd zwykły sekretarz, teraz jedyny przedstawiciel Karsu na dworze, w dodatku Karal ubrał się sztywnie, by podkreślić wzrost swej rangi, choć aksamitne szaty okazały się zbyt

ciepłe na korytarz i zbyt cienkie na spacer po ogrodach. Dworzanie w większości niezręcznie wyduszali z siebie parę słów współczucia i szybko uciekali.

Przez kilka pierwszych marek na świecy nikt nie poruszył tematu sojuszu. Na przemian pocąc się i drżąc z zimna, Karal zaczął się zastanawiać, czy to był na pewno dobry pomysł.

Pierwszą osobą, która go zagadnęła na ten temat, okazał się seneszał. Karal omal nie wybuchnął histerycznym śmiechem na absurdalną myśl o dygnitarzu w roli szpiega. Nikt poza magami nie został wtajemniczony, księżę Daren zdecydował, że nikt z Rady nie będzie wiedział o podstępie — lordowie nie umieli się maskować i mogliby wszystko zaprzepaścić. Usiłowania seneszała, aby dowiedzieć się czegoś o stanowisku Solaris, były widoczne jak na dłoni. Karal musiał zachować się ozięble, by podtrzymać iluzję, iż Solaris nadal nie wie, co robić, jednakże tylko siłą woli powstrzymał się od wyjaśnienia biedakowi wszystkiego.

Wykluczył także kilku innych ciekawskich, gdyż nie zdołaliby uzyskać dostępu do komnat mieszkalnych. Potem nadeszła kolejna długa, nudna chwila, kiedy nic się nie działo, czarna odzież i poważna twarz Karala zdawały się odstraszać ludzi.

Chyba wszystko pójdzie na marne. . .

„Cóż, przynajmniej próbowałem.”

— Panie sekretarzu? — odezwał się skrzeczący głos obok jego łokcia.

Karal odwrócił się i przez chwilę zastanawiał, kim jest niepozorny człowiek, który go zaczepił. Przypominał nieco kreta. . .

— Wyrazy współczucia, panie sekretarzu — mówił człowieczek, popatrując na niego i nerwowo splatając ręce. — Zapewne sobie mnie nie przypominacie, nie jestem nikim bogatym ani ważnym. . .

Plamka zielonej farby na kciuku zdradziła jego zawód.

— Oczywiście poznaję was, panie — odrzekł Karal odpowiednio chłodno. — Mistrz Celandine, prawda? Malarz?

— Artysta, tak. Byłem niezwykle zmartwiony wiadomością o mistrzu Ulrichu, niezwykle — odrzekł kret, zaciskając palce. — Mam nadzieję, wierzę, że wasza władczyni nie weźmie nam za złe tego wypadku — to byłoby straszne, straszne. . .

— Z punktu widzenia Valdemaru na pewno — odrzekł Karal ostrożnie. Miał niejasne przeczucia związane z tym dziwnym człowieczkiem.

— Och, nie pochodzę z Valdemaru, lecz byłoby to straszne dla mnie osobiście — ciągnął Celandine. — Moje farby tak trudno zdobyć i przed sojuszem były tak kosztowne. . .

W umyśle Karala zabrzmiało ostrzeżenie, jego ręce zlodowaciały. „On zawsze wysyła posłańców po farby i pigmenty, sam tak mówił, kiedy Ulrich pozował do portretu. Paczki przychodzą do niego przynajmniej co dwa tygodnie!” Czy to możliwe? Z pewnością nie! Taki niezdara nie mógłby działać tak skutecznie. Cały dwór śmiał się z jego napuszonych póz wielkiego artysty.

„A jednak — czy to właśnie nie czyni go idealnym agentem? Skąd lepiej obserwować ludzi niż z pozycji, zdawałoby się, skromnej i nie znaczącej?”

— Zastanawiam się, czy wasza władczyni nadal jest zainteresowana oficjalnym portretem mistrza Ulricha, czy też poczeka na wyznaczenie nowego posła, a może nawet zleci przerobienie szkicu waszej twarzy na portret?

„Jasny Panie! Czy An'desha nie mówił, że mag musi mieć coś należącego do ofiary lub jej wizerunek, by wymierzyć cios? Ten człowiek maluje portrety, szkicuje wszystkich i wszystko i nikt nie zwraca na to najmniejszej uwagi!”

Karalu — odezwał się ostrzegawczo Altra. — *Chyba na coś trafiliśmy. Czy możesz go namówić, by cię zaprowadził do swej pracowni? Może uda mi się znaleźć prawdziwy dowód, jeśli pokręcę się po niej jako kot.*

— Być może — odparł Karal z godnością. — Dano mi do zrozumienia, że jeśli sojusz przetrwa, jest to całkiem prawdopodobne.

Małe oczka kreta zabłyśły, lecz zanim zdołał się odezwać, Karal ciągnął:

— Ten portret mojego... mojego mistrza, o którym wspomnieliście... chciałbym go mieć. Czy jest skończony?

— O tak! Właśnie tak! — jękał się malarz. — Czy zechcielibyście wejść do mojej pracowni i obejrzyć go?

Doskonale — odezwał się Altra. — *Ostrzeżę Floriana, a on przekaże wszystko Kerowyn przez Sayvil. Idź, zanim zmieni zdanie!*

— Bardzo chciałbym go obejrzyć — odrzekł szczerze Karal, wycierając oczy. — Proszę.

Malarz skwapliwie poprowadził go korytarzem w stronę mieszkań dworzan nie pochodzących ze szlachty, ale i nie należących do służby. Altra poszedł za nimi, udając zwykłego domowego kota. Malarz nie zwrócił na niego uwagi.

Pracownia znajdowała się na samym końcu korytarza i Karal przeżył chwile strachu, kiedy uświadomił sobie, że ludzie Kerowyn nie mogą za nimi podążać, nie narażając się na odkrycie. Jeśli drzwi pracowni nie zostaną zamknięte, nikt nie zdoła się zbliżyć nie zauważony. Celandine mógł wyglądać na krótkowidza, ale Karal już wiedział, że jego oczy były zdrowe.

Ja przymknę za sobą drzwi — odezwał się Altra. — *Tyle, żeby nie zauważył kogoś nadchodzącego korytarzem. Może nie zwróci uwagi.*

Przez kilka następnych chwil Celandine wprowadzał Karala do pracowni z tyłoma ukłonami, że Altra bez trudu wślizgnął się za nimi i ogonem przymknął drzwi. Pracownię wypełniały niedokończone obrazy, sztalugi, posągi na postumentach, farby, czyste płótna naciągnięte na ramy — wszystko zaś pokrywała gruba warstwa kurzu. Karal wątpił, czy którykolwiek służący odważył się tu sprzątać.

Malarz chciał tylko doprowadzić Karala do kilku obrazów stojących na sztalugach, zasłoniętych tkaniną. Usadował Karala naprzeciwko i po chwili ustawiania swego dzieła we właściwym świetle odrzucił zasłonę.

Karal nie musiał udawać. Kimkolwiek był mężczyzna, na pewno był też prawdziwym artystą. Uchwycił Ulricha w jednej z rzadkich chwil odprężenia, z uśmiechem na ustach i iskierką humoru błyszczącą w oczach.

Dwie łzy spłynęły po policzkach Karala. Bezwiednie postąpił krok do przodu, z bliska obraz jeszcze zyskiwał.

Celandine uśmiechnął się, ukazując ostre zęby w wyrazie chciwości i satysfakcji.

— Mistrzu, jesteście. . . - Jeszcze jedna łza spłynęła po twarzy Karala, potrząsnął głową. — Nie ma na to słów. Muszę mieć ten obraz.

Celandine krzątał się wokół i niepotrzebnie wycierał sztalugę.

— Muszę przyznać, że dobrze mi wyszły szaty. Ci, którzy noszą czerni — wybaczenie, panie, ale artyście tak trudno prawidłowo ją oddać! Ten szczególny odcień sebeline wzdłuż zakładki na przykład — to mój sekret na oddanie połysku czarnego aksamitu. . .

Gadał dalej, ale Karal zamarł na dźwięk obco brzmiącego słowa, określającego smugę białobłękitnego koloru biegnącą wzdłuż rękawa. To nie było słowo valdemarskie!

Nie. — Cichy szelest za plecami ustał, Altra również zamarł. — *Zajmij go czymś, Karalu! Potrzebuję czasu, by porozumieć się z ekspertem!*

— Jak udało wam się uczynić oczy tak. . . tak. . . — wykrztusił Karal.

To wystarczyło, by Celandine zagłębił się w szczegółowych wyjaśnieniach. Karal czekał i z dreszczem przebiegającym przez plecy usiłował sobie przypomnieć, czy Celandine był kiedyś w ich kwaterze.

Nagle, kiedy pochylił się do przodu, oglądając portret, przypomniał sobie. „Owszem, był. Nie tylko po to, by zrobić przygotowawcze szkice do portretu! Złapałem go na manipulowaniu przy dekoracji kominka. Narzekał, że kiedy tylko odpadnie kawałek gipsu, seneszał każe mu go naprawiać, jako artyście!”

Celandine był także rzeźbiarzem i prawdopodobnie umiał wyrzeźbić, co tylko chciał. Miał dostęp do gipsu. Mógł dotrzeć wszędzie, naprawiając uszkodzone dekoracje! Wystarczyło jedynie odłamać kawałek stiuku podczas malowania portretów, by zjawić się ponownie w danej komnacie.

Karalu! — zawołał Altra z paniką w głosie, po raz pierwszy kot okazał taki strach. — *To słowo pochodzi z Imperium, co więcej — ten pigment wydobywa się tylko na wschód od Hardornu!*

Celandine krzątał się za plecami Karala, nadal rozprawiając o farbach i malarstwie. Dreszcze na plecach stawały się nie do zniesienia. Karal próbował kątem oka podejrzeć ruchy malarza.

KARAL!

Nie potrzebował ostrzeżenia Altry, poczuł nagły ruch malarza o mgnienie oka wcześniej. Uchylił się od ciosu i jednocześnie obrócił, potem zanurkował pod sztalugę i zasłonił się nią i obrazem, odwracając je w kierunku artysty.

Nie — agenta.

Artysta zniknął, na jego miejscu stał ktoś o wiele bardziej groźny, w niczym nie przypominający kreta — raczej złapanego w potrzask szczura. Oczy mężczyzny błyszczały, w jednej ręce trzymał młotek, w drugiej nóż malarski o ostrzu zabrudzonym jadowicie zieloną substancją. Karal miał nieprzyjemne przeczucie, że nie była to farba.

— Wiesz, on mnie zabije — odezwał się mężczyzna złowroźnie spokojnym głosem.

— Kto? — spytał Karal. — Co się dzieje? Dlaczego ktoś miałby cię zabić? — „Graj na zwłokę. Pomoc jest już w drodze.”

— Wielki książę. Tremane. Nie jestem jednym z jego ludzi, można mnie zastąpić. Nie ukończyłem zadania. Wypuściłem ptaszki, a one dotarły tylko do dwóch celów. — Błysk w jego oku nie oznaczał zagrożenia, ale szaleństwo. Zrobił ruch, jakby chciał zaatakować, Karal uchylił się, ale tamten pozostał w miejscu. — Zabije mnie, ma moją podobiznę, moje włosy, może to zrobić. Chyba że szybko dokończę zadanie.

Ruszył znów, Karal uchylił się. Celandine wiedział, co robi, widać było, że umie walczyć nożem. Karal mógł jedynie zająć go rozmową.

Jednak mężczyzna napierał i Karal musiał się cofać. Z trudem unikał jednocześnie ciosu nożem i uderzenia młotkiem w głowę.

— Kiedy cię zabiję, zostawię cię w ogrodzie z nożem Elspeth w sercu — ciągnął Celandine. — Zrobiliśmy kopię, wiesz, na wszelki wypadek. Wiesz, o którym nożu mówię.

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. . .

Głos Altry przepelniała desperacja.

Karalu! Nie mogę go dostać! Zejdź z linii ataku!

Karal natychmiast usunął się na bok, lecz Celandine smagnął wściekle młotkiem, więc szybko wrócił na miejsce.

— Ten, który Elspeth zostawiła w sercu naszego ambasadora, oczywiście! — odrzekł Celandine, jakby dziwił się tępotcie swego rozmówcy. Nagle zamrugnął olśniony. — Grasz na zwłokę! — oskarżył i zamierzył się nożem.

Karalu! Nóż jest zatruty! Odsuń się, zastoń się czymś!

Zasłona, tarcza — coś, czego ten szaleniec nie będzie chciał zniszczyć.

Karal na oślep sięgnął po płótno i zasłaniając się nim, cofał się w kierunku okna. Usta malarza zacisnęły się.

— Odłóż to, głupcze! — zawył. — Jak śmiesz dotykać. . .

Nie dokończył zdania.

W jednej chwili szyby w oknach rozprysły się, Karal instynktownie się skulił. Celandine otrzeźwiał z szału bitewnego i spoglądał wokół błędnym wzrokiem.

Wtem trafił go tuzin strzał wystrzelonych z okien, zakreślił się jak w parodii tańca — i upadł na podłogę.

Karal osunął się także, kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

— Karalu! — Kerowyn wskoczyła przez okno i roztrącając sztalugi, podbiegła do niego. — Wszystko w porządku? Jesteś ranny? Sayvil twierdzi, że nóż był zatruty. Czy ty...

— Nic mi się nie stało — odrzekł słabo. — O Panie Słońca, za żadne lekcje w życiu nie byłem tak wdzięczny, jak za twoje! — Przycisnął obraz do piersi i oddychał głęboko. — Chciał mnie zabić i zostawić z kopią noża Elspeth. Podobno zrobili ją, kiedy zabiła tym nożem ich ambasadora.

Wiedział, że mówi bez sensu, ale nie potrafił się powstrzymać. Altra wreszcie dotarł do niego pomiędzy rozrzuconymi sprzętami i zaczął wokół niego krążyć coraz szybciej i szybciej, mrużąc głośno.

— Nóż Elspeth? — Przez okno wskoczył wysoki mężczyzna z łukiem w każdej dłoni, po chwili Karal przypomniał sobie jego imię. Skif. Nie był magiem, ale często zasiadał w Radzie obok Kerowyn.

— Nóż Elspeth? — powtórzył mężczyzna. — Na demony, wiedziałem, że będzie nas prześladował!

Karal zadrżał, spojrzawszy na obraz, który posłużył mu jako tarcza. Z płótna patrzyły na niego ciepłe, uśmiechnięte oczy Ulricha, Karal zamarł, a po chwili wybuchnął płaczem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Czy na pewno czujesz się na siłach spróbować? — spytał z niepokojem Altra. — To może się okazać niebezpieczne.

Karal wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

— Szczerze mówiąc, nie czuję się gotów do takiej konfrontacji — odrzekł. — Jednak po prostu nie mamy wyboru. An'desha potrzebuje pomocy, zamyka się w sobie, tłumiąc wszelkie przejawy emocji, nie pozwala sobie także na wybuch gniewu w obawie przed skrzywdzeniem tego, na kogo się rozgniewa. W rezultacie coraz trudniej mu zapanować nad sobą. — Karal w zamyśleniu potarł nos. — Musi odkryć, że opanowanie nie zawsze oznacza powściągliwość. Musi zobaczyć, że najprostsze rozwiązanie nie zawsze jest tym najwłaściwszym.

Ognisty kot mył łapy i zastanawiał się.

Widziałem jego reakcję na wiadomość, że otarłeś się o śmierć: straszny gniew — a potem nic. Wszystko zdusił w sobie.

— Wielki gniew bywa niebezpieczny, kiedy jest się — było — adeptem wyspecjalizowanym w niszczeniu — powiedział ponuro Karal. — Ktoś musi mu pokazać, iż może stracić cierpliwość, opanowanie i dać się ponieść emocjom, nie wyrządzając przy tym krzywdy. Wtedy An'desha poczuje się na tyle bezpiecznie, że zdoła stawić czoło wspomnieniom Ma'ara i nauczyć się jego magii niszczenia. Według Śpiewu Ognia te wspomnienia mogą okazać się ważne, ja przeczuwam, że stanowią klucz do rozwiązania naszych kłopotów. Nie umiem powiedzieć, skąd moja pewność, ale wiem to.

„Pośpiesz się, pośpiesz, pośpiesz. . .” Poczucie, że nie ma czasu do stracenia sprawiało, iż Karal stał się napięty jak cięciwa łuku. Ostatnio to uczucie jeszcze się nasiliło.

Ale czy ty najlepiej sobie z tym poradzisz? — spytał Altra logicznie. — Czy nie powinien to być raczej mag, zdolny obronić się przed atakiem, jeśli An'desha rzeczywiście uderzy? Może zmienić cię w kupkę popiołu, a ty nie zdołasz temu w żaden sposób zapobiec. — Kot spojrzał na Karala przepastnymi błękitnymi oczami, w których odbijała się troska. — Nie sądzę, bym mógł ci dużo pomóc, jeżeli An'desha wpadnie w szal.

Karal westchnął.

— Dlatego ja jestem najlepszy. Musi to być osoba bezbronna, jednocześnie znająca An'deshę na tyle dobrze, że zdoła doprowadzić go do gniewu w krótkim czasie. Śpiew Ognia zdołałby się obronić przed wszelkimi jego atakami — to by mu nic nie dowiodło. Talia i Śpiew Ognia zgadzają się ze mną. Jeżeli An'desha nadal będzie dusił w sobie gniew, pewnego dnia jego moc obróci się przeciw niemu i zniszczy go.

Poza tym to twój przyjaciel.

— Właśnie, to mój przyjaciel. Przyjaciele pomagają sobie nawzajem. Obaj jesteśmy obcy w Valdemarze. Czasami przyjaciele to wszystko, co posiadamy.

Nie musiał wspominać o nocach, kiedy na ramieniu An'deshy wypłakiwał swój żal po stracie Ulricha, Altra o tym wiedział, ponieważ też tam był. Nie wspominał także o tysiącu drobnych uprzejmości, które wyświadczał mu An'desha — i o tym, jak zmagał się z zazdrością, którą jego postępowanie wywołało u Śpiewu Ognia. To się nie liczyło, ważne było to, że An'desha potrzebował pomocy, a Karal mógł mu jej udzielić.

Poza tym, gdyby nie pomógł przyjacielowi, najprawdopodobniej nie mieliby falochronów przeciwko magicznym burzom. Ostatnia odmieniła przynajmniej jedno duże zwierzę — stało się ono potwornym drapieżcą, który zagryzł stado bydła, zanim dwudziestu mężczyzn naszpikowało go strzałami. Do Valdemaru dotarły wiadomości, że ucierpiały także osłony Dolin Tayledrasów. Zgodnie ze wskazówkami mistrza Levy'ego inżynierowie i matematycy obliczyli moc kolejnych nadciągających fal, Natoli wytłumaczyła to Karalowi, który poczuł, jakby zaciskały się na nim wielkie szczęki. Trzeba było coś zrobić — i to szybko.

Większość popołudnia zajęło Karalowi zbieranie odwagi na przeprowadzenie próby, której miał poddać An'deshę. Młody mag skrył się w namiocie, wstrząśnięty po rozmowie ze Śpiewem Ognia, starannie wcześniej zaplanowanej przez maga i Karala. Magiczna burza minęła — z tej strony nic im nie groziło — to był najlepszy moment.

Jak zawsze, Karal spojrzał najpierw na portret Ulricha wiszący na ścianie. „Mam nadzieję, że dobrze czynię, mistrzu” — pomyślał. „Nie jestem tego wcale taki pewny, jak sądzą Altra i Śpiew Ognia.”

An'desha stał się ostatnio niepokojąco schematyczny w swoich reakcjach. Teraz, kiedy Karal zamieszkał w ekele — gdyż Kero, nie chcąc ryzykować kolejnego zamachu, kazała mu zostać z magami, póki Solaris nie prześle wiadomości, co zamierza — An'desha miał dla siebie tylko namiot w ogrodzie. Kiedy był w złym nastroju, siedł właśnie tam.

Spędzał w nim coraz więcej czasu.

Karal skinął głową w kierunku Śpiewu Ognia, kręcącego się poza zasięgiem słuchu młodego maga. Śpiew Ognia zacisnął szczęki i kiwnął. Sokolemu Bratu nie podobała się ta próba bardziej niż ognistemu kotu, jeszcze mniej podobała mu się rola, jaką miał odegrać. Miał zbudować wokół namiotu osłonę na tyle mocną,

by zatrzymała moc, którą An'desha mógłby uwolnić.

„Jeśli mają być ofiary, niech ich liczba ograniczy się do jednej osoby. Takiej, której strata nie wywoła zbyt wielkich szkód. Ja jestem taką osobą. Jestem głupi. Idę więc.”

Odsunął poję namiotu i opadł na kolana obok przyjaciela. An'desha leżał na plecach, zakrywając twarz ramieniem.

— Znów się chowasz? — spytał Karal z niedowierzaniem. — Co się stało tym razem?

An'desha nie odsłonił twarzy.

— Śpiew Ognia. Nie rozumie. Chce, żebym dotarł do wspomnień Ma'ara. — Ręce młodego maga zacisnęły się w pięści, usta się wykrzywiły w grymasie urazy. — On nie chce zrozumieć. To bardzo stare wspomnienia i aby je odczytać, muszę się do nich zbliżyć.

— Więc? — Karal pozwolił, by do jego głosu wkradła się nuta pogardy. — Śpiew Ognia ma rację. Nie myślisz o niczym i nikim innym prócz siebie. Zamieniasz się w rozpieszczone dziecko. Troszczyliśmy się o ciebie, pozwalaliśmy ci na wiele, a ty nie masz w sobie więcej woli niż grzyb!

An'desha usiadł nagle z ustami otwartymi z zaskoczenia i wbił wzrok w Karala.

— Co... co takiego?

— Nie masz woli, An'desha! — oskarżył Karal. — Wiesz dobrze, że potrzebujemy tego, co skrywa się w twoim umyśle, ale jesteś zbyt przestraszony, by choć spróbować na to spojrzeć! — Przybrał pogardliwy i lekceważący wyraz twarzy. — „To niebezpieczne wspomnienia, boję się, mogą mnie zranić” — jakbyśmy wszyscy nie bali się czegoś o wiele gorszego od kilku starych wspomnień!

— Ale ja... — zaczął An'desha, zaskoczony zachowaniem przyjaciela.

— Ale ty, zawsze ty. Co z nami? Co ze stratami, które ponieśliśmy, z naszymi wysiłkami? Ty zwijałeś się w kłębek w swoim kokonie, by się nad sobą poużalać, taki biedny i nie rozumiany. Co z Tayledrasami, którzy usiłują doprowadzić znów do porządku swoje Doliny, z Shin'a'in, którzy boją się, że stada ich drogocennych koni zmieniają się w stada potworów, co z wysłanniczką Shin'a'in, która zginęła kilka dni temu? Co z Karsem? Co z Rethwellanem?!

An'desha poderwał się na równe nogi i usiłował odepchnąć Karala, by uciec z namiotu. Karal jednakże zatrzymał go brutalnie, An'desha nie próbował użyć siły ani swojej mocy. Cofnął się o krok, a Karal nacierał dalej, krzycząc mu prosto w twarz.

— Jesteś pozbawionym charakteru, leniwym, samolubnym tchórzem! Zbyt długo udawałeś zranione pisklę! Mam tego dość, wszyscy mamy dość! Nadszedł czas, byś spróbował nam pomóc, zamiast jęczeć, że się boisz! Wszyscy się boimy, nie zauważyłeś? Ja też się bałem, kiedy Celandine omal mnie nie zabił, ale

czy widziałeś, żebym się nad sobą rozczulał? Śpiew Ognia także nie narzeka na zmęczenie, chociaż pracuje nad osłonami, póki może utrzymać się na nogach!

Twarz An'deshy zapłonęła głęboką czerwienią, ale nie był jeszcze dostatecznie rozgniewany.

— Mroczny Wiatr nie narzeka, że źle się czuje, chociaż jego ramię jeszcze się nie zagoiło, a on pracuje na równi ze wszystkimi. Skończ z jękami i zacznij coś robić, An'desha — albo znajdź sobie kogoś innego, kto wysłucha twoich narzekań, bo my mamy ich dość!

An'desha mienił się na twarzy, ale Karal ciągnął, rzucając mu w oczy oskarżenia o tchórzostwo, egoizm i lenistwo.

Mag stał sztywny jak kołek od namiotu — a wokół jego pięści wirowały kolory: szkarłat, żółć — moc zdolna zniszczyć cały budynek.

Karal widział raz Ulricha uderzającego magiczną mocą, energia wirująca wokół An'deshy przewyższała tamtą co najmniej dwukrotnie.

Miał ochotę uciec, wszystkie mięśnie zrywały się do biegu, włosy wydawały się stawać dęba od nagromadzonej w tak małym pomieszczeniu mocy.

Zamiast ucieczki Karal uczynił najtrudniejszą rzecz w życiu, trudniejszą niż pojedynek z Celandine'em, a nawet niż przyjazd do Valdemaru.

Cofnął się o krok, założył ręce do tyłu i prychnął.

— Cóż? — odezwał się kpiąco. — Mam rację, prawda? Nie starczy ci nawet odwagi, by mi ją przyznać?

I czekał na atak, nie zrzucając maski pogardy z twarzy.

Powietrze zaszumiło od mocy, Karal czytał o takim zjawisku, ale nigdy go nie doświadczył. Teraz rzeczywiście włosy stanęły mu na głowie...

An'desha wreszcie wybuchnął.

— Do licha z tobą! — wrzasnął. — Do licha!

W nagłym błysku pomarańcza i bieli energia się rozproszyła, w mgnieniu oka wsiąkając w ziemię.

An'desha padł na posłanie, kompletnie wyczerpany, z twarzą pobladłą i pełną bólu.

— Do licha z tobą — powtarzał mechanicznie, kiedy Karal ukląkł przy nim, w obawie, że przesadził. — Do licha, kapłanie, masz rację.

Spojrzał na przyjaciela dotykającego jego ramienia.

— Troszczyliście się o mnie, a ja odpląciłem wam samolubstwem.

Karal skrzywił się ku zaskoczeniu maga.

— Miałem podwójnie rację — zauważył. — Mówiłem, że siebie nie doceniasz. Uważałeś, iż jako spadkobierca Ma'ara i Zmory Sokołów masz także ich charakter. Obawiałeś się utracić kontrolę nad swymi emocjami, bo wtedy utraciłbyś kontrolę nad wszystkim. I cóż, straciłeś opanowanie, prawda? Bałeś się zmierzyć ze starymi wspomnieniami, gdyż myślałeś, że w ataku szału mógłbyś

wykorzystać to, czego się z nich nauczysz. Wpadłeś w gniew i co się stało? Przekląłeś mnie — nic więcej. Nie wyrządziłeś mi krzywdy. Zmora Sokołów rozbiłby mnie o ścianę, unicestwił. Ty zaś siedzisz tutaj, znów opanowany, znów jesteś panem siebie. Zgadza się?

An'desha patrzył szeroko otwartymi oczami.

— Masz na myśli... to wszystko po to, by mi udowodnić... — Znów się zaczerwienił. — Ale ja powinienem... ja...

Karal podniósł brwi.

— No, co powinienesz? Ty, adept? Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Ponieważ nie jesteś wart wysiłku, jakiego wymagałoby rozbicie cię o ścianę, kapłanie — odrzekł An'desha z cieniem uśmiechu w oczach. — Poza tym nie warto zadzierać z twoim mściwym bogiem tylko po to, by zyskać satysfakcję z pomsty. Do licha! Dlaczego musisz mieć rację?

— To nie moja wina! — zaprotestował Karal. — Nic na to nie poradzę!

— Akurat! — zawołał mag, szturchając go w ramię. — Wiesz o tym dobrze i sprawia ci to przyjemność! Kiedyś i ty się pomylisz, a wtedy ja tam będę i wypomnę ci to! — Cień uśmiechu zmienił się w grymas. — Poczekaj, a zobaczysz!

— Czekam z niecierpliwością — zapewnił Karal szczerze. W chwilę później do namiotu zajrzał Śpiew Ognia z nikłym, ale czułym uśmiechem na urodziwej twarzy.

Po tym wszystkim Karal czuł się w obowiązku zostać ze Śpiewem Ognia, kiedy An'desha zapadł w trans, by zmierzyć się z najstarszymi, najbardziej niebezpiecznymi wspomnieniami. Obaj czuwali nad leżącym nieruchomo magiem, podobnym do figury nagrobnej, zastanawiając się, czy mieli słuszność, zmuszając go do tego. Według Śpiewu Ognia nie powinno to zająć więcej niż dwie, trzy marki na świecy, tymczasem minęło popołudnie i część wieczoru, a An'desha nie zdradzał żadnych oznak wychodzenia z transu.

— Czy to może być niebezpieczne? — spytał szeptem Karal, kiedy Śpiew Ognia w milczeniu zapalił magiczne światła i powrócił na swoje miejsce przy posłaniu An'deshy.

— Nie, jeszcze nie — odrzekł adept niezbyt pewnym głosem. — Sam przebywałem w transie o wiele dłużej, nawet dwa dni.

„Ale nie była to podróż prowadząca do wspomnień żadnego władcy sadysty” — pomyślał Karal, lecz nie odezwał się. Na razie nic nie wskazywało na to, by An'desha znalazł się w niebezpieczeństwie. Nie było sensu przewidywać kłopotów, które być może nie nadejdą.

Mimo wszystko Karal żałował, że nie ma przy nim Altry. Ognisty kot po upewnieniu się, że Karal przetrwał atak gniewu młodego maga, zniknął bez słowa wyjaśnienia. Tymczasem Karal chętnie zasięgnąłby jego opinii, były Syn Słońca

powinien o wiele lepiej znać się na transie i jego skutkach niż zwykły kapłan.

Lekkie poruszenie skierowało jego uwagę z powrotem na An'deshę. Czy powieki maga drgnęły? Gdyby w pomieszczeniu płonęły świece, mogłoby to być złudzenie, ale magiczne światła płonęły równo i jasno. Tak — powieki znów się poruszyły i lekko uniosły, An'desha się budził.

Po chwili mag otworzył oczy i mrugał w oszołomieniu, Śpiew Ognia pomógł mu usiąść i podał kubek gorącej herbaty. An'desha wypił wszystko jednym haustem.

— Czy już późno? — spytał, oddając kubek Karalowi, który wziął go i dolał jeszcze herbaty.

— Wieczór. Niedługo północ — odparł Śpiew Ognia.

An'desha skinął głową. Karal obserwował go uważnie, choć dyskretnie, z ulgą stwierdził, że nie znalazł w nim żadnych zmian, nic, co nie pasowałoby do przyjaciela takiego, jakim go znał.

— Odkryłem, że poczyniliśmy niewłaściwe założenia — rzekł wreszcie mag. — Przed śmiercią Ma'ar musiał poradzić sobie z podobnymi trudnościami, chociaż ich przyczyną było zniszczenie pojedynczej Bramy, a skutki okazały się o wiele słabsze od tego, co nadeszło później.

Śpiew Ognia skinął głową, a Karal pochylił się, by lepiej słyszeć.

— I co zrobił?

An'desha wypił kilka łyków, zanim odpowiedział.

— Nie chodzi o to, co zrobił on sam, ale raczej o poczynania jego nieprzyjaciela — odparł. — Ma'ara nie interesowały skutki fali poza jego królestwem, więc po prostu wznosił osłony, tak jak my planowaliśmy. — Potrząsnął głową. — To byłby ogromny błąd. Osłony odbijają falę, a fala odbita powoduje większe jeszcze szkody niż pierwotna.

Karal usiadł, przypominając sobie model wykonany przez inżynierów: duży basen wypełniony wodą, na którego dnie narysowano mapę Valdemaru. Mistrz Levy wrzucał kamienie do wody tam, gdzie na mapie leżało jezioro Evendim i Równiny Dorisza, a potem obserwował rozchodzenie się fal i ich nakładanie.

„Kiedy fale dotarły do brzegu basenu, eksperyment się skończył, gdyż odbijały się od ścian i tworzyły nowe fale, nie mające nic wspólnego z tymi, które nas interesowały.”

— Rozumiem — odrzekł — ale...

— Ale to wróg Ma'ara wpadł na lepsze rozwiązanie — przerwał An'desha. — Zamiast tworzenia osłony, skonstruował falochron, dokładnie taki, jak ten, o którym opowiadał mistrz Norten — zdolny nie tylko zatrzymać falę, ale i rozproszyć jej moc. Ma'ar przestudiował jego projekt i umiał go odtworzyć, ale tego nie zrobił, gdyż uważał to za stratę czasu i środków — przerwał na chwilę... — Ponieważ on wiedział, jak to zrobić, ja także to wiem. Co więcej, wiem, jak zbudować osłonę. Jeśli połączymy obie metody, możemy część mocy fali rozproszyć,

a część skierować na Imperium!

Śpiew Ognia zagwizdał cicho, Karal siedział zamyślony.

— Nie wiem, czy powinniśmy to robić — rzekł w końcu. — Czy Imperium na to zasługuje?

Śpiew Ognia spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Mówisz to po tym, co ci zrobili?

Karal potrząsnął głową.

— To nie oni to zrobili, ale dwóch, trzech ludzi: Celandine, który dostał to, na co zasłużył, księżę Tremane, kimkolwiek jest i być może cesarz. Oni — całe Imperium, to wielka liczba ludzi, w większości pewnie nawet nieświadomych istnienia Karsu — westchnął. — Śpiewie Ognia, nie popełniaj błędu, który my, Karsyci, powtarzaliśmy ciągle w stosunku do Valdemaru: nie wyobrażaj sobie Imperium jako olbrzymiej grupy wrogów bez twarzy, odpowiedzialnych za wszystkie postępy swych przywódców. W Imperium mieszkają tysiące niewinnych ludzi, którzy nie zasłużyli na to, by ich kurczęta przemienić w krwiożercze potwory tylko dlatego, że kilku ich rodaków nas skrzywdziło.

Śpiew Ognia wzruszył ramionami, ale z jego zakłopotanej twarzy Karal wyczytał, że wysłuchał wszystkiego.

— Nie popełniaj jeszcze jednego błędu — ciągnął. — Nie zakładaj, że ten, kto wydał rozkaz, zdawał sobie sprawę z jego konsekwencji. Z wyjątkiem Solaris i heroldów, mających u boku... — skrzywił się, czując wchodzącego Altrę — czworonożne, czasem kłopotliwe, wszystkowiedzące sumienie, przywódcy to tylko ludzie i często zapominają zastanowić się, zanim zaczną działać.

No tak — odezwał się Altra. — *Piękne przemówienie. Kłopotliwe, tak?*

Karal podrapał kota za uszami, co zostało przyjęte z wielkim zadowoleniem.

— Jednak musimy jakoś sobie poradzić z następną burzą, prawda? — odezwał się An'desha. — Teraz, skoro mogę znów jasno myśleć, proponuję zwołać magów. Wytłumaczę wszystko za jednym razem.

— Czy mam zawiadomić także mistrza Nortena i mistrza Levy'ego? — zapytał Karal, gdyż to jego zadaniem było zwykle odnajdywanie potrzebnych ludzi.

An'desha zastanawiał się chwilę.

— Chyba tak — odrzekł. — Pomogą nam znaleźć miejsca ustawienia umocnień, przydadzą się ich obliczenia.

Karal nagle zdał sobie sprawę, że An'desha zachowuje się nieco inaczej, trudno mu było uchwycić różnicę — zawierała się bardziej w jego sposobie mówienia niż w samych słowach.

„On... na Pana Słońca, on mówi jak dorosły! Już nie zachowuje się jak przestraszone dziecko! Nareszcie wygląda na swój prawdziwy wiek!”

Nie odezwał się, jednak bardzo ucieszyło go to odkrycie — według niego An'desha zmienił się na lepsze.

Można się zastanawiać, jak Śpiew Ognia zareaguje na nowo zdobytą przez podopiecznego niezależność — zauważył Altra mimochodem. O tym samym pomyślał w tej chwili Karal.

Cóż, nic się na to nie poradzi. Śpiew Ognia będzie musiał się z tym pogodzić, czy mu się to spodoba czy nie. Według Karala nie była to chwilowa zmiana, Śpiew Ognia potrzebował czasu, by ją rozpoznać i przyzwycząić się do nowego An'deshy.

Albo nie — dodał Altra. Karal wymierzył mu w myśli ostrego kuksańca. Czasem chciałoby się zachować kilka myśli dla siebie!

— Zawiadomię resztę, że rano mamy się spotkać — powiedział, wstając. — Wrócę dopiero, jak ich znajdę. Nie czekajcie na mnie.

I nie zostawiając im czasu na odpowiedź, zszedł po schodach. Ale czy mu się wydawało czy dosłyszał słowa An'deshy: „nie będziemy czekali” — i jego śmiech?

Następnego dnia rano inżynierowie ograniczyli liczbę miejsc, w których trzeba będzie wznieść osłony, z kilku tuzinów do koniecznego minimum. Trzy z nich miały stanowić główne punkty obrony, a reszta miała je wspierać. W mniej ważnych punktach wystarczyło po kilku mistrzów magii, wszystkie one leżały w odległości kilku dni jazdy od Valdemaru.

— Mamy dostateczną liczbę magów, łącznie z magami heroldów i posłami, aby obsadzić te stanowiska — powiedziała Elspeth, przyglądając się liście nazwisk. — To nie powinno sprawić trudności.

— Ale tutaj mogą się pojawić kłopoty. — An'desha pokazywał trzy najważniejsze miejsca: na północy, w sercu Puszczy Smutków, na południu, na granicy z Karsem, i na wschodzie, tam gdzie spotykały się granice Valdemaru, Karsu i Iftelu. — Falochrony w pierwszej chwili nie stoją zbyt pewnie, wzmacniają się dopiero po wchłonięciu części energii nadchodzącej fali. Będziecie potrzebować dwóch adeptów albo adepta i dwóch mistrzów na każdy z nich — do postawienia falochronu, połączenia go z dwoma innymi i wreszcie podtrzymywania aż do nadejścia burzy. — Przyjrzał się mapie i położył palec na trzecim kluczowym punkcie. — Ten będzie najłatwiejszy, ale zarazem najdelikatniejszy, jak zwornik łuku, będzie wymagał od maga nie tyle mocy, ile mistrzostwa i precyzji wykonania. Magowie zaś będą musieli przebywać w pobliżu, by połączyć wszystkie konstrukcje w całość.

Elspeth skrzywiła się.

— Mamy tylko czterech adeptów — zauważyła spokojnie. — I tylko kilka dni, by ich rozłokować.

An'desha odetchnął głęboko.

— Macie dwóch adeptów, jednego adepta uzdrowiciela — i mnie.

Śpiew Ognia otworzył szeroko oczy, najwidoczniej nie miał pojęcia, o co chodzi młodemu magowi.

— Macie adepta wyspecjalizowanego w sztuce tworzenia — ciągnął An'desha. — Takiego, który kiedyś rzeczywiście tworzył żywe istoty. Teraz cała wiedza Ma'ara należy do mnie. Wiem, jak stworzyć falochrony, gdyż w pewnym sensie już to kiedyś zrobiłem. Mogę pracować z dwoma mistrzami, niekoniecznie ze Śpiewem Ognia.

Śpiew Ognia zbladł, ale nie odezwał się.

Elsbeth otworzyła usta, ale rozsądnie nie powiedziała nic, tylko schyliła głowę nad listą magów.

— W takim razie zastanówmy się, w jaki sposób magowie dotrą na miejsca. Z powodów oczywistych, przynajmniej dla części z was, uważam, że Śpiew Ognia i ja powinniśmy pojechać na północ. Możemy się tam dostać przez Bramę...

— Prawdopodobnie uzyskamy pomoc — wymruczał Śpiew Ognia. Usta Elspeth drgnęły, choć Karal nie wiedział, co adept miał na myśli, widocznie żart był zrozumiały tylko dla nich dwojga.

— Hydona i ja jesssteśmy missstrzami — odezwał się Treyvan. — Mrroczy Wiatrrr może przebyć część drrrogi Brramą, a przez rresztę poleci z nami, w kosszu. Już tak podrrrózował. — Przekrzywił głowę i spojrzał na Hydone. — Na południe więc czy na wssschód?

Wy pójdziecie na południe.

Wszyscy podnieśli głowy, słysząc rozkazujący myślęty. Altra wyskoczył na środek i usiadł dokładnie na zaznaczonym na mapie punkcie na wschodzie. Przyjął pozę figury, w pysku trzymał zwój zapieczętowanych pergaminów. Z wyjątkiem Śpiewu Ognia i An'deshy wszyscy magowie wyglądali na zaskoczonych, Karal uświadomił sobie, że wreszcie ujrzeli ognistego kota w jego prawdziwej postaci.

Ty i gryfy pojedziecie na południe, Mroczny Wietrze — powtórzył Altra. — *Z powodów, których nie wolno mi ujawniać, Karal i ja będziemy towarzyszyć An'deshy na wschodzie.*

— Karal i ty? — powiedziała niedowierzająco Elspeth. — Ale on nie jest magiem! Nie jest nawet posłem!

Jest posłem — Altra położył dokumenty na stole. — *Solaris podjęła decyzję. Karal zastąpi Ulricha. Jest teraz pełnoprawnym kapłanem słońca, a także kanałem przepływu energii, co Ulrich zauważył u niego, kiedy Karal był jeszcze dzieckiem. Ja jestem magiem. Karal, jeden z Towarzyszy i ja pojedziemy z An'deshą.*

— To w ten sposób Ulrich dostawał dokumenty! — zawołał książę Daren. Altra nagroził go spojrzeniem, ale nie odezwał się.

— Chwileczkę, powiedziałaś, Towarzysz. Kto jest jego heroldem? — spytała Elspeth.

Florian nie ma jeszcze herolda. On także jest magiem i może wykorzystać Karala jako kanał przepływu mocy. Choć nie używamy magii w taki sam sposób, jak ludzie, także umiemy się nią posługiwać, zastąpimy mistrzów, a Karal posłuży nam jako źródło energii.

Elspeth spojrzała na niego zdezorientowana.

— Ale to niemożliwe! Łamiecie wszelkie reguły!

A kto je stworzył? — odparował kot.

Karal chrząknął.

— To jest Altra — wtrącił łagodnie. — Ognisty kot, czyli ktoś... ktoś w rodzaju awatara. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że w naszej komnacie znalazły się cztery ostrza przeznaczone dla Ulricha i dla mnie, Altra zniszczył dwa i odbił trzecie z nich.

Wszyscy obecni na własne oczy widzieli szybkość i śmiertelną moc sztylceciaków, teraz zaczęli spoglądać na Altrę z rosnącym szacunkiem.

— My w Karsie wolimy nie sprzeczać się z ognistymi kotami — ciągnął Karal w ciszy. — One często działają zgodnie z rozkazami kogoś wyższego.

Tak jak teraz — podchwycił Altra. — *Mam powody, dla których powiedziałem wam to wszystko, powody, które na razie was nie dotyczą, może nigdy nie będą was dotyczyć. Przyszłość jest niepewna i wszystko się może zmienić.*

„A ty przyjmujesz najbardziej tajemniczą i denerwującą pozę” — pomyślał Karal. Altra odwrócił lekko głowę i mrugnął do niego.

Elspeth ciągle nie dawała się przekonać.

— Posłuchaj: awatar czy nie, ja nie dam sobą manipulować jak pionkiem w grze, którą...

Przerwała w połowie zdania, kiedy Altra zwrócił na nią spojrzenie.

Rozumiem cię — rzekł nadspodziewanie łagodnie. — *Proszę, uwierz mi, lady Elspeth. To, co wam powiedziałem, nie miało uczynić z was pionków, ale zapewnić wam okazję do skorzystania z waszej wolnej woli.* — Westchnął i przekazał im wrażenie ogromnego smutku. — *To przyszłość kryje odpowiedź, nie ja, nie Solaris ani nawet nie Vkandis. Powinien tu być Ulrich. On był adeptem, choć rzadko o tym wspominał, pojechałby z gryfami na wschód, Elspeth i Mroczny Wiatr skierowali by się na południe, An'desha i Śpiew Ognia zaś poszliby na północ. Teraz jednak Florian i ja musimy zastąpić mistrzów magii, gdyż nie macie ich tylu, by obsadzić wszystkie punkty i jeszcze wysłać dwóch do pomocy An'deshy. Poza tym jest jeszcze jeden powód. Karal zostanie najłatwiej... zaakceptowany i zrozumiany przez strażnika, który nie jest zbyt inteligentny. Nie mogę wam teraz powiedzieć, dlaczego. Na pewno wyjaśnię wam to, kiedy nadejdzie czas, chociaż* — stulił uszy — *mam wrażenie, że wtedy sami się tego domyślicie.*

— Strażnik — wymruczała Elspeth do siebie, spoglądając na tylne części ciała kota, a raczej na miejsce, które zajmowały. — Jasne Niebiosa! — zawołała. — Iftel!

Ognisty kot skłonił głowę.

Właśnie. Sprawdźcie w obliczeniach mistrza Levy'ego. Jeden z kluczowych punktów naszej obrony leży dokładnie w miejscu przecięcia się granic trzech krajów. Ten punkt wymaga od maga zdolności dyplomatycznych ze względu na strażnika. Będziecie operowali wielką magią, która złączy się w jedno z granicą Iftelu, strażnik musi wiedzieć, że nie wyrządzą krzywdy. Początkowo miało tu stanąć dwóch adeptów lub Ulrich z gryfami. Teraz jednak będzie trzeba czterech: dwóch po stronie i w imieniu Valdemaru. . .

— To oczywiście Florian — powiedziała Elspeth. — Ten drugi to An'desha?

Tak — i dwóch po stronie i w imieniu Iftelu. To musi być Karal i ja. Valdemarscy kapłani Słońca nie zostaliby uznani przez strażnika, to dobrzy ludzie, ale uważają się najpierw za magów, a dopiero potem za kapłanów. Talia. . . — przerwał na chwilę — Talii mogłoby się udać, ale nie chcę ryzykować. Pozostaje Karal, jedyny, któremu strażnik pozwoli przekroczyć granicę. Nie jest magiem, ale jest kapłanem, więc dodatkowo wspomogę nas swoją energią.

— To brzmi jak rytuał religijny — zaśmiał się książę Daren, ale umilkł, kiedy zwróciło się na niego spojrzenie niebieskich oczu kota.

Nie całkiem się mylisz — odrzekł Altra. — Okoliczności są niezwykle. Gdyby Karal zginął razem z Ulrichem, sama Solaris przybyłaby na spotkanie.

— O, nie trzeba — powiedziała szybko Elspeth. — Nie, nie! Talia dużo opowiadała mi o Solaris, nie chcę nawet myśleć o takiej możliwości!

Altra wzruszył ramionami, choć ciało kota nie bardzo pozwalało na takie ruchy.

Pomyślcie zatem. To prawda, że gdybyście znali tę magię przed nadejściem poprzedniej fali, punkty kluczowe objęłyby tylko granice Valdemaru i Hardornu. Jeśli zaczekacie, aż przejdzie kolejna fala, kluczowe punkty znajdą się na granicy Valdemaru i Iftelu. Nadal będziecie potrzebować Karala, a więc także mnie i Florianą. — Znów wzruszył ramionami. — Tak się złożyło. Tu nie chodzi o wielkie przeznaczenie, jeśli to was pocieszy.

— Wielkie przeznaczenie pociąga za sobą wielkie pogrzeby — powiedziała cicho Elspeth, jakby kogoś cytując. Gryfy zaśmiały się. — Dobrze, zgadzam się. Dziękuję za to, że poświęciłeś tyle czasu na wyjaśnienia.

Cóż — odrzekł Altra, wstając i idąc ostrożnie ku brzegowi stołu — twoja niechęć do wszelkiego rodzaju manipulacji jest znana. Gdybym tego nie wyjaśnił, znalazłabyś sposób, by całkowicie zmienić moje rozkazy, a to oznaczałoby katastrofę.

— On cię naprawdę dobrze zna — szepnął głośno książę Daren do swej pa-sierbicy.

Elspeth zarumieniła się.

— Te koty — wymruczała. — Zawsze wiedzą. Wróćmy zatem do naszych

spraw — zaproponowała szybko.

— Nie interesuje mnie, czym jest ten kot, lub raczej, co mówi o sobie! — powiedział ostro Śpiew Ognia. — Nie podoba mi się to, że będziesz sam w najtrudniejszej chwili!

An'desha zdusił w sobie chęć poddania się — przyzwyczajenie, które stało się jego drugą naturą.

„Nie możemy sobie na to pozwolić” — pomyślał z bolesną świadomością tego, jak mało czasu im zostało. Choć Altra wspomniał o możliwości przeczekania jeszcze tej fali, obaj — i on, i mistrz Levy — wiedzieli, jak niebezpieczny to pomysł. Skutki nadchodzącej fali dotkną gęsto zaludnione rejony — a nie wszędzie dało się ostrzec mieszkańców. An'desha lepiej niż inni wiedział, co stałoby się z ludźmi zmienionymi przez taką moc.

— Mnie też się to nie podoba, ke'chara — odrzekł zamiast tego, bardzo łagodnie. — Prawdę mówiąc, jestem przerażony. Wolałbym mieć cię przy sobie, Karal nigdy dotąd nie służył jako kanał przepływu energii i choćby Altra doskonale go przygotował, będzie to dla niego zupełnie nowe doświadczenie. Co więcej, nie podoba mi się, że ty znajdziesz się w najtrudniejszym punkcie. Elspeth jest adeptem, ale nie ma wielkiego doświadczenia, wolałbym, by pojechał z tobą ktoś starszy.

— Ty nie jesteś doświadczony. . . — zaczął Śpiew Ognia i chrząknął ironicznie. — Oczywiście. Masz przecież doświadczenie z drugiej ręki, prawda?

Nie zwrócił uwagi na szczerą troskę w słowach An'deshy. „Cóż, próbowałem” — pomyślał młody mag.

— To ty nalegałeś, bym uczył się z tych wspomnień, zresztą słusznie — zauważył.

— Dobrze, rzuć mi w twarz moje własne słowa! — przerwał mu gniewnie Śpiew Ognia. — Co dalej? Zapewne nie będę już interesujący dla kogoś z taką wiedzą i doświadczeniem! Czy mam oczekiwać, że znajdę się z boku razem z resztą odrzuconych?

Mówił dalej w ten sposób, na szczęście Talia i Karal dostrzegli oznaki przełomu wcześniej i ostrzegli An'deshę, inaczej nie wiedziałyby, co się kryje za tym wybuchem.

Po raz pierwszy w życiu Śpiew Ognia odczuwał zazdrość i strach — strach, że An'desha odejdzie. Mógł to zrobić. Stał się niezależny. Śpiew Ognia nigdy dotąd nie zabiegał o niczyje względy — to on był obiektem uwielbienia, teraz nie umiał sobie poradzić w nowej sytuacji.

Jednocześnie bał się o An'deshę — zastąpienie adepta dwoma mistrzami i kanałem energii mogło przyprawić najodważniejszego maga o gęsią skórę, An'desha wolał się nad tym nie zastanawiać. Tylko wiara w Karala pozwoliła mu nie poddać się przerażeniu.

„Karal prędzej spłonie żywcem, niż się załamie” — pomyślał, pozwalając Śpiewowi Ognia wykrzyknąć się. „On także się zmienił.”

Wiedział, do czego zmierza Śpiew Ognia — chciał poruszyć jego uczucia tak, by wreszcie się poddał i pozwolił mu znaleźć inne wyjście. Ale An'desha za długo przebywał z Karalem, by teraz zrezygnować. „Poczucie odpowiedzialności jest chyba zaraźliwe” — pomyślał z lekką ironią.

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! — zawołał rozpaczliwie mag. — Nie obchodzi cię, co mówię, co czuję?

— Owszem — odrzekł An'desha, chwytając rękę maga. — Co więcej, słucham także tego, czego nie mówisz, ale co myślisz. Boisz się o mnie, boisz się także, że cię zostawię, że już mi na tobie nie zależy. Co do pierwszego — masz rację, natomiast jeśli chodzi o moje uczucia, mylisz się całkowicie.

Śpiew Ognia zacisnął ręce na dłoniach An'deshy, jego srebrzyste oczy wyrażały niemą prośbę.

— Narażam się, wszyscy się narażamy. Jeżeli nic nie zrobimy, twój lud, mój i nasi przyjaciele z Valdemaru ucierpią, może zginą. — Miał nadzieję, że w jego wzroku Śpiew Ognia dojrzy szczerą. — Jeśli nawet spróbowalibyśmy zmienić nasz plan... — Westchnął. — Przyznam, nie wiem, czy cokolwiek by to dało. Altra przysięga, że to najlepszy sposób wykorzystania naszych możliwości i że cokolwiek innego zrobimy — zaprzepaścimy szansę na sukces, a ja, z całym moim tak zwanym doświadczeniem, nie potrafię stwierdzić, czy ma rację czy nie. Chcę mu jednak zaufać.

Śpiew Ognia skinął niechętnie głową.

— Nie zostawię cię — powiedział An'desha z taką siłą, że Śpiew Ognia cofnął się. — Nie mam cię dość, nie nudzisz mnie, nie uważam cię za kogoś gorszego. — Pozwolił sobie na cień uśmiechu. — Wręcz przeciwnie, w wielu dziedzinach jesteś moim mistrzem. — Teraz on zacisnął palce na dłoniach Śpiewu Ognia. — Nigdy nie powiedziałem tego w tylu słowach, ashke, nadszedł czas, byś to usłyszał.

„I zabrał ze sobą...”

— Kocham cię — powiedział cicho, z przekonaniem wypełniającym całe jego ciało, duszę i umysł, chociaż nie do końca pewny, czy nawet to zadowoli Śpiew Ognia.

Jednak prawda sama w sobie powinna mu wystarczyć. Musi na razie wystarczyć.

Uformowali dziwną grupkę: Altra obok Floriana, An'desha w swym taylor-draskim kostiumie przy Karalu odzianym w surową karsycką czerń, trzymającym wodze Trenora. An'desha zaraz po przekroczeniu Bramy miał dosięść Floriana, po takim wysiłku nie zdołałby jechać na zwykłym koniu. Mieli podróżować przez

dwa dni od miejsca, które An'desha znał — do którego on i inni uciekli z Hardornu po zniszczeniu stolicy — do punktu spotkania granic trzech krajów. Inne grupy magów także czekała dwudniowa podróż do wyznaczonych im punktów — chociaż starali się jak najdalej dotrzeć przez Bramy. Jednakże po stworzeniu Bramy każdy mag był wycieńczony przez przynajmniej jeden dzień.

Pierwsi wyruszyli Śpiew Ognia i Elspeth, po nich Mroczny Wiatr i gryfy, wreszcie nadeszła kolej na An'deshę.

Odwrócił się do Karala, jakby chciał coś powiedzieć, po czym bez słowa zwrócił się ku kamiennemu wejściu do sali ćwiczeń, którego wszyscy użyli jako początku Bramy.

Karal słyszał o Bramach, ale nigdy dotąd ich nie widział. Po kilku chwilach obserwowania An'deshy nie miał ochoty oglądać ich więcej.

To nawet nie Brama wyglądała tak przerażająco, właściwie była nawet ładna, z wyjątkiem ziejącej pustki w przejściu, tam gdzie powinno się znajdować biuro Kerowyn. Naprawdę chodziło o to, że Brama powstawała z samej duszy An'deshy, który stawał się coraz bledszy — powstawała z jego sił, z jego istoty. Karal zastanawiał się, jak ktoś mógł to w ogóle znieść.

Nagle pustkę pod sklepieniem łuku zastąpił widok lasu, rosnącego na ruinach gospodarstwa.

— Idźcie! — powiedział An'desha zduszonym głosem. Altra wskoczył, Karal spróbował zmusić Trenora, by ruszył z miejsca, ale koń się opierał. Nie chciał przekroczyć Bramy.

Karal zamierzał zsiąść, ale spojrzawszy na ściągniętą z wysiłku twarz maga, z milczącą prośbą o wybaczenie spiął konia. Nie miał ostróg, ale Trenor zareagował tak, jakby Karal go ukłuł: skoczył na oślep przed siebie.

Karal poczuł, że ziemia ucieka spod niego, przez mgnienie oka miał wrażenie, że upada, zmysły zawiodły: wszechświat zniknął, została pustka.

Nagle znaleźli się po drugiej stronie i Karal zawrócił konia, jak tylko zrobili miejsce przed Bramą. Znaleźli się w ruinach kamiennej szopy — część ściany i framuga drzwi nadal stały, przez drzwi widać było salę ćwiczeń. Po chwili Bramę przekroczyli An'desha i Florian — sala ćwiczeń znikła za ich plecami.

An'desha słaniał się w siodle, ktoś przezornie go przypiął, żeby nie spadł. Obiema rękami kurczowo trzymał się łęku, puściwszy wodze swobodnie, twarz miał kredowobiałą i zamknięte oczy. Otworzył je powoli, słysząc zbliżającego się Karala.

— Nie chcę już nigdy używać Bramy — odezwał się Karal tak stanowczo, że An'desha aż wyprostował się w siodle. — Nie pozwolę ci więcej na taki wysiłek!

— Następnym razem będzie lepiej — odparł słabo An'desha. — Obiecuję. Podzielimy podróż na kilka etapów i odbędziemy ją w kilka dni.

— Nie będzie następnego razu — odparł zimno Karal i spojrzął w dół. — Florian, czy on może jechać?

Nawet jeśli nie, to ja mogę go ponieść. Dlatego przypięto go do siodła — brzmiała odpowiedź. — Nie mamy wyboru. Czas ucieka.

— Lepiej się więc pośpieszmy — powstrzymał Trenora i skinął na Floriana, który był najlepszym przewodnikiem, jakiego mogli znaleźć. — Prowadź.

Altra wskoczył na miękko wyścielony tył siodła. Rris przysięgał, że jego sławny kuzyn Warrl bardzo często jeździł w ten sposób z wojowniczką Tarmą shena Tale'sedrin, kiedy zależało im na czasie. Altra zgodził się spróbować. Trenerowi to nie przeszkadzało, choć za pierwszym razem próbował protestować.

Florian zanurzył się w gąszcz, jakby prowadziła go ścieżka, choć Karal nic takiego nie widział.

„Cóż, nie jestem leśnym człowiekiem.”

Musiła tędy bieć jakaś ścieżka, gdyż Florian bez większego trudu szedł do przodu całkiem szybkim krokiem.

„Biedny Trenor, dwa dni takiej jazdy wyczerpią go zupełnie.”

Nie mieli jednak wyjścia, z każdą marką na świecy przybliżała się kolejna fala — a Natoli wyjawiała Karalowi, że na przecięciu fal znajdzie się kilka wsi. Te leżące w Valdemarze zostały ostrzeżone i ewakuowane, ale co do innych nie było takiej pewności.

Musieli powstrzymać burzę. Musieli dotrzeć na czas.

„Kiedy zrobiono już wszystko, nadchodzi czas na modlitwę” — brzmiało ulubione powiedzenie Ulricha. Zrobili, ile mogli — Karal zamknął oczy, powierzył się instynktowi Trenora i zaczął żarliwie modły.

Kiedy Karal czuł, że Trenor słabnie, zatrzymywali się na krótki odpoczynek, na posiłek i łyk wody, poza tym jechali bez przerwy całą noc i następny dzień. Okolica, dawniej rolnicza, teraz opustoszała i zarosła zielskiem, Karal wołał nie pytać, dlaczego tak się stało. Miał przeczucie, że przyczyniła się do tego wojna z Hardornem, a to, co usłyszał od An'desha o Ancarze, wystarczyło mu w zupełności. Nie miał ochoty dowiadywać się więcej.

„Szybciej, szybciej, szybciej, nie ma czasu do stracenia.”

Nie napotkali nawet zbyt wielu dzikich zwierząt, nieliczne ptaki rzadko się odzywały. Mimo nadchodzącej zimy powinni słyszeć pohukiwanie sów, poszczekiwanie lisów czy wycie wilków. Cisza podnosiła Karalowi włosy na głowie. An'desha spał w siodle, odkąd przekroczył Bramę, Altra nie miał ochoty na rozmowę, a Florian był zajęty odszukiwaniem drogi. Karal drzemał, martwił się i modlił.

W szarym świetle świtu okolica nie wyglądała lepiej. Trenor częściej potrzebował wypoczynku, Karal z bólem serca musiał go zmuszać do dalszej drogi. Do następnego świtu musieli znaleźć się na miejscu.

Tuż po wschodzie słońca An'desha obudził się i rozejrzał wokoło.

— Pamiętam te strony — rzekł cicho. — To ziemia zniszczona przez Ancara, choć krótko była w jego posiadaniu. Szybko zdrowieje.

— Co takiego? — odparł z niedowierzaniem Karal. — Zdrowieje?

— Nie widziałeś jej przedtem — powiedział ponuro An'desha, odwracając się do niego twarzą. — Nic tu nie rośło, nic. Może za rok ta ziemia wróci do stanu sprzed wojny. — Jego oczy zamglily się odległym wspomnieniem. — Ma'ar postępował podobnie. Najgorsze jest to, że uważał swoje uczynki za słuszne.

— Ponieważ służyły jakiemuś celowi?

— Służył swoim rodakom, uczynił swój naród wielkim i potężnym, kosztem innych. Dla niego nic się nie liczyło oprócz niego samego i jego ludzi, którzy zresztą nie byli lepsi od niego. W imię miłości ojczyzny wyrządzał straszne krzywdy — ale uważał, że czyni właściwie. Nie lubię go, ale go rozumiem... może nawet zbyt dobrze.

Karal dosłyszał w jego głosie nutę wątpliwości.

— Rozumienie chroni przed powtórzeniem błędu, An'desha — odrzekł. — Myślę, że Ma'ar nie rozumiał sam siebie.

An'desha roześmiał się.

— Masz rację. Znow rozprawiasz się z moimi problemami, zanim zdołają mnie przytłoczyć. Jak daleko jeszcze?

Większa część dnia, jeśli nie napotkamy przeszkód — odrzekł Florian... i w tej chwili ze szczytu wzgórza, na które się wspięli, dojrzeli przeszkodę: głęboki wąwóz, a na jego dnie spienioną rzekę. Kamienie i wiry uniemożliwiały jakąkolwiek próbę przeprawy.

Tego nie powinno tu być! — zawołał Florian.

Wpatrywali się w wodę, Trenor skorzystał z okazji i skubał suche zielsko.

Oto nasza przeszkoda — rzekł wreszcie Altra.

— Niekoniecznie — zauważył Karal. — Możemy znaleźć most. Dokąd pójdziemy go szukać: w górę czy w dół prądu?

— W górę — odrzekł An'desha po chwili namysłu. — Tędy dotrzemy chyba szybciej do granicy Iftelu.

Znaleźli most — wąską, chwiejną konstrukcję ze starych desek i przetartych lin. Karal musiał zastonić Trenorowi oczy, by go poprowadzić zaraz za ostrożnie idącym Altrą. Przez to stracili kilka marek na świece, dopiero tuż przed świtem dotarli do celu.

Karal zastanawiał się, w jaki sposób poznają, która strona rzeki leży w Valde-marze, a która w Iftelu — kiedy wzeszło słońce, uzyskał odpowiedź.

— Co to jest? — spytał zaskoczony, wpatrując się w drgającą, świetlistą zasłonę wiszącą nad grzbietem. Nie mogli dojrzeć jej końca, nie było to powietrze, chyba że ktoś umiałby je zageścić tak mocno, by aż uczynić widzialnym, nie była to woda, chociaż zasłona falowała i marszczyła się jak powierzchnia stawu pod podmuchem wiatru, po drugiej stronie Karal zdołał rozróżnić tylko plamy brązu i zieleni — prawdopodobnie roślinność.

Oto granica — powiedział Florian zmęczony. — Nie zawsze tak wyglądała. Przed wojną z Ancarem przypominała granicę z Rethwellanem. Kiedy Ancar spróbował przekroczyć ją ze swoją armią, pojawiło się to. Ci, którzy usiłowali przebić się przez zastonę z pomocą magii, zginęli. Podobno niektórym kupcom pozwolono wejść do Iftelu, ale oni nigdy się nie zwracają z tego, co tam zobaczyli.

— Myślałem, że na dworze w Valdemarze przebywa poseł Iftelu — odezwał się An'desha.

Kiedyś owszem, ale teraz już nikogo stąd u nas nie ma. — Florian westchnął. — Zgodnie z tradycją jedna z kwater zawsze czeka gotowa, lecz jak dotąd nikt się nie zgłosił.

Karal z otwartymi ustami przypatrywał się migoczącej ścianie... czego właściwie?

„Mocy. To czysta siła. I ja się mam przez to przedostać! Każdy, kto próbował przedrzeć się tędy, zginął!”

Co gorsza, miał to zrobić natychmiast. Do następnej fali nie pozostało więcej niż dwie marki na świecy.

— Zaczynamy — powiedział, choć ręce mu się trzęsły. — Nie mamy czasu!

By dać dobry przykład, zmusił biednego, zmęczonego Trenora do truchtu poprzez wąwóz porośnięty wysoką, sięgającą kolan trawą — w kierunku grzbie-tu. Zastona stawała się coraz większa, ale nie zmieniała się. Karal czuł za sobą An'deshę i Floriana, ale większość jego uwagi pochłaniała zastona.

Nie było czasu na obserwacje — jedynie na bieg prosto przed siebie, z nadzieją, że być może uda im się przeżyć.

Zesztywniał ze strachu, zamknął oczy i krzyknął na konia, popędzając go do przejścia kilku ostatnich kroków.

Kiedy dotarł do ściany, otworzył oczy i zanurzył się w nią.

Coś go chwyciło.

...co?...

Nie mógł się poruszyć ani odetchnąć. Otaczało go światło, a jednak nic nie widział. Mógł tylko czekać, podczas gdy niewidzialny obserwator poddawał go egzaminowi.

...kapłan?...

Czy był kapłanem? An'desha tak go nazwał, ale w żartach. Czy na pewno w żartach? Solaris mianowała go kapłanem, ale wydawało mu się, że to tylko tytuł honorowy. Co zrobił, by na niego zasłużyć?

...ach...

Nagle pozwolono mu przejść. Ocknął się w siodle, patrząc na An'deshę i Floriana poprzez kurtynę migoczącego światła, która w tym miejscu wydawała się cieńsza niż gdziekolwiek indziej.

Jest naprawdę cieńsza. Dlatego możemy ich dosięgnąć — powiedział niecierpliwie Altra. — Nadchodzi. Karalu, zajmij swą pozycję. Nie stój i nie rozmyślaj,

rusz się!

Zsunął się z grzbietu Trenora i stanął tak, jak go uczono — z wyciągniętymi w górę ramionami.

A teraz trans, tak jak cię nauczyłem.

Posłusznie wypowiedział kilka słów i pogrążył się w lekkim transie — nie na tyle głębokim, by stracić świadomość tego, gdzie się znajduje, ale zbyt głębokim, by się poruszyć. Nie wiedział, co się dalej stanie, An'desha i Altra nie powiedzieli mu tego.

O mgnienie oka później zdał sobie sprawę, dlaczego tak się stało, gdyby wiedział, ze strachu w ogóle nie zdecydowałby się na to wszystko.

Od strony Altry napłynęła ku niemu moc, zaraz potem poczuł moc Floriana. Coś w nim zdołało okiełznać oba strumienie energii — choć z punktu widzenia Karala wyglądało to jak dosiadanie dzikiego ogiera. Nie kontrolował mocy, to ona chwilowo pozwalała mu się opanować.

Potem An'desha w jakiś sposób sięgnął ku niemu poprzez granicę — dwa strumienie mocy połączyły się i znalazły ujście.

Teraz An'desha zrobił coś — Karal nie widział, co, tylko czuł, jak ślepiec, że powstaje przed nim forteca, wygiął plecy, zamknął oczy. by się skoncentrować i utrzymać moc, co w miarę upływu czasu stawało się coraz łatwiejsze. Jednak ciągle balansował na krawędzi, gdyby stracił panowanie nad energią, raczej by nie przeżył — a gdyby przeżył, pewnie by tego żałował.

Ledwie doszedł do tego uspokajającego wniosku, kiedy poczuł uderzenie fali.

Było silniejsze niż wszystkie poprzednie razem wzięte.

Wszystko zaczęło drgać, jak podczas trzęsienia ziemi — jakby świat się kończył. Karal oślepił całkowicie, jednak nie otoczyła go ciemność, wręcz przeciwnie, wokół rozszalała się feeria barw i światła — światła, które mógł słyszeć. Kolory pachniały żelazem, gorącą skałą i miedzią. Z zewnątrz Altra i Florian wciąż przekazywali mu energię, czuł ją głęboko w sobie — An'desha potrzebował tej mocy. Karal więc starał się ją utrzymać, nawet kiedy światło zamieniło się w wyginające się ku niemu węże, a kolory zdawały się grozić mu zatopieniem, kiedy wreszcie wszystko się skończyło i znalazł się w kompletnej ciemności, wiedząc, że nigdy nie znajdzie powrotnej drogi...

... Wtedy się zawahał.

Opanował go strach, moc wymykała się z osłabionego uścisku.

„Nie potrafię!” — pomyślał w panice. „Nie umiem tego zrobić! To coś dla Ulricha, nie dla mnie! Ja nie mogę...”

Moc wymknęła się jeszcze bardziej.

„Nawet nie wiem już, kim jestem.”

Serce mu podskoczyło, chciał, żeby był tu Ulrich. Chciał być taki, jak on.

Wtedy z głębi jego istoty wypłynęło poczucie obowiązku, przekonanie zbyt silne, by pokonał je strach.

„Muszę. Nie ma nikogo innego.”

Trzymał moc, choć ona wyślizgiwała się i usiłowała uciec, zapomniał o zmieszaniu, odpędził strach i trzymał.

Wszystko skończyło się tak nagle, jak zaczęło. W jednej chwili znalazł się po valdemarskiej stronie granicy, w wysokiej trawie — i spoglądał w oczy An'deshy z odległości nie większej niż długość ramienia. Nie miał pojęcia, jak się tu znalazł.

Wszystkie falochrony stoją, już się połączyły — powiedział Florian szeptem, całkowicie wyczerpany. — *Granica z Iftelem stała się ich częścią. Udało się nam, Karalu.*

Karal usiadł. Altra leżał obok, wyzuty z sił.

— Udało nam się? — powtórzył ze zdziwieniem.

Chyba sobie poleżę — odezwał się Altra. — *Może przez miesiąc, albo jeszcze lepiej dwa. Jak wy sobie radzicie w tak niezgrabnych ciałach?*

— Świetnie, dziękuję — odrzekł ostro An'desha. — Spróbowałem już obywać się bez niego, pamiętasz? Nie narzekam.

Karal zdał sobie sprawę, że też potrzebuje długiego odpoczynku. Czuł się tak, jakby ktoś najpierw wypełnił go światłem, a potem wyssał wszystko, jakby wyrócono go na drugą stronę, zostawiono na pustyni, a potem odwrócono z powrotem.

Nadchodzi pomoc — powiedział Florian. — *Herold na patrolu. Odpocznijcie do jego przyjazdu.*

— Zrobiliśmy to — powtórzył Karal z niedowierzaniem.

Zrobiliśmy. Teraz osłony wytrzymają. Zyskaliśmy trochę czasu.

Czas. Wytchnienie. Karal zamrugał i spojrzał w górę, w błękitne niebo. Trochę odpoczynku. Brzmiało to aż zbyt dobrze.

Nieważne, że będzie musiał pełnić obowiązki karsyckiego posła i zająć pozycję, której nie pragnął. Nieważne, że w Przystani został ktoś, kto przyprawiał go o zmieszanie... ale bardzo przyjemne zmieszanie.

Pozostała nadal armia Imperium, Karal stał się teraz jednym z ważniejszych celów dla jej szpiegów, najcięższa burza miała dopiero nadejść...

„W tej chwili to się nie liczy.”

Na razie mieli czas, a trochę czasu — i ktoś obok — to wszystko, czego potrzebowali.